Raffi
(Hakop Melik-Hakopian)



Chent

Chent



Raffi
(Hakop Melik-Hakopian)

Chent

Tłumaczenie
Stanisław Ulaszek

Polska redakcja armenistyczna
Andrzej Pisowicz

ORMIAŃSKIE
TOWARZYSTWO
KULTURALNE

Kraków 2026

© Copyright by Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne, 2026
© Copyright for the Polish translation by Stanisław Ulaszek, 2026

Z przekładu rosyjskiego: Раффи, *Хент*, Издательство „Айастан”, Ереван 1969

Oryginał ormiański: Ռաֆֆի, *Խենթը*, Շուշա 1881

Opracowanie redakcyjne
Klaudia Król-Kiełbowicz

Projekt okładki
Lesław Sławiński

Współpraca
Małgorzata Malkiewicz

ISBN 978-83-8368-505-2

Na okładce wykorzystano reprodukcję obrazu *Armenian Village at Sunrise* Gevorga Bashindzhaghiana (domena publiczna) oraz fotografię Raffiego (domena publiczna)

Wydano dzięki wieloletnim darowiznom na cele statutowe

Nakład: 200 egzemplarzy

Wydawca:
Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne
ul. Studencka 2/3A, 31-116 Kraków
e-mail: otk@otk.org.pl
www.otk.org.pl

Wydawnictwo Księgarnia Akademicka
ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków
tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43
e-mail: publishing@akademicka.pl
Księgarnia internetowa: https://akademicka.pl

Wstęp

Autor piszący pod pseudonimem Raffi miał na imię Hakop (= Jakub) i nazywał się Melik-Hakopian. Urodził się w roku 1835 na terenie północno-zachodniego Iranu (Persji) we wsi Pajadżuk leżącej w pobliżu miasta Salmast (południowo-wschodnie krańce historycznej Armenii). Jego ojciec, szlachcic ormiański (wskazuje na to pierwszy element nazwiska, Melik, pochodzący od arabskiego wyrazu *malik* „król"), był bogatym właścicielem ziemskim i ojcem licznej rodziny.

W wieku 12 lat przyszły pisarz rozpoczął naukę (po ukończeniu podstawowej szkoły parafialnej w ojczystej wsi na terenie Iranu) w ormiańskiej szkole średniej działającej w Tyflisie (gruzińska nazwa: Tbilisi), na terenie Rosji. Warto tu wspomnieć, że w XIX wieku prawie połowę (!) ludności historycznej stolicy Gruzji stanowili Ormianie.

Nie ukończywszy ormiańskiego gimnazjum w Tyflisie, Raffi sporo podróżował po terenach całej historycznej Armenii, zapoznając się z życiem swych rodaków żyjących pod panowaniem perskim, tureckim i rosyjskim.

Od roku 1872 Raffi mieszkał na stałe w Tyflisie, gdzie rozpoczął działalność literacką. Przez 15 lat współpracował z Grigorem Arcrunim, redaktorem dziennika „Mszak" (po ormiańsku: „Pracownik"). Obaj intensywnie działali na rzecz wzbudzenia ormiańskiej świadomości narodowej. Prócz aktywności literackiej Raffi zajmował się też dydaktyką. Przez jakiś czas uczył języka ormiańskiego (wschodniego) w liceum Aramianów w Tabrizie na terenie północno-zachodniego Iranu.

Raffi zmarł w 1888 roku w Tyflisie. Został pochowany na tamtejszym cmentarzu ormiańskim.

Pierwsza powieść Raffiego pt. *Chent* ukazała się drukiem w 1880 roku w kolejnych numerach wspomnianej wyżej gazety „Mszak". W następnym roku została opublikowana w postaci jednotomowej książki.

Treść *Chenta* łączy się z wydarzeniami związanymi z wojną turecko-rosyjską lat 1877-1878 i poprzedzającym je okresem wzrostu nastrojów niepodległościowych wśród zachodnich Ormian. Dumni ze swej starożytnej historii i tradycji pierwszego chrześcijańskiego państwa świata (początek IV wieku!), marzyli o wyzwoleniu się spod tureckiego panowania.

W powieści *Chent* sprawy ogólnonarodowe przeplatają się z romantycznym wątkiem miłości działacza patriotycznego Wartana do pięknej Lali, córki ormiańskiego starosty (*tanutera*) wiejskiego Chacza (którego pełne imię brzmiało: Chaczatur).

Przekład rosyjski, z którego *Chenta* przetłumaczył na język polski gdański rusycysta, dr Stanisław Ulaszek, zachował bez tłumaczenia ormiański tytuł *Chent*, który w oryginale oznacza „szaleńca". Wziął się stąd, że ambicje głównego bohatera, Wartana, który dążył do wzniecenia zbrojnego powstania Ormian przeciwko Turcji wzorowanego na zrywie Bułgarów z 1876 roku, wydawały się „zwykłym ludziom" szaleństwem.

Jednocześnie znaczenie to wiązało się z udawaniem „wariata" przez Wartana podczas jego przedzierania się przez oddziały tureckie do generała Ter-Ghukasowa (Ormianin w rosyjskiej armii) podczas oblężenia Bajazetu (początek powieści) w czasie wojny turecko-rosyjskiej lat 1877-1878.

Drugim przedstawicielem patriotycznej inteligencji w grupie bohaterów *Chenta* był Lewon Salman (Dudukczian), pochodzący z ormiańskiej (bardzo licznej) kolonii stambulskiej. Reprezentował on nurt „pozytywistyczny": nie dążył do walki „na barykadach", lecz założył na wsi szkołę.

Są też w powieści Raffiego postaci negatywne. Na czoło wysuwa się tu Tomas-efendi, Ormianin kolaborujący z władzami tureckimi jako poborca podatkowy.

Ważnym, a przy tym kontrowersyjnym problemem *Chenta* jest stosunek autora do Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego. Najwyraźniej jest on stronniczy, i to skrajnie. Wpłynęły na to prawdopodobnie jakieś traumatyczne przeżycia autora z okresu jego dzieciństwa.

Raffi zarzuca władzom Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego (niezależnego od Kościoła powszechnego od połowy VI wieku) ugodowe

stanowisko wobec sułtańskiej Turcji. Duchownym ormiańskim, zwłaszcza tym z siedziby patriarchy-katolikosa w Eczmiadzynie (na terenie wschodniej Armenii, należącym w XIX wieku do Rosji), zarzuca on błędne stanowisko wobec muzułmańskich władz tureckich, streszczające się do hasła: „Nie podnoście miecza na wrogów!".

Taki obraz rodzimego Kościoła skłania Wartana i Salmana do głoszenia poglądu, że gdyby ormiańskie świątynie i klasztory udało się zastąpić szkołami, to Armenię dałoby się ocalić od zagłady, która grozi jej ze strony Turcji.

Co więcej, Raffi zarzuca duchownym rodzimego Kościoła nie tylko bierną postawę wobec wrogiej Turcji, ale wręcz wszelkie zło moralne: od chciwości i braku wrażliwości na nieszczęścia rodaków (na przykładzie uciekinierów z Bajazetu) aż po wyuzdanie seksualne (mnisi miewają kochanki). Tę przesadę w krytyce duchowieństwa (wpadającą niekiedy w obsesyjny antyklerykalizm) dostrzega nawet marksistowski literaturoznawca sowiecki, prof. M. Mykyrian, na stronie 12. swego wstępu do rosyjskiego tłumaczenia *Chenta* z 1969 roku.

Innym minusem powieści Raffiego jest widoczna na wielu stronach naiwność w psychologicznej interpretacji zachowań poszczególnych postaci.

Ważne miejsce w powieści *Chent* zajmuje tematyka kurdyjska. Mówiący językiem spokrewnionym z perskim (irańska grupa języków indoeuropejskich) muzułmańscy Kurdowie byli wrogo nastawieni wobec Ormian. Władze tureckie wykorzystywały Kurdów do prześladowania chrześcijańskiej ludności ormiańskiej. W powieści Raffiego głównym przedstawicielem Kurdów był Fattah-bej.

Ciekawym zakończeniem *Chenta* jest ostatni rozdział tej powieści zawierający opis snu, w którym Wartan widzi przyszłość swej ojczyzny po okresie 200 lat, a więc mniej więcej w roku 2080. Armenia ma wtedy być niepodległym krajem, w którym nie będzie własności prywatnej (tu

widać wpływ marksizmu), a naród ormiański będzie się mądrze kierował rozsądkiem w każdej dziedzinie gospodarki i lokalnego samorządu. Co ciekawe, Raffi przewidywał… wchłonięcie przez Ormian narodu kurdyjskiego, który najwyraźniej traktował jako stojący niżej na szczeblu rozwoju cywilizacyjnego.

Prócz *Chenta* Raffi napisał jeszcze trzy powieści: *Dawid-beg* (o przywódcy powstania antyperskiego z XVIII wieku), *Kajcer* (= „Iskry") i *Samwel* (o wydarzeniach, które wstrząsnęły historią Armenii w V wieku).

Andrzej Pisowicz

CHENT

Chent[1] cisnął w jamę kamień –
stu mędrców się zebrało, wyciągnąć nie zdołało!
Nim mędrzec pomyśli, chent rzekę przepłynie.
Prawda na języku chenta.

(Ludowe porzekadła ormiańskie)

[1] Chent – szaleniec, narwaniec (przypis z przekładu rosyjskiego, dalej w skrócie: PR). W anonimowym przekładzie rosyjskim z 1969 r. w tytule (i dalej w tekście) pozostawiono ten wyraz w oryginalnej formie ormiańskiej (przypis polskiej redakcji armenistycznej, dalej w skrócie: AP = Andrzej Pisowicz).

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bajazet[2] wciąż pozostawał oblężony.

Turcy, Kurdowie, Cyganie, Ajsorzy[3] – całe to ponaddwudziestotysięczne zbiorowisko najrozmaitszych zbirów, wespół z regularnym tureckim wojskiem, oblegało na wpół zrujnowane już miasto. Ogarnięty szalejącym pożarem Bajazet płonął niby gigantyczne ognisko. Domy ormiańskich chrześcijan opustoszały: jednych zgładził wrogi miecz, drugich uprowadzono w niewolę. Ocaleli jedynie nieliczni, którzy przezornie uciekli wcześniej do pogranicznego miasta Maku, leżącego na perskiej[4] ziemi.

Twierdza bajazecka wciąż jeszcze stawiała opór. Umocnił się w niej niewielki rosyjski garnizon wraz z ochotnikami oddziału specjalnego[5] – zrozpaczonymi Ormianami i Turkami – oczekującymi nieuchronnego, fatalnego końca. Twierdza była otoczona ze wszystkich stron. Żelazny pierścień wrogów, zaciskając się coraz bardziej, groził zduszeniem garstki jej obrońców. Wszelka łączność ze światem zewnętrznym została przerwana.

---

[2] Bajazet – miasto we wschodniej Turcji leżące na południowy zachód od Araratu w pobliżu granicy z Iranem. Turecka nazwa współczesna Doğubayazıt (wymowa: Dohu-bajazyt) oznacza „Wschodni Bajazet". Wiosną 1877 r. do miasta wkroczyły wojska rosyjskie w pierwszej fazie dwuletniej wojny z Turcją. Później Turcy je odbili, ale twierdza miejska (warownia) pozostawała w rękach Rosjan, Ormian i walczących po ich stronie ochotników lokalnego tureckiego oddziału specjalnego zwanego przez Ormian „milicją". Tego rosyjskiego wyrazu (*милиция*), pochodzącego z łaciny, używał autor *Chenta* Raffi, mimo że był Ormianinem pochodzącym z Iranu (Persji), który prawdopodobnie nie znał języka rosyjskiego (AP).

[3] Ajsorzy – potomkowie starożytnych Aramejczyków, patrz *Ludy i języki świata*, red. K. Damm, A. Mikusińska, Warszawa 2000, s. 13, 26 (AP).

[4] Perska ziemia – chodzi o Iran (dawna nazwa: Persja). Miasto Maku leży w północno-zachodnim regionie Iranu (AP).

[5] Ochotnicy oddziału specjalnego – w oryginale wschodnioormiańskim mamy tu: *կամավոր միլիցիա* [*kamawor milicia*] (por. przypis 2), dosłownie: „dobrowolna (ochotnicza) milicja" (AP).

Oblężenie zaczęło się 6 czerwca 1878 roku i trwało dwadzieścia trzy dni. Był to czas, kiedy rosyjskiemu orężu, odnoszącemu dotąd w Armenii[6] jedynie sukcesy, los najwyraźniej przestał sprzyjać. Miejscowi muzułmanie, którzy początkowo tak ochoczo zaakceptowali władzę Rosjan, nieoczekiwanie zbuntowali się i dołączyli do wojsk Ismaila-paszy[7].

Generał Ter-Ghukasow[8], dowodzący erywańskim oddziałem, znajdował się wówczas między Zejdeganem a Dali-babajem[9] i ze swym nielicznym wojskiem odważnie walczył z przeważającymi siłami Muchtara-paszy[10]. I prawdopodobnie nie wiedział o tym, jaki los spotkał nieszczęsny Bajazet, pozostawiony przezeń pod nadzorem komendanta Sztokwicza[11].

Była noc. Całkiem niedawno znikł księżyc i gęsty mrok okrył ziemię. Wydawało się, że i ta noc, i ciemność powinny sprzyjać obrońcom, jak gdyby poświata księżyca – beniaminka wszechświata – mogła ich zdradzić wrogowi. Czerń nocy nie przeszkodziła jednak nieprzyjacielowi w ciągłym szturmowaniu twierdzy.

Bajazecka warownia jak ciemna plama rysowała się mgliście na wzniesieniu. Kule armatnie i karabinowe niby grad sypały się na nią ze wszystkich stron. Twierdza jęczała jak ogromne ranione zwierzę, na które wciąż spadają niezliczone ciosy. I wciąż stawiała zacięty opór swemu rozpaczliwemu losowi i śmierci. Była zdecydowana umrzeć, ale

---

[6] W drugiej połowie XIX w. zachodnia część historycznej Armenii należała do Turcji, północno-wschodnia – do Rosji (obecna niepodległa Republika Armenii *Հայաստանի Հանրապետություն* [*Hajastani Hanrapetutjun*]), a południowo-wschodnia – do Iranu (zwanego wówczas Persją) (AP).

[7] Ismail-pasza – jeden z dowódców tureckiej armii sułtańskiej (AP).

[8] Ter-Ghukasow (z *gh* wymawianym dźwięcznie jak polskie „ch" w wyrazie „klechda") – nazwisko Ormianina będącego generałem armii carskiej rezydującym w Erywaniu. Pierwszy człon tego nazwiska, *ter*, znaczy „pan" i nawiązuje do przodka, duchownego niższego stopnia w Ormiańskim Kościele Apostolskim (od połowy VI w. poza Kościołem powszechnym), por. przypis 27. Druga część została utworzona od imienia Ghukas (= Łukasz). Ter-Ghukasow (w formie wschodnioormiańskiej: *Ter-Ghukasjan*) znaczy więc tyle co: „potomek księdza o imieniu Ghukas = Łukasz". W wymowie rosyjskiej: *Ter-Gukasow* (AP).

[9] Zejdegan, Dali-babaj – nazwy wsi leżących w północno-wschodniej Turcji (AP).

[10] Muchtar-pasza – jeden z dowódców tureckiej armii sułtańskiej (AP).

[11] Sztokwicz – nazwisko wojskowego rosyjskiego (AP).

umrzeć z honorem, zyskując przy tym nieśmiertelną sławę. Około tysiąca rosyjskich wojowników i tyluż ochotników oddziału specjalnego odpierało nacisk dwudziestotysięcznej armii Ismaila-paszy. Oszczędzając skromne zapasy amunicji, oblegani z rzadka tylko odpowiadali na ogień wroga.

Tej nocy w jednym z porzuconych i na wpół zrujnowanych przez osmańskich[12] Turków budynku, który onegdaj służył jako koszary, wprost na ziemi leżało mnóstwo skrajnie wyczerpanych, bezsilnych, pogrążonych w rozpaczy i przerażonych ludzi.

– Kroplę wody… umieram z pragnienia… – rozlegały się głuche jęki.

– Chleba… konam z głodu… – słyszało się tu i ówdzie.

Owi nieszczęśnicy już prawie od tygodnia niczego nie jedli ani nie pili. Oblężenie twierdzy zaczęło się tak nagle i nieoczekiwanie, że nie zdążono zrobić zapasów żywności. I teraz oblężonym zagrażało trzech wrogów: głód i pragnienie wewnątrz twierdzy, a za jej murami – śmiertelny ogień wroga.

Poczynając od 8 czerwca, obrońcy byli też pozbawieni gorącego posiłku. Wszystkie obozowe konie, w tym również wierzchowca komendanta, dawno już zjedzono. Zostało jedynie trochę jęczmienia przeznaczonego na paszę dla koni, ale i on się kończył. Aż nadszedł dzień, kiedy żołnierzom wydano tylko po osiem sucharów i po łyżce wody. A czerwcowy upał był wręcz nie do zniesienia. Sytuacja rannych w lazarecie też nie wyglądała lepiej.

W twierdzy nie było wody. Jej źródło znajdowało się na zewnątrz, w odległości trzystu kroków od murów obronnych, ale Turcy odcięli dostęp do niego. Każdej nocy obrońcy próbowali chodzić po wodę, ale z dwudziestu-trzydziestu śmiałków, którzy się na to odważyli, czasem ani jeden nie przychodził z powrotem.

– Chleba… wody… – błagali ludzie.

---

[12] Ludów mówiących językami turkijskimi jest sporo. Turkami osmańskimi nazywano obywateli Imperium Osmańskiego rządzonego przez sułtanów (por. przypis 62) rezydujących w Stambule (Konstantynopolu). Przymiotnik „osmański" wywodzi się od imienia Osman, które nosił w XIII w. założyciel dynastii Osmanów. Pozostałymi ludami turkijskimi (podlegającymi w XIX w. carskiej Rosji, a później Związkowi Sowieckiemu) byli m.in. Tatarzy, Azerowie (Azerbejdżanie), Turkmeni, Uzbecy, Kirgizi i Kazachowie (AP).

Ale działa wciąż grzmiały, zagłuszając jęki udręczonych obrońców…

Była to jedna z tych minut, kiedy człowiek zapomina o współczuciu towarzyszowi broni – zapomina, gdyż w żaden sposób nie może mu pomóc. Każdy, kto jeszcze z trudem trzymał się na nogach, trwożnie czekał decydującej chwili, w której wróg niby śmiercionośny potok wtargnie do twierdzy i trzeba będzie – z bronią w ręku – godnie przyjąć śmierć.

Wartownicy rozstawieni na murach obronnych bacznie obserwowali przez strzelnice poczynania wroga. Nie ryzykowali jednak wychylania się na zewnątrz, bowiem ze wszystkich okolicznych wzgórz twierdzę bezlitośnie ostrzeliwano i kule ze świstem przelatywały nad głowami.

Widok oglądanego z twierdzy miasta był straszny: płonące, oświetlone buchającym ogniem budowle przywodziły na myśl uroczystą świąteczną iluminację; rozświetlone były również pobliskie wzgórza. Tak muzułmanie obchodzili swoje krwawe święto. Jedynie piekło ze wszystkimi jego potwornościami mogłoby się pochwalić podobnym okrucieństwem.

Paliły się domy Ormian. Z ziejących pustką okien i drzwi wyrywały się potoki ognia. Mieszały się one z kłębami dymu i wzlatywały do góry, rozsypując przy tym deszcz iskier. Pożar błyskawicznie się rozprzestrzeniał, pochłaniając całą ormiańską dzielnicę. Jęzory płomieni unosiły się już nad dachami domostw. Waliły się zwęglone krokwie, z trzaskiem i hukiem zapadały się stropy, omiatając ognistym tchnieniem oszalałych ze strachu mieszkańców. Otoczeni i uwięzieni przez ścianę ognia nie mieli, nieszczęśnicy, żadnej drogi ucieczki ani ratunku. Ich rozpaczliwe zawodzenia i krzyki tonęły w odmętach ogłuszająco huczącego pożaru. Płomienie, niby gigantyczny, buchający ogniem smok, krążyły i zwijały się w powietrzu, jaskrawo oświetlając wszystko dookoła. W zarzewiu pożaru, jak gdyby na olbrzymim batalistycznym obrazie, pojawiały się sceny jedna straszniejsza od drugiej.

Muzułmanie dokonywali rzezi Ormian… Wycinali wszystkich jak popadnie, nie szczędząc i tych, którzy cudem ocaleli przed ogniem. Młode dziewczyny wyciągali za warkocze z domów… Zewsząd donosiły się żałosne wrzaski… Jednak ani one, ani płacz, ani łzy nie były w stanie zmiękczyć serc zezwierzęconych ludzkich bestii.

W rzezi brali udział nie tylko Kurdowie[13], ale też regularne tureckie wojsko i – co jeszcze bardziej potworne – kobiety, które zapomniawszy o miłosierdziu, niby rozwścieczone furie wyrywały niemowlęta z objęć osłupiałych matek i wrzucały je do ognia. A wszystkich próbujących okazywać choćby najmniejszy opór zarąbywano szablami.

Ormiańscy wojownicy płakali, patrząc z murów obronnych na te straszliwe sceny. Rzeź ciągnęła się już trzeci dzień…

Całkiem innych uczuć doznawał stojący obok nich chłopak, ochotnik z oddziału specjalnego. Na jego obliczu nie było widać łez. Oczy młodzieńca płonęły gniewem i pragnieniem zemsty, a jego serce przepełniała wrogość, tyle że nie do tnących szablami i mordujących ludzi najeźdźców – on pałał świętym oburzeniem na tych, którzy bezwolnie dawali się zarzynać jak owce.

– Patrzcie, patrzcie! – krzyknął młodzieniec. – W tamtym tłumie nie ma nikogo, kto by podniósł rękę na atakujących zabójców!… To powinno wzbudzać wściekłość i rodzić w człowieku pragnienie zemsty! Te okrutne bestie podpalają domy, wrzucają dzieci do ognia, porywają kobiety – i wszystko to na oczach mężczyzn, pokornie podstawiających swoje głowy pod tureckie szable. Bądźcie przeklęci! Skoro jesteś mężczyzną, to zgiń w starciu z wrogiem!

– Ty, jak zwykle, jesteś zbyt pryncypialny, Wartanie – zwracając się do niego, zauważył jeden z towarzyszy.

Wartan nie odpowiedział, tylko opuścił swój posterunek na murze obronnym. Chyba nie był w stanie patrzeć na owo przerażające widowisko, które uznawał za haniebne. „Ormianie nie potrafią umierać z honorem” – powtarzał w duchu z goryczą.

---

[13] Kurdowie są narodem irańskim (w szerokim sensie tego terminu, wykraczającym poza terytorium Iranu). Mówią językiem spokrewnionym z perskim, por. przypisy 68, 71. W większości wyznają islam. Mieszkają zarówno w Iranie, jak i w Turcji (a także w Armenii). Kurdowie tureccy byli często wykorzystywani przez władze tureckie do prześladowania Ormian. Dotyczyło to nie tylko opisywanych przez Raffiego wydarzeń z lat 1877-1878, ale – w jeszcze większym stopniu – roku 1915, kiedy to doszło do masowego ludobójstwa popełnionego w Turcji na Ormianach. Warto jednak przy tym dodać, że po I wojnie światowej, gdy Imperium Osmańskie przekształciło się w Republikę Turecką, ci sami Kurdowie stali się obiektem represji ze strony władz tego kraju. W drugiej połowie XX w. tysiące Kurdów tureckich zginęły w ramach walk powstańczych (AP).

Na dole, w głuchym zakątku fortecznego dziedzińca, grupka Ormian, ochotników oddziału specjalnego, prowadziła taką cichą rozmowę:

– Jeśli Petros nie wróci, to w nocy pewnie nie doliczymy się piątego…

– Chyba tak, gdzieś się zawieruszył…

– Ej, słyszycie? On daje nam sygnał! Naśladuje krakanie wrony – to znak, rozumiecie?

– Tak, tak! To on… Spuśćmy mu szybko sznurową drabinę.

Spuścili – i po kilku minutach na murze obronnym pojawił się młodzieniec z ogromnym bukłakiem na plecach. Towarzysze pomogli nosiwodzie zejść z muru do środka twierdzy. Wszyscy jęli go ściskać i z wdzięczności nagradzać całusami. Któryś wykrzyknął zdziwiony:

– Dlaczego masz umazaną twarz, Petrosie?

W tym momencie płomień pożaru oświetlił Petrosa.

– To krew! – wykrzyknęli chórem jego kompani.

– E tam, głupstwo… nic poważnego – z lekkim uśmiechem zapewnił Petros. – Od kilku dni przecież chodziłem brudny… Ale za to dzisiaj umyłem się, że hej!

Petros krótko opowiedział, jak podchodząc do źródła, natknął się na wartowników, którzy na niego napadli i ranili w głowę, nim zdążył „na zawsze zatkać im gęby".

– A pozostali? Co z nimi? – pytali go koledzy.

– Bodaj ich diabli! – żartobliwie rzucił Petros. – Można pomyśleć, że umówili się właśnie dzisiejszej nocy na spotkanie ze swymi praojcami. Jeden leżał martwy pod murem; kula najwyraźniej go przewierciła, nim zdążył zejść ze sznurowej drabiny. Drugiego zastrzelili w połowie drogi do źródła, biedak jeszcze trochę oddychał. Trzeci, nieżywy, leżał na wznak przy samym źródle. A dwa kroki od niego, ściskając przestrzelony bok, kulił się nieszczęsny Tomas i pomstował na przeklętych Kurdów. Ale ja nie pozostałem im dłużny – pomściłem wszystkich naszych… wszystkich!…

Tych czterech, o których mówił Petros, wychodziło kolejno po wodę, lecz żaden z nich nie wrócił. Podobne przypadki zdarzały się teraz dość często, toteż opowieść Petrosa nie zdziwiła bynajmniej jego towarzyszy. Nawet nie spieszyli się zbytnio, by opatrzyć jego ciągle krwawiącą ranę. Zresztą i sam Petros wcale o tym nie myślał.

– Szlag by trafił tych Kurdów – ciągnął – grasują w ciemnościach jak wilki. Gdzie usłyszą najsłabszy szmer, od razu tam strzelają.

Przypomniawszy sobie raptem o ranie Petrosa, jego koledzy zaczęli wreszcie działać. Przejęli od niego bukłak z wodą, która niosła ratunek ludziom, i skierowali się ku wewnętrznemu dziedzińcowi twierdzy.

– Chłopaki – rzucił jeden z nich – tylko Turkom[14] nie dawajcie ani kropli. To nie żarty, my dzisiaj czwórkę naszych straciliśmy, a od nich nawet jeden się nie odważył wyjść po wodę.

– Nie, tak się nie godzi – zaprotestował Petros – im też trzeba dać.

– Niby dlaczego? – spytał tenże młodzieniec. – A czy jak kilka dni temu oni przynieśli wodę, to nie wychlali jej całej w tajemnicy przed nami?!

– Postąpili źle, ale to my winniśmy im pokazać przykład żołnierskiej solidarności.

Tak rozmawiając, dotarli na dziedziniec koszar.

– Woda!… woda! – rozległy się radosne krzyki, i natychmiast tłum żołnierzy obstąpił młodzieńców z oddziału specjalnego.

Trudno opisać szczęście, jakie ogarnęło spragnionych obrońców miasta na widok bukłaków z wodą. Przeciskając się i odpychając jeden drugiego, każdy usiłował jak najszybciej zaspokoić pragnienie.

– Zapalcie pochodnię i nie tłoczcie się: każdy dostanie swój przydział – zapewnił młodzieniec, opuszczając bukłak na ziemię.

Pochodnię zapalono. Jej słaby blask oświetlił podniecone twarze ludzi. Młody Ormianin wyjął maleńką szklankę i zaczął rozdawać wodę. Była mętna i zalatywała stęchlizną. Ktoś wykrzyknął:

– Ależ ta woda niedobra!

– Pij, nie grymaś! – huknął stojący obok Petros. – Czyżbyś nie wiedział, że Kurdowie ją farbują?

– Jak to, farbują?

– Naszą krwią ją farbują… Gdybyście zobaczyli, ile trupów wala się tam, przy źródle!…

Mężczyznom robiło się niedobrze, dostawali mdłości, ale pragnienie było silniejsze i pili mętną, cuchnącą wodę, zabarwioną ludzką krwią… Któryś z nich nawet ośmielił się zażartować:

---

[14] Chodzi tu o Turków z oddziału specjalnego, którzy byli sojusznikami Rosjan i Ormian, por. przypisy 2 i 5 (AP).

– Pijmy, pijmy – to nam pójdzie na zdrowie!

Ponownie zagrzmiała armatnia kanonada i położyła kres żartom. Na twierdzę znowu posypały się kule. Jedna z nich rozorała ziemię i rozprysła się na mnóstwo śmiercionośnych odłamków zaledwie kilka kroków od miejsca, w którym ludzie gasili pragnienie.

W tym samym czasie w jednym z pomieszczeń twierdzy, w którym niegdyś rezydował turecki komendant, Sztokwicz zebrał swoich oficerów na wojenną naradę. Uczestniczyli w niej również dowódcy ormiańskich i tureckich ochotników oddziału specjalnego. Płonąca na niewielkim stole lampa słabo wydobywała z ciemności ich chmurne i zatroskane oblicza.

W ostatnich dniach doręczono kilka listów z obozu nieprzyjaciela, w których proponowano obrońcom poddanie twierdzy. Listy wysyłał nieprzejednany wróg Rosjan, adiutant jego wysokości sułtana, generał porucznik Szamil, syn osławionego Szamila[15]. To właśnie ostatni jego list, pełen gróźb i obiecanek, był powodem zwołania narady wojennej.

– Dopóki będziemy żywi, nie poddamy się – oświadczył Sztokwicz.

– Jeśli oblężenie potrwa jeszcze kilka dni, nie będziemy w stanie dalej stawiać oporu – zauważył jeden z oficerów.

– Znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia – podchwycił inny. – Nie mamy już ani chleba, ani amunicji. Nie pojmuję, czemu te kurdyjskie głupki nie ruszają do ataku, skoro praktycznie nie możemy się bronić.

– Tak, postąpiliśmy nierozważnie – z westchnieniem przyznał jeszcze inny.

– Co było, to było, nie zmienimy przeszłości, lepiej się zastanówmy, co robić dalej – powiedział komendant, który przewodniczył wojskowej naradzie i zgodnie z prawem wojennym uważany był w czasie oblężenia za naczelnego dowódcę posiadającego wszelkie pełnomocnictwa. – Dopóki będziemy żywi, nie poddamy się – powtórzył.

– Jeśli wsparcie nie zdąży na czas, to przepadliśmy – stwierdził jeden z chanów[16], uważany za dowódcę tureckich ochotników oddziału specjalnego.

---

[15] Szamil – przywódca powstania muzułmańskich górali kaukaskich przeciwko Rosji w latach 1834-1859 (AP).

[16] Chan – turecka nazwa dawnych władców (AP).

– Nie mamy już siły czekać na pomoc – przyznał jeden z bejów[17]. – Moim zdaniem trzeba otworzyć bramę twierdzy i spróbować przerwać wrogi pierścień, a później tylko jedno z dwojga – albo wolność, albo śmierć.

– To ostatnie jest najbardziej prawdopodobne – skonstatował naczelnik oddziału specjalnego ormiańskich ochotników – ale skutki będą przerażające. Obecnie nasza twierdza stanowi przeszkodę wstrzymującą napór tureckich wojsk, lecz jeśli ją poddamy, to droga baszybozukom[18] Ismaila-paszy zostanie otworzona i w kilka dni bez trudu zawładną Erywaniem, Nachiczewanem[19], a może i pójdą dalej. Miejscowi muzułmanie, o ile wiem, z niecierpliwością wyglądają nadejścia owych nieproszonych gości, a ormiańscy chrześcijanie są bezbronni. Dla obrony naszego kraju wyznaczono niewielkie wojsko, główne siły są teraz skoncentrowane pod Karsem[20]. Zanim przybędą nam z pomocą, Turcy nas wszystkich uśmiercą.

Słowa ormiańskiego oficera oburzyły chana, który wykrzyknął gniewnie:

– Czyżby pan podejrzewał muzułmanów?!

– Moje podejrzenia nie są bynajmniej bezpodstawne. Dysponuję potwierdzonymi faktami. Obecnie wśród Kurdów oblegających twierdzę jest wielu Zilanów[21], którzy przed wojną byli rosyjskimi poddanymi. A w Nachiczewanie jakiś nawiedzony mułła każdej nocy śni o tym, żeby islam wkrótce ogarnął cały ten kraj.

Komendant przerwał spór.

– Trzeba się bronić do ostatniego tchu – powiedział. – Mam nadzieję, że lada chwila pomoc nadejdzie. Generał Ter-Ghukasow jest niedaleko stąd. Musimy jak najszybciej się z nim skontaktować – i on pospieszy nam z pomocą.

---

[17] Bej – turecki tytuł wyższych urzędników (AP).

[18] Baszy-bozuk (dosłownie: „o zepsutej głowie") – tu chodzi o żołnierzy. Ten turecki wyraz złożony (*baş* [*basz*] „głowa", *bozuk* „zepsuty") obecnie ma znaczenie przymiotnikowe: „państwowy, cywilny, obywatelski" (AP).

[19] Erywań (po ormiańsku: Երևան [*Jerewan*]), Nachiczewan (Նախիջևան) – miasta w północno-wschodniej (w XIX w. rosyjskiej) Armenii (AP).

[20] Kars – miasto w północno-wschodniej Turcji (historyczna Armenia Zachodnia) (AP).

[21] Zilanie – plemię kurdyjskie (PR).

– Ale jak mu damy znać? – padło pytanie.

– Musimy wysłać list.

– A kto go doręczy?

– Ufam, że w twierdzy znajdzie się jeszcze taki odważny człowiek.

– Przypuśćmy, ale jak on się wydostanie, skoro ze wszystkich stron jesteśmy otoczeni przez wroga?

– Należy spróbować.

Rada wojenna podjęła decyzję o wysłaniu listu do generała Ter-Ghukasowa.

Kwadrans później komendant w asyście oficerów wyszedł z pokoju z listem w ręku. Głuche bicie w bębny przywołało na plac obrońców twierdzy. Sztokwicz głośno zwrócił się do żołnierzy:

– Bracia, znacie naszą sytuację, nie będziemy tu o niej wiele mówić. Pozostaje nam tylko jedno – zaufać miłości Bożej, być może ona nas nie zawiedzie i nie opuści. Jeśli wsparcie nie zdąży przybyć na czas – będziemy zgubieni. Dlatego trzeba doręczyć generałowi Ter-Ghukasowowi ten list, a wtedy on niezwłocznie ruszy nam z pomocą. Mam nadzieję, że pośród was jest śmiałek, który zdecyduje się wykonać to zadanie. Obiecuję mu taką nagrodę, na jaką zasługuje człowiek, który ryzykując życiem, poświęca siebie w ofierze dla ocalenia innych. Niech zatem zgłosi się chętny do doręczenia listu.

Zapanowała głęboka cisza.

– Powtarzam – kontynuował podekscytowany komendant – w tym liście jest nasze ocalenie, nasz ratunek. Który z was pragnie zdobyć sławę i stać się naszym wybawcą?

Ludzie milczeli.

– Czyżby wśród was nie było jednego śmiałka?! – drżącym z emocji głosem krzyknął komendant. – Kto się odważy doręczyć ten list?

– Ja! – rozległ się nagle donośny głos.

Do komendanta podszedł młody Ormianin z oddziału specjalnego i wziął list.

Tym młodzieńcem był Wartan[22].

[22] Wartan – w rzeczywistości młodzieniec miał na imię Samson, ufam jednak, że będzie mi wybaczona ta drobna nieścisłość. Mój bohater nie jest bynajmniej kopią owego powszechnie znanego biblijnego herosa. Trzymając się prawdy historycznej, nie zrezygnowałem wszelako z przywileju artystycznej swobody twórczej [uwaga autora] (PR).

ROZDZIAŁ DRUGI

Rano, kiedy pierwsze promienie słońca oświetliły Bajazet i jego okolicę, ludzkim oczom ukazał się straszliwy widok. Wszędzie były widoczne ślady rzezi dokonywanej przez barbarzyńców w ciągu trzech dni i trzech nocy.

W całym mieście panowała martwa cisza, zakłócana jedynie przez złowieszcze krakanie kruków, które wyczuwając zdobycz, całymi stadami grasowały bezkarnie po ulicach.

Nieszczęsne miasto robiło wstrząsające wrażenie. Domy zmieniły się w ruiny. Gdzieniegdzie dopalały się i dymiły jeszcze pozostałości budowli. Obok resztek domów walały się trupy starców, młodzieńców, dzieci…

Nad martwym miastem, w oczekiwaniu swego ostatniego dnia, dumnie wznosiła się bajazecka twierdza.

Wrogi napór nie malał. Przeciwnie: okoliczne góry, wąwozy, wzgórza, łąki i pola zapełniały niezliczone watahy baszybozuków. W obozie wroga ani na chwilę nie cichły rwetes, szum i gorączkowa krzątanina.

Łaknącego krwi wroga opanowała żądza nie tylko jej przelewania, ale i bezkarnej grabieży. Spędziwszy w jedno miejsce zamożnych mieszczan, Kurdowie torturami wydobywali z nich informacje, gdzie ukryli złoto. Nieszczęśni ludzie płakali, błagali o litość, zaklinali się, że wszystko już oddali i nic im nie zostało. Oprawcy jednak w to nie wierzyli i, żeby wydębić z nich potrzebne informacje, na oczach ojców zabijali ich dzieci. W innym miejscu Kurdowie dzielili zagrabione bogactwa, a ich żony skwapliwie ładowały zdobycz na konie. Również tutaj odbywał się podział jeńców. Nierzadko, gdy chodziło o piękną dziewczynę albo kobietę, między Kurdami wybuchały kłótnie, a czasem nawet szczękały szable.

Dym ognisk, zlewając się z dymem wystrzałów, przysłaniał horyzont. Armaty ogłuszająco grzmiały, potężne mury fortecy drżały od uderzeń bomb, lecz ta wciąż uparcie wznosiła się na wysokim wzgórzu, obojętna na ciosy wroga. W obozie Kurdów ogólną uwagę przyciągał człowiek, który szedł przed siebie, zabawnie pląsając bądź podrygując. Klaskał przy tym w ręce i śpiewał żartobliwą kurdyjską piosnkę:

Zmieniła się wiedźma-baba
W wielkooką starą żabę.
I do morza przyskakała,
Cały piasek rozgrzebała,
Potem do wody skoczyła,
Bryłkę złota wyłowiła.
Koziołka za nie kupiła:
Lichego, choć rogatego,
Kulawego i głuchego.
– Oj, koziołku, powiedz ino,
Czemuś chromy, biedaczyno?

– To chent! Ten głupek… – dobiegały zewsząd okrzyki. Zbierający się wokół niego Kurdowie żądali, aby głupek powtórzył swoją piosnkę.

I w rzeczy samej, albo ten człowiek faktycznie był niespełna rozumu, albo jedynie udawał głupiego. Ubranie miał podobne do tych, w jakie się stroją figlarze, towarzyszący wędrownym linoskoczkom. Nazywa się ich „linowymi błaznami", jako że wygłupiają się, zabawiając widzów śledzących cyrkowe popisy akrobatów na linie.

Ów człowiek, którego miano za błazna, był postawnym młodzieńcem, podobnym do dzikusa. Na głowie miał śmieszny wojłokowy kapelusz z przyczepionymi do ronda dzwoneczkami, które dźwięczały przy każdym jego ruchu. Twarz wymazana szewskim czernidłem do butów była w dodatku pomalowana czerwoną, granatową, żółtą i jeszcze jakąś farbą. Cały jego przyodziewek składał się z podartego wojskowego szynela, narzuconego wprost na gołe ciało i przewiązanego w pasie kawałkiem sznurka. Obuwia nie miał żadnego, szedł boso.

– No dalej, jeszcze! Zarycz jak osioł! – domagali się gapie.

Błazen zaciskał uszy, przeginał się, otwierał szeroko usta i na całe gardło zaczynał ryczeć. Tłum się radował; ze wszystkich stron rzucano cudakowi miedziaki. Chent je podnosił, zdziwiony przypatrywał się monetom, po czym ciskał je na ziemię, wołając: „Chleba dajcie". A gdy dawano mu chleb, pośpiesznie wpychał pokaźne kęsy do ust i połykał, wcale ich nie żując.

– Ty chyba i jak niedźwiedź potrafisz tańczyć, co? No to już… tańcuj… pokazuj!

Błazen stroił najdziksze miny, przybierał dziwaczne pozy, pełzał na czworakach, stawał na głowie i wyczyniał mnóstwo innych zabawnych sztuczek.

Cały dzień spędził w obozie Kurdów: wygłupiał się, paplał coś po kurdyjsku, przeklinał Rosjan, przekonywał, że wszystkich „giaurów”[23], co do jednego, trzeba koniecznie wyrżnąć. Do późnej nocy nie milkł jego głos.

Jednak następnego dnia rano chent bez śladu zniknął z obozu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Było duszne i upalne południe. O tej porze dnia na drogach zwykle nie uświadczy się podróżnych – wszyscy próbują szukać cienia, aby uniknąć znojnego słonecznego skwaru. Drogą wiodącą z Bajazetu do Alaszkertu[24] szedł samotny wędrowiec. Droga wiła się między górami, to wznosząc się stromo w górę, to opadając na dno wąwozu, ale idący nią człowiek najwyraźniej nie odczuwał zmęczenia. Mężczyzna był bosy, ale kroczył szybko, nie zatrzymując się i nie rozglądając, jakby coś go pędziło naprzód i każda minuta była mu droga.

Wędrowiec był młody, ubrany niemal tak samo jak wczorajszy błaznujący wesołek: bezpośrednio na gołe ciało miał narzucony podarty i przepasany sznurkiem żołnierski szynel; brak było tylko wojłokowego kapelusza z dzwoneczkami, poza tym z twarzy znikła też farba. Przed palącymi promieniami słońca chroniła go czapka sklecona z liści turzycy[25] – takie ręcznie robione przez siebie czapki noszą chłopi podczas żniw. Owo proste, stosowane tu już od dziada pradziada, nakrycie głowy ocieniało jego odważną męską twarz, wyrażającą w tym momencie

[23] Giaur – „niewierny”, pogardliwa nazwa używana dawniej przez muzułmanów w stosunku do ludzi wyznających inne religie niż islam. Wyraz pochodzi z tureckiej formy *gâvur* wymawianej [*giawur*], a ta – z arabskiej *kâfir* (to samo) (AP).

[24] Alaszkert – miasteczko we wschodniej Turcji (historyczna Armenia Zachodnia) na południe od górnego biegu Araksu. Obecna nazwa turecka to Eleşkirt [*Eleszkirt*] (AP).

[25] Turzycowate – rodzina roślin jednoliściennych podobnych do traw (AP).

ukryty smutek i głębokie wewnętrzne wzburzenie. Wędrowiec wyglądał na udręczonego i zatroskanego.

Nagle dobiegł go skądś odgłos końskiego rżenia. Stanął i zaczął bacznie śledzić otoczenie. Rżenie rozległo się ponownie. Miał wrażenie, że donosi się ono z pobliskiego wąwozu. Skręciwszy z drogi, wspiął się na wzgórze i spojrzał w dół. W porośniętym trawą wąwozie pasł się osiodłany koń. Opodal widniały zarośla krzewów. Przypatrzywszy się uważniej, wędrowiec zauważył obok krzaków wbitą w ziemię kopię, której grot lśnił w promieniach słońca. „Pewnie gdzieś w pobliżu kryje się jeździec – pomyślał. – Prawdopodobnie to Kurd, gdyż jego kopia i uprząż wyglądają na kurdyjskie. Jeździec pewnie śpi, bo jego koń jest spętany". Raptem mężczyzna wpadł na zuchwały pomysł – i zszedł do wąwozu. Dnem jaru płynął maleńki strumyk, którego brzegi porastała gęsta trzcina. Zaszywszy się w niej, wędrowiec jął ostrożnie pełznąć ku krzakom, sunął szybko i zwinnie jak żmija. Lekki wietrzyk szeleścił w trzcinach, zagłuszając odgłosy jego ruchów. Wszystko mu sprzyjało i zapowiadało sukces. W końcu wędrowiec doczołgał się do krzaków, przy których tkwiła wetknięta w ziemię kopia; tu się przyczaił i zaczął obserwować. W odległości kilku kroków od siebie dostrzegł człowieka leżącego w cieniu pod krzakiem. Sądząc po ubraniu, był to Kurd. Jednak czy spał, czy jedynie czuwał, odpoczywając – trudno było dociec, gdyż leżał zwrócony plecami do wędrowca. A ten kontynuował rozpoznanie. Najbardziej gnębiła go niepewność – śpi ten Kurd, czy nie śpi? Z wielkiego napięcia nie mógł zebrać myśli i nie wiedział, jak winien postąpić, na co się zdecydować? Najprawdopodobniej przyjdzie mu się zmierzyć z uzbrojonym od stóp do głów przeciwnikiem. Czy on, bezbronny, zdoła go pokonać? Ale czas płynął i trzeba było się na coś zdecydować. Każda minuta była droga… Co zrobić, jak postąpić?… Gdy wędrowiec bił się z myślami, Kurd nagle uniósł głowę, poszukał wzrokiem konia i – widząc, że ten spokojnie się pasie – znowu opuścił głowę na churdżyn[26], służący mu za poduszkę. „To znaczy, że on nie śpi, a nawet jeśli spał, to właśnie się zbudził". Wędrowiec spochmurniał, jego nozdrza się poruszyły, wargi zadrżały. Zerknąwszy na kopię, uznał, że tkwi ona tuż

[26] Churdżyn – torba podróżna zwisająca po obu bokach konia, staropolska „biesaga" (przyp. tłum.). Wyraz pochodzenia perskiego (AP).

obok, naprzeciw jego kryjówki. To nieco go uspokoiło, oczy rozbłysły radością. Broń – oto, czego mu brakowało! Nagle jednym skokiem, niby pantera, wyprysnął zza krzaków, wyrwał kopię i w mgnieniu oka znalazł się przed Kurdem.

– Oddaj broń! – wrzasnął.

Zobaczywszy przed sobą nieznajomego w żołnierskich łachmanach i w śmiesznym nakryciu głowy, Kurd obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i – nie zmieniając pozy – sięgnął po pistolet. Skierował go w twarz wędrowca i kpiąco powiedział:

– Masz, weź go sobie!…

Huknął strzał, lecz kula przeleciała obok.

– Ty bydlaku, jeszcze się stawiasz?! – krzyknął rozeźlony wędrowiec i wbił kopię w gardło Kurdowi. Gorąca krew buchnęła z rany, jego głowa szarpnęła się i opadła na ziemię. Ale Kurd jeszcze się uniósł, chwycił ręką za szablę, do połowy wyciągnął ją z pochwy, lecz opadł z sił – i upuścił broń, która wypadła mu z ręki.

– Ty niewierny psie, za coś mnie zabił? – zdołał wycharczeć przed śmiercią.

– Zabiłeś i ograbiłeś wielu Ormian… A ja się od was nauczyłem zabijać! Od was też nauczyłem się grabić!… Droga przede mną daleka, tyle że nie mam ani ubrania, ani konia, ani broni. Potrzebuję twojej odzieży, broni i tego konia, co się tu obok pasie – muszę je mieć, koniecznie… Wiedziałem, że dopóki oddychasz, niczego łatwo mi nie oddasz, dlatego cię zabiłem…Teraz nie masz już możliwości okradania Bajazetu, ale bądź spokojny, twoi bracia nieźle się tam obłowili…

Kurd jednak już niczego nie słyszał, jego oczy znieruchomiały, martwe ciało leżało rozpostarte na ziemi.

Wszystko to trwało raptem kilka chwil. Wędrowiec odciągnął trupa w zarośla i nakrył go swoim podartym szynelem. Następnie przyodział się w ubranie ściągnięte z zabitego Kurda, podniósł z ziemi szablę, wskoczył na osiodłanego konia i pogalopował.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na drugi dzień po opisanym wyżej zdarzeniu jakiś jeździec wleciał niby ptak do obozu Ter-Ghukasowa i oznajmił, że przywiózł bardzo ważny list do generała. Posłańca odprowadzono w stronę generalskiego namiotu. Oficer dyżurny przejął list i kazał jego doręczycielowi zaczekać przy wejściu. W oczekiwaniu na wezwanie jeździec zaczął przeprowadzać spoconego konia. Po kilku minutach wezwano go do środka.

W namiocie, za stołem, siedział średniego wzrostu wojskowy, krzepki, o groźnym jak u lwa obliczu. Był to generał Ter-Ghukasow we własnej osobie. Jego siwa głowa skłaniała się nad stołem, gdzie leżała sterta dopiero co rozpieczętowanych listów. Kiedy wszedł goniec, generał wziął jeden z nich i zaczął czytać. Wyraz jego twarzy zdradzał zaniepokojenie i głębokie współczucie. Zwracając się do przybyłego gońca, zapytał:

– Jesteś Ormianinem?

– Tak, jestem Ormianinem, synem duchownego[27].

Generał obrzucił śmiałego młodzieńca przenikliwym spojrzeniem, po czym kontynuował przesłuchanie.

– Czy w twierdzy jest chleb? – rzucił.

– Nie ma. Wkrótce ludzie zaczną się tam pożerać nawzajem albo umrą śmiercią głodową…

– A jak z wodą?

– Wody też nie ma. Żeby ją zdobyć, trzeba opuścić twierdzę; w ciągu dnia to niemożliwe, a wieczorem, kiedy tylko się ściemni, po wodę rusza dziesięciu–dwudziestu chłopa. Kurdowie jednak skądś dowiedzieli się o tym i teraz z daleka już biorą naszych na cel. Prawie nikt z nich nie wraca żywy.

– Jaka jest sytuacja z amunicją?

– Było źle, ale jeden Ormianin, niech błogosławione będzie imię jego, znalazł w twierdzy ukryte przez Turków kule i proch. Na razie jeszcze z nich korzystamy…

---

[27] W Ormiańskim Kościele Apostolskim duchownych niższego szczebla nie obowiązuje celibat. W oryginale występuje tu wyraz *terter*, będący powtórzeniem tytułu *ter*, którego Ormianie używali w odniesieniu do zwykłych wiejskich księży, por. przypis 8 (AP).

– A tobie jak się udało wyjść z twierdzy?

– O świcie ześlizgnąłem się po murze obronnym i ruszyłem wprost do obozu Kurdów. Spędziłem wśród nich cały dzień, zabawiałem ich śpiewkami i dzikimi pląsami, wyczyniałem i pokazywałem różne sztuczki, zaglądałem, gdzie tylko mogłem, wszystko wybadałem, a potem się z nimi pożegnałem i odszedłem.

Generał z podziwem patrzył na młodzieńca.

– Czyś ty jest, człowieku, przy zdrowych zmysłach?! – wykrzyknął. – To absolutnie niemożliwe!

– Proszę mi wierzyć, jaśnie panie – spokojnie odparł młodzieniec – całe życie przychodziło mi grać rolę szaleńca… Nierzadko pozwala to uniknąć wielu przykrości. Tak też i wtedy było: udając głupawego wesołka, przeniknąłem szczęśliwie do obozu Kurdów.

Tu młodzieniec jął opisywać swoje żałosne przebranie klauna i te wszystkie sztuczki[28], dzięki którym mógł dość swobodnie myszkować po kurdyjskim obozie.

Na chłodnym obliczu generała pojawił się lekki uśmiech i już bardziej przyjaźnie zapytał:

– A gdzie zdobyłeś ten kurdyjski strój?

– Bóg mi go zesłał. Napotkałem w drodze pewnego Kurda i odebrałem mu to ubranie, jak też broń i konia, który stoi teraz przywiązany obok pańskiego namiotu.

I młodzieniec takim samym obojętnym tonem opowiedział generałowi, jak zabił Kurda.

– Jesteś niezwykle odważnym człowiekiem – powiedział Ter-Ghukasow i zapytał z troską: – A jaka jest liczebność Kurdów?

– Powiadają, że ponad dwadzieścia tysięcy, ale są też wśród nich inne muzułmańskie plemiona. Każdy z nich, mający broń i konia, spieszył oblegać Bajazet, i teraz tam się zebrało ogromne mnóstwo ludzi. Kiedy tutaj jechałem, bez końca pojawiały się na drodze coraz to nowe oddziały.

– A działa oni mają?

– Mają.

---

[28] Sztuczki – w oryginale występuje tu zapożyczenie *ojin* z tureckiego *oyun* [*ojun*] „gra, żart” (AP).

– A co planują? Jakie mają zamiary?

– Chcą jak najprędzej zdobyć bajazecką twierdzę, żeby następnie ruszyć na Erywań, a po tygodniu, jak mówią, pragną być już w Tyflisie[29]: bardzo ich widać pociągają gruzińskie i armeńskie dziewczyny.

Generał słabo się uśmiechnął i z niedowierzaniem spytał:

– Z dwudziestotysięcznym wojskiem zamierzają atakować Tyflis? Nie do wiary!

– Dwadzieścia tysięcy to nie tak mało, jaśnie panie, jeżeli opór usiłuje im stawiać niecały tysiąc żołnierzy. Poza tym Ismail-pasza ściąga do Bajazetu coraz to nowe siły. Miejscowi muzułmanie z niecierpliwością czekają na przybycie swoich współwyznawców i oczywiście przyjmą ich z szeroko otwartymi ramionami.

Oblicze generała spochmurniało: mimo że pozornie zachowywał zimną krew, w głębi duszy był poruszony i zaniepokojony. Przyłożywszy dłoń do czoła, pocierał je, jak gdyby odpędzał od siebie mroczne myśli. Po krótkiej zadumie uniósł głowę i spytał:

– A w samym Bajazecie byłeś?

– Tak, ale w mieście nie pozostał żaden chrześcijanin – ani jeden. Starców i dzieci najeźdźcy zabili, a dziewczyny i młodzieńców uprowadzili w niewolę, domy rozgrabili i spalili. Ocalało mniej niż sto ormiańskich rodzin: widząc, że Bajazetowi grozi nieszczęście, one jeszcze przed nadejściem Kurdów uciekły do perskiego nadgranicznego miasta Maku. Tam owym ludziom obecnie nic nie zagraża, ale cały dorobek ich życia znalazł się w rękach wroga. Och, jak bestialsko, jak bezlitośnie potraktowali Ormian lokalni muzułmanie!…

– Co masz na myśli?

– Kiedy zaczęła się wojna i Rosjanie podeszli do Bajazetu, miejscowi muzułmanie bardzo się wystraszyli. Obawiali się, że Rosjanie, podobnie jak Turcy, wszystkich wymordują i ograbią. Dlatego cały swój dobytek oddali na przechowanie swoim ormiańskim sąsiadom. „Wyście chrześcijanie – mówili – Rosjanie was nie tkną, nasz dobytek u was ocaleje i pozostanie nienaruszony". A kiedy Rosjanie przyszli, niczego złego nie uczynili ani chrześcijanom, ani muzułmanom. Toteż muzułmanie się

[29] Tyflis – dawna polska forma nazwy stolicy Gruzji, która w oryginale brzmi Tbilisi (z przydechowym *th* na początku) (AP).

uspokoili i z powrotem zabrali swój dobytek. Potem, kiedy rozniosła się wieść o wkroczeniu Kurdów, muzułmanie zaproponowali Ormianom: „Za okazaną dobroć pragniemy również odpłacić dobrocią, teraz wy dajcie nam na przechowanie swój dobytek". I Ormianie przekazali im wszystko, co posiadali. Wielu z nich nawet ukrywało się wraz z żonami i dziećmi w domach sąsiadów muzułmanów. Ale kiedy Kurdowie weszli do miasta, ci sąsiedzi radykalnie zmienili swój stosunek do Ormian. „Wynoście się z naszych domów – zażądali – jeśli Kurdowie się dowiedzą, że was przechowujemy, to wymordują nie tylko was, ale i nas". Toteż, niegodziwcy, wydali wrogom nieszczęsnych Ormian i zawładnęli ich dobytkiem.

Generał słuchał w milczeniu. Młodzieniec kontynuował:

– Ach, gdyby pan wiedział, ilu mężnych śmiałków poległo w walce o Bajazet! Jak pan wie, do obrony twierdzy pozostawiono niewielki rosyjski garnizon, do którego dołączyli ochotnicy oddziału specjalnego. Sztokwicz, ów bohater Bajazetu, wespół z rosyjskimi wojownikami bronił twierdzy, a drużyny ochotników – miasta. Od dawna dochodziły nas słuchy, że oddziały Kurdów – na czele z szejkami[30] Dżalaleddinem i Ibadullą – maszerują na Bajazet. Uprzedzali nas o tym Ormianie znad jeziora Wan. Zażądaliśmy, aby twierdzę należycie umocniono i żeby zmobilizowane zostały wszystkie siły, by dać odpór wrogowi. Znaleźli się jednak i tacy, którzy twierdzili, że owe słuchy to jedynie fałszywe plotki i nie należy podejmować żadnych środków ostrożności. Trudno mi powiedzieć, do czego dążyli ci zdrajcy, co chcieli osiągnąć, próbując uczynić nas nieprzygotowanymi do spotkania z wrogiem – pan, generale, z czasem na pewno zdoła to wyjaśnić. Ja powiem tylko jedno: Ormianie zawsze byli i zawsze pozostaną wierni Rosjanom.

Można było odnieść wrażenie, że młodzieniec czegoś nie dopowiada. Generał mu przerwał:

– Lepiej opowiedz, jak broniliście Bajazetu.

– Sztokwicz dzielnie walczył z Kurdami, ale po poniesieniu porażki zamknął się w twierdzy. Część ochotników oddziału specjalnego została w mieście, ponieważ w twierdzy nie było miejsca dla wszystkich

[30] Szejk – arabski wyraz (dokładniej: *szajch*) o znaczeniu: „(szanowny) starzec, naczelnik, wódz", z czasem także tytuł duchownego (AP).

i brakowało prowiantu. Niektórzy z tureckich ochotników zbiegli do Igdiru[31] i do Persji, my zaś, Ormianie, postanowiliśmy bronić miasta za wszelką cenę, nawet za cenę życia. Było nas niewielu, ale stali mieszkańcy zechcieli do nas dołączyć, gdyż świetnie wiedzieli, jaki los ich wszystkich czeka, jeżeli Turcy ponownie zawładną miastem. Pan przecież dobrze wie, generale, z jaką radością Ormianie witali zwycięskie rosyjskie wojska, kiedy pierwszy raz wkraczały one do Bajazetu. Tego nam Turcy nigdy nie zapomną i nie wybaczą. Będą się mścić na ormiańskim narodzie, który zdecydowanie przedkłada rosyjskiego orła nad turecki półksiężyc…

– Ty znów unikasz odpowiedzi – przerwał mu generał. – Mów, jak się wszystko skończyło?

Przezwyciężywszy emocje, wywołane przygnębiającymi wspomnieniami, młodzieniec kontynuował:

– Być może wspólnie z mieszkańcami Bajazetu zdołalibyśmy obronić miasto, ale oni nie mieli broni. I mimo to wszyscy się do nas przyłączyli. Na początku, trzeba to przyznać, biliśmy się zaciekle: nasz maleńki oddział wstrzymywał napór przeważających sił przeciwnika. Razem z nami biło się kilkuset tureckich ochotników. Tyle że raptem, w samym ogniu walki, oni zaczęli opuszczać pole bitwy i rzucili się do ucieczki. Prawdopodobnie nie chcieli jednak strzelać do swoich braci w wierze… My, Ormianie, walczyliśmy dalej sami i wciąż uparcie się broniliśmy. Trwało to kilka godzin, dopóki nie skończyła się nam amunicja. Potem rozgorzała zaciekła walka wręcz. Wielu naszych poległo, wielu też trafiło do niewoli; pozostali, widząc, że dalszy opór jest bezcelowy, rozpierzchli się. Dopiero wtedy wróg zdobył miasto.

– Rozumiem… – rzekł szeptem generał. Po czym podniósł się, z maleńkiej szkatułki wyjął krzyż i – podszedłszy do młodzieńca – własnoręcznie zawiesił mu go na piersi. – Zasłużyłeś na ten krzyż – stwierdził generał – i postaram się też, by nadano ci odpowiednią wojskową rangę oraz przyznano nagrodę. Zarazem proponuję ci, bohaterze, abyś został ze mną. Potrzebuję takich odważnych śmiałków jak ty.

---

[31] Igdir – miasto we wschodniej Turcji leżące na południowy zachód od Araratu. We współczesnej tureckiej pisowni łacińskiej: İğdir [*Ijdir*] (AP).

Skłoniwszy głowę na znak wdzięczności, młodzieniec odparł:

– Wystarczy sam krzyż, generale. Proszę okazać mi wielką łaskę i pozwolić odjechać tam, dokąd zmierzam.

Zdziwiony skromnością młodzieńca generał zapytał:

– A dokąd zamierzasz jechać?

– Muszę ocalić jedno życie, które jest mi najdroższe na świecie.

– To zapewne twój słodki sekret?

– Owszem, to sekret mego serca.

– W takim razie przyjmij ode mnie mały podarunek, z pewnością ci się przyda. – Z tymi słowy generał zamierzał wręczyć młodzieńcowi trzos złotych monet.

– Dla mnie najlepszą nagrodą będzie to, że mogę dalej jechać – i za to, panie generale, jestem ogromnie wdzięczny – zapewnił młodzieniec, odmawiając przyjęcia pieniędzy.

– No cóż, idź, Bóg z tobą – rzucił generał i uścisnął mu rękę. Młodzieniec ukłonił się i wyszedł.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Powróćmy jednak do wydarzeń sprzed kilku lat przed wojną.

W rejonie Bagrewandu[32], w pobliżu monasteru Surb Howannes (Űcz-kilisa[33]), nad jednym z górnych dopływów Eufratu, znajdowała się ormiańska wioska O… Była ona położona w dość szerokiej dolinie, którą przyroda rozrzutnie wręcz przyozdobiła swoimi darami. Po obu stronach doliny ciągnęły się ośnieżone łańcuchy gór, które tuliły ją w swoich chłodnych objęciach. Po dnie doliny, kapryśnie wijąc się i meandrując, pędził spieniony dopływ Eufratu; tutejsi ludzie nazywali go Ak-su[34], czyli Biała Woda. Woda w rzeczce była tak przezroczysta, że w pełni zasługiwała na swoją nazwę. Góry otaczające dolinę

[32] Bagrewand – historyczna prowincja Armenii leżąca na zachód od jeziora Wan (AP).

[33] Surb Howannes to po ormiańsku „Święty Jan". Turecka ludność nazywała ten klasztor *Ücz-kilisa*, czyli „Trzy kościoły" (AP).

[34] Po turecku *ak* znaczy „biały, czysty, przezroczysty", a *su* – „woda" (AP).

obfitowały w pastwiska, na których pasły się liczne stada. Na stokach gór i w dolinie, wszędzie, gdzie tylko pozwalała na to przyroda, kłosiły się pszenica, jęczmień i inne zboża. Każdy skrawek ziemi starannie obrobiła tu ręka niestrudzonego rolnika. Z oddali niewielkie wioski, tonące w gęstym listowiu sadów, przypominały zielone wysepki na gołej, bezleśnej równinie.

Wioska O… leżała w głębokim parowie na samym skraju doliny. Dom starosty Chacza (jego pełne imię – Chaczatur[35]) był największy, najokazalszy i uchodził za najbogatszy w całej wsi. Każdego rana z obejścia Chacza wyganiano na pastwisko niemal sto sztuk bydła. Był on właścicielem najlepszych we wsi krów, bawołów, byków i koni. Stada jego owiec pod nadzorem pastuchów pasały się na stokach okolicznych gór. Do Chacza należały również olejarnia i piękny młyn położony w sąsiedztwie wsi, którego żarna niezmordowanie kręciły się przez cały rok.

Jednak głównym filarem bogactwa Chacza było siedmiu jego synów, na których trzymało się całe gospodarstwo. Synowie byli żonaci, niektórzy z wnuków starosty również mieli już żony, toteż w domu stale było pełno dzieciarni. Na oczach starego Chacza wyrosło liczne, żyjące pod jego dachem potomstwo, które tworzyło cały maleńki i rozdokazywany świat. O rodzinie Chacza krążyło we wsi porzekadło: „Tyle mają dzieciaków, ile cielaków".

Spośród siedmiu synów Chacza tylko jeden, Stepanik, nie miał jeszcze żony, dopiero co skończył szesnaście lat i był oczkiem w głowie ojca, który świata za nim nie widział. Gdy się na niego patrzyło, od razu było widać, że jeszcze nie osiągnął dojrzałości charakterystycznej dla jego wieku – zwłaszcza tu, na południu, gdzie młodzieńcy wcześnie stają się mężczyznami.

Twarzyczka Stepanika była delikatna i ładna – jak u dziecka. W ogóle czymś przypominał młodziutką dziewczynę.

Każdy syn Chacza wykonywał swoje obowiązkowe prace w gospodarstwie: jedni obrabiali ziemię, drudzy dbali o przygotowanie karmy

[35] Ormiańskie imię męskie *Խաչատուր* [*Chaczatur*] (z akcentem na ostatniej sylabie) dosłownie znaczy „dający krzyż" (*krzyż-o-daj). Forma *Chaczo* jest zdrobnieniem tego imienia (AP).

dla bydła… Wyjątkiem był tylko Stepanik, którego nie obarczano gospodarskimi sprawami. W rodzinie posiadał on niejako status biblijnego Józefa Egipskiego[36] i stał się ulubieńcem starego ojca, który świata poza nim nie widział.

Stepanik był nie tylko piękny, mądry i pokorny jak biblijny Józef Egipski – on też, podobnie jak ów młody Izraelita, odróżniał się od braci swoim ubiorem: zawsze nosił narzutkę z barwnej pasiastej tkaniny z Aleppo[37], którą przewiązywał kermańskim[38] pasem. Ramiona okrywał purpurową, sukienną, haftowaną złotem pelerynką. Jego szarawary[39] były z cienkiego wańskiego[40] jedwabiu, na nogach nosił erzurumskie[41] buciki z cholewami. Głowę okrywał mu czerwony fez[42] z czarnym frędzlem, obwiązany kolorowym jedwabnym turbanem. Spod fezu na ramiona młodzieńca opadały piękne kędziory kasztanowych włosów. Jedno wszelako odróżniało Stepanika od Józefa Egipskiego: biblijnemu Józefowi bracia zazdrościli, Stepanika zaś bracia kochali.

Z oddali dom starosty Chacza był podobny do pradawnego zamku. Posadowiono go na wzgórzu i zbudowano tak, żeby można było w nim mieszkać, nie obawiając się wrogów. Budowlę otaczały masywne kamienne mury, które tworząc prostokąt, ogradzały obszerny podwórzec. Z daleka rzucały się w oczy tylko cztery wieże czy baszty, wyrastające na narożach murów. Naokoło domu stały budynki gospodarskie i otwarte zadaszenia: mieściły się w nich owczarnie, chlewy, obory, stajnie, szopy na siano i spichlerze. Tutaj też znajdowały się pomieszczenia, w których mieszkali pastuchy oraz parobcy z rodzinami. Wszyscy ci ludzie byli Kurdami. Ich żony usługiwały w domu, a mężczyźni parobkowali.

---

[36] Józef Egipski – postać biblijna. Ulubiony syn Jakuba i Racheli, znienawidzony przez zazdrosnych braci (AP).

[37] Aleppo – miasto w północnej Syrii (po arabsku: Halab) (AP).

[38] Kerman – miasto w południowo-wschodnim Iranie (AP).

[39] Szarawary – bufiaste spodnie orientalne; wyraz pochodzenia perskiego (AP).

[40] Wan (Van) – wielkie jezioro w południowo-wschodniej Turcji, a także nazwa leżącego w pobliżu miasta (AP).

[41] Erzurum (dawniej: Erzerum) – miasto we wschodniej Turcji na Wyżynie Armeńskiej. Ormiańska nazwa: Karin (AP).

[42] Fez – orientalne męskie nakrycie głowy. Nazwa pochodzi od miasta Fez w Maroku (AP).

Jednym słowem, była tu jakby mała wioska, której jedynym gospodarzem i przywódcą był stary Chaczo.

Niewyszukany dom, w którym mieszkała rodzina Chacza, prawie niczym nie przypominał nowoczesnych budynków, z widocznym już na ich wyglądzie piętnem cywilizacji. Dom zachował cechy tych zabudowań, w których niegdyś zamieszkiwały całe wielopokoleniowe rodziny, z tą jedynie różnicą, że był wzniesiony z cegieł.

Synowie Chacza z żonami i dziećmi gnieździli się w jednym dużym pomieszczeniu ze stropem z potężnych belek. Tutaj też rozpalali ogień, gotowali, piekli, jedli i spali. W jednej gromadzie razem z dzieciarnią, napełniającą dom hałasem i gonitwą, można było również dostrzec jagnięta i małe kózki. Nierzadko pojawiały się tu i kury. Dom przypominał arkę Noego zamieszkałą przez rozmaite stworzenia.

Obok tego wielkiego pokoju był inny, różniący się jedynie otwartą fasadą, wychodzącą bezpośrednio na podwórzec. Była to galeria, w której mieszkano w lecie. Drzwi z galerii prowadziły do głównego pokoju. Sąsiadowała z nim niewielka paradna komnata, którą nazywano oda[43]; drzwi do niej otwierano tylko na przyjazd gości.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie bacząc na niewyszukane warunki bytowe, życie w tym patriarchalnym domu płynęło wesoło i w pełnym dostatku. Pracowali tu wszyscy nieustannie – i z Bożą pomocą radzili sobie całkiem nieźle. Spichlerze i spiżarnie starego Chacza były po brzegi wypełnione pszenicą, mąką, olejem i winem. Ze wszystkich pór roku potrafił on wyciągnąć korzyść: ani mroźną zimą, ani upalnym latem Chaczo nie siedział bezczynnie.

Oto już w górach zaczął tajać śnieg, zazieleniły się i uradowały roześmiane pola. Przyszła wiosna.

Napełnione aromatyczną wonią ciepłe powietrze ożywia wszystko dokoła. Z gór spadają hałaśliwe strumyki, błądzą, szukając swoich koryt, i rozpływają się po całej dolinie. Pierwsza jaskółka przyzywa ludzi do pracy. Synowie Chacza już przygotowali sochę i pług.

[43] Oda – turecki wyraz o znaczeniu: „pokój, izba, komnata” (AP).

Dopiero co wzeszło słońce i ośnieżone szczyty gór zaróżowiły się w jego promieniach. Wracając z porannej mszy, staruszek Chaczo zwraca się do wszystkich napotkanych po drodze ludzi słowami: „Szczęść Boże!”[44]. Dzisiaj jego synowie pierwszy raz powinni wyprowadzić z obór bawoły i byki, które całą zimę spędziły w zamknięciu, przez co roztyły się i rozleniwiły.

To wydarzenie zawsze przyciąga uwagę chłopów, stąd też przed domem Chacza zebrała się ich liczna grupa, aby zobaczyć, czy bydło zostało należycie zadbane.

– Dzień dobry, gospodarzu – mówi jeden z chłopów. – Czy twoi synowie faktycznie będą dziś wypuszczać bydło?

– Tak, już czas, nie można dłużej trzymać inwentarza w zamknięciu. Ksiądz udzielił błogosławieństwa, zapewnił Chacza: „Dzień jest dobry”[45] – orzekł. Toteż postanowiłem bydlęta wypuścić – oznajmił starosta, przykładający dużą wagę do słów duchownej osoby.

W tym czasie z obory dobiegły dźwięki dzwonka – i tłum się rozstąpił, dając drogę wypuszczanym zwierzętom.

– To Czora – rozległy się podekscytowane głosy.

Czora było przezwiskiem najpotężniejszego bawołu, z białą „gwiazdką” na głowie, który wyróżniał się niezwykłą siłą.

Gigantyczne zwierzę, parskając, z rykiem wypadło z obory. Ziemia dudniła pod jego nogami. Gwałtownie zatrzymawszy się naprzeciw wrót, bawół uniósł łeb i się obejrzał. W tym samym momencie staruszek Chaczo uderzył jajkiem w jego „gwiazdkę”. Jajko się rozbiło i rozlało po czaszce zwierzęcia. Był to tradycyjny rytuał mający chronić inwentarz od „złego oka”, czyli od „rzucenia uroku”.

Czora się rozwścieczył, szarpnął łbem – i jednym skokiem znalazł się przed tłumem gapiów. Jednak synowie Chacza zdążyli w porę zareagować i mocnymi uderzeniami ciężkich kijów poskromili niesforne bydlę. Oślepiony jasnym słonecznym blaskiem po długotrwałym przebywaniu w oborze, Czora niewyraźnie wszystko widział, jakby we mgle. Nie rozpoznawał nawet swoich gospodarzy, którzy karmili go przez całą zimę i którym nie raz pokornie lizał ręce.

[44] W oryginale: *Ոդորմի՛ Աստուած* [*Woghormi Astwac!*] – po ormiańsku: „Niech Bóg błogosławi!” (AP).

[45] W oryginale: *Օրը բարի է* [*Or-y bari e*] – po ormiańsku: „Dzień jest dobry” (AP).

Rozszalały bawół miotał się to w jedną stronę, to w drugą. Trudno go było uspokoić. Synowie Chacza okładali zwierzę kijami po całym cielsku ile wlezie, ale wydawało się, że ono nawet tego nie czuło. Staruszek Chaczo z uśmiechem zadowolenia obserwował z oddali owo zacięte starcie, które mogłoby przynieść zaszczyt nawet znamienitym rzymskim gladiatorom. Na jego oczach zderzyły się dwie potężne siły – odwaga synów i wściekłość rozszalałego zwierzęcia. Obie te siły miały duże znaczenie w jego gospodarstwie.

A walka stawała się coraz bardziej zacięta, jako że zerwał się gruby łańcuch zawieszony na szyi Czory, na którym trzymał się kloc krępujący ruchy zwierzęcia. Obserwujący to chłopi podbiegli z przygotowanymi zawczasu powrozami, żeby związać bawołu, ale nie dali sobie z tym rady. Czora nadal miotał się po podwórzu, a ludzie w strachu uciekali przed nim. Wtedy odwaga średniego syna Chacza uratowała sytuację: Apo[46] z lwią zwinnością chwycił Czorę za ogon i nie wypuszczał go z rąk. Byk i człowiek wykonali kilka gwałtownych kręgów. Czora próbował wziąć przeciwnika na rogi, jednak Apo, wczepiony w ogon zwierzęcia, nie pozwolił się dopaść i krążył razem z nim. Owe zmagania trwały kilka minut. Ludzie osłupieli. Zwierzę wciąż groźnie ryczało i tłukło nogami w ziemię. Tuman kurzu przysłonił walczących przeciwników. Po pewnym czasie braciom Apo udało się skrępować bawołu żelaznymi łańcuchami. Rozległy się radosne okrzyki. Starosta podszedł do syna, ucałował go w czoło i powiedział:

– Bądź błogosławiony, synku, żeś nie dał zhańbić honoru ojca.

Następnie gospodarz podszedł do Czory, pieszczotliwie klepnął go po szyi, i z cichym wyrzutem powiedział:

– No i czegóż ty, łobuzie, szalejesz?

Ale Czora już został poskromiony. Mgiełka zasnuwająca mu oczy prawie całkiem się rozpłynęła. Teraz poznawał już swoich gospodarzy i – jak mogło się nawet wydawać – wyrażał ubolewanie, że zachowywał się tak agresywnie. Na kark ponownie zarzucono mu gruby łańcuch i przymocowano do niego kloc. Po tym wszystkim Czorę popędzono nad rzekę, aby go wykąpać i odświeżyć.

[46] Apo – zdrobnienie męskiego imienia (AP).

Chłopi nadal tłoczyli się przed domem Chacza, czekając, kiedy zostaną wypuszczone pozostałe bawoły, nie mniej groźne i szalone niż Czora. Tym razem jednak synowie Chacza byli bardziej przezorni i wszystko dobrze się skończyło. Po kolei wyprowadzali rasowe, dobrze wypasione zwierzęta, z których każde mogłoby dostać nagrodę na rolniczej wystawie. Zachwycony starzec patrzył z lubością na swoje bawoły i ochoczo rozbijał na ich łbach cudowne jajka, pragnąc uchronić bydlęta przed możliwym urokiem rzuconym przez „złe oko". Oprócz tego wieszał im na szyjach skórzane zielone woreczki, w których były zaszyte specjalne modlitwy, napisane przez księdza.

Chłopi, patrząc na bawoły, chwalili synów Chacza za to, że tak bardzo się o nie troszczą i doglądają. Słysząc owe pochwały, starzec ogromnie się cieszył i radował.

Odtąd jego synowie musieli już codziennie wyprowadzać z obory zdziczałe przez zimę bawoły i byki oraz stopniowo na powrót je oswajać, aby później dały się zaprząc do orki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kwiecień przyniósł ciepłe i jasne dni. Na stokach gór dawno już zakwitły czerwone, żółte i białe lilie; Kurdyjki ścinały w górach te kwiaty, robiły z nich bukiety i wymieniały na chleb w armeńskich wioskach. W tym roku w górach był taki wysyp grzybów, taki urodzaj szparagów i jadalnych ziół, że za ich ładunek dźwigany przez jednego osła kobiety otrzymywały w zamian kilka funtów mąki.

Synowie starego Chacza już przystąpili do orki. Robota wrzała na polach. W całej wsi nie znalazłoby się choćby jednego niczym niezajętego człowieka.

Był wczesny ranek. W domu starosty Chacza w gorących tonirach[47] już pieczono chleb, a w dużych miedzianych kotłach i kamiennych garnkach

[47] Tonir – nazwa orientalnego pieca do wypiekania cienkiego chleba (tzw. lawaszu). Piec ten był wykopywany w ziemi. Na dnie prawie metrowej głębokości dołu przypominającego studnię zapalano ogień, a ciasto lawaszu, o kształcie przypominającym duże

gotowano obiad. Wokół tonirów krzątały się synowe i służące. Apetyczny, mocny zapach jedzenia napełniał dom; postronny obserwator mógłby pomyśleć, że szykowano tu obiad dla całego legionu wojska. I faktycznie: oprócz własnej rodziny stary Chaczo żywił też wszystkich pastuchów i parobków wraz z ich rodzinami. Codziennie rozpalano toniry i przygotowywano ogromną ilość jedzenia. Pracowite synowe Chacza nie miały ani minuty wytchnienia: musiały w porę o wszystko się zatroszczyć, wszystkiemu podołać i wszystkim dogodzić.

Oto jedna z nich doi na podwórku krowę i owce, druga podgrzewa na ogniu mleko, żeby zakwasić je na zsiadłe, trzecia robi ser, czwarta ubija masło. Wokół biegają dzieci, bawią się z cielętami i jagniętami, słowem – prawdziwa wiejska idylla.

Po wschodniej stronie podwórza, wzdłuż ogrodzenia, ustawiono rzędy pszczelich uli. Jest ich kilkaset. Kwietniowe słońce kieruje tu swoje ciepłe promienie. Stary Chaczo otwiera wąskie wylotki w ulach. Wesoły pszczeli rój spieszy na zewnątrz i z buczeniem wije się wokół jego siwej głowy. Pośród pszczół są i takie niesforne psotnice, które żądlą pomarszczoną twarz staruszka, lecz on nie czuje bólu i nie opędza się od nich, jedynie z udawanym rozdrażnieniem powtarza: „Ach, wy, diablice, co ja wam złego zrobiłem?”.

Stojący tuż obok Stepanik bacznie obserwuje ojca.

– Odejdź, synku, bo cię pszczoły użądlą – ostrzega syna.

– Ciebie przecież nie żądlą!

– Żądlą, żądlą, tylko mnie to nie boli.

– A dlaczego?

– Bo moje ciało przywykło już do ich jadu.

– To niech i moje przywyknie – woła radośnie Stepanik.

Chaczo z uśmiechem całuje syna.

W tym momencie pojawił się wioskowy goniec z wiadomością, że przybył posłaniec od Fattah-beja i oznajmił, że jego pan przybędzie do starosty w gościnę.

– Zjawi się tu lada moment – dodał goniec. – Bo akurat zakończył polowanie w okolicznych górach.

---

naleśniki, przyklejano do ścian toniru. Po persku – *tanur*. Nazwa pochodzi z języków semickich (AP).

Na tę wieść oblicze Chacza spochmurniało, radość przygasła w jego oczach. Stłumiwszy w sobie nieprzyjemne uczucie, poprosił gońca, aby zawiadomił też o tym synów pracujących w polu, sam zaś poszedł oszacować zapasy siana.

Przyjazd Fattah-beja do domu Chacza nie był bynajmniej czymś wyjątkowym, toteż jego synowe dobrze wiedziały, jak należy przyjmować znamienitego gościa. Usłyszawszy, że przyjeżdża, niezwłocznie poleciły zarżnąć kilka owiec i jęły warzyć pilaw[48], gdyż ów zapowiedziany bej nigdy nie pojawiał się bez świty.

Fattah-bej był przywódcą sąsiedniego kurdyjskiego plemienia, które w okolicznych górach również wypasało stada owiec. Między ormiańskimi i kurdyjskimi pastuchami nierzadko dochodziło do starć oraz bójek: Kurdowie kradli Ormianom owce bądź przeganiali swoje stada na ich pastwiska. Zazwyczaj przeciwnicy szybko się godzili, jako że Fattah-bej i Chaczo byli nie tylko przyjaciółmi, ale też kumotrami[49].

Między ormiańskim starostą i kurdyjskim bejem od dawna istniała swoista więź.

---

[48] Pilaw – orientalna potrawa przyrządzana z ryżu lub kaszy bulgur, warzyw i mięsa, z dużą ilością ostrych przypraw. Nazwa pochodzi z języka perskiego (AP).

[49] W ormiańskim oryginale występuje tu wyraz *kirwa* oznaczający specyficzny rodzaj powinowactwa, które pojawiało się między rodzinami chrześcijańskimi a muzułmańskimi tam, gdzie obie grupy były niejako „skazane" na dobre sąsiedztwo (dla uniknięcia wyniszczających stałych konfliktów). Zaprzyjaźnione ze sobą rodziny różniące się wyznaniem zawierały swoiste przymierze polegające na tym, że muzułmanin (Turek, Azer lub Kurd) zostawał świadkiem przy chrzcie chłopca z rodziny chrześcijańskiej (ormiańskiej), a zaprzyjaźniony z nim chrześcijanin „rewanżował się" byciem świadkiem podczas obrzędu obrzezania muzułmańskiego chłopca. Taki świadek (z jednej i drugiej strony) był nazywany *kirwą*.

Opisany tu zwyczaj (łączący Ormianina z Kurdem) znany jest także w Górskim Karabachu (Arcachu). Tam przejawia się m.in. w tym, że chrześcijański chłopiec ormiański dla podkreślenia przyjaźni z azerbejdżańską rodziną muzułmańską otrzymuje na chrzcie (!) muzułmańskie imię typu Hasan lub Ali.

W rosyjskim tłumaczeniu *Chenta* po wyrazie oddanym po polsku „kumotrami" został opuszczony fragment oryginału ormiańskiego zawierający dokładniejszy opis relacji Chacza i Fattah-beja przy użyciu opisanej wyżej kategorii *kirwy*.

Dialektalny wyraz ormiański *kirwa* został opisany w czwartym tomie słownika *Ժամանակակից հայոց լեզվի բացատրական բառարան*, Երևան [Jerewan] 1980, s. 736 (AP).

Dlaczego zatem dziadka Chacza tak wytrąciła z równowagi wieść o przyjeździe beja? Nie był bynajmniej skąpcem, toteż nie przejmował się, że znów będzie zmuszony przyjąć i nakarmić całą hordę gości: drzwi jego domu, podobnie jak u biblijnego Abrahama, zawsze były dla wszystkich otwarte. Wędrowcy i obcokrajowcy niezmiennie znajdowali u niego schronienie. Chaczo lubił powtarzać, że bez gości nigdy nie siada do stołu. „Chleb to dar Boży, a Bóg nam nakazał karmić nędzarzy – to Boży ludzie" – zwykł był mawiać. Dlaczego zatem tak rozzłościła go i przygnębiła wieść o przyjeździe beja?

Zatopiony w rozmyślaniach, Chaczo wyszedł przed bramę w oczekiwaniu na przybycie gościa. Ujrzawszy starostę, kilku chłopów podeszło do niego.

– Powiadają, że bej przyjeżdża – ozwał się jeden z nich. – Jaki diabeł znów go tu niesie?

– Kurd nie bez powodu zjawia się w domu Ormianina – ponuro odrzekł starosta.

Nad pagórkami zalśniły ostrza pik i po kilku minutach ukazała się za nimi grupa zbrojnych jeźdźców.

– Jadą! – wykrzyknął ktoś.

Chaczo spojrzał w tamtą stronę, ale niczego nie zobaczył: uniemożliwiała mu to krótkowzroczność.

– Tak, to oni – potwierdził któryś z chłopów.

– Moi drodzy – zwrócił się do chłopów starosta. – Zostańcie tu, dopóki nie przyjdą moi synowie, a gdy goście przyjadą, dajcie ich koniom siana.

Nadjechał bej poprzedzany przez całą sforę psów myśliwskich oraz ponad dwudziestu jeźdźców, jego krewniaków, którzy pełnili funkcję ochroniarzy. Bej dosiadał pięknego, arabskiej krwi, wierzchowca, którego uprząż zdobiły srebrne guzy i drogocenne kamienie. Był ponadczterdziestoletnim mężczyzną, ale z wyglądu można mu było dać nieco ponad trzydzieści lat. Imponował swoją potężną posturą, przykuwał też uwagę mężnym, wyrazistym obliczem. Jego odzież z drogiej tafty[50] i cieniutkiej lnianej tkaniny zdobiły złote hafty. Broń spoczywała ukryta w pochwie okutej srebrem i złotem.

[50] Tafta – jedwabna tkanina. Wyraz pochodzenia perskiego (AP).

Zrobiwszy kilka kroków na spotkanie z bejem, starosta zatrzymał się na brzegu rowu, nad którym był przerzucony most. Bej jednak, zamiast po nim przejechać, zaciął konia i niby ptak przeleciał ponad rowem. Zręcznie poharcowawszy trochę przy moście, chełpliwie osadził konia przed starostą.

– No, kumie Chaczo, jak ci się podoba mój wierzchowiec? – rzucił, głaszcząc ogiera po grzywie. – Ty znasz się na koniach, więc przyznaj, że jest dobry, prawda?

– Piękny koń – nie daj Bóg zapeszyć! – jakby stworzony dla ciebie. Nawet Kör-oghłu[51] nie miał takiego wierzchowca – odrzekł starosta i podszedłszy do zwierzęcia, poklepał je po szyi. – Skąd on się wziął u ciebie?

– To podarunek od erzurumskiego walego[52] – wesoło odpowiedział bej. – Strzegł go jak oka w głowie, ale dla przyjaciela nie pożałował. A sam wali dostał go w prezencie od szejka Aleppo.

– Piękny koń – przyznał starosta.

Wielce zadowolony z pochwały, bej zaciął wierzchowca, galopem wykonał na nim kilka kręgów, po czym zatrzymał się przed bramą. W ruchach i zachowaniu zwierzęcia dawało się wyczuć mistrzostwo tego, kto go ujeżdżał.

Bej zsiadł z konia, przekazał cugle jednemu ze służących i nakazał zająć się rozgorączkowanym wierzchowcem.

Starosta poprowadził gości do komnaty zwanej odą, czysto wysprzątanej na przybycie gościa. Jej posadzkę pokrywał drogi perski dywan, na nim wzdłuż ścian ułożono rząd miękkich poduszek.

Przestrzegając zasad gościnności, starosta z szacunkiem zwrócił się do przybyłych ze słowami:

– Drodzy goście, mój dom – wasz dom, jam – wasz pokorny sługa, gotowy spełnić każde życzenie gości. Moi synowie to wasi niewolnicy, a synowe – wasze służące. Witamy was wszystkich w naszym domu, z całego serca witamy, po tysiąckroć witamy! Wszystko, co moje – jest wasze. Rozkazujcie – każdemu usłużę. Bardzo proszę, siadajcie.

[51] Kör-oghłu – bohater tureckiego poematu ludowego. Jego imię dosłownie znaczy „syn ślepca" (AP).

[52] Wali – gubernator (PR); arabski wyraz oznaczający zarządcę wilajetu (jednostki administracyjnej) (AP).

Bej podziękował. Jeden z synów Chacza podszedł do niego i zdjął mu z nóg czerwone buty z cholewami. Bej usadowił się na przygotowanej dlań – w najbardziej honorowym miejscu – poduszce. Obok rozsiedli się jego dwaj kuzyni oraz inni krewniacy. Część sług, z rękami złożonymi na trzonach zatkniętych za pasami kindżałów[53], nadal pokornie stała, oczekując w każdej chwili na wezwanie. Pozostali wyszli na podwórzec, by zająć się psami i końmi.

Mimo że bej i jego słudzy przyjechali w gości, to jednak byli uzbrojeni: oprócz tradycyjnych kindżałów mieli też szable, pistolety, strzelby i łuki. Żaden Kurd nie rozstaje się z bronią ani w domu, ani na ulicy – nawet w czasie pokoju. Natomiast ani sam Chaczo, ani jego synowie, którzy wrócili z pola, żeby pomóc ojcu przyjmować gości, nie mieli przy sobie broni.

Na początek gościom podano czarną kawę w maleńkich czerwonych czarkach.

– A gdzie się podział Stepanik, czemu go nie widać? – zapytał bej. – Przywykłem odbierać kawę w tym domu tylko z jego rąk. – Starosta, tłumiąc niezadowolenie, polecił wezwać Stepanika.

Ten niezwłocznie się pojawił. Jego prostoduszną buzię opromieniał uśmiech. Podszedłszy do beja, chłopiec ucałował jego rękę (taki obyczaj wprowadzili kurdyjscy bejowie). Pogładziwszy jedwabiste włosy młodzieńca, bej powiedział:

– Widziałeś, jaką piękną sztuczkę ci przywiozłem?

– Widziałem – rumieniąc się, odrzekł[54] Stepanik. – Przywiózł mi pan śliczną koziczkę. Chciałem dać jej trawy, ale nie chciała jeść.

– Patrzcie, patrzcie: on już zdążył zawładnąć moim podarkiem – rzucił ze śmiechem bej, zwracając się do Chacza.

– Wiedziałem, że pan ją przywiózł dla mnie, dlatego się nią zająłem – bąknął speszony Stepanik.

– Dobrze już, dobrze… idź, pobaw się ze swoją koziczką – rzucił bej.

Młodzieniec ukłonił się i wyszedł.

---

[53] Kindżał – orientalny sztylet, nazwa pochodzenia arabskiego (*chandżar*) (AP).

[54] Językiem wzajemnego porozumiewania się Ormian i Kurdów (mówiących różnymi językami) był turecki. Jak widać, nawet 16-letni Stepanik znał ten język (AP).

– Bystry ten wasz synek – pochwalił bej – i zdaje się, że lubi dostawać ode mnie podarki.

– Niestety, sam go pan do tego przyzwyczaił – z wymuszonym uśmiechem stwierdził starosta.

– Ach, kumie Chaczo, jak bogate w zwierzynę są te wasze góry! – z podziwem rzucił bej, zmieniając temat rozmowy. – Na każdym kroku trafia się dziczyzna: jelenie, łanie i sarny chodzą całymi stadami, a kuropatw i dzikich gołębi – zatrzęsienie… A koziczkę, którą dałem Stepanikowi, moje charty wytropiły. Ach, gdyby pan wiedział, jakie świetne mam charty! Dostałem je w podarunku od zilańskiego[55] beja. Odwzajemniłem się, posyłając mu dwa muły, które – prawdę mówiąc – odebraliśmy pielgrzymom zdążającym do Mekki. Ale wracając do chartów, są naprawdę wspaniałe. W pościgu za zwierzyną mkną szybciej niż ludzkie myśli.

Wynurzenia beja dotyczące chartów, polowań, koni i najróżniejszych jego rozbójniczych wyczynów trwały w najlepsze, podczas gdy stary Chaczo wtrącał jedynie dla przyzwoitości jakieś słowo, ale i to niechętnie, gdyż zadręczała go owa paplanina.

Nadeszła pora obiadu. Na dywanie rozścielono obrus, na nim postawiono ogromne półmiski z pilawem i upieczonymi w całości na rożnie barankami. Podano także dzbany pełne najróżniejszych sorbetów[56] i napoju z mlecznej serwatki, który pije się z maleńkich chochelek. Nie było natomiast żadnych napojów alkoholowych[57]. Przystąpiono do spożywania obiadu.

– Wy swoich owiec nie wygnaliście jeszcze na pastwiska? – zagadnął bej, zwracając się do starosty.

– Jeszcze nie – odrzekł starzec – dopiero kwiecień, pogoda w każdej chwili może się zmienić, to szalony miesiąc, kapryśny…

– I ciepło, i zimno – wszystko w ręku Boga, kumie Chaczo, co ma być, to będzie – i nic się na to nie poradzi – stwierdził bej. – A nasze owce

[55] Por. przypis 21.

[56] Sorbet – orientalny napój owocowy. Wyraz pochodzenia arabskiego (AP).

[57] Islam zabrania swoim wyznawcom picia napojów zawierających alkohol. Goszcząc Kurda muzułmanina, Ormianin Chaczo (chrześcijanin) nie częstował go trunkami (AP).

już od tygodnia chodzą po polach. W tym roku jakoś wcześnie skończyły się nam wszystkie zapasy: pastuchy już od paru dni siedzą bez chleba.

Starosta w lot pojął, do czego bej zmierza, więc odparł:

– A czy nasz chleb nie jest tak samo i wasz? Powiedzcie tylko – i dam wam mąki, ile trzeba.

– Oby zawsze w twoim domu panował dostatek! – powiedział bej. – Pewnie że tak, twój dom – to mój dom, a co twoje – to i moje, bo czyż nie jesteśmy kumotrami? Jesteśmy, prawda, Chaczo?

– Bóg świadkiem, że jesteśmy… Ile mąki potrzeba?

– Na razie dziesięć worków wystarczy, a potem… potem zobaczymy! Tak czy owak wasze spichlerze i tak nie zostaną opróżnione.

Krzywo się uśmiechnąwszy, starosta kiwnął głową.

Kiedy skończono jeść, Stepanik przyniósł wodę do obmycia rąk. Następnie podał kawę. Bej polecił stojącym dotąd w gotowości sługom, żeby wyszli na podwórze, gdzie rozłożono dla nich dywany i też podano obiad.

W komnacie natomiast rozmowa ponownie zeszła na temat podarunku erzurumskiego walego. Bej wychwalał rasowego wierzchowca, zapewniając, że jego rodowód wywodzi się z czasów, kiedy żył jeszcze legendarny Antar[58]; według jego słów, wierzchowiec był najczystszej arabskiej krwi.

– Tylko że ten piękny podarek będzie mnie drogo kosztował – dodał na zakończenie.

– Dlaczego? – zdziwił się starosta.

– Czyżbyś nie rozumiał, że jestem zobowiązany szczodrze wynagrodzić tego, który dostarczył mi konia? Muszę mieć na to co najmniej sto złotych monet.

Teraz starosta zrozumiał, w jakim celu bej się do niego pofatygował. Wszelako, nie okazując tego po sobie, ze spokojem przyznał:

– No cóż, koń jest tego wart.

– Wiem, ale skąd mam wytrzasnąć pieniądze?! – ze złością wykrzyknął bej. – To przeklęte złoto tylko Ormianie posiadają.

---

[58] ʿAntara ibn Szaddād – poeta arabski z czasów przedmuzułmańskich (druga połowa VI w.) (AP).

Krewniacy beja, którzy dotąd zachowywali milczenie, włączyli się teraz do rozmowy. Któryś z nich powiedział:

– Nie martw się, beju. Jeszcze nigdy tak nie było, żeby kum Chaczo ci nie pomógł, nie poratował w potrzebie…

– Bóg świadkiem, że to prawda – zgodził się inny.

– Kum Chaczo to dobry człowiek – dorzucił jeszcze któryś. – Wśród Ormian nie ma takiego drugiego.

Stary Chaczo rozumiał, że goście chcą go zmusić, aby uregulował dług beja. Toteż, tłumiąc irytację, zapewnił:

– Nie dopuszczę do tego, żeby bej się zamartwiał z powodu jakichś stu złotych monet.

– Niech twój dom obfituje w bogactwa! – zgodnym chórem wykrzyknęli Kurdowie.

Starosta się podniósł, wyszedł z komnaty, wezwał najstarszego syna i posłał go do gumna, gdzie było ukryte złoto. – Przynieś mi sto złotych monet – rozkazał.

– Dlaczego? Po co? – zdumiał się syn.

– Czyżbyś zapomniał, że Kurd – jak się już dobrze naje i napije – musi jeszcze dostać „diszkirasy", czyli „nazębne"? – ze smutkiem odrzekł ojciec.

– Oby na wieki byli przeklęci, łajdacy! – burknął pod nosem syn, wziął koszyk i – udając, że idzie po słomę – ruszył w kierunku gumna.

„Diszkirasy" znaczyło „danina na zęby"[59]; ściągali ją niegdyś Kurdowie za to, że okazywali Ormianinowi zaszczyt, przychodząc do jego domu i biorąc łaskawie coś niecoś „na ząb". Gospodarz domu, ugościwszy nieproszonych gości, musiał się jeszcze u nich wykupić, w przeciwnym razie groziła mu krwawa rozprawa. I chociaż ów obyczaj niemal już zaniknął, Kurdowie wciąż jeszcze wymuszali od ludzi złoto, uciekając się do coraz bardziej chytrych sposobów.

Kiedy starzec wyszedł, bej ze złością powiedział:

– Jeśli ten dziadyga nie przyniesie mi złota, rozkażę spalić jego dom!

– Nie należy tego robić – ujął się za starostą jeden z krewniaków beja. – Chaczo to dobry Ormianin, po co go krzywdzić? Dla nas drzwi

[59] Disz-kirasy (z akcentem na pierwszej i ostatniej sylabie) – po turecku: „opłata zębowa". We współczesnej pisowni: *diş-kirası* (AP).

jego domu zawsze stoją otworem, czego tylko zechcemy – niczego nie odmawia.

W tym momencie wszedł Chaczo i – kładąc przed bejem woreczek – powiedział:

– Bóg mi świadkiem, że te pieniądze były przeznaczone na pielgrzymkę do Jerozolimy, za zbawienie mojej duszy, ale czyż mogłem ich odmówić kumotrowi?

– Nie rób z siebie biedaka, kumie Chaczo. Wiem, że masz dużo złota – oświadczył bej i niedbale wsunął woreczek do kieszeni.

Nastąpił chłodny wieczór. Bej kazał siodłać konie. Po wyjściu na podwórze jął się przechadzać ze starostą. Ujrzawszy Stepanika bawiącego się z koziczką, bej podszedł do niego.

– No jak, podoba ci się koziczka? – zapytał młodzieńca.

– Bardzo, ale jest ranna w nóżkę! Pewnie ją chart ugryzł… Ale to nic, opatrzę ranę, wyleczę… Cierpi, biedaczka, i chyba dlatego nic nie je – odparł Stepanik, bandażując nogę koziczki.

– Widzę, Stepaniku, że bardzo lubisz zwierzęta! W takim razie przyślę ci jeszcze źrebaka.

– Koni nie lubię.

– A co lubisz?

– Kozice, jelenie, kuropatwy…

– To się dobrze składa, bo akurat jadę na polowanie – spróbuję złowić dla ciebie jelenia.

Słudzy oznajmili, że przyprowadzono konie.

Podziękowawszy staroście za gościnność, bej ruszył ku bramie, gdzie czekał w gotowości jego piękny wierzchowiec. W dowód szczególnego szacunku dla odjeżdżającego gościa staruszek Chaczo przytrzymał strzemię i podsadził beja na siodło.

Poharcowawszy nieco z kopią w ręku przed bramą, bej pożegnał się ze starostą i odjechał.

Starzec długo za nim patrzył. Widział jak, zaciąwszy konia, bej lekko, niby ptak, znowu przeskoczył nad rowem; najwyraźniej sądził, że tak świetnemu jeźdźcowi jak on nie wypada skorzystać z mostu. W tym momencie z krzaków wyskoczył zając; bej w mgnieniu oka dopędził go i przeszył kopią. Odprowadzając gościa wzrokiem, starosta gorzko rozmyślał: „Dlaczego tak niesprawiedliwie urządzony jest ten świat?

Kurd nie ma chleba… Ormianin ma, bo orze, sieje, żnie – i oddaje Kurdowi swój chleb… Ten dostaje w prezencie rasowego konia i wesoło na nim harcuje, a Ormianin płaci za jego wierzchowca, sam zaś musi zadowolić się mułem…”.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Starosta Chaczo siedział wraz z synami przy wieczornym posiłku. Stojąca w kącie lampka rzucała przyćmione światło. Spożywali wieczerzę, milcząc. Za oknami wiosna roztaczała odurzający aromat, z oddali słychać było beczenie owiec wracających z pastwisk.

Obok tonirów krzątały się synowe, szykowały kolację dla pastuchów i parobków. W pierwszej kolejności miały obowiązek nakarmić mężczyzn, dopiero potem wraz z dziewczętami mogły zasiąść do stołu. Maleńkie dzieci, które do woli nabiegały się w ciągu dnia, o tej porze już mocno spały.

Po kolacji synowie staruszka oddalili się – każdy do swoich spraw.

Należało oporządzić bydło, nawodnić pole – tego wieczora akurat przypadała ich kolej – pójść do młyna, zemleć ziarno – słowem, trzeba było jeszcze wykonać mnóstwo podobnych robót.

Ze stołu wszystko już uprzątnięto. Chaczo pogrążony w zadumie siedział obok najstarszego syna, Hajrapeta, który w milczeniu nabijał ojcu fajkę.

Wydawało się, że tego wieczora demon smutku ocienił czarnym skrzydłem dach tego ormiańskiego domu.

– Ile worków zabrali Kurdowie? – zapytał ojciec, pociągając fajkę.

– Dwanaście – z irytacją rzucił syn. – Przeklęte łajdaki, mieli już przygotowane wielkie worki i sypali do pełna.

– A na czyich bykach je wywieźli?

– Na naszych. Daj Boże, żeby chociaż tym razem je zwrócili! Boję się, że byków raczej już nie ujrzymy.

– Bej nie dopuści do tego.

– E tam, czy Kurdowie w ogóle mają sumienie? Ileż to już razy razem z ładunkiem zabierali też nasze byki? Prawdę mówiąc, nie tyle boli

mnie utrata stu złotych monet i dwunastu worków mąki, ile to, że oni za darmo jedzą bezkarnie nasz chleb. To chyba kara boska! Kto wie, jak długo jeszcze będą nas obłupiać! Przyłażą, biorą wszystko, czego chcą, a spróbuj potem od nich cokolwiek odzyskać. Stale im czegoś potrzeba – to jednego, to drugiego – łachudry, bez sumienia i bez wstydu. Są przekonani, że my jedynie po to istniejemy, żeby ich karmić!

– A tyś dotąd nie wiedział, że tak właśnie jest? – rzucił starzec, głęboko się zaciągając i tłumiąc w ten sposób swoją irytację. – Cóż poczniesz, synku, jeśli nie oddamy im dobrowolnie, to siłą odbiorą. Jeszcze i tak dobrze, że łupią nas, udając przyjaciół.

– Sami ich do tego zachęcamy – odparował syn. – Gdybyśmy im raz czy drugi odmówili, sprzeciwili się, wtedy chcąc nie chcąc, sami by musieli orać, siać i w pocie czoła zdobywać sobie pożywienie. Ale jak dotąd sami uczymy ich rozboju i nieróbstwa.

– Masz rację – ze smutkiem przyznał ojciec. – Tyle że bardzo trudno wykorzenić ten zwyczaj, który zapoczątkowali nasi dziadowie i który z czasem stał się niepisanym, ale ogólnie przyjętym prawem. Toteż zbieramy dziś gorzkie owoce ich bezmyślności. Słuchaj, mój synu, ja rozumiem, że w twoim sercu kipi gniew, że nienawidzisz niewolnictwa, ale pytam cię: jakie mamy wyjście? Jeśli im się przeciwstawimy – rozgorzeje wrogość; tylko pomyśl, co będzie, jeśli odbiorą nam wszystkie owce. Do kogo pójdziemy na skargę, kto nas weźmie w obronę? Wszak ci, którzy powinni walczyć ze złem i karać bezprawie, sami się stali rozbójnikami – zaczynając od walego i kończąc na naczelniku okręgu. Wszyscy są z tej samej gliny, tyle że jeden gorszy od drugiego: nie bez racji ludziska powiadają: „Pies jest krewnym psa" , wart jeden drugiego. Przecież wiesz, że erzurumski wali zamiast zakuć tego skończonego łajdaka Fattah-beja, wtrącić go do więzienia i powiesić, posyła mu w prezencie pięknego konia, hołubi bandytę, przez którego nasz kraj zalał się krwią i łzami. Jeśli tak postępuje władca, to gdzie mamy szukać obrońcy, do kogo pójść na skargę, komu się pożalić? Pozostaje nam tylko zdać się na Boga, ale nie wysłuchuje on naszych błagań, widać za bardzo jesteśmy grzeszni…

Syn słuchał, milcząc. Ojciec ciągnął dalej:

– Bóg nas opuścił. Własnymi rękami niszczymy swoją ojczyznę: rozbicie jedności, wojny domowe, zawiść, wrogość i tysiące innych

rodzajów zła mocno zadomowiły się w naszych sercach – i za to Bóg nas karze. A gdybyśmy byli zjednoczeni, gdyby panowały wśród nas zgoda i miłość, to i Kurdowie nie byliby nam tak straszni.

Starzec poprosił, by odpalić mu fajkę. Spełniwszy jego życzenie, syn powiedział:

– Ojcze, jest nas siedmiu braci i gdybyś dzisiaj tylko dał nam znak, bez trudu wyrzucilibyśmy stąd Fattah-beja z jego trzydziestoma jeźdźcami – więcej już ta zgraja nie ośmieliłaby się przekroczyć progu naszego domu.

– Wiem, mój synu, ale to nie miałoby sensu… i nic by nie dało. Przypuśćmy, że jeśli dzisiaj zabilibyście w starciu jednego, dwóch, albo nawet kilku jego bandytów, to nazajutrz całe ich plemię by nas zaatakowało i wszystko zrównało z ziemią. A czy ktoś ze wsi przyszedłby nam z pomocą? Nikt. Ba, niektórzy sąsiedzi nawet by się z tego cieszyli! Tacy są Ormianie! Kurdowie zaś postępują inaczej: za krew jednego mści się całe plemię; oni tak są zżyci, tak do siebie przywiązani jak jedna rodzina. A między nami żadnej jedności nie ma. Każdy tylko o sobie myśli, a co z innymi się dzieje – to nikogo nie obchodzi, byle jego nikt nie tknął. Nie rozumieją, głupcy, że siła w jedności: „Jeden za wszystkich i wszyscy za jednego".

Chaczo nigdzie się nie kształcił, ale doświadczenie życiowe nie tylko wiele go nauczyło, ale rozwinęło też w nim wrodzoną mądrość, toteż nierzadko wypowiadał on takie mądre myśli, jakie mogłyby paść z ust wytrawnego intelektualisty.

Starzec kontynuował:

– Zbieg różnych okoliczności sprawił, że jesteśmy zmuszeni karmić swoich dręczycieli – inaczej sami nie zdołamy wyżyć. To dlatego utrzymujemy niby przyjacielską więź z tymi, którzy nas ograbiają. Fattah-bej doskonale to rozumie i wie, że nie ośmielimy się odrzucić jego udawanej przyjaźni.

– Dlaczego? – zapytał syn.

– Dlatego, że pozostając pod orędownictwem potężnego grabieżcy, nie musimy się już obawiać słabszych bandytów. Zresztą oni wszyscy są ze sobą związani. Wiedząc, że mamy poprawne stosunki z Fattah-bejem, Kurdowie nie tykają naszych owiec, bydła i zboża, a jeśli nawet coś ukradną, to bej rozkazuje im zwrócić łup.

– I gdzie tu sens? – wybuchnął syn. – „Bej daje nam jajeczko, a odbiera konia”. Niby Kurdom nie pozwala kraść naszych owiec, a sam – kiedy chce – bez zająknięcia przejmuje nasze złoto. Jesteśmy dla niego po prostu dojną krową, toteż chroni nas, aby zawsze mieć darmowy udój – i to obfity!

– Zgadzam się z tobą, synu, ale cóż począć, skoro dziadowie nauczyli nas jedynie w ten sposób ratować własne głowy! Ja, oczywiście, uczonych ksiąg nie czytałem, ale jeden mnich z monasteru Úcz-kilisa mi mówił, że zawsze, kiedy naszemu krajowi groziło niebezpieczeństwo, Ormianie spotykali wroga nie z bronią w ręku, a z bogatymi darami, z tacami pełnymi złota. Dziadowie nauczyli nas nie wojować z wrogiem, ale go przekupywać; nauczyli, żeby za cenę życia oddawać mu swój majątek.

– Nie musimy powtarzać błędów naszych przodków – przerwał ojcu Hajrapet.

– Błędy przeszłości trudno naprawić, na to potrzeba setek lat. Spróbuj przekonać ludzi, że w stosunku do wroga należy postępować inaczej, że powinno się z nim walczyć, że on jest tak samo wrażliwy na ciosy, a jego ciało też nie jest z żelaza, i że kiedy przychodzi nas okradać, należy go odeprzeć z bronią w ręku. Możesz choćby i tysiąc takich kazań wygłosić, apelować, zagrzewać do walki – daremnie, tak czy inaczej nikt cię nie zrozumie, ludzie uznają, żeś skończony głupek i cię po prostu wyśmieją.

Syn nie protestował, czując że ojciec ma wiele racji, mimo to wciąż się zastanawiał, jak dałoby się jednak zmienić mentalność narodu, dlatego powiedział:

– No dobrze, załóżmy, że nadal idziemy tą samą drogą, po której szli też nasi dziadowie. Ale przecież ta droga prowadzi do zguby, czy naprawdę nie można z niej zejść i przekonać narodu, że jest w błędzie, że się myli?

– Pewnie można, ale kto się za to weźmie? Tym się powinny zajmować osoby, których obowiązkiem jest oświecać naród, wpajać ludziom poczucie obowiązku i kierować ich na właściwą drogę. To sprawa naszych duchowych pasterzy – księży oraz biskupów – ale oni nawołują do czegoś innego: „Jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu drugi”. Nauczyciele też mogliby się tym zajmować, tyle że w naszym okręgu nie ma ani jednego porządnego, dobrego nauczyciela.

– Nie mogę się z tobą zgodzić, ojcze – odparł Hajrapet. – Powiedz mi, dlaczego Kurdowie, nie mając ani księży, ani biskupów, ani nauczycieli, wiedzą, jak się bronić? Kto im wpoił przekonanie, że bezbronny człowiek jest jak ta ślepa kura, którą może skrzywdzić każdy, kto tylko zechce?

– Masz słuszność, Kurdowie nie mają ani biskupów, ani księży, ani nauczycieli, lecz za to posiadają szejków. A szejk, chociaż i jest osobą duchowną, zawsze ma przy sobie broń i razem z całym plemieniem uczestniczy w rozbojach. I w przeciwieństwie do naszych księży nie naucza bynajmniej, że grabież jest grzechem.

Syn słuchał, milcząc, a starzec kontynuował:

– Przy tych wszystkich nieszczęściach pociesza mnie jedno: choćby nas Kurdowie nie wiem jak okradali i niszczyli – nasze spichlerze zawsze są pełne, a oni wiecznie siedzą bez chleba.

– Ojcze, znasz przysłowie: „Złodziej swego nie zbuduje, ale cudzy dom zrujnuje". Kurd nie orze, nie sieje, nie żnie, nie ma czego jeść i jakiś czas głoduje, lecz wkrótce odbiera chleb Ormianinowi – i tym samym jego skazuje na głód. Nie bierz za przykład naszej rodziny, ojcze. Pomyśl, ile ormiańskich rodzin siedzi z winy Kurdów bez kawałka chleba.

– Masz rację, synu, ale nie zapominaj też o czymś innym. Nawet gdybyśmy nie zarzynali owiec, a te same by nie padały, to one przecież łatwo się mnożą i tworzą liczne stada, a wilki, które ścigają i pożerają owce, nigdy nie bywają syte i kiepsko się płodzą. Wilk – to drapieżnik: dziś pożarł owcę, zaspokoił na chwilę głód, a nazajutrz znowu jest głodny i znowu grasuje. Żyje wyłącznie polowaniem, a polowanie nie zawsze bywa udane. Podobnie rzecz się ma i z człowiekiem, który żyje jedynie polowaniem – dziś jest syty, ale jutro głodny. Bo i pośród ludzi są wilki i owce.

Tak swoimi słowami starzec obrazowo wyjaśnił sens tego, co w nauce nazywa się „instynktem przetrwania".

Syn jednak zaoponował:

– Ja myślę, ojcze, że gdyby pastuch nie pilnował owiec, wilki już dawno by je rozszarpały. My jesteśmy takimi owcami, ale brak nam pastucha. Cóż zatem ludziom pozostaje? Tylko jedno – sprawić, żeby im także wyrosły wilcze kły…

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W nieznacznym oddaleniu od drogi prowadzącej z Erzurumu do Bajazetu – jedynej dla karawan zdążających do Persji – na malowniczej polanie w głuchym wąwozie stały jeden obok drugiego namioty licznego kurdyjskiego plemienia. Tabuny koni, stada owiec i krów, które się pasły na stokach pobliskich gór, świadczyły o tym, że owo ludne plemię żyje w dostatku.

Było już całkiem ciemno, kiedy wódz plemienia, Fattah-bej, wracając ze swoim oddziałem od starego Chacza, podjechał do wąwozu. Mglisty mrok nocy rozpraszały płonące tu i ówdzie ogniska; podgrzewano nad nimi mleko i gotowano strawę. Usłyszawszy tupot końskich kopyt, wszystkie psy wściekle się rozszczekały; rozległy się też przeciągłe nawoływania wystraszonych pastuchów, przekazujących sobie informację, że jeźdźcy się zbliżają. Członkowie oddziału beja gromko im odkrzyknęli – i ci, rozpoznawszy znajome głosy, od razu się uspokoili. Bej skierował swego konia do tego namiotu, w którym przebywał jego gość – posłaniec erzurumskiego walego. Był to starszy wiekiem turecki urzędnik wyspecjalizowany we wszelkiego rodzaju szachrajstwach i oszustwach. Przez pewien czas w okolicach jeziora Wan pełnił funkcję mudira[60], jednak za nieskrępowane i nagminne wymuszanie łapówek został wydalony.

– Długo kazałeś na siebie czekać! – rzucił poirytowany mudir, wstając na widok wchodzącego beja. – A miałem nadzieję, że jeszcze dziś wieczorem pożegnam się z wami.

– Klnę się na głowę szejka, drogi gościu, że jesteś bardzo niecierpliwym człowiekiem – odparł ze śmiechem bej. – Doprawdy dziwię się, jak dziewięć miesięcy zdołałeś wytrzymać w brzuchu matki. Jeszcze się nie zdążyłem nacieszyć twoim towarzystwem, a już chcesz nas porzucić! Czyżby aż tak obrzydło ci nasze koczowisko?

– Ale skądże, bardzo przyjemnie spędziłem czas, i jeśli bym miał kiedyś trafić do raju – na co raczej nie mam nadziei – to życzyłbym

[60] Mudir – policyjny urzędnik (PR). Wyraz pochodzenia arabskiego, dosłownie znaczy „zarządzający" (AP).

sobie, aby ten raj był tutaj. Mimo to jednak proszę wyprawić mnie jutro w drogę, z samego rana…

– Dobrze, dobrze, znam wasze zwyczaje; Turcy przywykli gnieździć się w swoich cuchnących miastach i – rozwaliwszy się na poduszkach – od rana do wieczora palić nargile[61] i popijać kawę. Dla was nasze pustkowie jest, oczywiście, mało atrakcyjnym miejscem. Muszę przyznać, że nie potrafiłem zapewnić drogiemu gościowi godziwej rozrywki, ale cóż począć? Polowania nie lubisz, jazdy wierzchem też nie – a w górach przecież innych rozrywek nie ma.

Mudir z tradycyjną turecką uprzejmością odpowiedział:

– Światło waszych oczu jest mi droższe nad wszelkie rozrywki. Jestem szczęśliwy, że dostąpiłem zaszczytu ujrzenia was. Ale proszę mieć na uwadze, beju, że twój pokorny sługa nie jest bynajmniej panem samego siebie, albowiem pozostaje uzależniony od walego. A on rozkazał mi ograniczyć pobyt u was najwyżej do dziesięciu dni.

– Wobec tego napiszę do walego i całą winę wezmę na siebie – zaproponował bej. – On się ze mną liczy.

– Wiem, że jesteś mu droższy nad oczy, a każde twoje słowo ma dlań wartość pereł; niezmiennie również powiada, że pośród wszystkich przywódców plemion nie ma równego tobie i że bardzo ofiarnie służysz sułtanowi[62]. Wali już cię nawet przedstawił do orderu medżidije pierwszego stopnia[63].

Na odważnym obliczu beja pojawił się lekceważący uśmiech.

– Ja nie lubię orderów ani innych brzękadełek. One raczej przystają kobietom.

– A zatem co?

– Złote monety.

– Będziesz je miał, beju, wali ci sprzyja i jest dla ciebie bardzo miły. Zważ tylko, przyznał ci wynagrodzenie, które będziesz otrzymywał z państwowej kasy za ochronę granic i zarządzanie tym krajem.

---

[61] Nargile – orientalna fajka wodna. Wyraz pochodzenia perskiego (AP).

[62] Sułtan – turecki władca Imperium Osmańskiego. Wyraz pochodzenia arabskiego (AP).

[63] Medżidije (z akcentem na ostatniej sylabie) – turecki order ustanowiony na cześć sułtana Abdul-Medżida (1839-1861). Wyraz pochodzenia arabskiego (AP).

Spełnił też twoją prośbę, by nie było tu ani mudira, ani kajmakama[64], i powierzył ci pełnię władzy. Zresztą on zawsze spełniał twoje prośby i nigdy nie lekceważył twoich rad.

– Za to jestem walemu ogromnie wdzięczny.

Podczas gdy oni tak sobie gawędzili, słudzy beja, siedząc na ziemi obok namiotu, prowadzili całkiem inną rozmowę. Przechwalali się, każdy opowiadał o swoich podbojach i bandyckich wyczynach. Wyliczali, ilu ludzi który z nich zabił, ilu ograbił, albo ile kobiet porwał…

– Osman ukradł tyle owiec, ile ma włosów na głowie – rzekł Omar.

– A tyś wcale nie lepszy – odpalił urażony Osman. – Porwałeś tyle samo ormiańskich dziewczyn, ile ja owiec.

– Szaban[65] nie ceni Ormianek: mówi, że za dużo płaczą – dorzucił któryś.

– To prawda – przyznał Szaban – tych dziewczyn nawet strach dotknąć, są jakby ze szkła, stale drżysz, że się stłuką, rozbiją… Nasze dziewuchy są całkiem inne: mocne i twarde jak krzemień – choćbyś je nawet rzucił w łapy dzikiego zwierza, nie zapłaczą, klnę się na Allaha. Nie cierpię babskich łez.

– To jeszcze pół biedy – wtrącił podstarzały Kurd. – Gorzej, że te przeklęte giaurki są ślepo oddane swojej wierze. Jak wiecie, mam w domu trzy takie baby i nawet, szczerze mówiąc, nieczęsto je biję – ale i tak widzę, że po kryjomu się modlą. Mimo to, trzeba przyznać, są bardzo pracowite, harują jak woły i nie snują się wciąż tak ospale jak nasze kobiety.

– Ech, jakie Chaczo ma fajne synowe! – z zapałem wykrzyknął młody Kurd. – Gdyby nie to, że jest kumotrem naszego beja, na pewno bym sobie porwał jedną z nich.

Nagle psy zaczęły wściekle ujadać, rozległy się też ostrzegawcze krzyki pełniących wartę pastuchów. Słudzy beja chwycili strzelby i pobiegli tam, skąd donosił się hałas.

---

[64] Kajmakam – wysoki urzędnik turecki. Wyraz pochodzi z arabskiego połączenia *kaim-makam* (dokładniej: *qāʾim maqām*), znaczy dosłownie: „stojący na czyimś miejscu" (w sensie: zastępca wysokiego urzędnika) (AP).

[65] Osman, Omar, Szaban – męskie imiona arabskie (dokładniej: *ʿUṯmān*, *ʿUmar*, *Šaʿbān*) używane przez różne ludy muzułmańskie. To ostatnie (Szaban) jest także nazwą jednego z miesięcy muzułmańskiego kalendarza księżycowego (AP).

W mroku nocy jakieś nieznane głosy żałośnie zawodziły:

– Dobrzy ludzie, na miłość boską, zaprowadźcie nas do beja, stało się straszne nieszczęście…

Słudzy beja nadbiegli w samą porę, inaczej psy rozszarpałyby nieznanych przybyszów. Nocami było niebezpiecznie zbliżać się do kurdyjskich obozów, kopia wartownika groziła każdemu, kto nie zachował ostrożności.

Gdy nieznanych intruzów przyprowadzono do namiotu beja, w świetle latarni okazało się, że to kupcy i poganiacze wielbłądów. Wszyscy byli ranni – jeden w głowę, drugi w ramię, jeszcze inny w pierś; i chociaż rany były zabandażowane, krew ciągle sączyła się spod opatrunków.

Usłyszawszy hałas i podniesione głosy, bej wezwał służącego i go zapytał:

– Co się stało?

– Kilku kupców przyszło do ciebie, panie, na skargę; mówią, że niby ich napadnięto i ograbiono.

Bej się zmieszał, uśmiech zniknął mu z twarzy, niemniej jednak, ukrywając swoje zażenowanie, rozkazał wprowadzić kupców.

– Dziwna sprawa, to chyba niemożliwe – rzekł, zwracając się do mudira. – Jak to się stało, że ograbiono karawanę? Na mojej ziemi jeszcze nic podobnego się nie zdarzyło.

Całą ziemię, na której koczowało plemię, bej uważał za swoją własność, mimo że najmniejszy nawet jej skrawek do niego nie należał; Kurdowie bowiem, jak Cyganie, stale się przenosili z miejsca na miejsce, stale koczowali.

– Przecież grabieże to zwyczajna sprawa – spokojnie zauważył mudir. – Nie ma takiego kraju, gdzie by nie było rozbójników, diabeł się gnieździ nawet pod niebiosami. W Erzurumie też nie ma dnia, żeby ludzie nie przychodzili do walego na skargę.

Bej, pokrzepiony na duchu słowami przebiegłego mudira, odpowiedział:

– Możesz mi wierzyć, dostojny mudirze, i głowa szejka niech będzie tego gwarancją, że ja tak czujnie strzegę swoich granic, iż nawet ptak nie przeleci nad nimi niezauważony. Zachodzę w głowę, jakiż to diabeł napadł i ograbił tych biedaków, nie pojmuję!

Kupcy weszli do namiotu. Jeden z nich, najwidoczniej trochę mniej poszkodowany niż inni, wysunął się do przodu i oznajmił:

– Czcigodny beju, przychodzimy ucałować proch z twoich nóg. Bóg w niebie, a ty na ziemi. Błagamy, w imię miłości Proroka[66], okaż nam pomoc. Jesteśmy ubogimi kupcami. Naszą karawanę zbójcy napadli, ograbili, wielu zabili, a jak sam widzisz, pozostali przy życiu też raczej nie wydobrzeją. Zabrali nam wszystko.

Ciężej ranni nie mogli już dłużej stać na nogach, toteż wyszli z namiotu i usiedli przy wejściu.

– Gdzie was ograbili? – zapytał bej.

– Niedaleko stąd, w górach. Zmusili nas do zjechania z drogi i wpędzili do głuchego wąwozu, tam nas do czysta oskubali, po czym związali i wrzucili do głębokiej jamy. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, zabrali, resztę spalili…

– O jakiej porze dnia się to stało?

– Koło południa. Przesiedzieliśmy w jamie do wieczora, potem jednemu z nas udało się, z Bożą pomocą, rozsupłać więzy i uwolnić pozostałych. Gdybyśmy nie zdołali wydostać się stamtąd, to byśmy pomarli z głodu albo stali się łatwą zdobyczą dla drapieżników.

– Jakiej narodowości jesteście i skąd oraz dokąd zmierzała wasza karawana? – zapytał bej[67].

– Jesteśmy perskimi[68] kupcami, czcigodny beju, i twymi uniżonymi sługami. W Trapezuncie[69] załadowaliśmy na wielbłądy toboły dostarczone statkiem z Konstantynopola. Przez Bajazet zmierzaliśmy do Persji[70]. Całą drogę z Erzurumu przebyliśmy szczęśliwie, dopiero tutaj,

[66] Prorok – chodzi tu o Muḥammada ibn ʿAbd Allāha (Mahometa), który żył w latach około 570-632 w Arabii. Ogłosił się prorokiem Boga (Allāha), inicjując tym samym islam, trzecią – po judaizmie i chrześcijaństwie – religię monoteistyczną (AP).

[67] Rozmowa toczyła się w języku tureckim (AP).

[68] Persowie stanowią najliczniejszy i najważniejszy naród irański z grupy indoirańskiej należącej do wielkiej indoeuropejskiej rodziny językowej. Najbliżej (pod względem językowym) są z nimi spokrewnieni Tadżycy (w Azji Centralnej), dalej – Kurdowie (por. przypis 13), jeszcze dalej – Pasztuni (w Afganistanie) i Osetyjczycy (na Kaukazie) (AP).

[69] Trapezunt – miasto portowe na brzegu Morza Czarnego w północno-wschodniej Turcji. Turecka forma jego nazwy to Trabzon (AP).

[70] Persja – dawna nazwa Iranu, jednego z głównych państw Bliskiego Wschodu (AP).

niestety, dopadło nas nieszczęście. Karawana wiozła cenne towary – straciliśmy wszystko.

– Klnę się na szejka, to niesłychany rozbój! – wykrzyknął oburzony bej, zwracając się do mudira, który bardzo uważnie przysłuchiwał się opowieści kupca, i to on z kolei zapytał:

– A potrafilibyście rozpoznać rozbójników?

– Nie, mieli chusty na twarzach. Nam zresztą też zawiązali oczy. Zdołaliśmy tylko zauważyć, że to byli Kurdowie[71].

– Ilu ich było? – chciał wiedzieć mudir.

– Około pięćdziesięciu ludzi.

– A w którą stronę się skierowali?

– Nie wiemy, nie widzieliśmy – przecież już mówiłem, że zawiązali nam oczy, skrępowali i wrzucili do jamy.

– Wystarczy – gniewnie wypalił bej, przerywając śledztwo mudira. – Dla mnie wszystko jest jasne.

Następnie zwrócił się do kupców:

– Idźcie teraz odpocząć. Jeśli to byli Kurdowie z mojego plemienia, postaram się ich odszukać – i wszystko będzie wam zwrócone. A jeśli to byli obcy – wszystko jedno, oni też mi nie umkną. Bądźcie spokojni. Nie dopuszczę do tego, żeby na mojej ziemi trudniono się rozbojem.

Kupcy pokłonili się bejowi i – gorąco wyraziwszy mu wdzięczność – zwrócili się do Boga z prośbą, by raczył zesłać na beja swe błogosławieństwo.

– Karpo![72] Odprowadź tych ludzi do swojego namiotu – polecił bej jednemu ze służących. – Są naszymi gośćmi – to posłańcy Boga, zgotuj im godne przyjęcie. Niezwłocznie wezwij też medyka, niechaj ich leczy. Tobie powierzam naszych gości! I pamiętaj, jeżeli usłyszę od nich jakieś skargi, dostanie ci się tak, że długo popamiętasz.

Kupcy jeszcze raz podziękowali bejowi, nisko się pokłonili i wyszli.

Odprowadziwszy ich, bej zwrócił się do mudira:

---

[71] Język kurdyjski jest na tyle spokrewniony z perskim (nazwa własna: *fârsi*; por. wyżej przypisy 13, 68), że Persowie – słysząc ich język – orientują się, że to Kurdowie (AP).

[72] Karpo – zdrobnienie ormiańskiego imienia Karapet, które oznaczało „poprzednika" i odnosiło się do św. Jana Chrzciciela jako „poprzednika" Chrystusa. Tu jednak odnosi się do Kurda (AP).

– Osądź sam, szanowny mudirze! Czy w ogóle można się dowiedzieć, jaki diabeł ich napadł i ograbił? Ja w każdym razie jestem przekonany, że moi Kurdowie nie mają z tym nic wspólnego, gdyż bardzo srogo karzę za rozbój – toteż wątpliwe, żeby któryś z nich porwał się na coś podobnego. Tyle że w tych stronach grasują też często obcy zbójcy, najczęściej z Persji. A spróbuj rozpoznać takiego łotra, zamaskowanego i przebranego za Kurda. Za każdym razem musisz nieźle łamać sobie głowę. I mimo to jednak spróbuję, może uda mi się pojmać tych bandytów. Ahme![73] – zwrócił się do swego kuzyna, który dotąd siedział milczący w namiocie. – Weź z sobą dwudziestu najodważniejszych jeźdźców i jedź tam, gdzie ograbiono karawanę; sprawdź, dokąd wiodą ślady, wypytuj też pastuchów, słowem – zrób wszystko, żeby znaleźć tych złoczyńców. Zresztą nie muszę ci tłumaczyć, sam przecież wszystko najlepiej wiesz. Nie dopuszczę do tego, żeby na mojej ziemi napadano i okradano ludzi – to hańbi moje imię.

Ahme ruszył wykonać polecenie.

– Ahme ma psi węch, więc jeśli rozbójnicy nie zdążyli jeszcze daleko odjechać, on ich na pewno dopadnie – stanowczo stwierdził bej.

– Zobaczymy – znacząco, z ledwie wyczuwalnym powątpiewaniem, rzekł mudir.

Było już grubo po północy. Bej rozkazał podać kolację. Zjedli, wypili, po czym bej udał się na spoczynek do swego namiotu, życząc najpierw gościowi spokojnej nocy i obiecując rano wyprawić go w drogę.

Mudir jednakże długo nie mógł zasnąć – rozmyślał i głęboko się nad czymś zastanawiał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Namiot beja – rozdzielony na dwie połowy, z których jedną zajmowała jego żona, a drugą on – niewiele różnił się od namiotów zwykłych pastuchów. Uszyto go z prostego czarnego filcu wytworzonego rękami służebnic.

[73] Ahme – kurdyjskie zdrobnienie arabskiego imienia męskiego Ahmad (AP).

Wszedłszy na swoją połowę, bej rozkazał idącemu za nim służącemu, aby opuścił wejściową kotarę i zostawił go samego. Siedział jakiś czas samotnie, lecz rodziło się wrażenie, że kogoś oczekuje. Wisząca w namiocie latarnia rzucała słabe przymglone światło. Z żeńskiej połowy namiotu nie dobiegały żadne dźwięki – tam najwyraźniej wszyscy już spali.

Nagle w namiocie bezszelestnie zjawił się Karpo – ten sam sługa, któremu bej powierzył troskę o kupców.

– No, jak tam twoi goście, zasnęli? – zwrócił się przebiegle do sługi ze znaczącym uśmieszkiem.

– Dzięki twemu miłosierdziu, mój panie, zasnęli… – chytrze odparł Karpo. – Najedli się, wypili, błogosławili ciebie – i zasnęli. Oby tylko im się nie przyśniło, że ich towary zostały odzyskane…

– Z piekła się nie powraca… – kpiąco rzucił bej. – Gdzie ukryliście towary?

– W naszej wiosce, w domu kuternogi Alo.

– A towary choć cenne?

– Pierwszy raz Bóg nam zesłał taki bogaty łup! Czego tylko tam nie ma: złoto, srebro, jedwab, wełna, słowem – czego dusza zapragnie.

– Nikt ze wsi was nie widział?

– A kto by mógł widzieć? Nie było tam żywej duszy, o tej porze wszyscy nasi gdzieś koczują. Zostało tylko kilka ormiańskich rodzin, ale te boją się nawet nos wysunąć, kładą się spać razem z kurami…

– Gdzie są towary?

– Schowane – u Ala, już mówiłem. W chałupie tego starego wilka jest wiele sekretnych zakamarków. Ukryliśmy wszystko tak dobrze, że i sam diabeł niczego nie znajdzie. Tu są klucze, zabrałem je z sobą, weź je – powiedział Karpo, wręczając bejowi dwa klucze.

– Na tym Alu można polegać – zauważył bej. – Już nie raz przychodził nam z pomocą.

Karpo jął szczegółowo opowiadać, jak ograbili karawanę, i który z jego ludzi w tej operacji szczególnie się wyróżnił.

– Zuch z ciebie, Karpo – pochwalił bej – zawsze ceniłem twoje męstwo. Jak tylko spławimy tego nieroba (chodziło mu, oczywiście, o mudira), podzielę zdobycz – i każdy dostanie według zasług.

Karpo w milczeniu kiwnął głową.

– Jedno mnie tylko niepokoi – z wyraźną troską kontynuował bej. – Może nie należało zaczynać tej sprawy, kiedy on tu akurat siedzi…

– Masz na myśli mudira?

– Tak.

– Mała bieda – roześmiał się Karpo. – Szczodrze obdarujemy efendiego[74], pożegnamy i odprowadzimy z takimi honorami, że na pewno będzie zadowolony. A za nim poślemy dwóch konnych, którzy – zanim jeszcze dojedzie do Erzurumu – odrąbią mu głowę, a nasze podarunki przywiozą z powrotem. I efendi nie zdoła już opowiedzieć walemu o tym, co u nas widział. Prawda?

Bej nie od razu odpowiedział, zastanawiał się.

– Do zabójstwa dojdzie, oczywiście, po drugiej stronie naszej granicy, w pobliżu Erzurumu – ciągnął Karpo – i nikt nas nie będzie o to podejrzewał.

– Nie widzę takiej potrzeby – stwierdził bej po chwili milczenia. – Jeśli nawet do walego dotrą jakieś słuchy, mam środki, żeby go zmiękczyć, obłaskawić – i będzie milczał.

Tu Karpo, jak gdyby przypomniawszy sobie o czymś, wyciągnął zza pazuchy piękną, zawiniętą w chustkę srebrną szkatułkę. Podając ją bejowi, wyjaśnił:

– Zabrałem ją ze sobą, bo jest mała i łatwo mogłaby się zgubić.

Bej otworzył szkatułkę. Były w niej kosztowne precjoza: złote pierścienie, bransolety i naszyjniki.

– Właściciel szkatułki mówił, że zamówił te cacka w Konstantynopolu, na prośbę jakiegoś perskiego chana, który tej zimy miał się żenić i urządzać wesele – z jadowitym uśmieszkiem oznajmił Karpo. – Biedna narzeczona nie doczeka się swoich klejnotów… Kupiec okropnie wrzeszczał, błagał, żeby mu oddać szkatułkę, ale szybko się uspokoił, bo go uciszyłem.

W języku Karpa „uciszyć” znaczyło wysłać na tamten świat.

– Możesz odejść – zezwolił bej.– Ale dobrze się obchodź z naszymi gośćmi, bądź dla nich bardzo uprzejmy. Rano pomyślimy, co z nimi zrobić.

Karpo ukłonił się i wyszedł.

---

[74] Efendi – po turecku „(szanowny) pan”. Wyraz pochodzenia greckiego (AP).

To on był, oczywiście, hersztem tej bandy rozbójników, która ograbiła kupców. Ale rzeczywiste przywództwo nad nią sprawował Fattah-bej; do niego właśnie, jako do lokalnego stróża porządku, nadzorującego również granicę, zwrócili się poszkodowani kupcy.

Po odprawieniu herszta Karpa bej długo jeszcze siedział nieruchomo, wpatrując się w leżące przed nim kosztowności. Nie był w stanie zrozumieć, dlaczego aż tak zniewalał go blask owych klejnotów. „Tę szkatułeczkę poślę erzurumskiemu walemu: trudno by było znaleźć dla niego bardziej stosowny dar" – pomyślał. Lecz nagle jego myśli pobiegły w innym kierunku: przypomniał sobie bowiem ową istotę, która była mu droższa nad wszystko na świecie. „Nie, nie, te piękne naszyjniki muszą ozdabiać jej szyję. Te cudne bransolety są godne tylko jej pięknych rąk, a te pierścionki zostały stworzone wyłącznie dla jej delikatnych palców" – z głębokim przejęciem powtarzał stanowczo w myślach.

Mogłoby się wydawać, że magiczna siła wzbudzonego znienacka miłosnego uczucia zmiękczyła nieco duszę owego dzikusa.

– Zachowam te ozdoby dla n i e j, tylko dla n i e j…

Pod wpływem ogarniającego go emocjonalnego uniesienia bej nieświadomie wymówił na głos te słowa – i nie zauważył, jak ktoś uniósł rozdzielającą namiot zasłonę, wszedł i w milczeniu go obserwował. Była to jego żona – młodziutka Churszid[75] słynąca w całym plemieniu ze swej niezwykłej urody. Wszelako teraz na bladym, zastygłym obliczu owej pięknej kobiety rysowała się złowieszcza zazdrość. Niby mroczny demon stanęła za plecami męża, gotowa zgubić jego duszę.

Obejrzawszy się, bej spostrzegł żonę i ogarnęło go przerażenie.

Kilka chwil oboje, milcząc, patrzyli wzajemnie na siebie jak przeciwnicy, którzy oceniają swoje siły, nim zdecydują się zadać pierwszy cios.

Przed bejem wciąż jeszcze leżała otwarta srebrna szkatułka ze lśniącymi kosztownościami. Przelotnie rzuciwszy na nie okiem, małżonka beja przeszła w kąt namiotu i siadła na poduszkach. Klejnoty, które mogłyby wprawić w euforyczny zachwyt każdą kobietę, a tym bardziej Kurdyjkę, radującą się jak dziecko z każdej błyskotki, wydawały się jej teraz kawałkami potłuczonego, bezwartościowego szkła; ich widok sprawiał jej okropny ból.

[75] Churszid – imię żeńskie oznaczające w języku perskim „słońce" (AP).

Widząc cierpienie małżonki, bej powiedział:

– Niepotrzebnie się dąsasz i złościsz. Tobie też się coś niecoś z tego dostanie…

– Mnie oprócz całunu nic już nie potrzeba – drżącym głosem odpowiedziała Churszid.

Słabe światło latarni padało na bladą twarz kobiety, przydając jej dodatkowego uroku: była w tej chwili podobna do rozgniewanego anioła zemsty.

– Co się stało, Churszid? – łagodnie spytał bej. – Może miałaś niedobry sen?

– To bynajmniej nie sen, przecież na własne oczy widzę, co się tu dzieje!

Bejowi nie mieściło się w głowie, że jego zbójeckie wyczyny mogły wywołać gniew i rozdrażnienie żony: dobrze przecież wiedział, iż Churszid – jak i każda inna Kurdyjka – zwykła uważać rozbój i rozlew krwi za widomą oznakę męskiej odwagi i waleczności. Inna zatem musiała być przyczyna jej gniewu.

Fattah-bej miał tylko jedną żonę. Wprawdzie jako muzułmanin mógł ich posiadać więcej, u Kurdów nie było to jednak przyjęte; poza tym istotną rolę odgrywała też inna okoliczność: Churszid była jedyną córką wszechpotężnego szejka, którego nieograniczona duchowa władza rozciągała się na wszystkie kurdyjskie plemiona – jednego jego słowa starczało, żeby pozbawić władzy dowolnego przywódcę plemienia. Ze względu na daną sytuację bej był uzależniony od szejka, który wyraźnie sprzyjał swemu zięciowi. Gdyby więc bej wziął sobie jeszcze jedną żonę, to by oznaczało brak poszanowania dla szlachetnego rodu Churszid. O tym też myślał, widząc ponure oblicze swej żony. W danej chwili już trzeźwo oceniał zaistniałą sytuację, wszelako nie mógł dać upustu ogarniającym go emocjom. Nie, nie mógł wziąć sobie drugiej żony, przecież Churszid to córka szejka. Jednak gdy jego spojrzenie legło na iskrzących się klejnotach, znów przed oczami stanął mu obraz tej, której je w myślach przeznaczał. Raptem olśnił go domysł – i zrozumiał powód niezadowolenia żony. Jego oczy rozpaliły się złowrogim blaskiem.

– Churszid – rzucił, z trudem powstrzymując wybuch gniewu – czego ty ode mnie chcesz?

– Chcę, aby nasz związek małżeński został zerwany – oświadczyła twardym głosem. – Nie zamierzam być dłużej twoją żoną. Odjadę do ojca.

– Dlaczego?

– Planujesz wziąć sobie drugą żonę, a ja tego nie ścierpię. Jestem dumną córką szejka i nie przystoi mi dzielić męża z jakąś wstrętną Ormianką.

– Ona będzie twoją służącą.

– Starczy mi tych, które już mam.

– Ja ją kocham.

– No to kochaj, jeśli chcesz, ale ta miłość będzie cię drogo kosztować.

– A co mi zrobisz?

– To już moja sprawa!

– Jeszcze ośmielasz się mi grozić, niecnoto? Wiedz, że cię rozdepczę jak glinianą skorupę.

– Tylko spróbuj się ruszyć, a zobaczysz!… – krzyknęła Churszid, zrywając się i celując w męża z maleńkiego pistoletu.

Bej z zaskoczenia wręcz zgłupiał: nie przypuszczał bowiem, że Churszid może być do tego zdolna, toteż patrzył na nią zmieszany, choć jego ręka mimowolnie spoczęła na rękojeści kindżału. W tym momencie z żeńskiej połowy namiotu dobiegł płacz dziecka. Złagodziło to wściekłość małżonków. Macierzyńska miłość wzięła górę nad zazdrością i Churszid pospieszyła ku płaczącemu dziecku, zagroziwszy jeszcze bejowi na pożegnanie:

– Tak czy inaczej, moja zemsta cię dopadnie!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Żona starosty Chacza zmarła wkrótce po urodzeniu Stepanika. Chaczo nie chciał ożenić się powtórnie, jakkolwiek chłopi w jego wieku zazwyczaj nie pozostawali długo wdowcami. Po śmierci małżonki Chacza zarządzanie domem wzięła na siebie jego najstarsza synowa, Sara – skrzętna gospodyni, która słynęła na całą wieś ze swego rozumu i gospodarności. Sam staruszek Chaczo nierzadko zwracał się do niej z prośbą o radę, a pozostałe synowe podporządkowywały się jej bez słowa sprzeciwu.

Pewnego dnia, kiedy wszyscy byli zajęci zwykłymi gospodarskimi sprawami, służąca wysłana po wodę zbliżyła się po powrocie do Sary i szepnęła:

– Jakaś Kurdyjka prosi, żeby pani wyszła przed dom.

– Zawołaj ją tutaj, przecież widzisz, że jestem zajęta – odparła Sara.

– Ona nie chce wchodzić; mówi, że przysłano ją do pani w jakiejś ważnej sprawie.

Sara wyszła na podwórze. Przy bramie stała wysoka, szczupła dziewczyna o pięknej śniadej twarzy.

– Odejdźmy dalej, o… pod tamte drzewa, tam nikogo nie ma – zaproponowała dziewczyna, wskazując ręką na pobliski zagajnik.

Patrząc w błyszczące oczy dziewczyny, Sara mimowolnie się zawahała: czemu ta dzikuska chce ją odwieść tak daleko od domu? I jakąż może mieć sprawę?

– Lepiej wejdźmy na podwórze – powiedziała Sara, biorąc dziewczynę za rękę. – Jeśli chcesz mi coś powiedzieć na osobności, znajdziemy tam ustronny zakątek, gdzie nikt nas nie usłyszy.

Nieznajoma zgodziła się. Sara poprowadziła ją na drugą stronę podwórza, gdzie rosły wysokie, cieniste wierzby.

– Usiądźmy tutaj – powiedziała.

Obie usadowiły się na gęstej trawie.

– No, teraz, moja śliczna, możesz już mówić – życzliwie zezwoliła Sara. – Co cię do mnie sprowadza?

– Dżawo[76] została tutaj przysłana przez panią Churszid. Pani ją zna, prawda? Dżawo to służąca Churszid. Dżawo każdego dnia dziękuje Bogu, że ma taką dobrą panią: ona nie bije Dżawo i często oddaje jej swoje stare sukienki; mówi „Noś je, Dżawo, jesteś dobrą dziewczyną". Wystarczy spojrzeć na moją sukienkę, jest całkiem nowa, to moja pani podarowała ją Dżawo. Moja pani jeden dzień ponosi sukienkę i już jej więcej nie wkłada, a czasem oddaje Dżawo.

I rzeczywiście dziewczyna miała schludny wygląd i była ładnie ubrana. Z jej mętnej[77] opowieści Sara zrozumiała, że dziewczyna ma na imię

[76] Kurdowie często mówią o sobie w trzeciej osobie (AP).

[77] Należy tu wziąć pod uwagę fakt, że obie kobiety, Ormianka i Kurdyjka, rozmawiały ze sobą w obcym języku (tureckim), którego nie znały perfekcyjnie. Stąd „mętne" wypowiedzi Sary i Dżawo (AP).

Dżawo i jest służącą Churszid, żony Fattah-beja, którą Sara ledwo znała. Ale dlaczego Churszid przysłała do niej ową wystrojoną trajkotkę – to wciąż jeszcze pozostawało zagadką.

– Nazywasz siebie Dżawo – to bardzo piękne imię!

– Matka woła na mnie Dżawahir[78], ale moja pani mówi, że lepiej nazywać mnie Dżawo, bo tak jest krócej!

– Ja też będę cię nazywać Dżawo. A teraz powiedz mi, córeńko, co twoja pani kazała ci przekazać?

Dziewczyna jednak ciągle kluczyła i unikała prostej odpowiedzi, jakby trudno jej było zebrać myśli. Toteż, nie wiedząc, od czego zacząć, powiedziała:

– Dzisiaj w nocy moja pani pokłóciła się z panem. Proszę nie myśleć, że Dżawo to głupiutkie dziecko, Dżawo to cwana diablica. Jak oni się kłócili, Dżawo schowała się za kotarą i wszystko słyszała. Ach, jak strasznie pani się gniewała, włosy sobie wyrywała, całą suknię na sobie podarła… Szkoda, Dżawo żałuje, że nie będzie mogła jej nosić…

Zorientowawszy się, że lekkomyślna dziewczyna kocha stroje, Sara odparła:

– Ale Dżawo przecież umie szyć, to jakoś sobie tę suknię zaceruje i będzie mogła ją nosić.

– No pewno, że umie, czemu by Dżawo miała nie umieć szyć? Dość spojrzeć na moje palce – tu dziewczyna wyciągnęła prawą rękę. – Ile to razy Dżawo dziurawiła je igłą, kiedy matka uczyła ją szyć i ze złością powtarzała: „Choćbyś miała gryźć ziemię, dziewucho, to i tak nauczysz się szyć".

– Widzę, że zdolna z ciebie dziewczyna. No to powiedz mi teraz, o co bej się pokłócił z żoną?

– Bej powiedział, że chce sobie wziąć nową żonę. Pani krzyczała: „Nie, nie sprowadzisz jej tutaj! Skończę ze sobą – groziła – jeśli zechcesz to zrobić". Ach, jak mi żal mojej pani, drugiej takiej pan nigdzie nie znajdzie. I po co mu nowa żona?

---

[78] Dżawahir – po arabsku: „perły", l.mn. wyrazu *dżawhar* (w uproszczonej polskiej transkrypcji: *dżałhar*), który jest zapożyczeniem z perskiego *gauhar*, por. ormiańskie imię żeńskie *Gohar*. Forma *Dżawo* to zdrobnienie (AP).

Sara słuchała dziewczyny z coraz większą uwagą.

– Takiej jak Churszid na pewno nie znajdzie. Ale powiedz mi, Dżawo, kogo bej chce sobie wziąć za żonę?

– Pani umrze, jeśli bej sprowadzi nową żonę. Dżawo też tego nie przeżyje… – powiedziała służąca, a w jej oczach zalśniły łzy.

– Ale kogo bej chce sobie wziąć za żonę? – ponownie spytała zniecierpliwiona Sara.

– Lepiej zapytać, dlaczego moja pani przysłała tu Dżawo. Wtedy Dżawo wszystko opowie.

– No dobrze, dlaczego twoja pani cię tu przysłała?

– Jak oni w nocy się pokłócili, to rano pani powiedziała do Dżawo: „Idź do domu kuma Chacza, przekaż ode mnie Sarze gorące pozdrowienie i zapytaj, jak się miewa, jak się jej żyje…". Ach, zapomniałam o to zapytać!

– Nic nie szkodzi. Powiedz, co jeszcze twoja pani kazała ci powiedzieć?

– Pani mi przykazała: „Odejdź z Sarą w ustronne miejsce i powiedz jej…". To dlatego chciałam iść najpierw pod tamte drzewa!

– Tutaj nikt nas nie usłyszy. To co ci w końcu powiedziała twoja pani?

– Pani powiedziała, żebyście jak najszybciej odesłali Stepanika gdzieś daleko, do drugiego kraju. „A gdyby nie mieli na to dość ludzi – dodała moja pani – ja im dam swoich, i niech go odwiozą tam, gdzie im się każe". Pani rozmawiała ze mną o świcie. „Przysięgnij – zażądała – że nikomu nawet słówka o tym nie piśniesz, że nic nie wypaplesz". I Dżawo przysięgła.

Później dziewczyna powtórzyła, że pani zagroziła jej śmiercią, jeśli się komukolwiek wygada, i dodała, że ona bardzo się boi swojej pani, dlatego że ta faktycznie jest zdolna zabić człowieka. Dżawo na własne oczy widziała, jak pani zabiła swojego sługę – i dlatego… Dżawo nikomu nie powie…

Ale biedna Sara niczego już nie słyszała. Imię Stepanika poraziło ją jak błyskawica, w oczach jej pociemniało – i gdyby nie silne ręce Dżawo, które ją podchwyciły, najpewniej by upadła. Widząc, jak przyniesiona nowina poraziła Sarę i dosłownie zwaliła ją z nóg, Dżawo zaczęła pocieszać biedną kobietę:

– Niech Sara się nie martwi: dopóki moja pani jest żywa, nie dopuści do tego, żeby jej mąż zabrał dziewczynę z waszego domu.

– Jaką dziewczynę? – zapytała Sara, doszedłszy nieco do siebie. – W naszym domu nie ma żadnej młodej dziewczyny.

– Gospodarzowi wiadomo, że Stepanik – to dziewczyna.

W tym czasie Stepanik karmił akurat na podwórku swoją koziczkę, którą w przeddzień podarował mu bej. W promieniach słońca wyraźnie rysowała się jego zgrabna, szczuplutka figura.

Wskazując na niego, Sara powiedziała:

– Dobrze się przypatrz, to nasz Stepanik, czy on jest podobny do dziewczyny? Twojego pana ktoś okłamał.

– Powiedziała mu o tym jedna z waszych służących, żona pastucha Chilo. Moja pani się odgrażała, że każe zabić to niegodziwe babsko.

– Żona Chila kłamała, to wszystko nieprawda. Wygnaliśmy ją, bo kradła, a teraz nas oczernia.

Widząc, że Dżawo, mimo jej oczywistej naiwności, jest dość rozgarnięta i szczerze oddana swojej pani, Sara postanowiła jej zaufać: poprosiła, żeby Dżawo przekazała ukłony swojej pani i życzyła jej zdrowia, później podziękowała za dostarczone wiadomości i wreszcie, żeby przekonała swoją panią, że się myli, uważając Stepanika za dziewczynę. Ale – dorzuciła Sara – skoro twoja pani uważa, że Stepanika lepiej wywieźć z domu – jej życzeniu stanie się zadość. Sara prosiła także, aby przekazać Churszid, że bardzo by chciała się z nią spotkać i zasięgnąć jej rady: niech tylko ustali, gdzie i kiedy będzie to możliwe.

Potem Sara rzekła:

– Dżawo, ty moja mądralo, czy aby nie zapomnisz przekazać tego wszystkiego swojej pani?

– Dżawo ma dobrą pamięć, Dżawo nie zapomni – odparła dziewczyna i prostodusznie powtórzyła słowa Sary, jakkolwiek poprzestawiała je trochę po swojemu. Sara jeszcze raz kazała jej wszystko powtórzyć.

– Teraz Dżawo zapamięta – z przekonaniem powiedziała dziewczyna – a w drodze powrotnej Dżawo cały czas będzie sobie jeszcze wszystko powtarzać.

– A jeśli, nie daj Bóg, jeszcze ktoś cię usłyszy? – z powątpiewaniem rzuciła Sara.

– Dżawo nie jest taka głupia, ona nie będzie tego mówiła na głos.

Spojrzawszy na niebo, zauważyła, że słońce znacznie się już przesunęło, czyli robiło się późno, toteż postanowiła spiesznie wracać do domu, jako że czekała ją daleka droga.

– Zaczekaj, Dżawo, coś ci przyniosę, dobra z ciebie dziewczyna.

Sara udała się do domu. W tym czasie Stepanik, który się bawił z koziczką, ujrzał samotnie stojącą Kurdyjkę i podszedł do niej.

– Ty już odchodzisz? – zapytał.

– Popatrz, jak nisko jest słońce, zaraz dzień się skończy – powiedziała Dżawo, wskazując na niebo.

– Byłaś u nas i odchodzisz, ale przecież niczego nie jadłaś… – z troską zauważył Stepanik.

– Ach, Dżawo całkiem zapomniała, że jest głodna. Dżawo niczego jeszcze dziś nie jadła.

– Poczekaj, zaraz przyniosę ci coś do jedzenia.

Dziewczyna, oczarowana dobrocią młodzieńca, objęła go wzruszona i ucałowała. Stepanik pobiegł do domu i przyniósł lawasz[79] grubo posmarowany masłem i miodem.

– Teraz usiądź i zjedz.

– Dżawo weźmie ze sobą.

W tym momencie pojawiła się Sara, niosąc piękną jedwabną chustkę – jedną z ulubionych ozdób kurdyjskich kobiet. Dżawo ucieszyła się jak dziecko i – zapomniawszy o wszystkim – przyskoczyła do Sary i wyrwała chustkę z jej ręki. Narzuciła ją na głowę i wdzięcząc się kokieteryjnie, zapytała Sarę i Stepanika:

– Prawda, że jestem ładna?

– Bardzo ładna – potwierdzili oboje.

– No to pocałujcie Dżawo.

Sara objęła i pocałowała dziewczynę.

– Ty też, Stepanik.

Stepanik poszedł za przykładem Sary.

– A teraz Dżawo pocałuje was.

Prostoduszna dziewczyna żarliwie ucałowała Sarę oraz Stepanika, po czym – pożegnawszy się z nimi – ruszyła w drogę do domu.

[79] Lawasz – cienko rozwałkowany chleb (PR), por. przypis 47 (AP).

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po odejściu Dżawo Sara z nową siłą poczuła całą grozę otrzymanej wiadomości. Niczego niepodejrzewający Stepanik, z ufnością objąwszy Sarę za ramiona, zapytał:

– Dlaczego kurdyjskie dziewczyny to takie dzikuski?

– To wcale nie dzikuski – macierzyńskim tonem objaśniła Sara – tylko nikt ich nie wychowuje, dlatego rosną sobie na wolności jak dzikie zwierzątka.

– Całkiem jak moja koziczka – zauważył Stepanik. – Tyle czasu już się z nią niańczę, ale jakoś nie może do mnie przywyknąć i zawsze ucieka, kiedy do niej podchodzę.

Sara ze wzruszeniem przypatrywała się młodemu człowiekowi, jakby po raz pierwszy dostrzegając jego subtelną, kwitnącą buzię i zgrabną figurę. Jej oczy napełniły się łzami. Obtarła je, żeby Stepanik niczego nie zauważył, ale jego i tak pochłaniały myśli o Dżawo.

– Wiesz, Saro, ona była bardzo głodna. Przyznała się, że nic jeszcze dzisiaj nie jadła. Dałem jej chleba z masłem i miodem, ale nie zjadła – wzięła ze sobą. Dlaczego ona tak się spieszyła, Saro?

– Bo musi przebyć bardzo daleką drogę.

– Dokąd?

– Aż do samych błękitnych gór.

– Zanim tam dojdzie, zrobi się ciemno. I sama będzie musiała nocą iść przez góry… Saro, czy ona nie będzie się bała?

– Nie, Dżawo do tego przywykła. Jak dziki wilczek mógłby się bać ciemności?

W tym momencie ktoś z domu przywołał Sarę, więc odeszła.

Cały dzień natrętne, dręczące myśli nie dawały biednej kobiecie spokoju. Sara snuła się półprzytomna po domu, brała się za to czy owo, ale wszystko leciało jej z rąk. Cały dzień kobietę męczył gorączkowy niepokój.

Sierota Stepanik wyrósł na jej rękach, zastępowała mu matkę. I oto teraz jej pupilkowi groziło niebezpieczeństwo. Komu i jak winna powiedzieć o tym, co dzisiaj usłyszała od Dżawo? Była przekonana, że jeśli staruszek Chaczo dowie się o niecnym zamiarze beja, to tego nie przeżyje. Przecież i tak już nosił w duszy nieuleczalną ranę…

Z drugiej jednak strony Sara rozumiała, że niczego nie wolno ukrywać, bo to może się okazać bardzo niedobre. Trzeba było coś przedsięwziąć, żeby zapobiec nadciągającemu nieszczęściu… Ale komu i co winna powiedzieć?!

Tak bijąc się z myślami, spędziła cały wieczór, jednak nie doszła do żadnego wniosku. Kiedy już została sam na sam z mężem, Hajrapet spytał:

– Saro, jesteś dziś jakaś dziwna, niepodobna do siebie, co z tobą? Może jesteś chora?

– Głowa mnie rozbolała, ale to głupstwo, przejdzie… – odparła Sara. Bała się porazić męża nieoczekiwaną wiadomością.

– Połóż na czoło kompres z octu.

– Już próbowałam, nie pomaga…

Sara postanowiła oględnie przygotować Hajrapeta, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Tu on sam jednak przyszedł jej z pomocą:

– A po co przyszła do nas dzisiaj ta Kurdyjka? Skąd ona jest?

– To służąca Churszid, żony Fattah-beja.

– Zawsze kiedy ten łajdak czy jego ludzie pojawiają się tutaj, obawiam się najgorszego – z goryczą zauważył Hajrapet. – Kiedyż ci bezbożnicy zgubią drogę do naszego domu?

– Wszystko, co dotąd przez nich wycierpieliśmy, to jeszcze nic – z dziwną intonacją powiedziała Sara. – Zresztą, żeby tylko to!…

Hajrapet zbladł. Pragnąc go uspokoić, Sara dodała:

– Jeżeli Pan Bóg wystawia nas na próbę, trzeba to cierpliwie znosić i nie tracić nadziei…

Biedni ludzie! Pocieszali się tym, że wszelkie przeciwności losu mogli przypisywać woli Bożej, jakby to Bóg był twórcą całego zła i wszystkich nieszczęść na ziemi.

– Co się stało? – spytał wystraszony Hajrapet. – Powiedz otwarcie.

Sara opowiedziała mu o swojej rozmowie z Dżawo. Słuchając jej, Hajrapet kilkakrotnie zmieniał się na twarzy: jego oczy to płonęły gniewem, to wyrażały smutek i ubolewanie.

– Już dawno to przewidywałem – stwierdził, usiłując panować nad sobą. – Biedny ojciec, on tego już nie wytrzyma, nowy cios go zabije.

– Ja też o tym myślałam – przyznała Sara. – Taka wiadomość wpędzi go do grobu.

Milczenie trwało kilka minut.

– Ojcu o tym ani słowa – zagaił Hajrapet.

– Ale braciom trzeba powiedzieć – zauważyła Sara.

– Ja im powiem.

– Nie możemy tracić ani minuty! Jeszcze dzisiaj wszystko im powiedz – nalegała Sara. – Musimy się spieszyć: kto wie, co jutro może się zdarzyć.

Hajrapet przykazał żonie, by nic nie mówiła pozostałym synowym, dopóki on nie naradzi się z braćmi.

Wywołał więc braci na podwórko, oznajmił, że musi z nimi porozmawiać o ważnej sprawie, i wyznaczył miejsce spotkania – ustronny zagajnik w pobliżu młyna.

Gdy już wszyscy się tam zebrali, Hajrapet poinformował braci o tym, co przekazała mu Sara. Usłyszana wiadomość tak ich oszołomiła, że zastygli porażeni w milczącym bezruchu. Tak się czasami zdarza w letnie wieczory, kiedy stadko wróbli obsiądzie jakieś drzewo i ożywia las swoim szczebiotem – aż raptem milknie, widząc nadlatującego jastrzębia.

Identyczne wrażenie wywarła na braciach wieść o niegodziwych zamiarach Fattah-beja.

– Oto i przyjaźń Kurda! – rzucił sarkastycznie któryś z nich. – Choć on niby i kum, to jak widać, nic sobie nie robi z naszej gościnności.

– Czy wilk może się przyjaźnić z owcą, albo lis z kurami? – z oburzeniem powiedział Hajrapet. – Tyle że my jesteśmy jeszcze bardziej bezbronni niż owce i kury. Owce mają rogi, mogą ubóść, a kura też nieraz człowieka dziobnie, natomiast my… my – lękliwi tchórze, jesteśmy niczym.

Te słowa wypowiedział on z taką złością, że bracia się przerazili.

– Kim my jesteśmy? – tymże groźnym tonem ciągnął Hajrapet. – Poczciwymi wyrobnikami, parobkami… I tym się szczycimy, z tego jesteśmy dumni?! A przecież osioł, koń czy bawół mają więcej siły i pracują więcej niż my… Jesteśmy bydłem roboczym – i to wszystko… Kopia byle Kurda ważniejsza jest od naszego pługa i sochy… My w pocie czoła się dorabiamy – a oni ze wszystkiego nas obdzierają, wszystko zabierają!… Wychowujemy piękne dziewczęta – a oni je porywają i zniewalają… Wszystko, co dobre i piękne – dla nich, a dla nas – to, co najgorsze; widać na nic lepszego nie zasługujemy. Kilka

dni temu rozmawiałem z ojcem – oznajmił. – Ojciec mnie przekonywał, że nasza sytuacja wcale nie jest taka zła, jak by się mogło wydawać, i dowodził, że z Kurdami trzeba żyć w zgodzie, bo inaczej cały nasz dobytek pójdzie na marne. I spróbuj mu teraz powiedzieć, że Kurdowie zamierzają porwać jego ukochane dziecko, a on nawet nie może, nie ośmieli się protestować… Niczego sobie sytuacja, prawda?! Z czymś takim może się pogodzić tylko Ormianin! Spróbuj tygrysowi odebrać jego młode – natychmiast cię rozszarpie. Tacy też są Kurdowie. A my? My jesteśmy niczym…

Słowa Hajrapeta rozpaliły serca braci takim gniewem, że niektórzy od razu przysięgli nawet za cenę życia bronić honoru siostry.

– Tak niczego nie osiągniemy – rozsądnie zauważył Hajrapet – sami zginiemy, a Stepanika i tak porwą.

– Ale chociaż nie będziemy świadkami hańby naszej siostry! – wykrzyknął Apo.

Jednak nie wszyscy bracia zgodzili się z Apo.

– My zginiemy, broniąc niewieściej czci siostry, a nasze dzieci zostaną sierotami – ozwał się Ohan – to głupie. Ja umywam ręce. Porwą nam siostrę – i co takiego? Niewielka strata. Dlaczego mamy dla niej ryzykować głową?

Z jeszcze większym wyrachowaniem odniósł się do tej sprawy brat Hako:

– Czemu aż tak mamy się martwić o los Stepanika? Przecież wcale nieźle byłoby mieć za szwagra Fattah-beja. Sąsiedzi jeszcze bardziej będą nas wtedy szanowali. Weźmy choćby takiego Myko – ciągnął – jest nic nie wart i w domu niczego nie ma, za to jego córka jest żoną Kurda, toteż wszyscy się boją zadzierać z Mykiem, nikt mu się nie postawi, bo przecież może podjudzić swego szwagra, a ten którejś pięknej nocy wszystkich nas wyrżnie. I co, źle by było mieć takiego szwagra?

Tu Apo wyszedł wręcz z siebie.

– Bóg z tobą, Hako, chyba już całkiem zgłupiałeś! Zastanów się, co ty ględzisz: mamy sprzeniewierzyć się świętej wierze i oddać naszą siostrę na pohańbienie niewiernym – i tylko po to, żeby sąsiedzi bardziej się nas bali i nas szanowali?!… O nie, taki honor nam niepotrzebny! Czy ktoś szanuje Myka za to, że wydał swoją córkę za Kurda? A że ludzie się go boją… wilków też się boją…

Jeden z braci, który dotąd w milczeniu słuchał tego sporu, powiedział mentorskim tonem:

– Nikt nie ma prawa zmieniać porządku ustanowionego przez Boga. Co ma być, to będzie – tego się nie uniknie. Jednego Bóg stworzył Kurdem, drugiego – Ormianinem, jednemu broń dał do ręki, drugiemu – łopatę; i tak być musi, taka jest wola Boża. – I poparł swoje słowa następującym przykładem: – Wrona chciałaby mieć pawie pióra, ale skąd ma je wziąć? Bóg stworzył jednych takimi, drugich innymi.

Apo tak na to odpowiedział:

– Zapominasz, bracie, że wrona i paw to ptaki różnych gatunków i upierzenie mają różne, a Kurd i Ormianin – to ludzie. Kurd rodzi się bez broni w ręku, on tak samo jak Ormianin wychodzi z brzucha matki nagi i słaby. Co Bóg ma do tego? Czy to on włożył Kurdowi broń do ręki? I czy nas stworzył takimi żałosnymi i tchórzliwymi? Bóg się do takich spraw nie miesza. On po to dał nam rozum, żebyśmy sami potrafili odróżniać dobro od zła. Jeżeli pójdziesz teraz rzucić się do rzeki, Bóg cię za rękę nie złapie, żeby cię powstrzymać, sam siebie zgubisz.

Hajrapet milczał, słuchając owego sporu. W przypływie wdzięczności chciał podejść i ucałować Apo, ale się powstrzymał w obawie, że obrazi tym pozostałych braci.

– Widzicie – powiedział surowo – jest nas sześciu i nie możemy dojść do zgody, każdy ma odrębne zdanie. Jeszcze trudniej doprowadzić do zgody cały naród, wszystkich rodaków… A dopóki między nami nie będzie zgody, nasza sytuacja nie ulegnie poprawie. Kurdowie wciąż nam będą pluć w twarz, porywać nasze żony i siostry, odbierać dobytek i ziemię… A my będziemy zmuszeni znosić wszelką przemoc i – jak godne politowania woły robocze – harować na naszego wroga, żeby mógł sobie beztrosko i wygodnie żyć. I za takie nędzne życie mamy być wdzięczni i dziękować Bogu?!

To powiedziawszy, Hajrapet zaproponował, aby tymczasem przenieść Stepanika do monasteru św. Jana, dopóki nie trafi się okazja, by przerzucić go za rosyjską granicę, gdzie będzie bezpieczny. Ohan i Hako nie przystali na tę propozycję z obawy, że rozwścieczy to beja.

– Jeśli odeślemy gdzieś naszą siostrę – odrzekli zgodnie – bej nam tego nie wybaczy i strasznie się zemści.

Obaj bracia zasugerowali, by zostawić Stepanika w domu, podkreślając, że od wyroków losu nie ma ucieczki, bo wszystko się przecież dzieje z woli Boga.

Pozostali nalegali, żeby jednak powiedzieć o wszystkim ojcu, a on – jako głowa rodziny – niech zdecyduje, jak postąpić.

Długo jeszcze bracia się sprzeczali, ale do zgody nie doszli. Nagle ich spór przerwało złowieszcze pohukiwanie sowy. Wszyscy poczuli się nieswojo.

– Słyszycie, mieliśmy rację – stwierdzili Ohan i Hako – ta sowa nas ostrzega… Jeżeli wywieziemy Stepanika z domu – nieszczęścia nie unikniemy.

Jednak Hajrapet i Apo zostali przy swoim – nie zmienili zdania. Bracia rozeszli się, nie uzgodniwszy niczego.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lecz cóż to za zagadka? Dlaczego okazało się, że Stepanik to dziewczyna? Kluczem do tej zagadki jest pewna krótka, ale smutna historia. W jednym z głuchych zakątków rozległego podwórza Chacza był grób, bez krzyża i bez napisu. Ów maleńki wzgórek pomazano jedynie wapnem. Po nocach często można było widzieć leżącego na nim krzyżem i gorzko płaczącego staruszka Chacza.

Domownicy, przechodząc obok mogiły, zawsze ze smutkiem na nią patrzyli; najwyraźniej spoczywała tam droga ich sercu istota. Któż zatem był tu pochowany?

Staruszek Chaczo miał córkę Sonę; Stepanik z twarzy był do niej bardzo podobny.

Kiedy Sona skończyła szesnaście lat, zabiegało o nią wielu swatów, była niezwykle piękna, ale też uchodziła za najlepszą partię w całej wsi. Ojciec, nie wiedząc, którego ze starających się wybrać, długo szukał dla niej narzeczonego, jednak pewne nieoczekiwane wydarzenie położyło kres szczęściu dziewczyny. Pewnego razu wyszła na pole, żeby nazrywać pokrzyw – i nigdy nie wróciła. O jej zniknięciu krążyły przeróżne słuchy: jedni mówili, że pewnie utonęła, drudzy – że

rozszarpały ją dzikie zwierzęta, zabobonni ludzie sądzili, że stała się ofiarą złych duchów, a ci bardziej rozsądni wprost, bez ogródek twierdzili, że dziewczynę porwali Kurdowie. Sony szukano wszędzie, ojciec obiecał wielką nagrodę temu, kto poda wiadomość o niej, ale córka przepadła bez śladu, jakby się rozpłynęła albo zapadła pod ziemię.

Minęło kilka tygodni.

Któregoś dnia przed domem Chacza pojawił się Kurd prowadzący na postronku muła, który na grzbiecie dźwigał trumnę. W trumnie leżała Sona. Z opowieści Kurda wynikało, że nieszczęsną dziewczynę porwał jeden kurdyjski bej, nie tyle rodowity, ile znany całemu plemieniu ze swych zbrodniczych wyczynów. Nie mając nadziei na wyrwanie się z łap owego nienawistnego złoczyńcy, Sona obiecała starej Kurdyjce, że odda jej wszystkie złote monety ze swej tradycyjnej ozdoby głowy, jeżeli tamta zdobędzie dla niej truciznę. Skąpa, łasa na pieniądze starucha przyniosła truciznę – i Sona się otruła. Kurdowie nie zgodzili się pochować jej na własnym cmentarzu – biedaczka do ostatniego tchu bowiem uparcie powtarzała: „Jestem chrześcijanką i nigdy nie odstąpię od swej świętej wiary". Martwa Sona leżała więc niepogrzebana. Wykorzystał to jeden Kurd, który wiedział, czyją ona jest córką, i przywiózł jej ciało ojcu, licząc na sowite wynagrodzenie.

Z nie mniejszym fanatyzmem odniosło się do nieszczęsnej samobójczyni również ormiańskie duchowieństwo. Powołując się na to, że sama odebrała sobie życie i nie przyjęła komunii świętej, księża nie zgodzili się na pochowanie jej na ormiańskim cmentarzu[80]. Oto dlaczego Sona została pogrzebana na podwórzu ojcowskiego domu. Ta, którą odtrącił Kościół, znalazła miejsce swego wiecznego spoczynku niedaleko od swojej rodziny…

Jej śmierć przysporzyła wiele gorzkiego bólu rodzinie Chacza. A wkrótce spadło na nią jeszcze jedno nieszczęście. Matka Sony, Rejan, która osłabiona po urodzeniu Stepanika nadal ciężko przeżywała tragiczną śmierć ukochanej córki, rozchorowała się i z dnia na dzień nikła w oczach, toteż wkrótce podążyła za swoją Soną.

[80] W wielu innych miejscach zetknąłem się z takim samym zwyczajem; to zdumiewające, że podobny fanatyzm nie wywołuje niczyjego sprzeciwu [uwaga autora] (PR).

Przypadek starszej siostry nie pozostał bez wpływu na los Stepanika, który naprawdę był dziewczyną, choć nosił męskie imię i męskie ubrania. Przy narodzinach dziecku nadano imię Lala[81].

Czemu rodzice pragnęli, ażeby wszyscy uważali ją za chłopca?

Śmierć Sony była tak wielkim wstrząsem dla Chacza, że z zabobonnym lękiem odniósł się do narodzin kolejnej córki; bał się, żeby i tej nie spotkał podobny los. Obawy Chacza były w pełni uzasadnione: wiedział o licznych dokonywanych przez muzułmanów porwaniach młodych dziewcząt, w ich kraju bowiem uchodziło to za całkiem normalne zjawisko. Dlatego Chaczo postanowił do pełnoletności uważać Lalę za chłopca. Żona Chacza również zgodziła się z mężem, ale nie było jej dane widzieć, jak rośnie i rozwija się zrodzona przez nią córeczka. Rodzina Chacza zachowywała tajemnicę dotyczącą narodzin Stepanika. Z osób postronnych znało ją tylko troje wtajemniczonych ludzi: wiejski ksiądz, ojciec chrzestny Lali i babka położna, która już dawno nie żyła.

Lala – dalej od czasu do czasu będziemy nazywać ją tym imieniem – dopiero co skończyła szesnaście lat. Na wsi dziewczęta w tym wieku często już wychodzą za mąż, toteż Chaczo zastanawiał się, gdzie by znaleźć córce narzeczonego. A wydać Lalę za mąż wcale nie było łatwo.

Powszechnie uważano ją bowiem za chłopca – i nikt nie przysyłał do niej swatów. Chaczo chciał, żeby jego zięć był cudzoziemcem i żeby wywiózł Lalę jak najdalej od rodzinnych miejsc; miał nadzieję zachować dzięki temu tajemnicę jej narodzin i nie stać się dla całej wsi pośmiewiskiem i powodem do plotek, chociaż w ich kraju nierzadko uciekano się do takich chytrych wybiegów. Ale gdzie można było znaleźć owego wymarzonego zięcia?

Chaczo upatrzył sobie wszelako pewnego kandydata o imieniu Tomas-efendi – niziutkiego, okrąglutkiego osobnika, niepoprawnego pleciugę i łgarza. Skąd ów człowiek pochodził – nikt nie wiedział; o sobie mówił, że jest konstantynopolskim Ormianinem i przechwalał się, że ma w stolicy wielu znamienitych, wysoko urodzonych krewniaków.

[81] Lala – imię żeńskie pochodzenia perskiego o znaczeniu „tulipan". We współczesnej perskiej wymowie: *lâle* (AP).

Bracia Lali nienawidzili Tomasa-efendiego za jego niezmierną chciwość i okrucieństwo. Ormian miał on za nic, traktował wszystkich z góry, arogancko; odzywał się do nich tylko po turecku, natomiast płaszczył się i uniżał przed tureckimi urzędnikami oraz kurdyjskimi bejami – i wielce chełpił się znajomością z nimi. Ich imiona wręcz nie schodziły mu z ust i ciągle straszył nimi ormiańskich wieśniaków.

Tomas-efendi był poborcą podatków. Wykupił też od państwa upoważnienie do ściągania danin.

Dla chłopów poborca podatków jest tym samym, czym dla przesądnego człowieka szatan bądź zły duch. Chłopi drżeli przed poborcami ze strachu. A im większy strach czuje chłop przed kimś lub przed czymś, tym głębszy budzi to jego szacunek i bojaźń. Toteż gdyby sam szatan się przed chłopem pojawił, to i jemu by się chłop podlizywał.

Na najniższym stopniu rozwoju ludzie jednakowo czcili zarówno dobre, jak i złe duchy, wszelako zaskakujący jest fakt, że to złym duchom składano najwięcej ofiar. „Dobre nam sprzyjają – powiadali chłopi – a złe musimy sobie dopiero zjednać, żeby nam nie szkodziły".

Biorąc to pod uwagę, nietrudno zrozumieć, dlaczego Tomasa-efendiego z taką atencją przyjmowano w domu starego Chacza.

Jako wiejski starosta i urzędnik Chaczo nierzadko miał do czynienia z poborcą podatków. Efendi często przyjeżdżał do wsi i długo gościł u Chacza, ściągając od chłopów daninę na rzecz skarbu państwa. Oda w domu starosty, która służyła do podejmowania gości, zmieniała się w takich przypadkach w swego rodzaju wiejską gospodę, gdzie można było spotkać wszystkich, poczynając od naczelnika okręgu, przez policyjnych urzędników, wędrujących mnichów, na żebrakach kończąc.

Następnego dnia rano, po nieudanej rozmowie braci zebranych w zagajniku, we wsi O… pojawił się Tomas-efendi w asyście dwóch policyjnych strażników, z którymi nigdy się nie rozstawał. Przybył zaś do wsi po to, aby ustalić wysokość podatku od owiec i innego bydła, jako że wkrótce miało nastąpić jego wyganianie na wiosenny wypas.

Spełniwszy swoje obowiązki, Tomas-efendi w towarzystwie starosty Chacza skierował się do jego domu. Nawet sułtan nie kroczył tak dumnie po ulicach Konstantynopola, zdążając w piątki do meczetu Hagia Sophia, jak stąpał po wsi O… ów maleńki człowieczek. Wypiąwszy okrągły brzuch, zadarłszy nosa, szedł on, rzucając krzywe spojrzenia na

wszystkich mijanych ludzi – i zapamiętywał tych, którzy nie zdejmowali przed nim czapek.

Odziany był w mundur z mnóstwem żółtych guzików, który – według jego słów – ofiarował mu sam wezyr.

Wszedłszy do domu, efendi bezceremonialnie rozkazał podać sobie kawę i zarazem wydał dyspozycje dotyczące obiadu. Poborca podatków wszędzie czuje się gospodarzem i – przybywając do chłopskiego domu – żąda zaspokojenia wszelkich swoich zachcianek.

Kiedy Tomas-efendi się rozsiadł, stary Chaczo zwrócił się doń ze słowami:

– Niepotrzebnie kazałeś dziś, efendi, wychłostać tego chłopa.

– Mylisz się, starosto – oświadczył efendi przymilnym głosem – chłopów trzeba siec, i to mocno siec! Dopóki osła nie smagniesz batem, nie pociągnie ładunku.

– Ale tamten chłop nie był niczemu winny.

– To nieważne – winny czy niewinny. Dziś on może i nie zawinił, ale już jutro może się czegoś dopuścić. Pewnie znasz baśń Hodży Nasreddina[82] o kłapouchach. Jeden z jego osłów zerwał się z łańcucha i uciekł. A Nasreddin zamiast schwytać i ukarać zbiega, jął siec innego osła, który wciąż pokornie stał uwiązany. Na zadane pytanie: „Za co bijesz tego biedaka, przecież on nie jest niczemu winny?" Hodża odpowiedział: „Na wszelki wypadek, żeby czasem i jemu nie przyszło do głowy uciekać".

– Ale ja jestem przekonany, że chłop mówił prawdę. Wiem, że większą część jego owiec ukradli Kurdowie – upierał się starosta, niepodzielający stanowiska efendiego, że to niewinnego osła należało wychłostać zamiast winnego.

– Ja też wiem, że jego owce porwali Kurdowie – wyniośle odparł efendi – ale gdybym chciał zawsze uwzględniać podobne okoliczności, to wtedy, jak się powiada, „woda by chlusnęła i młyn zatopiła", a ja – z własnej kieszeni – byłbym zmuszony odprowadzać podatek do państwowej kasy! Według zeszłorocznego spisu, pogłowie owiec u tego

[82] Hodża Nasreddin – legendarny bohater humorystycznych opowiadań bliskowschodnich. Wyraz *hodża*/*chodża* (pochodzenia perskiego) oznacza „pana", a *Nasreddin* jest złożonym imieniem arabskim o znaczeniu: „zwycięstwo wiary" (AP).

chłopa wynosiło sto sztuk, i jestem zobowiązany również w tym roku pobrać podatek w takiej samej wysokości, za tyle samo owiec, a czy Kurdowie ukradli mu pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt sztuk – to mnie nie obchodzi. Kurdowie kradną codziennie, jak można komukolwiek pozwolić siebie okradać?

– Szczerze mówiąc, efendi – nie dawał za wygraną starosta – nie masz prawa żądać od chłopa podatku za te owce, które mu zdechły albo przepadły. On nie ma obowiązku za nie płacić.

– A jak ja mogę to sprawdzić?! – wykrzyknął rozzłoszczony poborca. – Chłop mógł owce ukryć, ale mnie będzie przekonywał, że zaginęły, że je ukradli albo że zdechły. Słowem – zacznie na swoje usprawiedliwienie wynajdywać tysiące przyczyn ich niedoboru.

Starosta zmilczał.

– Wy jeszcze nie widzieliście nowego fermanu[83], który mi przysłał sułtan – kontynuował efendi. – Gdybyś wiedział, starosto, co tam jest napisane, inaczej byś ze mną rozmawiał.

Efendi wydobył zza pazuchy rulon papierów i ostrożnie wyciągnął zeń dużą czerwoną kartę, na której pokaźną, wymyślną czcionką było coś wydrukowane.

– Masz, czytaj – podał kartę staroście.

Ten z lękiem patrzył na ogromne litery: gdyby umiał, biedak, czytać po turecku, to by zrozumiał, że trzyma w ręku zwyczajny afisz teatralny informujący o benefisie jakiejś aktorki.

– Starosto, nie okazujesz należnego szacunku fermanowi sułtana – ostrzegł staruszka Tomas-efendi. – Kiedy bierzesz do ręki ferman sułtana, trzeba go najpierw ucałować, a potem dopiero czytać.

Starzec pokornie ucałował papier i zwrócił go poborcy.

– Tysiąc razy możesz powtarzać chłopom, że wyszedł nowy dekret o zwiększeniu podatków, a oni nie chcą o niczym słyszeć – ciągnął zirytowany efendi. – Ja też jestem tylko człowiekiem i kiedy się mnie wyprowadza z równowagi, tracę cierpliwość i wymierzam karę. Nawet osioł, jeśli raz uwiązł w błocie, następnym razem nie pójdzie przez to samo bajoro, choćbyś mu i kark skręcił. A chłopi nawet tyle rozumu nie mają!

[83] Ferman – „dekret, rozporządzenie", wyraz pochodzenia perskiego (współczesna wymowa: *farmân*), który do języka polskiego dotarł za pośrednictwem tureckim (AP).

Tomas-efendi lubił wzbogacać swoją mowę przysłowiami i porzekadłami o osłach.

– Posłuchaj, starosto Chaczo, opowiem ci o pewnym wydarzeniu. Otóż, jak ci pewnie wiadomo, większość wsi Alaszkertu jest pod moją kontrolą. Pewnego razu jeden chłop zebrał zboże, wymłócił i zgarnął ziarno na klepisku. Później wezwał mnie i poprosił, żebym oszacował rozmiary dziesięciny, którą miał zapłacić. Zażądałem, aby uregulował należność pieniędzmi. Odpowiedział, że pieniędzy nie ma, i oświadczył: „Nie macie prawa żądać ode mnie pieniędzy; skoro ma być pszenica – bierzcie pszenicę". (A ja nie mogę ścierpieć, kiedy byle łachudra zaczyna mi bredzić o prawach). No, bratku, już ja ci pokażę, co znaczy prawo. Ziarna nie zmierzyłem i kazałem zostawić je na klepisku; lunęły deszcze, pszenica zwilgotniała, porosła i zgniła. Odczekawszy jakiś czas, udałem się do chłopa i zażądałem: „Skoro należy płacić pszenicą – dawaj pszenicę". A skąd on mógł ją wziąć, kiedy już cała zgniła?! Płać więc pieniędzmi. Ale pieniędzy też nie miał. Rozkazałem, żeby wymierzono mu chłostę, a jego byki sprzedano za podatkowe zaległości. Gdybyś widział, jaki on się potem zrobił uległy, jak spokorniał. Czapkę przede mną na kilometr przed spotkaniem zdejmował. Tylko tak się trzeba obchodzić z głupimi wieśniakami!

– Ale czy tak się godzi… bez sumienia? – z cicha powiedział Chaczo, jakby się lękał, że ktoś go może usłyszeć.

– A co ma do tego sumienie? – rzucił ze wzgardą efendi. – Czym innym jest sumienie, a czym innym władza. Ty już czterdzieści lat jesteś wiejskim starostą, a wciąż się jeszcze nie nauczyłeś sprawować władzy, zarządzać. No to posłuchaj jeszcze innej przypowieści. Oto jeden pasza[84], wyniesiony do godności zarządcy powiatu, od razu kazał zrobić nagonkę na przypadkowych ludzi, wtrącił ich do więzienia, a po pewnym czasie skazał na śmierć jako przestępców. Możliwe, że ci ludzie byli niewinni, ale pasza musiał uśmiercić kilku, żeby zastraszyć innych poddanych. Oto czym jest władza! Naród trzeba stale trzymać w strachu. Gdybym z tamtym chłopem postąpił inaczej i nie zgnoił jego pszenicy, inni mieliby mnie za nic – i już niczego nie mógłbym od nich żądać.

[84] Pasza (albo: basza) – dostojnik turecki. Wyraz pochodzenia perskiego (*pâd-szâh* „padyszach, pan-władca") (AP).

Bezwstydny Tomas-efendi rozprawiał z tak rozbrajającą szczerością, z jaką zazwyczaj Kurd chwali się swoimi rozbojami. Czym więc Tomas-efendi różnił się od Fattah-beja? Tylko tym, że jeden był skończonym, pozbawionym sumienia łajdakiem, a drugi – śmiałym rozbójnikiem.

I to od tych dwóch ludzi zależał los nieszczęsnej Lali. A czy ona może kogokolwiek kochała, to już żadnego z nich nie obchodziło.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tomas-efendi nadal przebywał w domu staruszka Chacza, gdyż we wsi O… miał jeszcze do załatwienia pewne sprawy.

Kilka razy w roku dom staruszka Chacza odwiedzał również inny gość.

Był to młodzieniec pochodzący z powiatu ararackiego[85]. U Chacza kupował on owce, byki, wełnę, ser, masło i zbywał je w Aleksandropolu[86] bądź Erywaniu[87]. Przywoził zaś towary, które sprzedawał miejscowym chłopom: kretony, sukno, lniane tkaniny, herbatę, cukier, kawę i najróżniejsze drobiazgi. Dla mieszkańców takich wiosek jak O…, znacznie oddalonych od miasta, wizyty podobnych handlarzy miały duże znaczenie. Dostarczali oni bowiem chłopom wszystko, co im było potrzebne, i kupowali produkty, których chłopi nie mieli możliwości wywieźć z powodu braku wygodnych dla karawan dróg i ze strachu przed rozbójnikami.

---

[85] Araracki powiat – po rosyjsku *Араратский уезд* [*Araratskij ujezd*]. Należąca od 1878 r. do Rosji jednostka administracyjna o nazwie nawiązującej do najwyższej góry tego regionu, Araratu (5156 m). Tradycja biblijna wiąże tę górę z miejscem wylądowania arki Noego. Nazwa Ararat jest związana z nazwą państwa Urartu, które istniało na terenach późniejszej Armenii w wiekach IX-VI przed Chrystusem (AP).

[86] Aleksandropol – dawna nazwa drugiego co do wielkości (po Erywaniu) miasta Republiki Armenii. Obecnie: Giumri (<Kumajri), w okresie sowieckim: Leninakan (AP).

[87] Erywań – po ormiańsku: *Երևան* [*Jerewan*], z akcentem na ostatniej sylabie. W 1968 r. obchodzono 2750-lecie istnienia tego miasta. Nazwa wywodzi się od urartyjskiego Erebuni.

W domu staruszka Chacza wszyscy się cieszyli z przyjazdu tego gościa. A on tak się zbliżył do całej rodziny, że miano go tu po prostu za swojego.

Wjeżdżając do wioski O…, młodzieniec zwykle kierował swoją maleńką karawanę, złożoną z kilku obciążonych ładunkiem koni, prosto do domu staruszka Chacza, wyładowywał towary i gościł u niego czasem nawet kilka tygodni. Dopiero załatwiwszy wszystkie swoje sprawy, ruszał w drogę powrotną.

Kilka dni po przyjeździe Tomasa-efendiego karawana owego młodego kupca znowu zatrzymała się przed domem Chacza. Efendi zetknął się z przybyszem w bramie, kiedy ten rozładowywał akurat swoją karawanę.

– O Boże, znowu ty!… – westchnął młodzieniec, podchodząc do efendiego i żegnając się znakiem krzyża. – A mnie się wydawało, że to diabeł. Widać tym razem nie uda mi się interes… W imię Ojca, i Syna, i…

Efendi zaniósł się śmiechem, ujął przybyłego za rękę i – patrząc mu prosto w oczy – powiedział:

– No cóż, chent to tylko chent, zawsze to powtarzałem i zdania nie zmienię. Lepiej powiedz, czyś mi przywiózł rumu?

– Przywiozłem ci truciznę; wystarczy, że jej skosztujesz, i migiem się wyniesiesz na tamten świat. A biedni chłopi wreszcie uwolnią się od ciebie – wypalił ze śmiechem młodzieniec.

Tę rozmowę słyszeli chłopi, którzy pomagali zdejmować z końskich grzbietów toboły i wnosili je do domu. Uznawszy żart handlarza za niestosowny, efendi oddalił się, mówiąc, że pilnie musi załatwić jakieś niecierpiące zwłoki sprawy, i wyraził nadzieję, że spotkają się obaj przy obiedzie.

– Siedzieć z tobą przy jednym stole to grzech – rzucił mu na odchodnym młodzieniec.

– Oślego ogona nie sposób ani skrócić, ani wydłużyć, całkiem jak i twojego języra – rzekł poborca. – Osioł, choćby nawet odbył pielgrzymkę do Jerozolimy, zawsze i tak pozostanie osłem – i tylko osłem! – dodał złośliwie.

– No, skoro już zacząłeś ględzić o tych swoich osłach, to pewnie szybko się to nie skończy – kpiąco powiedział uśmiechnięty młodzieniec i odwrócił się.

Efendi odszedł.

W domu staruszka Chacza wszyscy już wiedzieli, że przybył Wartan[88] – tak miał na imię młodzieniec – i podekscytowani czekali, kiedy rozpakuje swoje toboły. Ostatnim razem, gdy odjeżdżał, każdy bowiem coś sobie u niego zamówił.

Kiedy Wartan wniósł swoje pakunki do izby, wszyscy zgromadzili się wokół niego. „Przywiozłeś mi buty?" – zapytywał jeden, „A czapkę dla mnie przywiozłeś?" – dopytywał się drugi. Tłoczyli się wokół niecierpliwie i nawet maluchy szarpały gościa za poły, domagając się tego czy tamtego.

– Przywiozłem, przywiozłem – zapewniał Wartan – każdemu przywiozłem to, o co mnie prosił!

– Dawaj już, dawaj, szybciej! – rozlegały się ze wszystkich stron podniecone dziecięce głosy.

– Och, diablęta, pozwólcie mi odpocząć, potem rozpakuję toboły i wyjmę wszystko, co wam potrzebne.

– Nie, nie – teraz, natychmiast! – nalegała dzieciarnia.

Wszyscy tak przywykli do Wartana, że nie zważając na jego protesty, sami zaczęli rozpakowywać toboły. Rozsupłali splątane sznurki i zaczęli wydostawać długo oczekiwane rzeczy.

Wartan stał na uboczu i z dobrodusznym uśmiechem obserwował owo radosne zamieszanie. I nie przestając się uśmiechać, mówił:

– A bodaj was licho[89], nawet Kurdowie tak zawzięcie nie grabią karawan jak wy…

W całym tym wesołym rozgardiaszu jedynie Lala pozostawała obojętna. Stojąc opodal w milczeniu, lekko się uśmiechała.

Wartan podszedł do niej i spytał:

– A ty czemu nie weźmiesz czegoś dla siebie?

– Mnie nic nie potrzeba… – odparła speszona dziewczyna.

---

[88] Wartan – ormiańskie imię męskie (pisane: *Վարդան* = *Wardan*) kojarzące się z postacią Wartana Mamikoniana, przywódcy powstania antyperskiego z roku 450 (AP).

[89] A bodaj was licho – w oryginale: *ձեր տունը չքանվի* [*dzer tun-y cz(y)-khandwi*] „oby wasz dom się nie zawalił!" (AP).

I rzeczywiście, cóż ona mogła sobie wziąć? Lalę przytłaczała jej dwuznaczna sytuacja[90]; wziąć czegokolwiek z żeńskich fatałaszków nie mogła, a niczego innego nie chciała.

Wartan zrozumiał, co ma na myśli, i rzekł półgłosem:

– A ja przywiozłem ci bardzo ładną rzecz.

– Jaką? – cicho zapytała dziewczyna.

– Później zobaczysz, tylko nie pokazuj nikomu.

Uśmiechnąwszy się, Lala odeszła.

Wartan mógł mieć około dwudziestu lat. Był to rosły młodzieniec o wyrazistych rysach twarzy, którą jednak trudno by było nazwać ładną. Jego duże czarne oczy spoglądały zuchwale, niczym u rozbójnika, a z wydatnych ust praktycznie nie schodził ironiczny uśmieszek. Cała jego postać i sposób bycia świadczyły o nieprzeciętnej sile. Nikt nie wiedział, skąd on pochodzi i czym się zajmował w przeszłości. Opowiadano o nim rozmaite historie, przy czym wszystkie zdecydowanie niepochlebne. Krążyły słuchy, że często bywał w śmiertelnych opałach i tylko szczęśliwym trafem udawało mu się uniknąć stryczka. Przez jakiś czas Wartan był też mnichem i przebywając w monasterze, pełnił obowiązki diakona, później – szkolnego nauczyciela. Jednak z jakich powodów porzucił monaster i szkołę – nikomu nie było wiadomo. O tamtym okresie jego życia krążyły przeróżne anegdoty, świadczące o gwałtownym i niepokornym charakterze młodzieńca. Jedno tylko było całkiem pewne – mianowicie to, że jest nieustraszonym przemytnikiem. A do tego ów przemyślny młodzieniec miał wszelkie predyspozycje: odwagę, zręczność, giętki umysł. Pokonując niebezpieczeństwa i przeszkody związane z aktywnością przemytniczą, zahartował swoją wolę i wyróżniał się rzadką niezłomnością w obliczu zagrożeń.

Nie tylko Tomas-efendi miał Wartana za szaleńca; i we wsi O…, i w jej okolicach znany był on właśnie pod przezwiskiem „chent”.

Dlaczego uważano go za szaleńca? Wszak nie był ani wariatem, ani głupkiem. Jak na mężczyznę, Wartan dużo czytał i posiadał wystarczająco szeroką wiedzę. Dobrze poznał życie oraz ludzi i – mimo swojego młodego wieku – zdążył już wiele przeżyć i doświadczyć. A przezwisko „chent” nosił dlatego, że nie był fałszywy, nie potrafił kłamać,

[90] Dwuznaczna sytuacja – dwuznaczna, bo Lala uchodziła za chłopca (AP).

oszukiwać i często postępował wbrew ludzkim przesądom, utartym opiniom czy uprzedzeniom. Miał otwartą duszę, był szczery i bezpośredni; dostrzegając zło, mówił o nim ludziom prosto w oczy, ale nie szczędził przy tym i siebie – a prawda zawsze w oczy kole: ci, którzy mówią prawdę, są nielubiani i nazywani dziwakami bądź szaleńcami, czyli po prostu chentami.

Wielu starożytnych mędrców i filozofów, choćby tak znanych jak król Pahlul[91] czy Hodża Nasreddin, zyskało sobie miano pomyleńców albo dziwaków. Wartan nie był ani filozofem, ani mędrcem, ale jego sposób myślenia i zachowanie wydawały się ludziom dziwaczne i wywoływały potępienie.

Powiedziawszy Lali, że przywiózł ładną rzecz, którą chciałby jej dyskretnie wręczyć, Wartan odstąpił raptem od swego zwyczaju mówienia prawdy: widocznie istniał jakiś tajemny powód, który nakazywał mu być skrytym. Szukał pretekstu, aby spotkać się na osobności ze Stepanikiem. I taki pretekst wkrótce się pojawił.

W tym miejscu wypada opisać wygląd podwórza w obejściu starego Chacza. Większą jego część zajmował sad obsadzony cienistymi drzewami i krzewami. Drzewa rozrosły się tak bardzo, że z odległości kilku kroków niczego nie można było przez nie wypatrzyć.

Odłożywszy swoje towary, Wartan skierował się do sadu. Chciał poleżeć w cieniu na trawie i odetchnąć. Opanowało go przedziwnie upojne i nad wyraz słodkie uczucie. W takich chwilach delikatny szelest listowia mówi sercu zakochanego więcej niż ludzki język.

Leżąc na miękkiej trawie, w cieniu rozłożystego drzewa, młodzieniec długo i bezmyślnie wpatrywał się w błękitne niebo. Widział, jak przepływały po nim popielato-białe kłębiaste chmury, jak gromadziły się na horyzoncie i zlewały tam w jednolitą masę, zapowiadając burzę…

Dusza Wartana również była niespokojna. W jego sercu dojrzewało, pragnąc wyrwać się na zewnątrz, owo potężne, uskrzydlające ludzi uczucie, które zwie się miłością…

Dla niego już od dawna nie było tajemnicą, że Stepanik jest dziewczyną.

---

[91] Król Pahlul – legendarna postać bliskowschodnia występująca w ormiańskim folklorze (AP).

Znał nawet pobudki, które nakazywały rodzicom przedstawiać ją jako chłopca. Właśnie to zmusiło wrażliwego z natury młodzieńca do tego, by z wielkim współczuciem reagować na los nieszczęsnej dziewczyny. Stopniowo uczucie litości i współczucia przerodziło się w miłość.

Do ostatniego dnia Wartan ukrywał jednak tę miłość głęboko w sercu. I nie tylko nic o niej Lali nie mówił, ale nawet nie dawał po sobie poznać, że zna tajemnicę jej narodzin.

Chociaż Stepanik bardzo się z nim przyjaźnił, to pilnie strzegł rodzinnego sekretu, starając się niczym nie zdradzić swojej prawdziwej tożsamości, mimo to natura niekiedy dawała o sobie znać – jego gesty, chód, intonacja głosu bywały wyraźnie dziewczęce.

Wartan długo leżał w sadzie, oddając się dręczącemu uczuciu. Nagle jego uszu dobiegł jakiś lekki szelest. Odwrócił się i zobaczył, że zbliża się doń Stepanik. Serce młodzieńca mocno zabiło: jeszcze nigdy nie doświadczał takiego podniecenia.

Stepanik nieśmiało podeszła[92] i zatrzymała się w odległości kilku kroków od Wartana.

– Obiad już gotowy, ojciec cię wzywa – oznajmiła.

– Efendi też tam jest? – zapytał Wartan, podnosząc się i siadając na wzgórku, nad którym gęste gałęzie drzew tworzyły swoisty zielony baldachim.

Stepanik z pogardliwym grymasem odpowiedziała:

– Jest, jest ten szatan, a jakże?

– Nie lubisz go, Stepaniku?

– A kto mógłby go lubić?

Wartan postanowił wykorzystać dogodny moment i wręczyć Stepanikowi swój podarek. Poprosił, by chwilę zaczekał[93], i odszedł, ale szybko powrócił, niosąc w ręku maleńki węzełek. Wszedłszy pod zielony baldachim, zaprosił tam również Stepanika.

– Ale ojciec na ciebie czeka – przypomniała dziewczyna.

---

[92] Język ormiański nie zna kategorii rodzaju. Formy o znaczeniu „podszedł" i „podeszła" nie różnią się od siebie. W tym jednak miejscu, gdy romansowa atmosfera wyraźnie wymaga rozróżnienia płci, tłumacz rosyjski (a za nim polski) wprowadził formy żeńskie tam, gdzie to było uzasadnione (AP).

[93] Narracja jest tu mieszana (męsko-żeńska), bo dziewczyna nosząca męskie imię Stepanik (= Stefanek) jeszcze nie ujawniła Wartanowi swojej płci (AP).

– Zdążymy, mamy jeszcze czas. Przysiądź się tu, Stepaniku, chcę ci pokazać jeden drobiazg.

Uradowana Stepanik przysiadła na wzgórku obok Wartana. Ten rozmotał węzełek, w którym znajdowała się piękna hebanowa szkatułka. Następnie wyjął z kieszeni kluczyk i otworzył wieczko. Wewnątrz, pięknie rozłożone, znajdowały się akcesoria do żeńskich robótek: nożyczki, naparstek, igielnik i inne – wszystkie ze srebra, artystycznej roboty. Do wieczka szkatułki było przytwierdzone maleńkie lusterko, a na jej dnie zamontowano aparat muzyczny, który zagrał, gdy Wartan go nakręcił. Stepanik patrzyła na szkatułkę z zachwytem. Pierwszy raz w życiu bowiem widziała taką piękną rzecz.

– Podoba ci się? – zapytał Wartan, spoglądając jej w oczy. – Weź, proszę, to dla ciebie.

Stepanik, która w pierwszej chwili bardzo się ucieszyła z prezentu, nagle spochmurniała. Najwyraźniej coś jej nie pozwalało przyjąć tego podarku. I po chwili, zmieszana, smutno powiedziała:

– Po co mi nożyczki, naparstek, igły… skoro nie jestem dziewczyną… lepiej, żebyś mi przywiózł cokolwiek innego… coś, co przystoi mężczyźnie… – Stepanik mówiła to, zacinając się na każdym słowie, jakby usiłowała przełamać wewnętrzny opór.

Wartana tak uderzyła jej postawa, że zapominając o swym wrodzonym opanowaniu, wykrzyknął:

– Lala, przecież jesteś dziewczyną!

– Ach, ty nawet znasz moje imię! – I onieśmielona dziewczyna mimowolnie oparła głowę na jego ramieniu.

Wartan mocno przytulił ją do siebie. A ona, drżąca, ze łzami w oczach, szeptała:

– Tak, to prawda, jestem dziewczyną.

To pierwszy raz po wielu latach wypowiedziane na głos stwierdzenie wyrwało się z jej ust. Dotąd nie była w stanie wyjawić Wartanowi swojej tajemnicy, chociaż od dawna już była w nim zakochana.

Pochłonięci sobą kochankowie nie zauważyli, jak spoza drzew czyjaś para oczu bacznie ich obserwuje. Była to Sara, zwabiona pod drzewa dźwiękami muzyki z pozytywki.

– No, teraz, dzięki Bogu, Lala jest uratowana!… – z radością powiedziała do siebie i szybko odeszła.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Siedząc w odzie za nakrytym stołem, starosta Chaczo i Tomas-efendi oczekiwali Wartana. Obok umościli się dwaj tureccy policjanci – nieodłączni ochroniarze efendiego, towarzyszący mu zawsze przy ściąganiu podatków – i zarazem wspólnicy we wszelkich jego przestępstwach.

Synów staruszka Chacza w odzie nie było. Kiedy w domu przebywał honorowy gość, oni nie zasiadali przy stole.

– Ten typ wnet się pojawi i znowu zacznie rzucać oszczerstwa, wszystkim zepsuje całą przyjemność ze spożywania obiadu – rzucił efendi, robiąc złośliwą aluzję do Wartana.

– Tak, to znany kpiarz i język ma niewyparzony, lecz serce bardzo dobre – zauważył starosta.

– Wiem, starosto, że serce ma dobre, ale ten jego jęzor to prawdziwe ukąszenie żmii. A nie z każdego można kpić czy się naśmiewać, nie wolno też zapominać, kim jest Tomas-efendi. Wystarczy, że tylko kaszlnę, i ludzi ogarnia przerażenie. Widziałeś przecież ferman sułtana! Powiem więcej: erzurumski wali zawsze sadza mnie obok siebie. Zapytaj ich, jeśli nie wierzysz – mówił poborca, wskazując policjantów.

„Kiedy od lisa w sądzie zażądano przedstawienia świadka, wskazał na swój ogon". Ci dwaj pozbawieni sumienia arcyłgarze zawsze byli gotowi świadczyć na korzyść fałszywych wypowiedzi efendiego.

– Jakże mógłbym nie wierzyć! – odpowiedział starosta.

Tomas-efendi był zły na Wartana nie tyle za jego głupi poranny wybryk, ile za to, że ten przy każdej okazji próbował go ośmieszyć.

– Jeśli tylko zechcę – ciągnął butnie poborca – to cały świat przewrócę do góry nogami, wtedy ten hultaj zobaczy, kim jest Tomas-efendi!

– To jeszcze młodzik – dobrodusznie powiedział starzec – nie bez racji się mówi, że u młodego rozum nie okrzepł. Proszę mi wierzyć, on nie jest taki zły, na jakiego wygląda.

W tym momencie wszedł Wartan. Wydawał się zadumany i był bardzo blady. Tomas-efendi, który jeszcze przed chwilą rozprawiał o nim z taką złością, teraz – jak się mówi – „podwinął ogon" i z przypochlebnym uśmiechem zwrócił się do Wartana:

– Łaskawy młodzieńcze, długo kazałeś na siebie czekać! Czyżbyś nie wiedział, że bez ciebie nie jestem w stanie niczego przełknąć?

– Wiem – sucho odrzekł Wartan, nie patrząc na niego, i usiadł na swoim miejscu.

Podczas obiadu Wartan był małomówny, a wyraz twarzy miał tak zbolały, jakby przeżywał ciężkie duchowe strapienie. Właściwe mu wesołe usposobienie zmieniło się w ponury nastrój, podobnie jak słoneczny dzień zmienia się raptem w niepogodę.

Miłość rozmaicie oddziałuje na ludzi: jedni są zachwyceni i szaleją z radości, drudzy popełniają szaleństwa, trzeci, zakochawszy się, łatwiej znoszą przeciwności losu; co się zaś tyczy Wartana, to miłość zasiała w nim smutek i niepokój. Prawie nie tknął obiadu, tylko dużo pił, usiłując niejako zalać winem ogień płonący w jego sercu.

Tomas-efendi nie przestawał natomiast trajkotać. Czego tylko nie opowiadał o sobie i swoich dokonaniach w przeszłości! Słuchając go, nie można się było oprzeć wrażeniu, iż jest tak bardzo ważną i szanowaną personą, że nawet sam patriarcha Nerses[94] nazywa go nie inaczej, jak tylko „syn mój”[95]. O Chrimianie[96] zaś wyrażał się niepochlebnie, ganił go za niepotrzebną, nadmierną prostotę, miał mu za złe, że się zniża do pogawędek z prostakami z Muszu i Wanu[97]. Efendi zapewniał, iż Nubar-pasza[98] w swoich listach niezmiennie o nim mówi: „mój szlachetnie urodzony przyjaciel”; przechwalał się, że nad brzegiem Bosforu posiada własny pałac, który arenduje Anglikom; przekonywał, że jego przodkowie ofiarowali jerozolimskiej świątyni znaczną sumę pieniędzy, dzięki czemu w monasterze św. Jakuba codziennie w ich intencji odprawiana jest dziękczynna msza; twierdził, że jego stosunki z Odianem[99] zepsuły się dlatego, że tamten zapragnął stać się jego powinowatym i swatał

[94] Patriarcha Nerses V z Asztaraku – katolikos, czyli zwierzchnik Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego w latach 1843-1857 (AP).

[95] W oryginale ormiańskim: *օրհնած* [*orhnac*], dosłownie: „błogosławiony” (AP).

[96] (Hajrik) Mykyrticz I Chrimian – katolikos Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego w latach 1892-1907 (AP).

[97] Musz (Muş) i Wan (Van) – ważne miasta zachodniej Armenii, obecnie na terenie Turcji (AP).

[98] Boghos Nubar-pasza – egipski działacz polityczny narodowości ormiańskiej (1851-1930), por. Malachiasz Ormanian, *Kościół ormiański. Historia, doktryna, zarząd, reguły kanoniczne, liturgia, literatura, stan współczesny*, tłum. i komentarz K. Stopka, Kraków 2004, s. 149 (AP).

[99] Boghos (= Paweł) Odian (Otian) – nadworny architekt sułtana (PR).

z nim swoją córkę, ale efendi odmówił, gdyż nie chciał jej za żonę – i tak dalej, bez końca, wszystko w tym samym duchu.

Długo jeszcze bajdurzył efendi, lecz Wartan prawie go nie słuchał. Starosta natomiast brał te jego przechwałki za dobrą monetę i niemalże omdlewał z zachwytu: „Ach, jak szczęśliwa będzie moja Lala – myślał – jeśli zostanie żoną takiego człowieka, który ma pałac nad brzegiem Bosforu i zrezygnował z zaszczytu stania się zięciem Odiana".

Następnie efendi jął rozprawiać o polityce. Był to czas wojny domowej na Bałkanach, gdzie słowiańskie narody przelewały krew, walcząc o swoją wolność. W Konstantynopolu odbyła się konferencja, na której ważyły się ich losy, a niejaki Mithat[100], ów przebiegły i chytry dyplomata, ogłosił turecką konstytucję.

Rozsiadłszy się w odzie, Tomas-efendi perorował o przyszłości ormiańskiego narodu. Mówiąc o „szaleństwie" Słowian, „którzy ośmielili się powstać przeciwko swoim dobroczyńcom – Turkom", Tomas-efendi z oburzeniem napadł na Ormian, stwierdziwszy, że i wśród nich są tacy „szaleńcy", którzy narzekają na Turków i marzą o obywatelskich swobodach i samorządności. Grzmiał, że Ormianie bez Turków zginą i że sami nie są zdolni rządzić swoim krajem.

Tego Wartan nie mógł już znieść.

– Takim krwiopijcom jak wy, podłym sługusom i poborcom podatków, na rękę są rozpasanie i bezprawne poczynania tureckich władz – stwierdził – bo możecie bezkarnie łowić ryby w mętnej wodzie. Nienawidzicie jasności – wszak nie bez racji złodzieje boją się dziennego światła.

– Panie Wartan – przerwał mu poborca – proszę nie zapominać, że obok pana siedzi dwóch policjantów.

– Nimi możesz sobie straszyć nieszczęsnych chłopów, którzy są tak naiwni, że wierzą w twój pałac nad Bosforem, i żeś niby wzgardził córką Odiana, a za twoich przodków jakoby codziennie odprawiane są dziękczynne msze w monasterze św. Jakuba… Bądź przeklęty ty i wszyscy tobie podobni!… To wy niszczycie naród, wy wszyscy, zaczynając od

[100] Mithat-pasza – wielki wezyr (wysoki dygnitarz) turecki, który nakłonił sułtana Abdülhamida II do ogłoszenia konstytucji w 1876 r. (AP).

poborcy podatków i kończąc na wielmożach z Wysokiej Porty[101], którzy dla własnej korzyści zdradzają interesy swojego narodu.

Tomas-efendi nie umiał się gniewać – a ściślej mówiąc, okazywał swój gniew tylko wtedy, gdy widział, że przeciwnik jest słabszy od niego i że łatwo się z nim rozprawi. Znając wybuchowy charakter Wartana, poborca podatków lękał się go, toteż spróbował obrócić wszystko w żart.

– Widzę, że wino uderzyło ci do głowy, łaskawy młodzieńcze – powiedział. – Musisz być bardziej umiarkowany, jeśli nie umiesz pić!

Wartan krzywo spojrzał na niego i się odwrócił, całym sobą wyrażając pogardę i obrzydzenie dla tego obmierzłego obłudnika.

Staruszek Chaczo siedział, milcząc. W głębi duszy zgadzał się ze słowami Wartana, ale potępiał go za niedopuszczalną ostrość w rozmowie z urzędnikiem państwowym i dlatego wielce się uradował, gdy obiad się już skończył. Nie mógł jednak przewidzieć, że wkrótce kłótnia rozgorzeje na nowo.

Po obiedzie, zgodnie z miejscowym zwyczajem, od razu podano kawę bez cukru.

Tomas-efendi żądał, aby fajkę po kawie zawsze podawał mu Stepanik, jako że „fajka nabita rękami Stepanika o wiele lepiej smakuje".

Coś zgoła tajemniczego było w losach tego biednego „młodzieńca".

Fattah-bej, bywając w gościnie u staruszka Chacza, też lubił, żeby kawę podawał mu Stepanik, twierdząc, że podana przezeń kawa „ma przyjemniejszy smak". Z tego samego powodu Tomas-efendi żądał, aby fajkę również nabijał mu Stepanik. W każdym razie bej wiedział, że Stepanik jest dziewczyną, i kochał ją; ale czy wiedział o tym efendi?

Tak czy inaczej, najbardziej smakowała mu fajka nabijana i podawana rękami Stepanika.

Wtedy akurat wszedł Stepanik, niosąc długą turecką fajkę, i podał ją Tomasowi-efendiemu.

W sercu Wartana zakipiała wściekłość, on doskonale wiedział, jaki dwuznaczny sens kryje się w owym tureckim obyczaju. Podskoczywszy do Stepanika, wyrwał z jego rąk fajkę, wyrzucił ją przez okno i rozkazująco powiedział:

---

[101] Wysoka Porta – tureckie imperium (PR). Nazwa wielkiej bramy (łac. *porta*) w Stambule, która z czasem stała się nazwą władz tureckich w Imperium Osmańskim (AP).

– Wyjdź, Stepaniku!

Zaskoczony Stepanik wyszedł.

Efendi dostał szału, można było pomyśleć, że ktoś go zdzielił ową fajką po głowie.

– Nie znoszę podobnych żartów, ty mnie hańbisz, depczesz mój honor! – wybuchnął.

– Nie tobie mówić o honorze, łajdaku!

– Nie wiesz, że jestem mültezimem[102] całego powiatu! – wrzeszczał efendi.

– Wiem… wszyscy wiedzą, że jesteś najgorszym w powiecie zdziercą i grabieżcą!

Poborca zerwał się jak opętany.

– Nie ruszaj się, bo zabiję jak psa! – huknął Wartan, chwytając za szablę.

Jeden ze strażników-policjantów stanął pomiędzy nimi i rzekł:

– Niepotrzebnie pan się unosi, drogi panie, efendi nie powiedział panu nic obraźliwego.

Nie zwracając na strażnika najmniejszej uwagi, Wartan ryknął do poborcy:

– Ty rozpustniku! Za przykładem Turków włazisz do domu Ormianina, żeby się nażreć i nachlać, i w nikczemnym celu zmuszasz chłopaków i młode dziewczyny, żeby ci usługiwali. Nie masz za grosz sumienia, niecny rozpustniku!

Starosta zdrętwiał. Nie będąc w stanie wymówić słowa, żegnał się jedynie raz po raz, błagając w milczeniu Boga, by go wybawił od nieszczęścia.

Tomas-efendi, mimo chełpliwości, buńczuczności i groźnego tonu, był tchórzliwy jak zając. Zdawał sobie sprawę, że z Wartanem nie uda mu się tak łatwo rozprawić jak z chłopami z okolic Alaszkertu, widząc więc, że Wartan się rozwścieczył (chłopak miał przy sobie szablę i – co ważniejsze – był rosyjskim poddanym), pohamował się i z właściwą sobie hipokryzją potulnie odpowiedział:

---

[102] Mültezim – turecki wyraz oznaczający poborcę podatków, z arabskiego *multazim* (AP).

– Bóg mi świadkiem, że nie naśladuję tureckich obyczajów. Niesłusznie mnie oczerniasz, Wartanie, i rzucasz oszczerstwa.

Tu oszalały z furii młodzieniec wykrzyknął:

– Ja cię oczerniam?! A czy nie ty razem z Turkami najpierw odmawiasz namaz[103], a potem zamawiasz mszę w ormiańskim kościele, żeby zaskarbić sobie przychylność chłopów?… Nie ty wmawiasz Turkom, że wszyscy Ormianie to giaurzy, a pośród Ormian lżysz i przeklinasz Turków?… Nie ty wydajesz tureckim władzom każdego uczciwego Ormianina, który serdecznie troszczy się o swój naród?… Nie ty przyjaźnisz się z rozbójnikami, a w sądzie składasz fałszywe zeznania na ich korzyść?… I czy to nie ty byłeś już dziesięć razy żonaty, nie ty porzuciłeś wszystkie swoje żony, a teraz ponownie chcesz się żenić?… Mówisz, że niby nie naśladujesz tureckich obyczajów, to wiedz, że Turek jest tysiąc razy uczciwszy od ciebie i tobie podobnych, dlatego, żeś ty ani nie Turek, ani Ormianin!

Słowa Wartana o tym, że efendi był już kilka razy żonaty i że znów chce się żenić, jak grom poraziły biednego staruszka. Marzył wszak o tym, aby swoją Lalę wydać za człowieka, który miał wysoko urodzonych krewnych w Konstantynopolu, własny pałac nad Bosforem i nie chciał poślubić córki Odiana. „Nie, nie – bił się z myślami Chaczo – Wartan go szkaluje! Tomas-efendi nie może być oszustem”.

Wyrzuciwszy z siebie cały swój gniew, Wartan opuścił odę.

Ledwie zniknął za drzwiami, język efendiego natychmiast się rozwiązał.

– Obowiązkowo napiszę o tym do sułtana – zagroził. – Napiszę również do rosyjskiego cara. Zapędzę tego niegodziwca na Sybir… Rozprawię się z nim surowo, niech się przekona, kim jest Tomas-efendi! Osłu tylko kij przemówi do rozumu!

Tomas-efendi miał zwyczaj grozić prostaczkom nazwiskami wysoko postawionych osób, dając do zrozumienia, że jest z nimi na równi i z łatwością swoje groźby spełni.

Chociaż staruszek Chaczo był niegłupim człowiekiem i przychodziło mu w życiu doznawać wielu prześladowań ze strony wszelkiego rodzaju

[103] Namaz – muzułmańska modlitwa. Wyraz pochodzenia perskiego (*namâz*) (AP).

urzędników, to jednak – podobnie jak każdy inny chłop – ślepo wierzył, że są oni wszechpotężni. Groźby efendiego tak go przeraziły, że padł poborcy do nóg i ze łzami w oczach błagał:

– Na miłość boską, oszczędź, panie, Wartana, miej wzgląd na moje siwe włosy i nie zsyłaj go na Sybir! Wszak dobrze wiesz, że to tylko chent, młody głupiec!

Udając, że wysłuchał błagań staruszka, efendi po chwili oznajmił:

– Dobrze, oszczędzę go, ale tylko przez wzgląd na ciebie, jako że nie raz w twoim domu jadłem i piłem do woli.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Bieda puka do drzwi – rozwieraj na oścież wrota; tak bywa, kiedy nieszczęścia okrywają mrokiem spokój i pomyślność jakiejś rodziny. Tak też było z rodziną staruszka Chacza, na którą ze wszystkich stron spadały coraz to nowe ciosy.

Członkowie jego rodziny rozmaicie odnieśli się do kłótni Wartana z Tomasem-efendim, chociaż u wszystkich wywołała ona jednakowo bolesne uczucia. Jedni wyśmiewali tchórzostwo efendiego i chwalili Wartana za śmiałość, drudzy go ganili, mówiąc że to narwaniec i nie potrafi utrzymać języka za zębami. Najbardziej oburzali się Ohan i Hako; gdziekolwiek urzędnik by się znajdował – utrzymywali – czy to w domu, czy podczas wykonywania obowiązków służbowych, nie należy mu się sprzeciwiać.

Nie mniej niż oni był zaniepokojony również staruszek Chaczo. I chociaż wprost nie potępiał Wartana, wiedząc, że ten do pewnego stopnia miał rację, to jednak jego zachowanie w stosunku do efendiego uważał za niedopuszczalne.

Dobrze znał efendiego, był więc przekonany, że ów zatwardziały złoczyńca postara się przy najbliższej okazji wymyślić jakąś podłą sztuczkę przeciwko Wartanowi, a gdyby mu się to nie udało, wyładuje swoją złość na rodzinie Chacza. Efendi bowiem miał wszelkie podstawy, by donieść władzom, że w domu starosty znalazł schronienie znany przemytnik, niejaki Wartan.

Ale i coś innego dręczyło jeszcze staruszka. Od chwili, gdy usłyszał, że Tomas-efendi już niejeden raz był żonaty, Chaczo całkowicie utracił wewnętrzny spokój: wszak za tego człowieka pragnął wydać swoją córkę! Wszystkie jego nadzieje się rozwiały.

Jak się dowiedzieć, czy Wartan mówił prawdę? Chociaż staruszek nie uważał go za kłamcę, to jednak wiedział, że różne rzeczy można powiedzieć pod wpływem gniewu.

Co pociągało staruszka Chacza w owym nikczemnym, bezwstydnym poborcy? Dlaczego marzył o tym, by związać los swojej ukochanej córki z takim oszustem? Dobrze przecież wiedział, że Tomas-efendi to szczwany lis i że nie ma dlań niczego świętego, że dla swej korzyści jest gotów popełnić każdą podłość – mimo to jednak Chaczo zapominał o tym wszystkim, gdy widział odzianego w państwowy mundur efendiego. W oczach staruszka Tomas-efendi uosabiał władzę, a jego mundur był symbolem tej władzy, przed którą drżał i której się całkowicie podporządkowywał. Mundur urzędnika państwowego jakby unieważniał i usprawiedliwiał wszelkie obrzydliwe postępki i zachowania najniższego nawet przedstawiciela władzy. Mundur uświęcał wszystko!

Oto dlaczego staruszka Chacza tak pociągała myśl, żeby mieć za zięcia takiego wszechmocnego człowieka jak Tomas-efendi, przed którym wszyscy drżą ze strachu. Będąc z natury prostodusznym i uczciwym człowiekiem, Chaczo – jako wiejski starosta i najważniejsza osoba we wsi – nie był wszelako całkiem pozbawiony próżności. Toteż wątpliwe, czy by się zgodził wydać swoją córkę za zwykłego chłopa, tym bardziej że musiał szczególnie jej strzec, gdyż wzrastała w niezwyczajnych warunkach[104]. Pragnąc, by Tomas-efendi stał się jego zięciem, staruszek Chaczo miał na uwadze jeszcze jeden cel. Jako wiejskiemu staroście ciągle przychodziło mu mieć do czynienia z lokalnymi władzami, liczył więc na to, że efendi jako jego zięć pomoże mu w trudnych przypadkach dojść do porozumienia z urzędnikami.

I oto teraz wszystkie jego nadzieje legły w gruzach!

Gdyby w dodatku Chaczo jeszcze się dowiedział, jakie niebezpieczeństwo ze strony Fattah-beja groziło jego ukochanej córce, nie prze-

[104] Chodzi tu o tę okoliczność, że Lala była ubierana w męskie stroje i udawała chłopca (AP).

żyłby już nowego ciosu! Jego synowie wszakże zachowywali milczenie, chociaż ta tajemnica dręczyła ich w przykry sposób. Szczególne męki przeżywali Hajrapet i Apo. Nie mogąc dojść do porozumienia z braćmi, nie wiedzieli, co zrobić, żeby ocalić kochaną siostrę od zguby.

Jaki los może czekać biedną Lalę, kiedy bej uprowadzi ją z rodzinnego domu? Czy pogodzi się ona ze swoją dolą, czy też – jak Sona – skończy ze sobą?…

Podczas gdy bracia z trwogą myśleli o losie Lali, ona jak nigdy dotąd była beztroska i szczęśliwa. Po tajemnym spotkaniu z Wartanem, kiedy otrzymała z rąk ukochanego drogocenną szkatułkę, miała wrażenie, że męski strój ją parzy. Pragnęła poczuć na sobie kobiecą szatę, być taką, jaką została stworzona. Czuła jeszcze na ustach gorące pocałunki Wartana, w uszach wciąż jeszcze dźwięczały jego pieszczotliwe słowa. A od chwili, gdy na jej oczach Wartan odniósł zwycięstwo nad efendim, przed którym drżał ze strachu cały powiat, do jej miłości dołączyło jeszcze uczucie zachwytu.

Trudno powiedzieć, dlaczego kobietom podoba się, kiedy mężczyzna przewyższa je rozumem, siłą, a zwłaszcza odwagą i walecznością. Są zachwycone, widząc, że mężczyzna posiada owe cechy. Od momentu, gdy Wartan z taką stanowczością zdemaskował zarozumiałego megalomana efendiego, którego Lala nienawidziła z całej duszy, zaczęła wręcz ubóstwiać swego ukochanego. Dotychczas wiele już się nacierpiała z powodu bezczelnego poborcy, toteż kiedy wchodził do ich domu, starała się przed nim uciec i gdziekolwiek schować, ale ojciec posyłał za nią i żądał, by nabijała efendiemu fajkę.

Spotkawszy się w odzie z Hajrapetem, Lala opowiedziała mu o kłótni Wartana z poborcą. Wysłuchawszy jej, Hajrapet rzekł:

– Zuch Wartan, słusznie postąpił. Należałoby udusić tego bydlaka. Zwykł pomiatać chłopami i myśli, że każdy będzie grzbiet przed nim zginał i nisko się kłaniał.

Lala była gotowa uściskać brata i przyznać mu się, że kocha, od dawna już kocha Wartana, i bardzo prosi, aby brat pomówił o tym z ojcem, ale Hajrapet tak szybko odszedł, jakby musiał pilnie załatwić jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę.

Sara tego dnia miała się spotkać z Churszid – żoną Fattah-beja. O poranku zjawiła się Dżawo i powiedziała, że jej pani wybiera się na

pielgrzymkę do kaplicy w pobliżu wioski O…, aby złożyć błagalną ofiarę, gdyż zachorowało jej dziecko, i tam chciałaby spotkać się z Sarą. Do owej kaplicy jednakowo chętnie przybywali na modlitwę zarówno Ormianie, jak i Kurdowie. Sara bardzo się ucieszyła, że Churszid spełniła jej prośbę, gdyż sama przecież ostatnio – za pośrednictwem Dżawo – zabiegała o tę wizytę.

Rozstawszy się z Lalą, Hajrapet pospieszył na spotkanie z Sarą, aby poznać szczegóły jej rozmowy z Churszid. Opuściwszy wioskę, w połowie drogi do kaplicy siadł u podnóża ogromnej skały i niecierpliwie oczekiwał Sary, która powinna wracać tą właśnie drogą.

Miejsce, na którym się usadowił Hajrapet, było niezwykle malownicze. Ziemię wokół niego pokrywały wielkie okrągłe głazy. Pomiędzy nimi gęsto rozrosły się krzewy, gdzieniegdzie wznosiły się też potężne drzewa. Uwagę Hajrapeta przykuła dzika jabłonka. Cały jej pień oplatała wiecznie żyjąca pnąca roślina, której odrosty sięgały już górnych gałęzi drzewa. Wydawało się, że owo pnącze chce zadusić jabłonkę: górne jej gałązki były już pozbawione liści i uschły…

Każdy człowiek miewa takie momenty, gdy się pogrąża w filozoficznych rozmyślaniach. „Oto dobry przykład – myślał Hajrapet, patrząc na jabłonkę – ta dzika pnąca roślina żyje jak pasożyt, nie mając korzeni w matce ziemi, czepia się swoimi przyssawkami kory owocowego drzewa, odżywia się jego kosztem, łapczywie wchłania jego soki, osłabia, niszczy i gubi swojego karmiciela. Tak też Kurdowie – podobnie jak ta dzika roślina – żyją kosztem Ormian".

Hajrapet miał dobre serce i jasny umysł. Jego spojrzenie na życie było otwarte. Ale gdzie je nabył i sobie przyswoił? Gdyby całe życie przemieszkał na wsi, jego widnokrąg umysłowy byłby zapewne tak samo ograniczony jak u innych wieśniaków. Los jednak chciał inaczej. Swoją młodość Hajrapet spędził w obcym kraju. Jako czupurny wyrostek pokłócił się niegdyś z ojcem i – jak zazwyczaj bywa w takich przypadkach – porzuciwszy rodzinny dom, ruszył na tułaczkę po świecie. W końcu, po długich latach poniewierki, trafił do Konstantynopola, który w owym czasie był ogniwem łączącym Europę i Azję. Życie w wielkim mieście otworzyło mu oczy na wiele spraw, i chociaż nie zgłębiał żadnych nauk, to jednak przyswoił sobie niektóre postępowe poglądy, o których prosty chłop nie ma nawet pojęcia.

Hajrapet długo siedział u podnóża skały, czekając na żonę. Słońce już chyliło się ku zachodowi i jego dogasające promienie barwiły na czerwono wierzchołki dalekich gór.

Wreszcie pokazała się Sara. Radosny wyraz jej twarzy uzmysłowił Hajrapetowi, że powraca z dobrymi wieściami.

– Chłopiec czy dziewczynka?! – wykrzyknął.

– Chłopiec, chłopiec – ze śmiechem odpowiedziała żona i podszedłszy do męża, opadła zmęczona obok niego na kamień.

Według ludowych wierzeń słowo „chłopiec" oznaczało pomyślną wiadomość, wieśniacy bowiem uważali, że narodziny chłopca przynosiły radość, a narodziny córki – smutek i zgryzotę.

Sara otarła pot z twarzy, odetchnęła i opowiedziała mężowi wszystko, co usłyszała od żony Fattah-beja.

A oto, co powiedziała. Według słów Churszid, bej teraz rzadziej myśli o Stepaniku, gdyż ma wiele poważnych zmartwień i na jakiś czas musi zapomnieć o swojej miłości. Bej – mówiła Churszid – dostał specjalny rozkaz od erzurumskiego walego, ponieważ trwają jakieś przygotowania: prowadzona jest ewidencja wszystkich mężczyzn z ich plemienia, rozdaje im się broń i pieniądze, żeby kupili sobie konie, odzież i inny ekwipunek. Co oznaczają te przygotowania, Churszid niestety nie wie. Ale – tak jak i wcześniej – radzi wysłać Stepanika gdzieś daleko albo wydać ją za mąż, bo jest przekonana, że bej wcześniej czy później zrealizuje swoje zamierzenia względem dziewczyny. „I chociaż – dodała Churszid – rozmawiałam o tym z ojcem, który obiecał przemówić bejowi do rozumu, ja nie dowierzam mężowi – i jeśli on nadal zechce trwać przy swoim, będę zmuszona opuścić jego dom i wrócić do ojca".

Uważnie wysłuchawszy opowiadania Sary, Hajrapet rzekł:

– Wszystko to nie oddala zagrożenia, jednak dobrze, że sprawy zwolniły. Dzięki temu będziemy mogli coś przedsięwziąć, aby zmienić lub choć poprawić sytuację Lali.

– Zgadzam się z tobą – powiedziała Sara.

– No to zastanówmy się, co należy zrobić.

– Nie ma innego wyjścia, trzeba ją wydać za mąż.

– To Lali nie uratuje. Bej nie będzie miał skrupułów i nawet zamężną dziewczynę porwie. Pozostaje nam tylko jedno: znaleźć takiego

człowieka, który się z nią ożeni i wywiezie do innego kraju – zasugerowała Sara.

– Świetnie to wymyśliłaś – przyznał Hajrapet – tylko gdzie go znaleźć? W naszej wsi takiego nie uświadczysz, wszyscy się boją zemsty beja. On takiemu śmiałkowi na pewno spali dom, wymorduje całą jego rodzinę i wszystkich krewnych!

– A ja znam takiego człowieka, który zemsty beja się nie przestraszy!

– Co to za jeden?

– Wartan.

Twarz Hajrapeta się rozjaśniła, kiedy Sara mu powiedziała, że mimowolnie była świadkiem miłosnego spotkania Wartana z Lalą i że słyszała, jak oboje przysięgali sobie wieczną miłość.

– To wspaniale – ucieszył się Hajrapet. – Nikt oprócz Wartana nie zdoła jej ocalić.

Zaczęło zmierzchać. Hajrapet i Sara pospieszyli do domu.

W drodze Hajrapet rozmyślał o tym, co mogą oznaczać przygotowania beja i dlaczego zbroi on swoje plemię. Czy aby nie planuje jakiejś nowej zbrodni?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Było już całkiem ciemno, kiedy Hajrapet i Sara wrócili do domu. Tu dowiedzieli się, że po kłótni z Wartanem Tomas-efendi czuł się znieważony i opuścił ich dom, czym staruszek Chaczo bardzo się przejął. Obawiał się, że rozeźlony poborca wytnie mu zapewne jakąś podłą sztuczkę.

Wartan miał twardy i wybuchowy charakter, nigdy jednak bezpodstawnie nie znieważał ludzi. Jego zdaniem Tomas-efendi był skończonym łajdakiem, jako że pozostając na służbie tureckiego rządu, gnębił swoich rodaków, okradał ich i rujnował. Poza tym znał również przeszłość efendiego: ten niegodziwiec i oszust, pełniąc funkcję poborcy podatków w różnych powiatach Armenii[105], wszędzie znajdował sobie żony i uwiódł wiele dziewcząt. Najwyraźniej identyczne zamiary miał

[105] Chodzi o zachodnią Armenię pozostającą pod władzą Turcji (AP).

również w stosunku do Lali. Pragnął otumanić łatwowiernego, naiwnego Chacza i uwieść jego córkę. Czy Wartan mógłby to ścierpieć, zwłaszcza że chodziło o jego ukochaną dziewczynę?!

Powodem tego, że Tomas-efendi z takim pośpiechem opuścił dom staruszka Chacza, były nie tylko jego urażona duma i niechęć do przebywania w towarzystwie Wartana – efendi potrafił w razie potrzeby w milczeniu znosić obelgi. Chodziło o to, że otrzymał on list dostarczony przez umyślnego posłańca, w którym nakazywano mu zsypać do specjalnych spichrzów całe zgromadzone przezeń w ramach podatków zboże i pod żadnym pozorem go nie sprzedawać, gdyż było ono pilnie potrzebne rządowi państwa. Zapewne trwają jakieś tajemne przygotowania i nieprzypadkowo Fattah-bej dozbraja Kurdów…

Po odjeździe Tomasa-efendiego w domu staruszka Chacza pojawił się nowy gość. Był to chudy, tyczkowaty młodzieniec o bardzo bladej twarzy. Jego chorobliwy wygląd świadczył o tym, że wiele czasu przesiedział w szkolnej ławie.

Kim był ów obcy i czym się zajmował – nikt nie miał pojęcia. Wiadomo było jedynie, że jest konstantynopolskim Ormianinem, toteż staruszek Chaczo uznał za swój obowiązek okazać gościnność mieszkańcowi stolicy.

Przyjezdny nie miał żadnego innego bagażu oprócz churdżyna. Ubrany był w znoszony europejski garnitur, świadczący o jego ubóstwie. Poganiacz wielbłądów[106], z którym przybył do wsi, porzucił go, i przybysz błądził po ulicach w poszukiwaniu kwatery, kiedy przypadkiem spotkał się z Wartanem.

Nie bez powodu się mówi, że swój do swego ciągnie. Zamieniwszy ze sobą ledwie kilka słów, młodzieńcy natychmiast się zaprzyjaźnili i – mimo że dotąd wcale się nie znali – po bratersku, niby członkowie tajemnej sekty, wyciągnęli i uścisnęli sobie ręce.

Wartan wziął pod opiekę nowego znajomego i przyprowadził go do domu staruszka Chacza. Gość przedstawił się imieniem i nazwiskiem: oznajmił, że nazywa się Mikajel Dudukczian.

---

[106] Poganiacz wielbłądów – w oryginale (a także w przekładzie rosyjskim!) występuje tu perski wyraz *čârvâdâr*, który dosłownie znaczy: „strażnik czworonogów” (**čahâr-pâ-dâr*) (AP).

Nazwiska Ormian mieszkających w Turcji często były tworzone od tureckich nazw zawodów, które uprawiali ojciec lub dziad danej osoby. Nazwisko Dudukczian[107] wskazywało więc, że ojciec (albo dziad) Mikajela wyrabiał fujarki określane ormiańskim wyrazem *duduk*.

Szczerze mówiąc, staruszkowi Chaczowi nie spodobały się ani trudne do wymówienia[108] nazwisko gościa, ani jego blade, chorobliwe oblicze, ani szkliste, gorączkowo błyszczące źrenice. Nieufność staruszka w stosunku do owego Konstantynopolitańczyka[109] budził też jego ponury, nieprzystępny wygląd. Wartan jednakże szepnął staroście: „To dobry chłopak, gdy go lepiej poznasz – polubisz". Zanim Dudukczian wszedł do domu staruszka Chacza, zadał Wartanowi tylko jedno pytanie:

– Czy tym ludziom można zaufać?

– Można – z pełnym przekonaniem odpowiedział Wartan.

Tego wieczora za stołem – razem ze starostą – siedziało sześciu jego synów, jako że w domu nie było ani Tomasa-efendiego, ani innych znamienitych gości. Co się zaś tyczy Wartana, to on był swoim człowiekiem, a z Dudukczianem zbytnio się nie ceregielili, uważając, że powinien się zadowolić samą obfitą kolacją.

Kolacja przebiegała w uciążliwym milczeniu: każdy był pochłonięty własnymi myślami.

Staruszka niepokoił nagły odjazd efendiego, Hajrapet rozmyślał o beju i Lali, przy czym – wspominając opowieść Sary – próbował sobie wyobrazić, jak też to wszystko się skończy. Pozostali synowie Chacza wybiegali myślami ku czekającym ich rano gospodarskim obowiązkom. Oczom Wartana zaś jawił się przepiękny obraz Lali. Natomiast to, o czym rozmyślał nowy gość – jednemu tylko Bogu było wiadomo.

---

[107] Dudukczian – nazwisko ormiańskie utworzone od tureckiej nazwy *düdükczü* (pisanej: *düdükçü*) oznaczającej producenta drewnianych fujarek o nazwie *düdük* (po ormiańsku: *duduk*), por. polską dialektalną, dźwiękonaśladowczą nazwę instrumentu *dudy* (AP).

[108] Być może gość wymawiał swoje nazwisko na sposób turecki z samogłoskami umlautowymi (*düdük*, por. przypis 107) (AP).

[109] Konstantynopolitańczyk – Ormianie unikają tureckiej nazwy Stambuł (İstanbul), przedkładając nad nią starożytną nazwę tego greckiego miasta: Konstantynopol. Mieszkaniec tego miasta to po ormiańsku *polseci* (*պոլսեցի*), w wymowie zachodnioormiańskiej: *bolseci* (AP).

Kiedy uprzątnięto ze stołu, Lala – zgodnie z miejscowym obyczajem – przyniosła miedzianą miednicę i dzban z wodą do obmycia rąk. Potem wszyscy odmówili modlitwę dziękczynną. Staruszek zapalił swoją długą fajkę, a Dudukczian – wydostawszy zza pazuchy kosztowną cygarnicę, która jawnie nie pasowała do jego znoszonego ubrania – wyjął z niej papierosa i zapalił. W pokoju przyjemnie zapachniało hawańskim tytoniem. Widać było, że młody gość zapewne miewał już lepsze okresy w życiu, ale zmienne koleje losu skazały go na biedowanie.

Po kolacji rozmowa zeszła na Tomasa-efendiego. Wartan szczegółowo opowiedział o nim Dudukczianowi.

Staruszek Chaczo czynił Wartanowi łagodne wyrzuty za to, że zachował się względem poborcy lekkomyślnie i nietaktownie.

– Przecież wiesz – zaczął starosta – że jesteś dla mnie jak rodzony syn – i wskazał przy tym na siedzących za stołem sześciu synów oraz na stojącą obok nich Lalę. Staruszek miał zwyczaj przysięgać na życie swoich synów, nie wyłączając i Stepanika. Nie przychodziło mu jednak do głowy, że również Wartan zna sekret jej narodzin.

– Klnę się na życie swoich dzieci, że traktuję cię jak syna – ciągnął staruszek – mój dom to twój dom, przyjeżdżaj i mieszkaj, jak długo chcesz; drzwi tego domu zawsze są dla ciebie otwarte. Tylko pamiętaj, że tu nie jest tak jak w waszych krajach – tutaj ludzie pokroju Tomasa-efendiego są bardzo, ale to bardzo ważni… Oni są wszechmocni… Dlatego, chcąc nie chcąc, trzeba im okazywać szacunek i w milczeniu znosić wszelkie ich wybryki. Cóż zrobić?! „Jeżeli nie możesz odrąbać złodziejowi ręki, pocałuj ją i pogódź się ze swoim losem” – mówi przysłowie. Możliwe, że efendi nie wyrządzi ci żadnej szkody, wszak jesteś cudzoziemcem, ale my srogą poniesiemy za ciebie karę. Pewnie znasz tureckie porzekadło: „Tchórz, przestraszywszy się osła, bije go po siodle”.

Słowa staruszka poruszyły Wartana do żywego:

– A ja znam inne, jeszcze lepsze przysłowie – oświadczył. – „Spuść manto Turkowi, a stanie się twoim przyjacielem”; Tomas-efendi zachowuje się jak Turek i bardzo żałuję, że go porządnie nie przetrzepałem, chociaż bynajmniej nie potrzebuję jego przyjaźni.

Staruszek Chaczo spochmurniał, odpowiedź Wartana nie przypadła mu do gustu; Stepanik natomiast się rozpromienił. Nie umknęło to uwadze Wartana, który z zachwytem spojrzał na niego: „Oto jedyna istota

w tym domu, która mi współczuje – pomyślał. – Tylko ona rozumie, że efendi to rozpustnik i szubrawiec".

I z zapałem jął przekonywać, że racja jest po jego stronie:

– Wy pozwalacie wszelkim ohydnym łajdakom włazić sobie na głowę! – wypalił. – Cierpicie, pokornie znosicie ich zbrodnie! Mogę jeszcze zrozumieć, że Turcy i Kurdowie nas depczą, nękają, tępią – to mnie nie dziwi, albowiem tak się już od wieków utarło i oni bez tego nie mogą istnieć. Ale kiedy Ormianin postępuje ze swymi braćmi jeszcze gorzej niż Turek i Kurd, to – moim zdaniem – jest to coś potwornego. Prosto w oczy powiedziałem to efendiemu i on nic nie mógł na to odpowiedzieć.

– Ja bym mu powiedział jeszcze ostrzej – podchwycił Hajrapet – ale ojciec stale nas poucza, że trzeba cierpliwie czekać… „Cierp, powiada, kiedyś i my będziemy wolni…". Nie wiem, jak długo jeszcze przyjdzie nam cierpieć i czekać!…

– Aż nasz Zbawiciel znowu przyjdzie w chwale – żartobliwie zauważył Wartan. – Tylko szkoda, że do tego czasu nie będzie już na świecie ani jednego Ormianina…

– Cierpliwość to życie – mentorskim tonem ozwał się staruszek. – Nasi księża i biskupi codziennie głoszą tę prawdę w kazaniach. Nadejdzie dzień… i Bóg wspomni na swe ginące owce. Bądźcie cierpliwi, moje dzieci – życie to pokorna cierpliwość.

– Nie! Taka cierpliwość – to śmierć! – nieoczekiwanie włączając się do rozmowy, wykrzyknął milczący dotąd Dudukczian. Jego twarz stała się purpurowa, usta drżały. – Cierpliwość to śmierć – powtórzył z oburzeniem. – Tylko martwi są (wiecznie) cierpliwi. Posiadając taką cierpliwość, idziemy – podobnie jak naród żydowski – na pewną i nieuniknioną śmierć. Żydzi byli bardzo cierpliwi. Doznając prześladowań, cierpliwie oczekiwali, kiedy objawi się ich Mesjasz, odrodzi święte Jeruzalem i przywróci dawną chwałę Izraela. Czekają na to po dziś dzień. Ale my nie o tym marzymy, nie tego pragniemy – i dlatego nie wiem, na co właściwie czekamy?… Nasi księża i biskupi głoszą i zalecają cierpliwość – kontynuował z goryczą – i to z ich winy zrujnowana jest nasza ojczyzna, a my wegetujemy jak niewolnicy. Jedyne, co może ocalić uciśnione i pozbawione swoich praw narody, to protest w każdej możliwej formie. Niezadowolenie, szemranie, wytrwałe dążenie do poprawy

swego losu – tylko to może nas uratować przed niewolnictwem! Pokorna cierpliwość równa jest śmierci, ona gubi wszelkie wzniosłe idee.

Staruszek milczał, natomiast Wartan i Hajrapet zerwali się, podeszli do Dudukcziana i gorąco uścisnęli mu rękę. Pozostali synowie prawie nic nie zrozumieli z owych jego wywodów i pomyśleli sobie w duchu: „Ot, jeszcze jeden nawiedzony chent zwalił się nam na głowę".

Staruszek wydał polecenia w sprawie noclegu i – życząc wszystkim spokojnej nocy – wyszedł razem z synami. Wkrótce pojawiła się też jedna z synowych z twarzą osłoniętą czadrą[110] i przygotowała posłania.

Młodzieńcy długo nie mogli zasnąć. Dudukczian palił.

– Drogi przyjacielu – ozwał się Wartan – staraj się mówić językiem ludu, inaczej nikt cię tu nie zrozumie i nie odniesiesz sukcesu. Żeby chłopi cię rozumieli – posługuj się przysłowiami, porzekadłami, utartymi powiedzonkami. Przypowieści Chrystusa znaczyły więcej niż Jego podniosłe kazania.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W odzie słabo migotała lampka naftowa. Wartan długo nie mógł zasnąć. Wciąż jeszcze był pod wrażeniem rozmów prowadzonych podczas kolacji. Wspominając, z jaką obojętnością synowie Chacza słuchali „kazań" Dudukcziana, szczerze się dziwił niedowiarstwu, z jakim odnieśli się do owego żarliwego i szlachetnego młodzieńca. Dwa silne uczucia napełniały jego duszę: miłość do krzywdzonego, nieszczęśliwego narodu oraz miłość do Lali, którą los podobnie unieszczęśliwił.

Spojrzał na Dudukcziana; ten już spał. W słabym świetle lampki ledwie widoczna była blada, wycieńczona twarz, której ostre, męskie rysy świadczyły o silnej woli młodzieńca. Jego sen był niespokojny: rzucał się i mamrotał coś bez składu. Wartan przysłuchał się. Była to bezładna mieszanina francuskich i ormiańskich słów:

– Chłopi… nadszedł czas… własną krwią… wywalczyć wolność… teraźniejszość… przyszłość… należy do nas… pokażmy… że Turcy…

[110] Czadra – chusta zasłaniająca głowę kobiety, z perskiego *çâdor* (AP).

żelazny kij jeszcze… nie wszystkich zabił… żyjemy… wolność… w ogniu… z mieczem w ręku… będą szukać ratunku… naprzód, dzielne zuchy!

„Biedaczyna – pomyślał Wartan – naczytał się widać książek, i leżąc tu, w wiejskiej chałupie, wyobraża sobie, że walczy na barykadach Paryża!"

Wtem uszu Wartana dobiegł cichy śpiew, głos wydał mu się znajomy; spiesznie więc się podniósł i wyszedł z ody.

W domu staruszka Chacza wszyscy byli już pogrążeni w głębokim śnie. Był jednak ktoś, kto podobnie jak Wartan nie mógł zaznać spokoju. Była to Lala. Dziewczyna obejrzała się i ukradkiem, jak kot, wyszła z domu. Usłyszawszy jej kroki, zaszczekał pies.

– Zamilcz – szepnęła Lala.

Poznawszy, że to ona, pies ucichł.

Była cicha wiosenna noc. Chłodne powietrze owionęło jej rozpalone policzki. Wszedłszy do sadu, w cień gęstych drzew, gdzie nikt nie mógł jej ujrzeć, Lala usiadła na trawie i podparłszy twarz rękami, spojrzała w niebo. Księżyca nie było widać. „Gdzie on jest? – pomyślała dziewczyna. – Na pewno śpi". Panowała niczym niezmącona cisza, wszystko wokoło było pogrążone we śnie; usnął nawet wiatr, usnęła rzeka, której plusk zawsze dawał się słyszeć w nocnej ciszy[111].

Księżyc zasnął w niebios głębi.
Śpi ptaszyna w głębi gniazdka,
Wieczór śpi, liść nie szeleści,
Rzeka drzemie, ścichły fale.
Ja nie mogę usnąć, matko,
Oczu zamknąć nie mam siły,
Czemu? Powiedz, co mnie dręczy?
Co gorącym ogniem pali?[112]

[111] Tu w przekładzie rosyjskim opuszczono następujące zdanie: „Lala przypomniała sobie piosenkę, której się nauczyła od swej starej babci i, niezależnie od swej woli, cicho zanuciła" [skrócony przekład z oryginału ormiańskiego: Andrzej Pisowicz] (AP).

[112] O ile w rosyjskim przekładzie *Chenta* z 1969 r. (podstawa niniejszego tłumaczenia) nie podano nazwiska tłumacza ormiańsko-rosyjskiego, tu przy zacytowanym wierszu (na s. 94) podano nazwisko tłumaczki: E. Aleksandrowa. Nie wiadomo jednak, kto jest jego autorem (AP).

Dziewczyna umilkła, opuściła głowę – i zakrywszy twarz rękami – gorzko zapłakała. Z jej pięknych oczu płynęły łzy. Dlaczego płakała? Pewnie i sama nie mogłaby powiedzieć. Być może Lala opłakiwała swoją matkę, której nigdy nie widziała, gdyż dorastała, nie zaznawszy matczynego ciepła ani miłości. Co opłakiwała? Jakieś niepojęte uczucie ściskało jej pierś.

Wypłakawszy się i nieco ochłonąwszy, odetchnęła, podniosła głowę i się rozejrzała – jej wzrok padł na widniejącą nieopodal mogiłkę. Był to grób jej siostry Sony, która zmarła przed narodzinami Lali. Dziewczyna wiele słyszała o jej tragicznym losie. W oczach miejscowych chłopów Sona była świętą męczennicą, na jej grób często przyprowadzano chorych, wierząc, że zostaną cudownie uzdrowieni. Chaczo zarządził, aby każdej soboty zapalano tu lampkę – i również tej nocy migotliwy płomyk oświetlał mogilny pagórek.

Lala z lękiem spoglądała na grób. Oczami wyobraźni widziała czarny kurdyjski namiot w głuchym górskim parowie. W namiocie siedzi Sona, jej twarz wyraża potworne przerażenie. W rękach trzyma czarkę z trucizną – i to podnosi ją do ust, to – zlękniona – oddala truciznę od siebie; życie i śmierć prowadzą cichy pojedynek. Lecz oto do namiotu zbliża się porywacz. Słysząc jego kroki, Sona zdecydowanie podnosi czarkę do ust i – przeżegnawszy się – wypija…

Widzenie znikło, przed oczami Lali znów pojawiła się biała mogiłka.

Teraz wyobraźnia podsunęła jej dwa inne obrazy: pokracznego Tomasa-efendiego i okrutnego Fattah-beja. Dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem. Czyż mogła wiedzieć, biedna dziewczyna, jakie ci ludzie mają zamiary? Nie mogła, nie wiedziała, ale jej serce wyczuwało coś niedobrego…

– Nie! – wykrzyknęła przerażona Lala – ja nie chcę skończyć jak Sona… boję się grobu…

W tym momencie czyjaś ręka delikatnie spoczęła na jej ramieniu i zabrzmiał czyjś miły głos:

– Lalu…

Ale wydawało się, że dziewczyna nie usłyszała.

– Lalu – powtórzył ów miły głos. – Ja nie dopuszczę do tego, żebyś skończyła jak Sona, ja cię uratuję.

– Uratuj mnie – powiedziała – ocal, wywieź mnie stąd jak najdalej! Tu jest bardzo strasznie, okropnie się tutaj boję!

Wartan przysiadł obok niej. Kilka minut milczeli oboje. Lala wciąż jeszcze nie była w stanie przezwyciężyć strachu. Młodzieniec natomiast zachodził w głowę, dlaczego ta potulna dziewczyna chce porzucić swój kraj i rodzinny dom, gdzie wszyscy tak bardzo ją kochają. Po co by miała stąd uciekać? Czyżby to miłość pchnęła ją do tak rozpaczliwego kroku?

– A dlaczego tutaj jest ci źle? – zapytał.

– Och, tu jest strasznie, strasznie! – odparła ze smutkiem. – Widzisz ten grób? – spytała, wskazując na mogilny pagórek. – Wiesz kto tu jest pochowany?

– Wiem.

– A wiesz, czemu ona umarła?

– Wiem.

– Ja nie chcę tak umierać jak Sona. Boję się trucizny, Wartanie… boję się… Boję się śmierci.

Oczy dziewczyny napełniły się łzami.

– Dlaczego myślisz, Lalu, że i ciebie czeka los Sony? – zapytał Wartan, biorąc ją za rękę. – O losie twojej siostry zadecydował nieszczęśliwy przypadek, ale nie z każdą dziewczyną przecież tak bywa.

– Zawsze się tego bałam, zawsze… od tamtego dnia, kiedy zrozumiałam, dlaczego zmuszają mnie, żebym nosiła męskie ubrania. Tutaj urodzić się dziewczyną – to kara boska, to coś strasznego… a zwłaszcza – ładną dziewczyną. Posłuchaj, Wartanie, miałam przyjaciółkę, mieszkała po sąsiedzku, dobra dziewczyna, bardzo ją lubiłam… Każdego dnia, biedaczka, dostawała od matki lanie za to, że od urodzenia była piękna i z dnia na dzień stawała się jeszcze piękniejsza. „Ściągniesz na siebie nieszczęście" – powiadała jej matka. Nargis – tak moja przyjaciółka miała na imię – gorzko płakała. Matka nie pozwalała jej myć się, czesać, ubierała ją w łachmany. Nargis wyglądała jak flejtuch. Ale to wszystko na nic się zdało, Kurdowie i tak ją porwali. Kilka dni temu spotkałam Nargis. Ach, jakże się ona zmieniła, teraz już nie można jej nazwać piękną. „Niełatwo być żoną Kurda" – stwierdziła i się rozpłakała.

Mówiąc to, Lala także płakała. Uspokoiwszy się nieco, powiedziała:

– Wartanie, obiecaj, że mnie stąd wywieziesz!

– Wywiozę, nie lękaj się.

– Zrób to jak najszybciej, choćby i teraz, natychmiast! Pójdę za tobą na kraj świata.

– Wytrzymaj jeszcze kilka dni, Lalu. Pomówię z twoim ojcem.

Tak rozmawiając, zakochani długo jeszcze siedzieli w ciszy nocnego sadu i smutek przepełniający ich serca stopniowo ustępował miejsca radosnemu uczuciu miłości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Po nieprzespanej nocy Wartan wstał dość późno. Skrywana radość promieniała jednak na jego lekko pobladłej twarzy.

W odzie nie było już Dudukcziana, w kącie leżał tylko jego churdżyn.

„Gdzie on się podział?" – ze strachem pomyślał Wartan. Od wczoraj wiedział bowiem, jak naiwny jest Dudukczian i jak bardzo potrzebuje opieki.

W domu wszyscy od dawna już byli na nogach. Synowie Chacza skoro świt wyruszyli na pole, ich ojciec również poszedł za nimi; synowe krzątały się w obejściu. Nikt nie siedział z założonymi rękami.

W domu został tylko Hajrapet. Wybrawszy odpowiedni moment, zaszedł do Wartana. Miał nadzieję, że ten zwierzy mu się z miłości do Lali i młodzi będą mogli otwarcie poinformować rodzinę o swej uczuciowej bliskości. Pozostali bracia, z wyjątkiem Apa, przestali już myśleć o grożącym Lali niebezpieczeństwie, zdając się na los i wyroki Bożej Opatrzności.

Ojciec bowiem jeszcze o niczym nie wiedział. Pochłaniało go coś zgoła innego: jak najlepiej poznać przeszłość Tomasa-efendiego, którego upatrzył był sobie na zięcia.

Kiedy Hajrapet wszedł do ody, Wartan go spytał:

– Nie wiesz czasem, gdzie się podział mój nowy przyjaciel?

Hajrapet zorientował się, że mowa jest o Dudukczianie, i odparł:

– Jakiś dziwny jest ten twój nowy przyjaciel; wstał skoro świt, nie umył się, nie zjadł śniadania, tylko chwycił swój kostur i wyszedł.

Zdążyliśmy jeszcze zapytać, dokąd się wybiera, ale nie odpowiedział, tylko machnął głową.

– Dokąd on poszedł? – zaniepokoił się Wartan.

– Naprawdę nie wiem; zresztą widziałem go potem we wsi. Zatrzymał jakąś bosonogą, odzianą w łachmany dziewczynkę i zapytał: „Dlaczego jesteś tak nędznie ubrana? Dziewczynie nie wypada chodzić w czymś takim". Ta odpowiedziała, że jej rodzice są biedni. Wtedy wyjął z portmonetki złotą monetę i dał jej. Myślę, że to była jego ostatnia taka moneta.

– Całkiem możliwe – powiedział Wartan. – No a potem dokąd poszedł?

– Dopiero co się skończyła poranna msza i przy kościele stała grupa podenerwowanych chłopów, którzy rozmawiali o podatkach. On podszedł do nich, wtrącił się do rozmowy i zaczął ich przekonywać, że płacą państwu więcej, niż powinni, a o swoich elementarnych potrzebach nie myślą. „Weźmy dla przykładu chociażby szkoły – mówił – dlaczego nie uczycie swoich dzieci czytania i pisania?" Potem zaczął im ględzić o jakiejś spółdzielni czy towarzystwie kredytowym; zapewniał, że ono za niewielki procent będzie udzielać chłopom pożyczek… i jeszcze wiele więcej im opowiadał…

– A co chłopi na to? – chciał się dowiedzieć Wartan.

– Wyśmiali go. Któryś nawet rzucił: „Skąd się tu wziął ten postrzelony chent?".

– Dzięki Bogu nie tylko mnie tak nazywają – z uśmiechem zauważył Wartan. – No i co było dalej?

– Jeden z chłopów zaproponował, aby wstąpił razem z nimi do karczmy. Wyraził zgodę, poszli. W karczmie było wielu pijanych. On sam pił mało, ale płacił za wszystkich i wciąż ciągnął swoje – wyjaśniał, czemu naród klepie biedę. I jakoś tak składnie mówił, że aż dusza się ze wzruszenia radowała! Nie miałem pojęcia, że słowa mają taką siłę. Jednak wieśniacy słuchali go z powątpiewaniem. Któryś zapytał: „Coś ty za jeden i jakie masz stanowisko czy rangę?". A gdy w odpowiedzi usłyszał, że ów dziwak nigdzie nie pracuje ani żadnej służby nie pełni, to prychnął pogardliwie: „To czego tu się pchasz?".

– Tak, żeby ich przekonać, trzeba być albo powiatowym naczelnikiem, albo mudirem czy poborcą podatków w rodzaju Tomasa-efendiego,

a człowiek wykształcony w ich oczach nic nie znaczy – przyznał z goryczą Wartan. – Ale mów dalej, co się działo potem?

– Przemocą wywlokłem go z karczmy – kontynuował Hajrapet – bałem się, wszak mogło dojść do bójki. Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, powiedział: „Oto, gdzie trzeba poznawać naród: kiedy człowiek wypije, jego duszę masz całą jak na dłoni". Szliśmy razem po wsi, a on niósł na ramieniu skórzaną torbę nabitą jakimiś małymi książeczkami. Zatrzymywał przechodniów i rozdawał im je. Jedni odmawiali i nie chcieli brać, mówiąc, że są analfabetami, inni brali, choć jak i tamci nie znali liter i nie umieli czytać. Zapytałem któregoś z nich: „Po co ci ta książeczka?". „Dam matce – powiada – przyda się jej do skręcania tytoniu…"

Twarz Wartana przybrała jeszcze bardziej zbolały wyraz, jak gdyby cierpiał z powodu jakiejś choroby.

– A tobie też dał taką książeczkę?

– Tak, nawet dwie.

Wartan wziął je od Hajrapeta, przekartkował i – niezadowolony – powiedział:

– To głupota rozdawać takie książeczki analfabetom… I dokąd potem się udał?

– Wyszliśmy razem za opłotki – i tam poprosił, żeby zostawić go samego. Pożegnałem się z nim, a on poszedł gdzieś dalej, pewnie do sąsiedniej wsi. Długo jeszcze za nim patrzyłem. A spieszył się tak, jakby tam na niego czekali, choć mogę przysiąc, że pewnie sam nie wiedział, dokąd idzie, i pewnie dotąd, biedaczyna, gdzieś się błąka… – z nieukrywaną ironią dodał Hajrapet.

– Mój drogi – powiedział Wartan – być może nawet się błąka po naszych górskich, krętych ścieżkach, ale na drogach życia jest on wspaniałym przewodnikiem, możesz mi wierzyć.

– No, pewnie tak – zmieszał się Hajrapet, zrozumiawszy, że jego ironia była nie na miejscu. – Widać to człowiek oczytany…

– A oprócz tego bardzo dobry i szlachetny.

Hajrapeta jednak nie bardzo zajmował teraz ich nowy gość, najbardziej chciał porozmawiać z Wartanem o siostrze. Od chwili, gdy Sara mu oznajmiła, że młodzi się kochają, Hajrapet stale czekał, aż Wartan też się przed nim otworzy i opowie o swej miłości do Lali – wszak

to on z całej rodziny Chacza był mu najbliższy. Lecz w tym momencie, pochłonięty myślami o Dudukczianie, Wartan jak gdyby zapomniał o Lali. Wstał i zamierzał wyjść z ody, jednak Hajrapet powstrzymał go, pytając:

– Gdzie idziesz?

– Szukać Dudukcziana – rzucił w odpowiedzi Wartan – niepotrzebnie puściłeś go samego, przecież jest taki niedoświadczony.

Teraz już razem wyszli z ody.

– Zajrzyjmy najpierw do stajni i popatrzmy na konie – zaproponował Wartan. – Już tyle dni ich nie widziałem!

Na podwórku, przy strumieniu, myła się Lala. Widocznie dopiero co wstała.

– Dzień dobry, Stepaniku! – wykrzyknął Wartan.

Lala z uśmiechem kiwnęła mu głową.

W stajni stały przywiązane trzy konie Wartana. Dobre to były konie. Na jednym z nich on sam jeździł, na dwóch pozostałych – jego słudzy, Sako i Jegho, dwa tęgie chłopy, nieodłączni towarzysze Wartana.

– Sako – zwrócił się Wartan do jednego z nich – zaprowadź konie do kowala, niech je dobrze podkuje, i przygotuj wszystko do drogi!

Pogładził konie po grzywach i uważnie je obejrzał, zastanawiając się, czy zdołają w ciągu jednej nocy pokonać dystans przewidziany na trzy dni drogi. Potem kazał osiodłać swojego konia, co też niezwłocznie uczyniono. Dosiadając wierzchowca, Wartan zapytał Hajrapeta:

– W którą stronę poszedł Dudukczian?

Hajrapet pokazał mu, ten zaś pogalopował we wskazanym kierunku.

Po odjeździe Wartana Hajrapet pogrążył się w smutnych rozmyślaniach: „Po co Wartan rozkazał podkuć konie, pewnie zamierza odjechać? Czyżby chciał nas zostawić bez jednego słowa o Lali, nie wspomniawszy nawet o tym, że jest jego narzeczoną? I wreszcie – dlaczego tak się zatrwożył, kiedy mu powiedziałem o dziecinnych wygłupach Dudukcziana?”.

Hajrapet był tak zaskoczony dziwnym zachowaniem Wartana, że jeszcze przez dłuższą chwilę tkwił zamyślony w bezruchu, po czym niespiesznie skierował się do domu. Idąc przez podwórze, zobaczył Sarę, która wychodziła z obory ze skopkiem w ręku.

– Co ci Wartan powiedział? – spytała, odstawiając skopek na ziemię.

– Nic nie powiedział – chmurnie odparł Hajrapet – stał się jakiś skryty…

– Ale za to ja wszystko wiem – z uśmiechem powiedziała Sara – siadaj, to ci opowiem.

Przysiedli oboje na dyszlu stojącej w pobliżu arby[113]. Sara oznajmiła mężowi, że Lala do wszystkiego jej się przyznała. Nocą, kiedy w domu wszyscy spali, spotkała się potajemnie w sadzie z Wartanem. Lala niczego przed nią nie skrywała: powiedziała, że przy pożegnaniu Wartan obiecał jej porozmawiać z ojcem, a w razie gdyby ojciec się nie zgodził, to on ją porwie.

– A, to dlatego przykazał sługom podkuć konie! – domyślił się Hajrapet.

– I co z tego? Niech porywa, niech ją wywiezie jak najdalej. W każdym razie Lala nie dostanie się Fattah-bejowi.

– Nie mam nic przeciwko temu – przyznał Hajrapet – ale…

Biedacy! Gdyby się dawniej dowiedzieli, że Lala potajemnie spotyka się z jakimś chłopakiem, zatruliby jej życie i nie dawali spokoju.

Obecnie jednak okoliczności tak radykalnie się zmieniły, że ludzie starsi muszą się z nimi pogodzić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Cały dzień Wartan nie zsiadał z konia. W poszukiwaniu Dudukcziana objeździł kilka okolicznych wsi. Wszyscy rozpytywani przezeń ludzie zgodnie twierdzili, że widzieli młodego człowieka ubranego w europejski garnitur, w czarnym kapeluszu z szerokim rondem, z solidnym kosturem w ręku i z przewieszoną przez ramię torbą pełną książek. Wszyscy też wyrażali przekonanie, że ów młody człowiek zapewne był nienormalny.

Wartan dopiero wieczorem powrócił do domu. Jego poszukiwania okazały się niestety bezowocne: nie odnalazł Dudukcziana, który nie wiadomo gdzie się błąkał.

---

[113] Arba – orientalny wóz (fura), z tureckiego *araba* (AP).

Jeden z pastuchów Chacza powiedział Wartanowi, że widział, jak w sąsiedniej osadzie tłum tureckich chłopów rzucił się na jakiegoś obcego. Pastuch rozpoznał w nim gościa swojego gospodarza, toteż pospieszył na ratunek i z trudem wyrwał go z łap rozbestwionych Turków.

– Tego się obawiałem – mruknął do siebie Wartan i zapytał jeszcze pastucha: – A za co go bili, nie wiesz?

– Nie wiem – odrzekł pastuch. – Namawiałem go, prosiłem, żeby wsiadł na osła, bo chciałem go odwieźć do domu, ale odmówił stanowczo – powiedział, że sam dojdzie. Nie wiem, jak zdoła dojść, skoro wszystkie kości mu chyba połamali.

Opowieść pastucha wielce zasmuciła Wartana. Dobrze wiedział bowiem, jaką siłę ma pięść tureckiego wieśniaka, szczególnie kiedy spada na głowę biednego Ormianina.

– Gdzie go zostawiłeś? – zapytał jeszcze pastucha.

– Mniej więcej w połowie drogi stąd, ledwo powłóczył nogami…

Było już ciemno, kiedy pojawił się Dudukczian, od stóp do głów utytłany w błocie. Wartan myślał, że jego nowy przyjaciel z miejsca zacznie się żalić na okrucieństwo Turków, lecz ten nie uronił nawet jednego słowa, mimo że jego oblicze wyrażało głęboką rozpacz.

Dudukczian odszedł w milczeniu w kąt ody i zwalił się na tapczan.

– Proszę odstąpić mi trochę tytoniu – zwrócił się do Wartana – mój wszystek już się skończył.

– Proszę bardzo – rzekł Wartan i podał mu pudełko z machorką.

Dudukczian drżącymi palcami skręcił papierosa.

– Ten naród to jakowyś sfinks, nieodgadniona zagadka – powiedział jakby sam do siebie. – Jakkolwiek długo by go obserwować, badać, studiować – nigdy nie pozna się go do końca. Albo on w ogóle nie posiada historii, albo sam jest jej przerażającym, ułomnym płodem…

Umilkł, zapalił skręconego przez siebie papierosa i głęboko, łapczywie się zaciągnął, pragnąc widocznie znaleźć w tym ukojenie. Wartan z głębokim współczuciem patrzył na niego w milczeniu, pamiętając, że jeszcze wczoraj młodzieńca rozsadzała wręcz kipiąca energia. Obecnie zaś przypominał bezradną ćmę, której nad płomieniem opaliły się nagle kruche skrzydełka.

W tym momencie do ody wszedł staruszek Chaczo, a kilka minut później – jak co wieczór – zebrali się tam również jego synowie. Wkrótce

podano kolację. Podczas wieczerzy Dudukczian wypił więcej niż zwykle i wyraźnie poweselał. Zanucił nawet znaną pieśń Taghiatianca[114] *Panie Boże, chroń Ormian*… A gdy już uprzątnięto ze stołu, gość zwrócił się do staruszka Chacza:

– Proszę o zamknięcie drzwi ody, żeby nam nie przeszkadzano. Chcę wam zakomunikować coś bardzo ważnego. – Nie pojmując, co może znaczyć owa tajemnicza przezorność, staruszek kazał jednemu z synów zamknąć drzwi. Wszyscy milcząc, czekali, co gość powie.

– Wkrótce wybuchnie wojna między Rosją a Turcją. Słyszeliście coś o tym? – spytał Dudukczian.

– Nic o tym nie wiemy – jednym głosem odrzekli Chaczo i jego synowie.

– A ja coś niecoś słyszałem – zauważył Wartan. – W naszym kraju Rosjanie intensywnie się do niej przygotowują.

Wieść o wojnie niczym grom poraziła biednego staruszka. Wypadło mu już bowiem być naocznym świadkiem kilku rosyjsko-tureckich wojen i pamiętał, jak brzemienne w skutki okazywały się one dla Ormian. Co do Hajrapeta zaś, to dopiero teraz zrozumiał on sens słów, jakie Churszid przekazała jego żonie. Domyślił się też, po co Fattah-bej zbroił swoje plemię.

– Tak, wojna jest nieunikniona – kontynuował Wartan – i nie bez racji się mówi, że kiedy muł i koń się biją, to najbardziej ucierpi stojący obok osioł.

– To prawda – przyznał mu rację Hajrapet – rozdepczą nas, huragan wojny zgubi wszystkich Ormian.

– Słuchajcie – ciągnął Dudukczian, starając się mówić jak najprościej, żeby go wszyscy zrozumieli. – Nadchodząca wojna nie będzie podobna do tych, które wcześniej prowadzili ze sobą Rosjanie i Turcy. Ta wojna ma zupełnie inny cel. Wy nie czytacie gazet, dlatego oczywiście nie wiecie o tym, co się teraz dzieje w innej części świata, na Półwyspie Bałkańskim. Tam też mieszkają chrześcijanie, którzy – podobnie jak i my – całe wieki cierpieli pod tureckim jarzmem. Ale nie chcieli już dłużej znosić tureckiego ucisku, powstali – i już ponad rok walczą

[114] Mesrop Taghiatianc (1803-1858) – jeden z pierwszych ormiańskich powieściopisarzy. Działał w Indiach, gdzie istniały ormiańskie drukarnie (AP).

o swoją wolność. Początkowo zwyciężali, później zostali pokonani i stracili wielu ludzi. W końcu do wojny włączyli się Rosjanie i – w imię ocalenia chrześcijan – wystąpili w ich obronie. W Konstantynopolu zebrali się przedstawiciele europejskich państw, aby zachować niektóre prawa narodów słowiańskich, ale i tak nie doszli do porozumienia. I teraz Rosjanie chcą siłą zmusić Turków do uznania niezawisłości chrześcijańskich narodów[115].

Jakkolwiek wieść o wojnie na Bałkanach rozniosła się po całym świecie, to dla wioski O… była nowością, dlatego wszyscy z wielką uwagą słuchali Dudukcziana.

Armeński chłop żyje w całkowitej nieświadomości tego, co się dzieje poza granicami jego powiatu. Chłopi wiedzieli, że Turcy z kimś wojują, ale z kim i z jakiego powodu – nie mieli pojęcia. To, że Turcja prowadzi wojnę, widać było chociażby po wielokrotnym wzroście wysokości podatków, ściągano je znacznie bardziej skrupulatnie niż wcześniej, a chłopom ciągle wmawiano, że „państwo walczy i trzeba mu pomóc".

– Wojna rosyjsko-turecka ma być prowadzona o wyzwolenie chrześcijan – kontynuował Dudukczian – i niech wam będzie wiadomo, że Ormianie to najbardziej uciśniona część tureckich poddanych. Zresztą wiecie o tym nie gorzej ode mnie, bo sami jesteście ofiarami tego ucisku. Czas zatem, by i Ormianie pomyśleli o swojej wolności.

– A co tam mamy myśleć? – rzucił staruszek Chaczo. – Sam pan przecież powiedział, że to Rosjanie walczą o wyzwolenie chrześcijan… Niech Bóg im ześle zwycięstwo, to wtedy przyjdą i nas też wyzwolą.

– To prawda – wtrącił Wartan – ale nie można zapominać o czymś jeszcze. Przysłowie mówi: „Póki niemowlę nie zapłacze, matka nie da mu piersi". Ormianie swoim milczeniem, pokornością i cierpliwym oczekiwaniem niczego nie osiągną – powinni zacząć protestować.

– Słusznie, powinni protestować – podchwycił Dudukczian – i ten protest winien przybierać taką postać, jaką przybiera u innych chrześcijańskich narodów.

– Chcecie powiedzieć, że Ormianie też powinni chwycić za broń? – przerwał staruszek.

---

[115] Po wojnie rosyjsko-tureckiej lat 1877-1878 zawarto pokój w San Stefano, a potem jego warunki zrewidowano podczas kongresu berlińskiego (AP).

– Tak, właśnie to chcemy powiedzieć. Takie jest prawo życia. Każdy, kto nie umie z bronią w ręku walczyć o swoją wolość i przelewać krwi, jest skazany na niewolnictwo. Jeśli Ormianie chcą cokolwiek osiągnąć i uzyskać niepodległość, powinni udowodnić, że nie brak im odwagi i potrafią wojować. Teraz nastał do tego najlepszy moment.

Gorzki uśmiech pojawił się na pomarszczonej twarzy staruszka.

– Ech, ty dziwaku! Jak Ormianie mogą udowodnić swoją odwagę i pokazać, że potrafią walczyć, jeśli Turcy nie zostawili nam nawet noża, żebyśmy chociaż mogli zarżnąć kurę?

Dudukczian się zmieszał, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale Wartan przyszedł mu z pomocą:

– Kiedy już będziecie gotowi, dostarczę wam broń, żebyście mieli czym walczyć – tylko czy aby znajdzie się ktoś, kto za nią chwyci? Przecież wiecie, że jestem przemytnikiem. Znam w górach wszystkie tajne przejścia i bez problemu przywiozę wam tyle broni, ile będzie trzeba.

– Sama broń nie wystarczy – roztropnie zauważył staruszek. – Kto zdoła zmienić duszę Ormianina, tchnąć w niego męstwo, sprawić, żeby chwycił za broń i – za przykładem Słowianina – walczył o swoją wolność? Co za pożytek z broni, jeżeli naród żyje zniewolony?

– Nie należy tak surowo osądzać narodu, starosto Chaczo – zaprotestował Dudukczian. – Czyżby Ormianie całkiem utracili swój honor, męstwo i pragnienie odzyskania wolności? Potrzebny jest dobry impuls i w którymś momencie te uczucia się ujawnią. Obecnie jest po temu najdogodniejszy czas. Rosjanie będą wojować z Turkami, ale trzeba też, by i Ormianie nie siedzieli z założonymi rękami. Jestem przekonany, że Rosjanie chętnie nam pomogą.

Synowie Chacza siedzieli, milcząc, lecz Hako, który był skłonny spowinowacić się z bejem i mieć w jego osobie silnego orędownika, z wyraźną niechęcią słuchał Dudukcziana i tak się do niego zwrócił:

– Ej, bratku, od samych twoich słów zalatuje krwią. Z tobą najlepiej nie mieć nic wspólnego. Jutro z samego rana zbieraj swoje manatki i wynoś się stąd, bo jeszcze sprowadzisz na nasz dom nieszczęście.

Surowo zbesztawszy syna, staruszek Chaczo zwrócił się do Dudukcziana:

– Proszę się na niego nie gniewać, on sam nie wie, co mówi. Niech pan mnie posłucha. Ja nie czytam gazet i nie wiem, co się dzieje na bożym

świecie, ale powiem jedno: jako chłop uprawiający rolę dobrze wiem, że zanim wsieje się ziarno, trzeba zorać i spulchnić ziemię, słowem – przygotować ją pod zasiew. Wiadomo, że bez tego ziarna nie wykiełkują, nie puszczą korzeni, tylko porosną i zgniją. Mówi o tym Chrystus w świętej Ewangelii i nie raz też słyszałem o tym w kościele. Teraz, mój synu, gleba nie jest jeszcze gotowa… Chcę przez to powiedzieć, że naród nie jest gotowy. Trzeba było dwadzieścia, trzydzieści, a może i pięćdziesiąt lat temu przygotować glebę. Gdyby to wtedy było zrobione, twoje ziarna padłyby teraz na podatny grunt: wzeszłyby, zazieleniły się, zakłosiły i przyniosłyby obfity plon. Ale na to potrzeba czasu. Przecież wiadomo, że zanim zbierzesz zboże, pogoda nie raz może się zmienić; a to słońce ogrzeje je swoimi życiodajnymi promieniami, a to będzie upał czy nagłe ochłodzenie, a to burza, grad albo i śnieg zniszczą zasiewy. I po tym wszystkim dopiero urodzaj zwieńczy wysiłki rolnika. Tak samo z ziarnem zasianym w ludzkich sercach: potrzeba czasu, żeby wzeszło, dojrzało i przyniosło plon.

– Przytoczył pan dobry przykład, starosto, w pełni się z panem zgadzam – przyznał Dudukczian – ale należy też co innego wziąć pod uwagę. Spróbuję wyjaśnić to tak, żeby było właściwie zrozumiane. Zostańmy przy pańskim przykładzie. Załóżmy, że zostawił pan swoje zasiewy bez odchwaszczenia. Co się wtedy stanie? Chwasty się rozrosną, zagłuszą wczesną ruń i zgubią ją. Jest to swego rodzaju wojna w świecie roślin, w której jedne, broniąc się, usiłują pokonać i zniszczyć drugie. Nazywa się to samoobroną, a uczy nas jej sama przyroda. Wszystko to, co jest zdolne rosnąć i się rozmnażać na ziemi, potrafi walczyć o swoje istnienie. Taką właściwością przyroda w większym lub mniejszym stopniu obdarzyła zwierzęta i rośliny, ludzie zaś wszyscy posiedli taką zdolność. Jedynie kamienie i inne nieożywione przedmioty nie mają możliwości samoobrony, wszędzie zaś tam, gdzie istnieje życie, istnieje też walka o jego zachowanie; i w owej walce każdy dąży nie tylko do tego, by ocalić siebie, ale też do tego, by zniszczyć swoich wrogów.

– Myślę, że teraz rozumiecie moją myśl – ciągnął Dudukczian. – Wszystko, co się dzieje w świecie roślin i zwierząt, dzieje się również w ludzkiej społeczności: w niej także trwa walka o przetrwanie, tyle że w ostrzejszej formie i różnie się przejawia. W zależności od kultury

i stopnia rozwoju narodu zmieniają się też narzędzia samoobrony (pod „narzędziami" rozumiem nie tylko miecz czy karabin, ale również rzemiosła i nauki, za pomocą których jeden naród konkuruje z drugim).

Mniej cywilizowane narody posługują się prostszym orężem – szablą. Tym też orężem walczą z nami Turcy. Prawo samoobrony stanowi, że wroga należy zwalczać jego bronią. Głupio by było wymagać od narodu tego, do czego nie jest on zdolny.

Ja proponuję chwycić za broń nie po to, by unicestwić Turków i Kurdów oraz w pełni zawładnąć ziemią, którą nam przekazali niejako w testamencie nasi pradziadowie. Mówię o czymś innym: o tym, że powinniśmy się uczyć samoobrony. W przeciwnym razie Turcy i Kurdowie nas wytępią. Powtarzam: chodzi nie o wojnę, lecz o samoobronę.

Staruszek Chaczo przerwał Dudukczianowi:

– Ja rozumiem, wszystko rozumiem – powiedział – ale powtarzam: od razu, w ciągu jednego dnia tak wielkie przemiany nie mogą nastąpić. Nasz naród jest za bardzo przybity i poniżony, nie może raptownie wyzbyć się tradycyjnych przyzwyczajeń ani zwalczyć swej niewolniczej mentalności po to, aby zrozumieć, że powinien się bronić z szablą w ręku. Wy, Konstantynopolitańczycy, powinniście byli już wiele lat temu wziąć się za tę sprawę i nauczyć nas samoobrony. I teraz, kiedy chrześcijanie wojują z Turkami, zasiane przez was ziarna na pewno by wzeszły. Ale nie przygotowaliście nas, odczekiwaliście nie wiadomo po co w tym Konstantynopolu do odpowiedniego momentu, milczeliście, a teraz raptem zwaliliście się na nas jak grom z jasnego nieba i żądacie: „Chwytajcie za miecz i brońcie się!". A kto was posłucha, kto pójdzie za wami?

– Święta prawda. My, konstantynopolscy Ormianie, okazaliśmy się zbyt leniwi, niefrasobliwi i nie przygotowaliśmy narodu – spokojnym tonem przyznał Dudukczian. – Ale teraz mówimy nie o tym, że Ormianie utracili swoją godność, honor i wysokie aspiracje. Po to, by wskrzesić owe uczucia, należało oświecać naród – i to był nasz obowiązek, obowiązek konstantynopolskich Ormian. Mówimy o zwyczajnej, elementarnej samoobronie, a do tego nie potrzeba ani kultury, ani uświadomienia. Poczucie samoobrony, jak już mówiłem, właściwe jest nawet roślinom i zwierzętom. Czyżby więc martwa była dusza Ormianina, a sam on upodobnił się do kamienia?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Po odejściu staruszka Chacza i jego synów Wartan i Dudukczian zostali sami.

– Staruszek ma rację, grunt nie jest przygotowany – zauważył Wartan, patrząc na smutną i zmizerniałą twarz Konstantynopolitańczyka.

– A czyja to wina?! – tak boleśnie wykrzyknął Dudukczian, jakby ugodzono go w samo serce. – Staruszek jest mądry, znacznie mądrzejszy od nas wszystkich – lichych, żałosnych pismaków. Miał rację, mówiąc, że to był nasz, mieszkańców Konstantynopola, obowiązek – przygotować naród. A co myśmy zrobili? Absolutnie nic… Nie myśleliśmy o jakimkolwiek przygotowaniu, gdyż zupełnie nas nie interesowała prawdziwa sytuacja narodu, jego potrzeby. Oślepiała nas miniona sława Armenii. A współczesnej Armenii w ogóle nie znaliśmy – i nie chcieliśmy znać. Nasze wyobrażenie o niej zaczerpnęliśmy z książek dawnych historyków. Wydawało nam się, że to wciąż ten sam potężny, tytaniczny kraj, który zamieszkują nieśmiertelni bohaterowie, tacy jak Tigran, Aram,Wahagn, Wartan i Nerses[116]. Oczyma wyobraźni widzieliśmy ogromne miasta Armenii, kwitnące w nich rzemiosła i handel. Widzieliśmy bogate wsie, urodzajne pola uprawne i pełne ziarna spichlerze rolników. Wyobrażaliśmy sobie, że Ormianie cieszą się w swojej ojczyźnie szczęśliwym i spokojnym życiem; nie podejrzewaliśmy, że prowincje opustoszały i się wyludniły, że ormiańska ludność w większej części umarła z głodu, a spośród tych, którzy ocaleli, wielu przyjęło islam. Nie mieliśmy pojęcia, że zamiast żywych, szczęśliwych ludzi ujrzymy tu żywe trupy i rozległe cmentarze; nie wiedzieliśmy, że religia, którą uważaliśmy za moralną opokę narodu, dawno już umarła i zostały po niej tylko ruiny monumentalnych świątyń i monasterów. Nie wiedzieliśmy,

---

[116] Tigran II Wielki – król starożytnej Armenii, który panował w latach 95-56 przed Chrystusem.

Aram – legendarny założyciel królestwa Urartu (IX w. przed Chrrystusem), poprzedzającego Armenię.

Wahagn – bóg wojny w starożytnej mitologii ormiańskiej.

Wartan Mamikonian – patrz przypis 88.

Nerses Sznorhali („Utalentowany") – katolikos (zwierzchnik Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego w XII w.), znany także jako pisarz i poeta (AP).

że język – ta narodowa świętość – został już zapomniany przez wielu Ormian i że mówią oni obecnie albo po turecku, albo po kurdyjsku; nie zdawaliśmy sobie sprawy, że mężni Kurdowie, nasi bracia krwi, stali się biczem bożym dla Ormian, chociaż pięćdziesiąt–sto lat temu mówili naszym językiem i modlili się w naszych kościołach[117]. Innymi słowy, my nic nie wiedzieliśmy o współczesnej Armenii, albo w najlepszym razie mieliśmy o niej jedynie mgliste wyobrażenie. Nie mieliśmy nawet pojęcia, że garstka ocalałych Ormian, żyjąc w niewoli, aż tak się wynarodowiła, że utraciła swoje najcenniejsze wartości. I teraz, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie się widzi nikczemność, tchórzliwość, małoduszność, wiarołomstwo. A tymczasem dysponowaliśmy znacznymi siłami i mogliśmy zrobić bardzo wiele – kontynuował Dudukczian. – Mieliśmy patriarchę, głowę narodu, tyle że wszystko, co świeckie, było mu całkiem obce. Mieliśmy i Zgromadzenie Narodowe[118], ale jego członkowie zajmowali się jedynie pustosłowiem i intrygami. Istniała również patriotyczna młodzież, która na brzegach Bosforu wyśpiewywała tylko hymny na cześć konstytucji[119], podczas gdy w kraju lała się krew. Posiadaliśmy swoją prasę, tyle że ona nie interesowała się życiem ormiańskiego narodu, ale zajmowała się postronnymi zagadnieniami; szkoły także mieliśmy, ale nie wykształciły one i nie dały Armenii żadnego porządnego nauczyciela; w naszych teatrach nie grano ani jednej sztuki mówiącej o ormiańskim życiu, preferowano bowiem tandetną, kiczowatą francuską szmirę. Mieliśmy swoich narodowych działaczy, ale oni wysługiwali się tureckiej Wysokiej Porcie i zabiegali wyłącznie o swoją sławę. W naszych rękach ponadto była ogromna siła – pieniądze, ale wydawano je na upiększanie pałaców emirów, a nawet grosza nie przeznaczono na potrzeby narodu. Mieliśmy możliwość prowadzić naród drogą postępu, ale jak gdyby podporządkowując się czyjejś złej woli, spychaliśmy go na drogę zguby.

– Teraz wreszcie rozumiem, że cała ta nasza „zabawa" była czystą donkiszoterią – kontynuował Dudukczian. – Nie kiwnęliśmy palcem, nie

[117] To nieprawda. W XIX w. Ormianie nie orientowali się, kim są Kurdowie, patrz przypis 13 (AP).

[118] Chodzi tu o turecki parlament (PR).

[119] Chodzi o konstytucję, którą Turcji nadał w 1876 r. sułtan Abdülhamid II (AP).

znaliśmy realiów kraju, dążeń ani potrzeb narodu, nie przygotowaliśmy dlań lepszej przyszłości – uznaliśmy, że wystarczy przyjść, dać ludziom do ręki broń i powiedzieć: „Walczcie i brońcie się!". Bez wątpienia nie byłoby to słuszne ani mądre. Lecz ja mimo wszystko nie upadam jeszcze na duchu, moja wiara w lepszą przyszłość jeszcze się nie zachwiała; i jeśli polegniemy w tej walce, to nasza ofiara utoruje drogę innym – tym, którzy podążą naszym śladem…

Ostatnie słowa Dudukcziana tak poruszyły Wartana, że nie wytrzymał, zerwał się, objął przyjaciela i ucałował go, mówiąc:

– Tak, to zadanie wymaga ofiar. Cześć i chwała temu, który zostanie pierwszą ofiarą!

Rozmowa przyjaciół ciągnęła się do późnej nocy. Dudukczian ostro krytykował bezczynność konstantynopolskiej młodzieży i osądzał ormiańskie duchowieństwo.

– Gdyby choć jedną dziesiątą wydatków na monastery i kościoły przeznaczyli na zakładanie i wyposażenie szkół, Armenia byłaby uratowana – zakończył.

Nagle ktoś cicho zapukał do drzwi. Wartan poszedł otworzyć. Na progu stali Hajrapet i Apo.

Obaj bracia byli ludźmi całkiem innego pokroju niż pozostali synowie Chacza.

– Specjalnie przychodzimy tak późno, żeby porozmawiać z wami bez świadków – powiedział Hajrapet, siadając. – Ale może przeszkodziliśmy?

– Wcale nie. Czy w domu wszyscy już śpią?

– Wszyscy, oprócz ojca – odparł Apo – bo chociaż się położył, to jednak wciąż postękuje, a to znaczy, że coś bardzo go gnębi.

Wartan i Dudukczian domyślili się, że bracia przyszli nie bez powodu, czekali zatem, co im powiedzą.

– Nie mogliśmy mówić przy ojcu i braciach – zaczął Hajrapet – dlatego, nie zwlekając, przyszliśmy wam powiedzieć, że całkowicie zgadzamy się z wami i jesteśmy gotowi przysłużyć się sprawie, dysponujcie nami tak, jak uznacie za stosowne.

Oblicze Dudukcziana rozpromieniło się. Odczuwał radość misjonarza, który pozyskał dwóch nowych wyznawców i ma nadzieję, że wkrótce za ich przykładem pójdą tysiące innych.

– Jesteście w błędzie, myśląc, że w duszy Ormianina nie zostało już nic z poczucia godności i że nie ma on żadnych wysokich aspiracji ani wzniosłych dążeń – powiedział Hajrapet. – Ormianie mają jednak jedną zbiorową wadę: każdy z osobna jest nazbyt ostrożny, sceptyczny i niezdecydowany – i zawsze czeka, aż ktoś inny zacznie, aż da mu przykład. A dobry przykład zawsze na niego oddziałuje. Przy czym Ormianina nie interesuje to, jak żyją i załatwiają swoje sprawy cudzoziemcy; to znaczy… chcę powiedzieć, że ich nie naśladuje, tylko czeka, żeby mu dali przykład jego rodacy. A zatem, jeśli my damy przykład – za nami pójdzie wielu, jestem o tym przekonany. Bo dobrze znam nasz naród. On już tyle wycierpiał, że gotów jest przy najbliższej sposobności natychmiast wgryźć się wrogowi w gardło. Naród nienawidzi wroga, ale zataił tę nienawiść w głębi duszy.

Wartan i Dudukczian z radością słuchali Hajrapeta; czuli, że jego ustami przemawia sam naród.

– Szczęśliwi, którzy umieją nienawidzić! – wykrzyknął Dudukczian. – Bo kto nie umie nienawidzić, nie umie też kochać.

– Ojciec mówił, że gleba nie jest przygotowana – kontynuował Hajrapet – on jest oczywiście mądrym człowiekiem i pragnie naszego dobra, ale jego rozwaga i ostrożność graniczą wręcz z przestępstwem – nakazując nam cierpliwość, chce, byśmy się stali nieczuli jak kamienie. Mnie się wydaje, że w naszej sytuacji śmiałość, zdecydowanie, a nawet szaleństwo mogą uczynić więcej niż pokora i cierpliwość.

– Tak, bo nim mędrzec pomyśli, chent rzekę przepłynie – roześmiał się Wartan.

– Całkiem słusznie – zgodził się Dudukczian – u mędrców często umysł walczy z rozsądkiem i oni pewne rzeczy uświadamiają sobie dopiero wtedy, kiedy widzą, że szaleniec ich w czymś przerósł albo wyprzedził. Na przykład nasi konstantynopolscy mądrale wpadli na pomysł, że lepiej podporządkować się despotyzmowi zacofanej Turcji, aniżeli przyjąć władzę innego ucywilizowanego państwa[120]. Oni utrzymują, że państwo o wyższym poziomie kultury może zetrzeć Armenię z powierzchni ziemi, pozbawić jej naród tożsamości i odwrotnie – sądzą, iż dzięki cywilizacyjnemu zacofaniu Turcji mądrzy Ormianie zdołają obronić swoją

[120] Dudukczian ma tu zapewne na myśli Rosję (AP).

narodową niezawisłość. Tyle że to jedynie teoria, a w praktyce nawet najmądrzejsza filozoficzna teoria okazuje się niekiedy błędna. Historia zna wiele takich przykładów. Jeżeli duży cywilizowany naród gnębi małe narody[121], to nie inaczej traktuje je również naród niecywilizowany. Różne bywają jedynie metody: jedni postępują jak barbarzyńcy, drudzy działają bardziej układnie, kulturalnie.

– Rozwinę nieco tę myśl – ciągnął Dudukczian. – Nikt z nas do tej pory nie zrozumiał tajnej polityki tureckiego rządu w stosunku do Ormian. Wszyscy z naiwną prostodusznością powtarzaliśmy, że „nasza przyszłość jest związana z Turcją" i nie zastanawialiśmy się nad przyczynami powszechnych nadużyć i bezprawia. Wiedząc o grabieżach, zabójstwach, przemocy stosowanej wobec chrześcijan oraz innych zbrodniach dokonywanych przez sąsiednie barbarzyńskie plemiona, przypisywaliśmy je czystemu przypadkowi i nie podejrzewaliśmy, że wszelkie owe niegodziwości były przez kogoś skrycie inspirowane i popierane, że do nich wręcz zachęcano, słowem – nie wiedzieliśmy, że wszystko to się działo z polecenia najwyższych władz. Winiliśmy państwo jedynie za to, że jest słabe, niefrasobliwe, że nie jest w stanie ujarzmić swoich aroganckich poddanych, ale nie przychodziło nam do głowy, że władze same szczują na nas Kurdów, że wzięły sobie za punkt honoru wyniszczenie chrześcijańskiej ludności. Po co, dlaczego? – zapytacie mnie.

Turcja doskonale wiedziała, że jeśli któregoś pięknego dnia zostanie pozbawiona swoich europejskich i azjatyckich posiadłości, to stanie się to za sprawą lokalnej chrześcijańskiej ludności. Zdawała sobie sprawę, że jeśli w jej granicach będą mieszkać chrześcijanie, zawsze będzie to dla europejskich państw powodem do ingerencji w sprawy Turcji i wygodnym pretekstem do nieustannego „odgrzewania" wschodniego problemu. I właśnie dlatego, żeby nie utracić swoich posiadłości i raz na zawsze uwolnić się od roszczeń europejskich państw, Turcja zaczęła unicestwiać chrześcijan. Wszak to z ich powodu utraciła już część swojego europejskiego terytorium. Z azjatyckich zaś posiadłości zachowała w pełni tylko Azję Mniejszą. Tutaj jedynym narodem zagrażającym

[121] Aluzja do rusyfikacji mniejszości etnicznych, stosowanej przez władze carskiej Rosji (AP).

bezpieczeństwu Turcji byli ormiańscy chrześcijanie. I żeby zamknąć usta panom Europejczykom, trzeba im było udowodnić, że w Armenii nie ma Ormian. Na realizatorów owego pomysłu Turcja wybrała Kurdów i Czerkiesów[122].

Jeśli połączymy te fakty, które miały miejsce w ciągu ostatnich dwudziestu, trzydziestu, pięćdziesięciu lat, to się przekonamy, że tak to właśnie jest. Proszę mi wierzyć, że doprowadzanie do ruiny, niszczenie, ciemiężenie, gwałty i prześladowania Ormian, słowem – całe to barbarzyństwo, nie były przypadkowe. Była to celowa, acz zakamuflowana i z wolna prowadzona polityka mająca na celu całkowite wytępienie ormiańskiego narodu.

Przypomnę tylko niektóre fakty. Po to, aby pozbawić Ormian możliwości obrony, skonfiskowano wszystkim broń, wiążąc im tym samym ręce, wrogów Ormian zaś dozbrojono. Z czasem się okazało, że działania te nie były wystarczające, że tak Ormian osłabić się nie da, ponieważ ten pracowity i zapobiegliwy naród zdolny jest przeciwstawić się wrogowi i bronić swego istnienia dzięki materialnej sile – czyli dzięki swemu dobrobytowi. Należało zatem uruchomić wszelkie środki mogące doprowadzić do zubożenia Ormian, należało osłabić ich gospodarczo. Dlatego władze podniosły podatki, wycofały z obiegu papiery wartościowe, nie informując nawet o tym ludności – krócej mówiąc, drogą rozmaitych finansowych machinacji doprowadziły do obniżenia wartości pieniędzy będących w rękach ormiańskich chłopów. A zrobiono tak po to, żeby z powodu zaległości odebrać im główne narzędzia produkcji i pozbawić ich tym samym możliwości parania się rolnictwem. Turcy nie zrealizowali jednak swego celu. Naród okazał się wytrzymały: w poszukiwaniu zarobku chłopi opuszczali rodzinne strony, podejmowali pracę sezonową na obczyźnie, a za zarobione pieniądze spłacali państwu po powrocie zaległe należności podatkowe. Wówczas Turcja postanowiła jednym uderzeniem odebrać naszym ludziom główne źródło ich egzystencji: ustanowiła mianowicie perfidne prawo rolne pozbawiające Ormian możliwości uprawiania ziemi. Należące do nich grunty przeszły w ręce kurdyjskich bejów, Czerkiesów,

[122] O Kurdach była mowa w przypisie 13. Czerkiesi są ludem pochodzącym z Kaukazu i podobnie jak Kurdowie wyznają islam (AP).

muftich[123], kadich[124] i innych dzikich koczowników[125]. Oni zawładnęli naszą ziemią, a pracowity rolnik – Ormianin – stał się ich parobkiem i niewolnikiem. W sądach toczyły się niekończące się procesy między Ormianami a muzułmanami dotyczące nadziałów ziemi, ale władze nie zwracały na nie najmniejszej uwagi lub wydawały wyroki korzystne z reguły dla muzułmanów. Są na to tysiące przykładów; wystarczy prześledzić choćby jeden proces sądowy, by się przekonać, że władze nie chcą zostawiać w ręku Ormian ziemi ich przodków i robią wszystko, żeby im ją odebrać i doprowadzić naród do całkowitego zubożenia, a po zniszczeniu wszystkich naszych współbraci zasiedlić Armenię Czerkiesami i Kurdami.

– Teraz widzicie – kontynuował Dudukczian – że wszystkie te bezprawne działania i zbrodnie są ze sobą powiązane i mają jeden piekielny cel. Nie wspomnę już o tym, że lokalne władze tureckie niejednokrotnie swoją polityką wywoływały klęski głodu w całych armeńskich prowincjach. Toteż ci, którzy nie zginęli od ciosów kurdyjskiej i czerkieskiej szabli, umierali z głodu. Oto przy pomocy jakich piekielnych sposobów bezlitosne i pozbawione serca tureckie władze wyprawiają nas na tamten świat. A przy tym dobrze wiedzą, że nie tak łatwo jest unicestwić pracowity i niezłomny naród ormiański.

Zejtuńscy[126] Ormianie nie posiadają ziem uprawnych. Głównym źródłem ich utrzymania jest ruda żelaza, którą sami wydobywają, wytapiają i obrabiają. Wytwarzają z niej różne wyroby albo w postaci surowca wywożą ją do innych prowincji. Dzięki sprzedaży rudy i wyrobów z niej Zejtuńczycy nabywają potem wszystko, co jest im niezbędne do życia. Turcja już kilka razy próbowała odebrać Zejtuńczykom rudę – i tylko męstwo mieszkańców gór tudzież ich desperacki opór pozwoliły im zachować i ocalić owo jedyne źródło utrzymania.

---

[123] Mufti – „uczony muzułmański, teoretyk prawa udzielający porad i konsultacji prawnych" (J. Danecki, *Kultura islamu. Słownik*, Warszawa 1997, s. 142) (AP).

[124] Kadi – „sędzia muzułmański" (J. Danecki, *Kultura islamu.*…, s. 104) (AP).

[125] W oryginale ormiańskim autor użył arabskiego wyrazu *aszirat* oznaczającego „ród, plemię" (AP).

[126] Zejtun – miasto i prowincja historycznej Armenii Zachodniej na terenie współczesnej prowincji Kahraman-Marasz w południowej Turcji (AP).

Wański[127] pożar jest jaskrawym przykładem prowokacyjnej polityki tureckich władz. W tym bogatym handlowym mieście ktoś podpalił nocą sklepy należące do Ormian. Skargi poszkodowanych pozostały bez echa, władze nie zamierzały wszczynać dochodzenia, gdyż wówczas prawda wyszłaby na jaw i władze musiałyby za to przestępstwo oskarżyć same siebie…

Zawsze się dziwiliśmy, dlaczego Turcja tak zabiega o względy kurdyjskich oraz czerkieskich bejów i szejków, którzy swoimi ekscesami przysporzyli władzom niemało zmartwień: nie płacili podatków, wielokrotnie dokonywali napaści na sąsiednie prowincje. „Czyżby rząd nie miał na tyle siły, żeby ich okiełznać?" – zadawaliśmy sobie w myślach pytanie. Teraz już stało się jasne, w jakim celu wykorzystywała ich Turcja.

Dudukczian mówił z żarem, jakby chciał wylać z siebie całą gorycz, jaka zebrała mu się w duszy. Oburzał go los narodu – cierpiętnika, którego przyszłość rysowała mu się wyłącznie w czarnych barwach.

– Okoliczności zmuszają nas do tego, aby za zło odpowiadać złem – stwierdził – innego wyjścia nie mamy. Nie ma też na ziemi stworzenia bardziej okrutnego niż człowiek. Drapieżne zwierzę od razu zabija swoją ofiarę, człowiek zaś robi to powoli. Wyprawiać kogoś dzień po dniu na tamten świat – to najstraszniejszy i najbardziej wyrafinowany rodzaj zabójstwa wynaleziony przez człowieka. Powolna śmierć może się stać udziałem całego narodu. I właśnie taki los czeka Ormian. Bo czyż nie taki cel stawiają sobie Kurdowie i Turcy? Czyż to nie z tego powodu spustoszona została już większa część Armenii?

Wartan słuchał Dudukcziana z napiętą uwagą. Wreszcie z gorzkim uśmiechem rzucił:

– Ormianie są jednak zdumiewającym narodem. Wytępić nas nie można, a ściślej mówiąc, jest to niezwykle trudne. Jesteśmy jak owa nieśmiertelna mitologiczna hydra, której w miejsce odciętych głów wciąż wyrastają nowe, jeszcze mocniejsze. Od wieków wrogowie grzmocili nas, tłukli zapamiętale na kowadle światowej kuźni, aż w końcu zrobiliśmy się mocni i zahartowani jak stal. Toteż złamać nas niełatwo,

[127] Wański – przymiotnik utworzony od nazwy miasta Wan (Van), leżącego na wschodnim brzegu jeziora Wan (Van) (AP).

jesteśmy nadzwyczaj wytrzymali… Naród ormiański doświadczył również barbarzyństwa Mongołów. W porównaniu z nimi obecne plemię Turków wydaje się zaledwie rojem niegroźnych meszek. Przez armeńskie ziemie przetaczały się hordy Mandul-chana, Tamerlana, Czyngis-chana, Hulagu-chana[128]. Nadlatywały niby śmiercionośne ulewy, uderzały jak huragany, biły i bywały bite, aż w końcu zniknęły z powierzchni ziemi – a Ormianie jednak ocaleli. Dzisiejsza Turcja, dążąc do unicestwienia ormiańskiego narodu, który wydatnie ją wzbogaca, sama sobie kopie nieopatrznie mogiłę. Jej obecne finansowe bankructwo jest rezultatem owej zgubnej polityki. Dawna Turcja lepiej rozumiała, jaką korzyść przynoszą państwu Ormianie. Ona nie tylko troszczyła się o pracowitego ormiańskiego chłopa, ale i cały nadzór nad swoimi finansami przekazała w ręce ormiańskich kupców, którzy nie jeden raz wspomagali ją w trudnych momentach.

Zbliżał się świt, ale rozgorączkowani rozmówcy ani myśleli się rozchodzić. Byli pochłonięci omawianiem swoich planów. Po zakończonej rozmowie Dudukczian wyjął z kieszeni trzy wizytówki i – wręczając je swoim nowym przyjaciołom – powiedział:

– Ufam wam całkowicie i chcę, byście znali moje prawdziwe imię i nazwisko.

Na wizytówkach, pięknymi literami, po francusku, było wydrukowane: „L. Salman”.

Ojciec Lewona Salmana, Toros-czelebi[129], pochodził z rodziny Ormian – katolików, ale jeszcze będąc młodzieńcem, przyjął islam[130]. Szczegółowe opowiadanie o tym, dlaczego zmienił wiarę, wymagałoby zbyt wiele czasu; powiedzmy więc tylko jedno – Toros związał się z pewną młodą Turczynką i przyłapany na tym, ratując się przed grożącą mu

[128] Średniowieczni władcy azjatyccy: Mandul-chan (1475-1479), Tamerlan (Timur Lenk = Timur Kulawy, XIV w.), Czyngis-chan – twórca imperium mongolskiego (XII/XIII w.), Hulagu-chan (XIII w.) – wnuk Czyngis-chana (AP).

[129] Toros – skrócona forma greckiego imienia Theodoros (Teodor), które dosłownie znaczy „dar boży” (spolszczony odpowiednik: Bożydar). Natomiast *czelebi* to turecki wyraz o znaczeniu „jaśnie pan, dziedzic” (AP).

[130] W oryginale ormiańskim: *mahmedakanuthjun*, od imienia twórcy islamu Muhammada (AP).

śmiercią, przyjął islam i ożenił się z piękną Fatimą[131] – tak miała na imię owa Turczynka. Kobieta umarła wkrótce po urodzeniu Lewona. Maleńkie dziecko zostało pod opieką ojca.

Torosa dręczyła myśl, że jego syn będzie się wychowywał w nienawistnej dlań wierze, toteż porzucił ojczysty kraj i osiadł w Konstantynopolu, gdzie nikt go nie znał. Swego syna powierzył trosce katolickich zakonników, a sam gdzieś zniknął.

Mały Lewon wychowywał się początkowo w klasztorze, później zaś, w wieku dwunastu lat, został wywieziony do Włoch. Tutaj najpierw jego wychowawcami byli jezuici. Kilka lat spędził również w Wenecji, w ormiańskim katolickim klasztorze na Wyspie św. Łazarza, następnie zaś – w wiedeńskim klasztorze mechitarzystów[132], jednakże nigdy nie otrzymał wszechstronnego wykształcenia.

Miłość do kobiety zmusiła go do porzucenia ciężkiej atmosfery klasztoru – i młodzieniec bez reszty pogrążył się w szalonym wirze paryskiego życia. Początkowo – w pogoni za coraz to nowymi rozrywkami – prowadził beztroski tryb życia: często zmieniał polityczne przekonania, przyjmował członkostwo najróżniejszych towarzystw, zabijając czas pustą gadaniną, ale gdy jego kochance skończyły się pieniądze, musiał się zabrać za poważne zajęcie. Podjął współpracę z redakcjami gazet, pisał głównie o Wschodzie – i z tego żył. A gdy ponownie wypłynął problem wschodni, Lewon zostawił Paryż, porzucił kochankę i udał się do Konstantynopola.

[131] Fatima – córka proroka islamu Muhammada (Mahometa). Muzułmanki do dziś często noszą to imię (AP).

[132] Mechitarzyści (albo: mechitaryści) – ormiańscy mnisi katoliccy z zakonu zwanego Kongregacją Mechitar(z)ystów. Mają dwa klasztory: jeden w Wenecji (na wyspie San Lazzaro), a drugi w Wiedniu. Nazwa zakonu pochodzi od imienia założyciela: Mechitara (lub: Mychitara) z Sebasty (1676-1749) (AP).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Miesiąc wcześniej, zanim Salman pojawił się w prowincji Bagrewandu[133], poganiacz mułów, mieszkaniec Erzurumu o imieniu hadżi Misak, podążał ze swoją karawaną do tegoż miasta. Tytuł „hadżi”[134] nosił dlatego, że dwukrotnie odbył pielgrzymkę do Jerozolimy i miał nadzieję, że – jeśli Bóg pozwoli – będzie mógł tam się udać i po raz trzeci, aby osiągnąć ową upragnioną „trójkę”. Hadżi Misak był gorliwym chrześcijaninem i wyróżniał się skrajną nabożnością.

Ponad dwadzieścia lat krążył już ze swoją karawaną między Azją Mniejszą a Armenią, przewożąc ładunki, i dobrze był znany we wszystkich miastach, wioskach i zajazdach, przez które bądź obok których przejeżdżał. Hadżi Misak był mężczyzną średniego wzrostu, tęgim i krzepkim oraz niezwykle ruchliwym. Trudno było dostrzec rysy jego twarzy, gęsto bowiem porastała ją obfita broda. Daleko do przodu wystawał tylko jego nos, a w oczach jarzyły się niezmiennie dobroduszne ogniki.

Gdziekolwiek pojawiała się karawana hadżi Misaka, wszędzie witano go z radością. Ileż nadziei wiązało się zwykle z jego przybyciem! Kupiec oczekiwał na dostawę nowego towaru, kobieta – na wiadomość od męża pracującego w innym kraju, a wszelkiej rangi urzędnicy będący w podróży – dostawy zapasów żywności i odzieży. Nierzadko też znużeni wędrówką, schorowani ormiańscy emigranci cierpliwie, w różnych miejscach przy drodze, oczekiwali karawany Misaka z nadzieją, że litościwy hadżi zlituje się nad nimi i zabierze do żądanego miejsca.

Wszyscy znający hadżi Misaka kochali go za jego dobroć, wrażliwość i bezinteresowną chęć niesienia pomocy bliźniemu. „Hadżi Misaku, weź też dla mnie w drodze powrotnej kilka paczek tytoniu”, „Hadżi Misaku, przywieź nam kawy, bo cała już wyszła”, „Hadżi Misaku, przekaż mojej rodzinie ten olej z oliwek” – takie prośby dostawał ciągle

[133] Bagrewand – historyczna prowincja Armenii Zachodniej leżąca w górach między górnym biegiem rzeki Murat a Araksem. Obecnie ośrodkiem tego terenu jest tureckie miasto Agri (AP).

[134] Hadżi (dokładnie po arabsku: *hadżdżi*) w islamie jest tytułem muzułmanina, który odbył pielgrzymkę (zwaną *hadżdż*) do Mekki, świętego miasta islamu. Chrześcijańscy Ormianie przejęli ten termin w odniesieniu do osób, które odbyły pielgrzymkę do Jerozolimy (AP).

i nie tylko spełniał je nieodpłatnie, ale niekiedy dopłacał nawet z własnej kieszeni. Oto dlaczego hadżi Misak cieszył się przychylnością funkcjonariuszy drogowych, a jego karawana bez przeszkód mijała wszystkie urzędy celne.

Poganiacz mułów – a zwłaszcza taki, którego wszyscy dobrze znają – cieszył się na Wschodzie ogromnym zaufaniem: nierzadko zlecano mu przewóz bardzo cennych towarów, włącznie z workami pełnymi złota i srebra. Poganiacz dostarczał je zawsze do miejsca przeznaczenia w nienaruszonym stanie, bez jakichkolwiek pokwitowań.

W każdym mieście mieszkańcy zawczasu wiedzieli, kiedy pojawi się u nich hadżi Misak, albowiem z taką punktualnością przemieszczała się jego karawana. I gdyby nie rozmaite przypadłości, jakie w drodze bywają nieuniknione, hadżi Misak nie spóźniłby się z planowanym przybyciem nawet o jedną godzinę.

Tym razem karawana hadżiego Misaka poruszała się dość wolno – toboły, które wiózł, były niewielkie, ale najwyraźniej dosyć ciężkie. Większą część ładunku stanowiły długie, okute żelazem skrzynki, na których widniała angielska pieczęć: „Persja – Teheran".

Karawana posuwała się głównie nocą. Hadżi Misak tłumaczył, że dzienny skwar za bardzo wyczerpuje muły.

Tym razem karawanie towarzyszyła jeszcze jedna osoba. Był to kupiec o imieniu Melik-Mansur nazywający siebie perskim Ormianinem.

W ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci perski rząd[135] zaopatrywał swoją armię w najnowsze – europejskiego typu – rodzaje broni. Przed ormiańskimi kupcami otwierało się szerokie pole do działania – mieli dostarczać perskiemu rządowi taką właśnie broń. Melik-Mansur był jednym z owych kupców i ciężkie skrzynki na grzbietach mułów należały do niego.

W punktach celnych nie zwracano szczególnej uwagi na owe skrzynki, gdyż nie różniły się one od zwykłych tranzytowych ładunków przewożonych do Persji. Podobnego rodzaju ładunki ciągle przewożono z Trapezuntu, Erzurumu czy Bajazetu do Persji.

[135] W drugiej połowie XIX w. Persją (Iranem) rządził szach Nasero-d-din z dynastii Kadżarów (AP).

Melik-Mansur był trzydziestosześcioletnim mężczyzną o dość przyjemnych rysach twarzy. Miał wesołe usposobienie, lubił podowcipkować i całą drogę zagadywał hadżiego Misaka. Ten z zainteresowaniem słuchał wesołka, szczególnie wówczas, gdy rozwodził się on o swoich przygodach w dalekich krajach. Jego opowieści rozpraszały nudę i monotonię ruchu karawany. Niezwykle ciekawe było opowiadanie tego wędrownego kupca o tym, jak stracił trzy palce lewej ręki w czasie podróży do Indii.

Melik-Mansur mówił w wielu wschodnich i europejskich językach. Mnóstwo ludzi spotykał w swoim życiu, znał wszystkie ich przyzwyczajenia i narowy – i potrafił ze wszystkimi należycie się obchodzić. Wszelako swego prawdziwego oblicza nie ukazywał nikomu. I mimo to, nie bacząc na całą tajemniczość, która spowijała owego nieznajomego, hadżi Misak okazywał mu szczególny szacunek, gdyż czuł doń mimowolną sympatię.

We wszystkich przydrożnych karawanserajach[136], gdzie zatrzymywali się na nocleg, oberżyści byli zachwyceni Melik-Mansurem i ochoczo mu dogadzali, gdyż szczodrze szafował złotem.

– Pan ich rozpuszcza i demoralizuje – strofował towarzysza podróży hadżi Misak – następnym razem od tych rozbójników nawet szklanki wody człowiek się nie doprosi.

– Nic nie szkodzi – odpowiadał tamten ze śmiechem – blask złota oślepia ludzkie oczy.

Karawana pomyślnie minęła Erzurum i po tygodniu przybyła do prowincji[137] Bajazetu. Tam ładunek Melik-Mansura jął stopniowo potajemnie znikać, a w miejsce długich skrzynek pojawiały się jakieś toboły. Tej wymiany dokonywano po nocach, kiedy karawana zatrzymywała się w którejś ormiańskiej wiosce. Niekiedy do Melik-Mansura przychodzili jacyś nieznajomi ludzie, prowadzili z nim tajemnicze rozmowy w niezrozumiałym języku i znikali. W końcu karawana przekroczyła turecko-perską granicę i znalazła się na perskiej ziemi. Tyle że nim jeszcze dotarła do granicy, skrzynki z napisem „Persja – Teheran" już

[136] Karawanseraj – miejsce noclegu dla przewodników karawan, z pomieszczeniami na składowanie towarów. Wyraz złożony pochodzenia perskiego (*kârvân-sarây*) (AP).

[137] Prowincja – w oryginale ormiańskim: *gawarr* (AP).

nie obciążały grzbietów pokornych mułów, a tajemniczy kupiec, Melik-Mansur, gdzieś zniknął.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Sposób życia, jaki w ostatnim czasie był właściwy dla domu staruszka Chacza, uległ wyraźnie odczuwalnemu zakłóceniu. Salman, którego domownicy jak dawniej nazywali Dudukczianem, rzadko się teraz wśród nich pojawiał. Zarówno on, jak i Wartan na kilka dni niekiedy znikali ze wsi O… Hajrapet i Apo, wielce czymś zatroskani, byli jakoś dziwnie zamknięci w sobie i trzymali się na uboczu. Co się zaś tyczy pozostałych braci, to jawnie nie akceptowali oni obecności w domu owych dwu przybyłych z dala gości, których wariackie poczynania wywoływały ich oburzenie.

Staruszka Chacza całkowicie pochłaniały sprawy dotyczące wsi, które z każdym dniem przysparzały mu coraz więcej trosk i kłopotów. Życie w odzie również całkiem zamarło; wieczorami nie dobiegały już stamtąd podekscytowane głosy, nie kipiały spory, nie brzmiały żarliwe przemowy.

Tylko w kobiecej połowie domu życie nadal toczyło się zgodnie z tradycyjnym porządkiem, nic nie zakłócało jego panującej tu od wieków monotonii.

W ormiańskiej rodzinie kobiety są izolowane od mężczyzn, rzadko się z nimi kontaktują, nie biorą udziału w ich rozmowach, nie wiedzą, jakie myśli i sprawy ich pochłaniają. Krąg kobiecych zainteresowań sprowadza się do gospodarstwa i codziennych domowych zajęć, dlatego w ogóle nie wiedziały one, o czym mężczyźni rozprawiali w odzie… Wszak oda starosty była swego rodzaju wiejskim klubem – niedostępnym dla kobiet.

– Jeżeli do naszej sprawy wciągniemy również kobiety, to sukces mamy gwarantowany… – często powtarzał Salman.

– Na to jeszcze za wcześnie – replikował Wartan – najpierw trzeba się zająć ich oświeceniem.

– W życiu narodu niczego nie wolno zmieniać bez udziału kobiet – przekonywał go Salman. – Główna przyczyna naszego zacofania spro-

wadza się do tego, że kobieta nie odgrywa żadnej roli w społeczeństwie. Ich potężna siła nadaremnie marnuje się w czterech ścianach domu. Jeżeli chcemy się w ogóle zabrać za oświatę naszego narodu, to należy ją rozpocząć od kobiet. Wcześniej wzdłuż i wszerz przemierzyłem całą Armenię i wszędzie uważnie przypatrywałem się Ormiankom. W wyniku tych obserwacji doszedłem do pocieszających wniosków: jeżeli poza domem mężczyzna ulegnie nawet wpływowi Turków, zatraci własną osobowość i cechy narodowe, to pozostająca w zamknięciu kobieta zachowuje czystość ducha i wysoką moralność. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: kobieta cierpiała i stawała się prymitywna, ale nie utraciła cech narodowych. To wielka sprawa. Jeśli mężczyzna utrzymujący kontakty z muzułmanami ulega częstokroć ich wpływom, to kobieta, nie ulegając im, w pełni zachowuje swoją narodową odrębność. Dzięki temu mimowolnie zostaje zachowana chociaż częściowa równowaga: to, co utraci mężczyzna, rekompensuje kobieta. Widać to nawet w drobiazgach. Niechęć Ormianek do islamu graniczy wręcz z fanatyzmem. Wszystko, czego dotknęły bądź co wykonały ręce muzułmanina, ona uważa za sprofanowane: mięso zarżniętego przezeń zwierzęcia, zakwaszony ser, upieczony przez niego chleb… Mężczyzna pod tym względem jest mniej pryncypialny. Słyszałem setki historii o tym, jak porwane przez muzułmanów dziewczęta i kobiety usiłowały ratować się ucieczką albo popełniały samobójstwo, podczas gdy wśród mężczyzn zdarzało się to znacznie rzadziej.

– Ale nie mniej ważna jest również inna okoliczność. W wielu miejscowościach, a zwłaszcza w miastach, ormiańscy mężczyźni przywykli już mówić po turecku. Nie spotkałem jednak ani jednej naszej kobiety, która by znała ten język albo w nim mówiła. W ormiańskiej rodzinie strażnikiem ojczystego języka pozostaje kobieta; to ona uczy ormiańskiego swoje dzieci. Ona ma też wpływ na swoje najbliższe otoczenie: zatrudniani w ormiańskich rodzinach Kurdowie mówią po ormiańsku. Kobieta zachowała język, narodowość i moralne zasady rodziny. To ona daje nam ów przeobfity materiał, z którego możemy tworzyć cuda.

W ostatnich dniach Salman wiele razy dyskutował z Wartanem na ten temat, jednak mimo tylu pochwał, które Dudukczian wygłaszał pod adresem ormiańskich kobiet, synowe staruszka Chacza niezbyt go lubiły. Nie znając bliżej Salmana, nie mogły w pełni docenić jego duchowych zalet,

chociaż wygląd młodzieńca był na tyle atrakcyjny, że mógłby zwrócić uwagę niejednej kobiety. W niemałym stopniu zależało to pewnie i od tego, z jakiej sfery mężczyzna się wywodził. Nic więc dziwnego, że synowe Chacza sympatyzowały raczej z Wartanem.

Pewnego razu, w czasie południowego odpoczynku, w jednym z pokoi domu Chacza zebrały się wszystkie jego synowe: jedna zgrzebliła wełnę, druga przędła, trzecia tkała na krosnach barwny dywan, czwarta szyła dziecięce ubranko, słowem – żadna nie siedziała bezczynnie.

Kobiety rozmawiały o Salmanie.

– Saro – zwróciła się do swojej szwagierki młodziutka Pariszan. – Co ten człowiek robi w naszej wsi?

– Powiadają, że chce zakładać szkołę[138] – odparła Sara.

– Ale przecież on nie jest diakonem[139] – zdziwiła się Pariszan, która była przekonana, że jedynie duchowni mogą uczyć dzieci.

– On jest diakonem – stambulskim… – powiedziała Sara.

– Skoro tak, to dlaczego nie odprawia nabożeństw[140] w kościele?

Na to Sara odpowiedziała pierwszym zdaniem, które przyszło jej do głowy:

– Bo to nie taki sam diakon jak inni.

Teraz włączyła się do rozmowy piękna Maro, małżonka Apa:

– Mój mąż powiedział, że w tej szkole będą się też uczyć dziewczynki.

Słowa Maro wywołały ogólny śmiech.

– Po co dziewczynkom uczyć się czytania i pisania? Przecież żadna nie będzie ani księdzem, ani biskupem[141] – usłyszała Pariszan w pouczającej odpowiedzi.

---

[138] Szkoła – w oryginale: *warżatun*. To dawna ormiańska nazwa szkoły (obecnie: *dyproc*) o dosłownym znaczeniu: „dom ćwiczeń" (AP).

[139] Diakon – w oryginale: *tiracu*. Termin ten w Ormiańskim Kościele Apostolskim oznacza diakona niższego stopnia: psalmistę. Diakonem wyższego stopnia jest *sarkawag*. Diakoni to osoby pełniące pomocnicze funkcje kościelne (AP).

[140] W oryginale Pariszan pyta: „To dlaczego nie chodzi do kościoła (tu: *żam*) i nie śpiewa (wygłasza) szarakanów (czyli ormiańskich hymnów kościelnych)?" (AP).

[141] W oryginale autor użył dwóch terminów oznaczających duchownych Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego: *terter* (patrz przypisy: 8, 27) i *wardapet* „archimandryta" (tytuł honorowy wyższego dostojnika w Kościołach wschodnich) (AP).

Jedna z kobiet zwróciła się do maleńkiej Nazlu:

– Słyszysz, Nazlu? Wkrótce pójdziesz do szkoły i będziesz się uczyć literek, żebyś umiała czytać i pisać.

Nazlu była córeczką Hajrapeta i śmiało odpowiedziała:

– E tam, wielkie mecyje, jak mam się uczyć, to się będę uczyć. Potem pójdę do kościoła, wdzieję odpowiedni strój[142] i – jak chłopiec – będę śpiewała modlitwy[143].

– A bodajś przepadła, mądralo, tylko tego jeszcze brakowało! – strofowały kobiety dziewczynkę.

Pariszan, która zaczęła ową rozmowę, rezolutnie zauważyła:

– Dość nam już jednego diakona, Simona, po co nam nowy nauczyciel? I tak mu pewnie daleko będzie do diakona!

– Diakon Simon to uczony człowiek, ale wystarczy, że wypije – i zaraz daje pełną swobodę swoim rękom – zauważyła Sara. – Nie pamiętasz, jak stłukł syna naszego sąsiada, Kaspara? Chłopca na rękach musiano przynieść do domu, a po dwóch dniach, biedaczek, oddał duszę Bogu.

– Diakon Simon nie ma w tym żadnej winy: jeśli dzieciaka nie będziesz bić, to go nie nauczysz rozumu.

Te rozmowy zostały wywołane wiadomością o tym, że Salman w ostatnich dniach pertraktował z chłopami o budowie dwóch szkół – jednej dla dziewcząt, drugiej dla chłopców. Wyjaśniał, że nauka w nich będzie bezpłatna, obiecał zaprosić nauczycieli i wyposażyć szkoły w podręczniki i książki. Jednakże wszystko, co darmowe, wywołuje u chłopa podejrzenie. Trzeba było dużego samozaparcia, aby przełamać uprzedzenie chłopów – oni przywykli bowiem do tego, że nauczaniem dzieci zajmują się wyłącznie księża i diakoni, toteż sądzili, że to grzech zaufać pod tym względem takiemu człowiekowi jak Salman, który nie chodzi do kościoła[144], a nawet – jak powiadają – nie przestrzega postów.

---

[142] W oryginale: *żami szapik* „koszula kościelna" (AP).

[143] W oryginale mamy tu wyraz *phoch*, który oznacza tu psalm śpiewany na zmianę przez dwóch diakonów (AP).

[144] W Ormiańskim Kościele Apostolskim uczestnictwo w niedzielnych mszach nie jest obowiązkowe. W Armenii kościoły (*jekegheci*, *żam*) były często budowane w górach,

Staruszek Chaczo – w wielu przypadkach niezgadzający się z Salmanem – tym razem jednak go poparł. Jako starosta zdołał wpłynąć na chłopów i wydzielili Salmanowi upatrzony przezeń kawałek ziemi pod budowę szkoły.

W końcu przystąpiono też do roboty i wykopano dół pod fundamenty. Lecz oto stało się coś nieoczekiwanego: któregoś dnia rano stwierdzono, że chłopi, zmówiwszy się, zasypali w nocy cały wykop ziemią. I żaden z nich już tego dnia nie przystąpił do pracy, mimo że Salman podwoił dniówkę.

Cóż się zatem stało?

Z rozmów, jakie prowadziły między sobą synowe Chacza, dowiedzieliśmy się, że we wsi O… przebywał niejaki diakon Simon, który rzekomo uczył dzieci pisania i czytania. Tyle że owo jego nauczanie sprowadzało się do tego, że w okresie zimowym zbierał dzieci w oborze i czytał im psalmy tudzież kościelne księgi, a z nadejściem wiosny i tradycyjnych robót polowych zwalniał je. Dzieciaki przez wiosnę i lato oczywiście wszystko zapominały.

Diakon Simon, zięć proboszcza[145] Ter-Maruka, był powszechnie znanym pijakiem i skandalistą. A ponieważ założenie nowych szkół zagrażałoby oczywiście jego pozycji i wyrządziło również materialną szkodę, podburzył przeciwko Salmanowi proboszcza, toteż starczyło jednego jego słowa, aby rozpalić w chłopach fanatyzm i zniszczyć cały pomysł. W swoim kazaniu Ter-Maruk nazwał Salmana „farmazonem”[146], oświadczył, że jest on bezbożnikiem, który wszystkie dzieci może sprowadzić na złą drogę. Żarliwie też przekonywał, że uczyć dziewczęta to grzech, wszak nie bez racji mędrzec Salomon[147] przeklął wszystkie ko-

daleko od wsi, by wrogowie chrześcijaństwa (muzułmanie) nie mogli ich z łatwością burzyć (AP).

[145] Proboszcz ([*cychater khahana*]) należał do niższej rangi duchownych Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego, których nie obowiązywał celibat, por. przypis 8 (AP).

[146] Farmazon – w oryginale *farmason*, wyraz pochodzący z francuskiego określenia *franc-maçon* „wolnomularz, mason” (dosłownie: „wolny murarz”) (AP).

[147] Mędrzec Salomon – chodzi tu o króla izraelskiego z X w. przed Chrystusem. Jego postać obrosła w liczne legendy. Wyrażony tu pogląd, jakoby Salomon „przeklął wszystkie kobiety”, jest nonsensem, ponieważ żył on przeszło 900 lat przed św. Janem Chrzcicielem (AP).

biety za to, że jedna z nich kazała ściąć głowę Janowi Chrzcicielowi. Swoją przemowę wzmocnił przykładami z Pisma Świętego: przyczyną śmierci proroka Samsona[148], grzmiał, także była kobieta. Wiadomo również, że to Ewa zwiodła Adama i że to przez nią został on wygnany z raju. Przytoczywszy niemało podobnych przykładów, kaznodzieja oświadczył, że nauczanie dziewczynek to grzech, gdyż – oświecone – przemienią się w diablice.

Do diakona Simona kobiety odnosiły się z wielkim szacunkiem, pisał on bowiem dla nich na papierkach rozmaite zaklęcia, wróżył, przepowiadał przyszłość. Dlatego podjudzały swoich mężów, aby trzymali stronę diakona, żeby nie został on pozbawiony swego kawałka chleba.

Ksiądz[149] i diakon Simon, wypowiadając wojnę Salmanowi, zyskali sojusznika w osobie Tomasa-efendiego, który był zaciekłym przeciwnikiem szkół, nauczania i wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z oświatą. A popierał diakona również dlatego, że był on dlań darmowym skrybą, prowadził jego rachunki, a w porze żniw chodził razem z nim i z jego strażnikami po wioskach, pobierając od chłopów dziesięcinę.

Wszystko to przysparzało wiele kłopotów dobrotliwemu Chaczowi. Próbował przekonać Salmana, by odstąpił od swego pomysłu, ten jednak pozostawał nieugięty.

Powróciwszy wieczorem do domu, Salman powiedział Wartanowi:

– Z tymi niegodziwcami trzeba postępować inaczej. Spróbuję zachowywać się tak jak misjonarz.

Przeciwnikami misjonarzy w dowolnym kraju zawsze bywali ludzie wykształceni lub konserwatywni kapłani powiązani ze starym kultem. Z biegiem czasu jednak i oni stawali się zwolennikami misjonarzy. Dla zachowania pozorów misjonarz powierzał im różne zadania, a w rzeczywistości płacił im wynagrodzenie, niczego od nich nie wymagając. Dzięki temu przeciwnicy nowej religii wkrótce stawali się najbardziej zagorzałymi jej wyznawcami.

---

[148] Samson nie był prorokiem, lecz sędzią i bohaterem izraelskim wyróżniającym się nadludzką siłą (AP).

[149] „Ksiądz" to w oryginale *khahana* – wyraz syryjski, odpowiednik etymologiczny hebrajskiego terminu *kohen* „kapłan" (AP).

– To prawda – przyznał Wartan – ale co zamierzasz zrobić?

– Przede wszystkim zachowywać się jak człowiek interesu – stanowczym tonem oświadczył Salman – należy grać na ludzkich słabościach. Warto by się dowiedzieć, ile dostaje ten głupi diakon od swoich uczniów? Ja zaproponuję mu dwa razy tyle i znajdę dla niego jakieś stanowisko w szkole. Uwierz mi, moja propozycja tak go zainteresuje, że już jutro z samego rana zjawi się z łopatą i kilofem, żeby razem z innymi budować szkołę.

– Pewnie masz rację – odrzekł Wartan – ale trzeba posmarować i księdzu proboszczowi.

– To prawda…

Nie bacząc na doznawane tego dnia przykrości, Salman trwał w podniosłym nastroju. Niepowodzenia nie tylko go nie załamały, ale wlały weń nową energię, a wiara w lepszą przyszłość napełniała serce Salmana uczuciem zachwytu.

– Gdybyś ty wiedział, Wartanie, jaką szczęśliwą przyszłość rokuje nam szkoła. Ona pomoże urzeczywistnić nasze nadzieje, wyleczyć nasze odwieczne rany, ona wychowa nowe pokolenie, które będzie szczęśliwsze niż my. Pozostając przez wieki biernymi, nasi przodkowie zaiste pozostawili nam obszerne pole do działania. I chociaż nie zatroszczyli się w swoim czasie o naszą przyszłość, ona mimo to należy do nas. I w imię tego właśnie musimy cierpliwie i z uporem pracować. Ja uważam, że nie wystarczy tylko rozwijać umysł i uszlachetniać duszę dziecka, trzeba też koniecznie zadbać o jego rozwój fizyczny. Czyżbyś nie zauważył, Wartanie, jak niezdarne, jak nieruchliwe są nasze wiejskie dzieciaki? Należy rozwijać w nich zręczność, siłę i męstwo. Taki właśnie cel w naszych szkołach winna spełniać gimnastyka – wychowywać śmiałe i zdrowe nowe pokolenie…

– Chcę ci przekazać radosną wieść, Wartanie. Byłem dzisiaj u Kurdów, mówiłem im o szkole. Wyobraź sobie, jak się zdumiałem, kiedy mi powiedzieli, że z ochotą będą posyłać swoje dzieci do ormiańskiej szkoły! Wszystko wskazuje na to, że nawet oni rozumieją korzyść, jaką daje wykształcenie, i nie chcą, żeby ich dzieci wyrosły na dzikusów. Bo też i w samej rzeczy, czy to ich wina, że kurdyjski naród wciąż pozostaje taki dziki i żyje głównie z rozbojów? To my jesteśmy temu winni, bo nie zatroszczyliśmy się o oświatę Kurdów. A przecież to w naszym

interesie jest nauczenie ich pokojowego i cywilizowanego sposobu życia. Turcja się o to nie zatroszczy, bo dla niej korzystniej jest, żeby Kurdowie nadal pozostawali dzikusami. A my przez to cierpimy najbardziej, zatem powinniśmy również nad tym pomyśleć. Niech oni wyznają swoją wiarę, podczas gdy my tymczasem będziemy ich oświecać – a wtedy nieuchronnie „bieżąca woda sama sobie koryto wyżłobi".

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wiele wskazywało na to, że turecki rząd przygotowuje się do wojny. Najbardziej było to widoczne w graniczącej z Rosją prowincji Bagrewandu. Tu z chłopów nie tylko bezwzględnie ściągano podatki za bieżący rok, ale jednocześnie żądano też spłacania starych zaległości. Naród jęczał pod nadmiernym brzemieniem i szemrał w milczeniu. Tym, którzy nie mieli pieniędzy, odbierano dobytek i bydło. Konfiskowano nawet bawoły i woły, pozbawiając chłopów możliwości wykonywania orki. Oprócz tego zmuszano ich do robienia zapasów sucharów, rekwirując przy tym mąkę, masło, sery itp. Na łzy i żałosne błagania chłopów odpowiedzią było jedno tylko stwierdzenie: „Państwo prowadzi wojnę".

Dzika samowola władz otwierała przed Tomasem-efendim szerokie pole do działania. Pełniąc funkcję poborcy, ściągał on podatki i dostarczał prowiant dla armii. Na tej niwie jego ostra kosa cięła niezmordowanie, przynosząc obfity plon.

Otrzymawszy od rządu oficjalny dekret[150], miał on prawo trzymać przy sobie dowolną liczbę strażników. Ciężar wojny kładł się okrutnym brzemieniem głównie na barki ormiańskich wieśniaków. Mało tego, że zostali oni do czysta ze wszystkiego ograbieni i że skonfiskowano im dobytek, który w pocie czoła gromadzili przez wiele lat – spadło na nich jeszcze większe nieszczęście, z dnia na dzień bowiem rosła nienawiść muzułmańskiej ludności do giaurów – chrześcijan. Słowo *dżihad*[151] nie

[150] W oryginale autor użył tu tureckiego terminu *bujrultu* (*buyrultu*) (AP).

[151] *Dżihad* – arabski termin oznaczający w islamie „świętą wojnę" (AP).

schodziło ludziom z ust. Niejeden mułła[152], mufti, kadi, szejk rozpalał fanatyzm tłumu, zatruwał go gadaniną o tym, że muzułmanie prowadzą wojnę religijną, że w Stambule wzbije się wkrótce pod niebo „sztandar proroka"[153], że z dnia na dzień zostanie ogłoszona święta wojna i cały islamski świat powstanie przeciwko chrześcijanom…

Wszystko to napełniało trwogą Salmana, który doskonale rozumiał wagę dziejących się wydarzeń i przewidywał ich przerażające skutki.

– Tutaj dojdzie do rzezi identycznej jak w Bułgarii – powiedział pewnego ranka do Wartana. – Nie można dłużej zwlekać, trzeba przygotować naród do samoobrony.

– Ja też czuję, że sytuacja pachnie rzezią – odrzekł Wartan.

Rozmawiając, wyszli obaj z domu staruszka Chacza i skierowali się do domu Ter-Maruka. Zgodnie z tym, co postanowili kilka dni temu, chcieli załatwić z nim sprawę szkoły, a prościej mówiąc – jak żartobliwie wyraził się Wartan – „posmarować" księdzu, żeby milczał, jego zięcia zaś, diakona Simona, mianować brygadzistą robotników, proponując mu objęcie intratnej posady w nowej szkole.

Idąc przez wieś, napotkali domokrążcę przyzywającego mieszkańców do kupowania jego towarów:

– Hej, piękne dziewczątka, młode anielątka! Nieście tu pieniążki na jedwabne wstążki, na srebrne igiełeczki, na włóczki moteczki, złote naparsteczki…

Domokrążca był rosłym, barczystym mężczyzną odzianym w jakieś postrzępione łachmany. Duże, ładowne pudło z towarami, które dźwigał na plecach, wyglądało na nim jak małe sito wiszące u boku wielbłąda. Przekupień wyraźnie utykał na lewą nogę i za każdym razem, kiedy na niej stawał, wydawało się, że ów Goliat[154] zaraz upadnie. Ale pokaźny kostur, którym się podpierał, pomagał mu zachować równowagę.

---

[152] *Mułła* – perski tytuł religijny (we współczesnej wymowie: *mollâ*) oznaczający niskiej rangi duchownego, sędziego, nauczyciela. Wyraz pochodzenia arabskiego (*maulan*/*maulā* „pan"), por. Y. Thoraval, „Słownik cywilizacji muzułmańskiej", tłum. P. Latko, Katowice 2002, s. 211 (AP).

[153] „Sztandar proroka" – w oryginale autor użył tureckiego wyrażenia *sandżak-y szerif*, które oznacza dosłownie „sztandar honoru". Chodzi o ważny symbol islamu (sztandar proroka Muhammada) (AP).

[154] Goliat – biblijny olbrzym (1 Sm 17,4) (AP).

Dźwięk jego głosu sprawił, że Salmana przeniknął dreszcz i się rozpromienił, jakby usłyszał radosną wiadomość.

Co wspólnego mógłby on mieć z owym domokrążcą?

Gdy do siebie podeszli, ich spojrzenia na moment się spotkały – i chociaż nie wymienili z sobą nawet jednego słowa, wyraz ich oczu powiedział bardzo wiele. Tylko Wartan niczego nie zauważył.

– Też sobie znalazł czas na handel jakimiś nitkami i igiełkami! – prychnął lekceważąco, gdy oddalili się nieco od ulicznego przekupnia. – Chłopi złamanego grosza nie mają, za co by mieli cokolwiek u niego kupować?

– Mój drogi, jego pudło ma podwójne dno – oznajmił Salman. – On schował tam takie towary, które obecnie są w najlepszej cenie…

Roztargniony Wartan prawie nie słuchał przyjaciela. Był pochłonięty myślami o Lali. Nadchodziły groźne wydarzenia, a on nie wiedział, na co się zdecydować, jak postąpić, dokąd wywieźć ukochaną. A przecież jutro czy pojutrze przyjdzie mu samemu brać udział w owych wydarzeniach.

– Ostre igiełeczki, cieniutkie niteczki, piękne koraliczki!… – rozbrzmiewał przeciągły głos domokrążcy.

W tym momencie Salman i Wartan zobaczyli Tomasa-efendiego obstąpionego przez tłum chłopów. Stojąc obok osiodłanego konia, poborca wydawał jakieś polecenia. Ujrzawszy dwóch przyjaciół, efendi przerwał rozmowę i pospieszył im na spotkanie.

Z obłudnym uśmiechem już z oddali wykrzyknął do Salmana:

– Dawno już pragnąłem pana poznać, panie Dudukczian – efendi nie znał jego prawdziwego nazwiska – jestem bezgranicznie szczęśliwy, mój drogi rodaku, żeśmy się wreszcie spotkali! Pewnie nawet nie wiedziałeś, że jesteśmy rodakami? Ja też pochodzę ze Stambułu[155].

Salman był niezmiernie zdziwiony. Tego człowieka widział po raz pierwszy, nigdy go dotąd nie spotkał, ale jego przypochlebny ton bardzo mu się nie spodobał, toteż milczał. Efendi zaś podszedł, ujął go za rękę i powiedział:

– Niech mi będzie wolno uściskać i ucałować rodaka, uśmierzy to nieco moją tęsknotę za ojczyzną[156].

---

[155] Por. przypis 109 (AP).

[156] Tomas-efendi ma na myśli Stambuł (Konstantynopol) (AP).

Stojący opodal Wartan obserwował w milczeniu ową scenę. Salman był całkowicie zbity z tropu. Efendi, wykorzystując jego zmieszanie, pospiesznie zwrócił się do Wartana:

– Ano, podejdź do mnie i ty, nicponiu! Przecież wiesz, że nie umiem się długo złościć, mam duszę dziecka. „Kurd nie nazwie swojej serwatki kwaśną", jak mówi przysłowie: nieważne, czyś dobry, czy zły – ważne, że jesteś moim przyjacielem; zapomnijmy więc o wszystkim i uściśnijmy sobie ręce.

Podejrzewając, że przyjacielska wylewność efendiego ma jakiś ukryty cel, Wartan podszedł do niego i wyciągnął rękę. Efendi ponownie zwrócił się do Salmana:

– Bardzo jestem z pana niezadowolony, panie Dudukczian – rzucił, na powrót przybierając poważny ton. – Niech pan sobie przypomni tureckie przysłowie: „Najpierw ukłoń się staroście, bo dopiero potem możesz spokojnie grabić jego wioskę". Tomas-efendi, jak wiadomo, nie jest tu bynajmniej nic nieznaczącym człowiekiem. Trzeba było przede wszystkim naradzić się ze mną, przemówiłbym wam do rozumu i nie mielibyście żadnych nieprzyjemności. Ech, młodzież, młodzież! Serca macie złote, ale nie wiecie, jak się zabrać do dzieła. Czyż nie mam racji?

– Proszę mi wierzyć, nie pojmuję, o czym pan mówi – oświadczył Salman.

Udając, że go nie usłyszał, efendi odwrócił się i – wyciągnąwszy rękę w kierunku oczekujących go chłopów, wymamrotał:

– Ech, osły, osły, kiedyż wy w końcu zmądrzejecie?! – I ponownie, zwracając się do Salmana, powiedział: – Ależ uparci są ci nasi chłopi! Nasłuchałem się dzisiaj we wsi wszelkich różności i szczerze mówiąc, włosy mi dęba stanęły. My się staramy, żeby mieli swoją szkołę, żeby się uczyli, żeby wreszcie przejrzeli na oczy, umieli odróżnić czarne od białego, a oni tego nie rozumieją, upierają się jak osły…

„My się staramy… – powtórzył w myślach Salman. – Ciekawe, kogo on ma na myśli, mówiąc tak wieloznacznie »my«?".

Efendi kontynuował:

– Wielce byłem rad, kiedy się dowiedziałem o waszych zamierzeniach, panie Dudukczian, dlatego pragnę wyrazić panu swoją wdzięczność. Nasz naród przebywa w mroku, należy go oświecić. Szkoła – to

warunek jego ocalenia. Niech nie zniechęcają was przeszkody, na jakie natrafiliście kilka dni temu. Droga prowadząca do dobra zawsze jest ciernista. U mnie, swego rodaka, zawsze znajdziecie zrozumienie i poparcie. Ze wszystkich sił pragnę pana wspomagać. Proszę nie odmawiać przyjęcia mojej niewielkiej usługi: dzisiaj jadę w pewnej sprawie do najbliższej wsi, wrócę jutro i osobiście się zajmę waszą szkołą. Zmuszę ludzi do ponownego odsłonięcia wykopu. I chyba nie znajdzie się we wsi taki, który by śmiał nie posłuchać Tomasa-efendiego!

– Dziękuję, panie efendi – powiedział Salman. – Ale pan jest bardzo zajętym człowiekiem, nie śmiałbym zabierać panu drogocennego czasu…

– E, nic takiego – odparł poborca i łaskawie dodał: – Dla wspomożenia dobrej sprawy zawsze znajdę czas.

Uścisnął ręce obu młodzieńcom i odszedł od nich.

– Bezczelny typ… oszust – rzucił Wartan za oddalającym się efendim.

– Takich ludzi nie warto jednak lekceważyć, oni również mogą się przydać – podkreślił Salman.

– Czyżbyś uwierzył jego słowom? Kto wie, jakie są jego diabelskie zamiary… – Podeszli do domu Ter-Maruka i zapukali.

– Ostre igiełeczki, cieniutkie niteczki, piękne koraliczki… – dobiegł ich znowu mocny głos chromego domokrążcy.

– A może odłożymy na razie wizytę u księdza? – nieoczekiwanie zaproponował Salman.

– Dlaczego? – zdziwił się Wartan.

– Muszę coś kupić u tego handlarza.

Wartan jął żartować sobie z towarzysza.

– Chodźmy, mam szczególne powody – powiedział Salman tak stanowczym tonem, że Wartan mimowolnie się zgodził.

Odszedłszy od domu księdza, młodzieńcy skręcili w inną ulicę i poszli za domokrążcą, którego otaczał już tłum chłopskich dzieci. „Daj nam gumy do żucia” – dopominały się, szarpiąc go za nędzne ubranie. Domokrążca wyjął paczkę gumy i rozdzielił ją między dzieciaki.

– W ubiegłym tygodniu widziałem tego handlarza w wańskiej prowincji – powiedział jeden z chłopów.

– Tak, oni wszędzie łażą – przytaknął jego współrozmówca. – Popatrz, Grigor, jaką on ma straszną gębę! Nie chciałbym w nocy spotkać się z nim sam na sam! Istny diabeł!

Kulejący domokrążca długo krążył po ulicach: przywoływano go to do jednego domu, to do innego, a niekiedy zmuszano, by wprost na ulicy otwierał swoje pudło – i otaczające go kobiety pytlowały przy tym jak na bazarze.

Domokrążca handlował do późnego wieczora. Już się ściemniło, kiedy w końcu wyszedł ze wsi; skręcił z polnej drogi wiodącej do sąsiedniej wioski i skierował się do wąwozu, którego dno, rozmyte przez wiosenne potoki, było obecnie wyschnięte. Szedł wolno, widocznie jego pudło było jednak dość ciężkie, lecz – co ciekawe! – nie utykał już tak jak w dzień. Zszedłszy do wąwozu, rzekomy domokrążca opuścił pudło na ziemię, przyłożył do ust prawą rękę – brakowało na niej trzech palców – i zagwizdał, dając tym samym umówiony znak. Po kilku minutach w wąwozie ukazali się Wartan i Salman. Z tym ostatnim domokrążca gorąco się uściskał.

– Usiądźmy – powiedział Salman. – No, jak ci się udał handel?

– Świetnie! – wesoło odpowiedział domokrążca. – Zapełniłem cały Waspurakan[157] swoimi towarami.

– Mam nadzieję, że rozdawałeś je bezpłatnie?

– Oczywiście, że bezpłatnie, za taki towar nie biorę pieniędzy.

Wartan słuchał ich ze zdumieniem.

– Teraz się przekonałeś, że pudło mojego przyjaciela sztukmistrza ma drugie dno? – powiedział Salman, zwracając się do Wartana.

– Warto by się dowiedzieć, co było ukryte w tym drugim dnie – rzucił Wartan.

– Broń…

Teraz dopiero Wartan zrozumiał, kto przed nim stał: wiele już bowiem słyszał od Salmana o tym człowieku. Wzruszony tak nieoczekiwanym spotkaniem podszedł i objął rzekomego domokrążcę.

Owym tajemniczym człowiekiem był Melik-Mansur.

---

[157] Waspurakan – historyczna prowincja Armenii leżąca na wschód od jeziora Wan (AP).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Wielcy ludzie miewają również swoje maleńkie słabostki. Jakkolwiek Tomas-efendi nie przynależał do owych wielkich, to w powiecie alaszkerckim cieszył się reputacją wszechmocnego człowieka: wszak wiadomo, że nawet lis może niekiedy uchodzić za potężnego zwierza. Był on wyrachowany, przezorny i zapobiegliwy, posiadał jednak także pewne słabostki.

Pochłonięty przez cały dzień załatwianiem spraw służbowych, często dopiero nocą dawał upust swoim namiętnościom: urządzał nieprzyzwoite zabawy, i naśladując tureckich możnowładców, pił wódkę i hulał z dziewczętami oraz młodzieńcami[158].

W jakiejkolwiek wsi się pojawiał, wszędzie przyjmowano go z wielkimi honorami. Kto by odmówił gościnności tak wysoko postawionemu urzędnikowi? Każdy chłop czuł się zaszczycony, mogąc przyjmować u siebie Tomasa-efendiego: było to wprawdzie związane z niebagatelnymi wydatkami, lecz dzięki temu zyskiwało się przychylność poborcy.

Pewnego wieczora do domu biednego wieśniaka przybył wiejski posłaniec i poinformował, że Tomas-efendi zamierza go odwiedzić.

Gospodarz domu, Petros, był rzemieślnikiem. Naprawiał narzędzia rolnicze – pługi, sochy, wózki i inne – toteż rzadko bywał w domu, w poszukiwaniu zarobku obchodził bowiem zwykle wszystkie sąsiednie wsie.

Jak należało oczekiwać, również i tego wieczora Petrosa w domu nie było. Jego żona powiedziała posłańcowi, że męża nie ma i ona nie wie, co robić.

– Męża nie ma, ale dom przecież stoi na swoim miejscu! – opryskliwie przerwał jej posłaniec.

Ci wiejscy posłańcy byli prawdziwą zmorą dla chłopów. Służąc urzędnikom i pełniąc zarazem funkcję ich szpicli, wyrobili sobie doskonały węch i świetnie potrafili wyczuwać potencjalną łowną zwierzynę.

Żona rzemieślnika speszyła się i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Uważając swoją misję za zakończoną, posłaniec odwrócił się i chciał odejść, ale w ostatniej chwili rzucił:

[158] Ten fragment tłumaczenia jest oparty na oryginale ormiańskojęzycznym (AP).

– Efendi przyjdzie, kiedy w oknach zapalą się światła.

Biedna kobieta zastygła na progu całkiem zbita z tropu. Nie wiedziała, jak ma postąpić. Pod nieobecność męża nie wypadało jej przecież przyjmować obcego mężczyzny. Po namyśle udała się do sąsiada Oho[159] i poprosiła:

– Bracie Oho, posłaniec mnie uprzedził, że dziś wieczorem efendi przybędzie do nas w gościnę. Męża nie ma. To chociaż ty, na miłość boską, przyjdź i mi pomóż.

– To się już w głowie nie mieści! – rozzłościł się Oho. – Czyżby we wsi nie mógł sobie znaleźć innego domu?

– A skąd ja to mogę wiedzieć? – smutno odrzekła kobieta. – Posłaniec uprzedził i tyle…

Sąsiad obiecał pomóc kobiecie.

Tomas-efendi znał prowincję Bagrewandu jak swoje pięć palców, więc gdy przyjeżdżał do którejkolwiek wsi, wybierał sobie na nocleg najwygodniejszą zagrodę. Jego gust pod tym względem był dość wybredny: wolał, żeby gospodarz domu był biedny i niespełna rozumu albo żeby był pijaczyną. Najistotniejsze wszakże było to, żeby w domu była ładna kobieta, na którą z przyjemnością mógłby patrzeć. Tym razem zagroda, którą sobie upatrzył, nie w pełni odpowiadała jego oczekiwaniom: gospodarz domu, rzemieślnik Petros, nie był ani przygłupem, ani pijaczyną. Jednak pod innym, najistotniejszym względem oczekiwaniom efendiego stało się zadość: gospodarz był nieobecny, jego żona była milutka i miała wdzięczny wygląd, a siostra Petrosa uchodziła wręcz za największą piękność we wsi…

Żona Petrosa, Zuzanna, krzątała się przy piecu, a jej szwagierka, młoda Barbara[160], smażyła na oleju kury. Obok kobiet uwijał się sąsiad Oho. Wydając im polecenia, starał się wszystkiego dopilnować i zadbać, aby szanowny gość został przyjęty jak należy.

Kiedy wraz z nieodłącznym posłańcem pojawił się efendi, wszystko było już gotowe na przyjęcie dostojnego gościa. Tym razem ów gość pojawił się bez strażników, których spławił, wysyłając ich w inne miejsce.

[159] Oho – zdrobnienie ormiańskiego męskiego imienia Howannes/Ohannes „Jan" (AP).

[160] W oryginale ormiańskim występują tu imiona Susan i Warware (AP).

Sąsiad Oho z szacunkiem powitał efendiego. Ten wszedł i z godnością usiadł na przygotowanym dlań tapczanie.

– Czemu nie widać Petrosa, gdzie on jest? – zapytał efendi, rozejrzawszy się. – Mam do niego ważną sprawę i chciałbym z nim rozmawiać.

Sąsiad oświadczył, że Petros wykonuje jakąś ciesielską robotę w pobliskiej wsi.

– To szkoda, wielka szkoda, bo mam do niego ważną sprawę – powtórzył efendi i jął się rozwodzić o tym, że do przewozu prowiantu potrzebuje wielu arb, chce zatem na dobre zatrudnić cieślę, żeby w nagłych przypadkach naprawiał je niezwłocznie w trakcie podróży. A jego zdaniem właśnie cieśla Petros jest najodpowiedniejszym do tego kandydatem, dlatego pragnie okazać mu łaskę: praca jest dobrze płatna i zapewni cieśli zarobek na kilka miesięcy.

Efendi doskonale wiedział, że Petrosa nie ma w domu, i wcale nie potrzebował korzystać z jego usług, jako że darmowy przewóz prowiantu odbywał się chłopskimi arbami zaprzężonymi w woły, a jeśli arby się psuły, to musieli je naprawiać sami ich właściciele. Toteż daną rozmowę poborca zagaił oczywiście celowo z całkiem innego powodu.

Żona cieśli, Zuzanna, bardzo się ucieszyła, słysząc o zamiarze efendiego, chociaż początkowo była niezadowolona z wizyty nieproszonego gościa. Obecnie jednak uznała, że może uda się z tego wyciągnąć jakąś korzyść.

Wspominając o możliwym zatrudnieniu jej męża, efendi chciał tylko zjednać sobie przychylność prostodusznej gospodyni.

Sąsiad Oho stał w pełnej szacunku pozie przed efendim, oczekując, aż ten łaskawie zezwoli mu usiąść. W końcu otrzymał łaskawe zezwolenie. Posłaniec usługiwał gościowi, gdyż w domu cieśli nie było służących.

Żona Petrosa i jego siostra, Barbara, znajdowały się w drugiej połowie domu oddzielonej od gościnnego pokoju drewnianym przepierzeniem wykorzystywanym również jako swego rodzaju parawan.

Ponieważ zasady gościnności wymagały, aby dostojnemu gościowi okazać należyty szacunek, obydwie kobiety wyszły zza przepierzenia i – przyłożywszy ręce do serca – pokłoniły się nisko efendiemu, co oznaczało: „Serdecznie witamy”.

– Obyście długo żyły! – odparł efendi, obrzucając je lubieżnym spojrzeniem. Twarz gospodyni okrywała czadra, buzia Barbary była zaś nieosłonięta. Złożywszy pokłon, kobiety udały się do siebie, czyli za drewniane przepierzenie, i przystąpiły do szykowania kolacji.

W maleńkim domu zapanowała głęboka cisza. Wszyscy czekali, kiedy przemówi efendi.

– Czym się teraz zajmujesz? – zapytał on sąsiada Oho.

– Nie mam akurat żadnej pracy, ago[161] – odrzekł pytany, drapiąc się w tył głowy. – Bóg mnie ukarał. Wiele niedobrego się przez ten rok zdarzyło: zmarł mój najstarszy syn, padło bydło, a teraz jeszcze i socha się zepsuła; snuję się jak błędny…

– Szkoda, wielka szkoda – mruknął współczująco efendi. – Dobry z ciebie człowiek, Oho, znam cię od dawna i nie dopuszczę, żebyś się bezczynnie pałętał. Dam ci pracę, bo potrzebuję ludzi.

Sąsiad nie posiadał się z radości.

– Proszę mnie tylko zatrudnić, ago, a zobaczysz, jaki jestem w robocie!

– Im pracowitszy jest osioł, tym więcej jęczmienia dostaje!

– Ano tak, to zrozumiałe.

Tomas-efendi należał do tego rodzaju ludzi, którzy przy sposobnej okazji puszą się i wynoszą tak, że nawet przez największe wrota nie mogliby się przecisnąć, a niekiedy stają się tacy maleńcy, że zdolni by byli nawet przejść przez ucho igielne. W chłopskiej chałupie zachowywał się on tak bezceremonialnie, jak zachowują się mężczyźni bywający w wiadomego rodzaju domach, z mieszkańcami których nie witają się nawet na ulicy w przekonaniu, że uwłaczałoby to ich godności…

Tomas-efendi musiał udobruchać sąsiada Oho, który tej nocy pełnił obowiązki gospodarza. Łatwowierny wieśniak, wierząc w obietnicę efendiego, odpowiedział z głęboką wdzięcznością:

– Oby Bóg dał ci długie życie, ago, i nie pozbawił nas możliwości doznawania twoich łask!

Nastała pora kolacji. Niosąc miedniczkę i dzbanek z wodą do obmycia rąk, weszła Barbara i z gracją postawiła naczynia przed efendim. Ten obmył ręce. Potem Barbara nakryła stół obrusem i podała kolację.

[161] *Aga* – po turecku „pan" (AP).

W każdym jej ruchu wyczuwało się wstydliwą bojaźliwość. Żyła w odosobnieniu i nigdy nie przebywała w towarzystwie obcych mężczyzn.

– Jak masz na imię, dziecino? – zapytał ją efendi.

Dziewczyna zarumieniła się i, speszona, spojrzała bezradnie na sąsiada. Ten powiedział, że ma na imię Barbara.

– Jakie piękne imię! Przepiękne imię! – z zachwytem powtórzył efendi. – Moja siostra też ma na imię Barbara…

Na zastygłej twarzy dziewczyny pojawił się słabiutki uśmiech: widocznie pochlebiało jej to, że jest imienniczką siostry tak dostojnego człowieka. Efendi nie miał żadnej siostry, kłamał bezwstydnie, aby zjednać sobie dziewczynę.

Kolację spożywali jedynie efendi i Oho: kobiety nie mogły siedzieć przy stole razem z mężczyznami.

– Bez wody młyn nie miele – oznajmił efendi, dając do zrozumienia, że na stole brakuje alkoholu, rozkazał więc posłańcowi, aby pobiegł po wódkę. Sąsiad przeprosił, że wcześniej o to nie zadbał, a gospodyni, milcząc, wykonała dyskretny gest oznaczający, że to ona pośle kogoś po wódkę.

– Nie! – sprzeciwił się efendi. – Mam taki zwyczaj, że wódka i wino tylko na mój koszt!

Efendi nie łgał. Pojawiając się w domu ubogiego chłopa, zawsze wysyłał posłańca po wódkę, tyle że wydatek na nią rekompensował sobie z zasobów wiejskiej kasy. W takim też celu rozpijał gospodarzy…

Wkrótce wrócił posłaniec z pokaźną butlą gorzałki.

– No to siadaj – zarządził efendi – będziesz naszym podczaszym.

Posłaniec usiadł w należytej odległości od efendiego i postawił butlę przed sobą. Dobrze bowiem zapamiętał pouczenie efendiego: „Jeśli chcesz w gościnie wesoło spędzić czas, trzeba najpierw «odurzyć» gospodarza, czyli inaczej mówiąc, upić go do nieprzytomności”. A ponieważ tego wieczora obowiązki gospodarza pełnił sąsiad, to właśnie jemu posłaniec raz po raz napełniał szklankę.

Oho zawsze miał słabość do wódki, a po nieszczęściach, które nań spadły, jął pić na umór. Teraz więc jednym haustem opróżniał szklanki, które mu podsuwał posłaniec. Od wódki i obietnic, jakich nie szczędził mu efendi, rozochocił się tak, że pod koniec zaczął nawet śpiewać tureckie pieśni.

– Nie, inaczej to załatwimy! – orzekł efendi i kazał posłańcowi sprowadzić muzykantów[162].

Muzykanci rekrutowali się z miejscowych Ormian, grali na rozmaitych wschodnich instrumentach oraz wykonywali pieśni. Wiedząc, że efendi to zatwardziały hulaka, muzykanci stale jeździli w ślad za nim od jednej wioski do drugiej, mając pewność, że będą mieli co robić i otrzymają szczodre wynagrodzenie.

Toteż rychło pojawili się muzykanci i rozsiedli się wokół stołu; gospodyni rada nie rada musiała przynieść więcej jedzenia.

Efendi raczył łaskawie zapytać muzykantów o zdrowie.

– Dzięki waszej miłości, wszyscy jesteśmy zdrowi – odparli.

Kiedy goście się nasycili, Barbara wyszła zza przepierzenia i zaczęła sprzątać ze stołu, ale butli z wódką nie tknęła. Efendi już kilka razy posyłał do karczmy „po wzmocnienie". Szklanki nieprzerwanie krążyły wokoło, muzykanci również tęgo pili.

– No to zaczynać! – rozkazał efendi.

Muzykanci zagrali. Niewielki domek momentalnie ożył przy hucznych dźwiękach wschodniej muzyki.

Efendi był w doskonałym nastroju.

Kilka minut później przy domu Petrosa oraz na dachu zebrały się kobiety i dziewczyny zwabione głośnymi dźwiękami muzyki. Tłoczyły się przy drzwiach i oknach, zaglądały przez dymnik, ciesząc się z nieoczekiwanej rozrywki. Nic bowiem tak nie pociąga kobiet jak muzyka i śpiew, tyle że cieszyć się nimi mogą one rzadko – przeważnie zimą, na weselach…

Z upływem czasu stopniowo pod działaniem muzyki i wina wszyscy tak się rozbawili i rozochocili, że – jak to się mówi – nawet pies już swojego pana nie poznawał. Ludzie nie posiadali się wręcz z radości. Jeden tylko efendi, jak zwykle, zachowywał umiar i miał się na baczności.

Stojące na dworze kobiety stały się znacznie śmielsze i jedna za drugą wchodziły do domu, gdzie, siadając obok Zuzanny i Barbary, przysłuchiwały się i patrzyły na wszystko w milczeniu.

---

[162] W oryginale ormiańskim autor użył tu tureckiego wyrazu *czałgy*, który oznacza „instrument muzyczny" (AP).

– Ruszajmy do tańca, do tańca! – wykrzyknął efendi, klaszcząc w dłonie. – Chcę, żeby były tańce!

Muzykanci zagrali żywiołową melodię. Oho, zataczając się, podszedł do grupki kobiet i przemocą wypchnął na środek pokoju dwie dziewczyny. Te, wstydliwie zarumienione, najpierw się opierały, potem jednak śmiało ruszyły do tańca.

– *Szabasz*, *szabasz*![163] – krzyczeli podochoceni muzykanci w rytm skocznej melodii.

Efendi położył na dłoniach dziewcząt po jednej srebrnej monecie, a one oddały je muzykantom.

Zazwyczaj to dzieci rozpoczynały tańce, później dopiero do zabawy włączali się dorośli. Tańczyli parami, jedna para zmieniała drugą. Kiedy tancerze padali już ze zmęczenia, rzucali chusteczkę kolejnej, upatrzonej zawczasu parze, zapraszając ją tym samym do tańca. Efendi szczodrze rozdawał *szabasz* i muzykanci grali coraz bardziej zapamiętale.

Wreszcie przyszła kolej i na Barbarę. Ta piękna dziewczyna okazała się najlepszą tancerką, toteż pokonała wszystkie pozostałe.

– My, Ormianie – oznajmił efendi – mamy piękny obyczaj: kiedy dziewczyna kończy taniec, podchodzi do najzacniejszego gościa, kładzie głowę na jego kolanach i klęczy tak dopóty, dopóki ów gość nie wręczy jej podarunku.

– Wspaniały obyczaj! – zgodnie przyznali muzykanci. – Czemu by i nam tego nie spróbować?!

– Barbaro, ty pierwsza, powinnaś dać przykład – powiedział efendi. – Podejdź do mnie, dziecinko.

Uczucie palącego wstydu przykuło Barbarę do miejsca. Wolałaby raczej umrzeć, niż położyć głowę na kolanach mężczyzny. Ale zaczęto ją zachęcać i namawiać ze wszystkich stron: „Podejdź, dziewczyno, nie krępuj się, on ci na pewno coś podaruje". W końcu niemal przemocą ludzie doprowadzili ją do efendiego i zmusili do położenia głowy na jego kolanach. Efendi pogładził jej grube warkocze i położył na dłoni dziewczyny dwie złote monety.

---

[163] *Szabasz* – dialektalny wyraz ormiański pochodzący od hebrajskiej nazwy dnia odpoczynku *szabbat*. U Ormian oznaczał „koniec pracy", a także „napiwek dawany muzykantom" (AP).

W tym momencie do pokoju wszedł strażnik, zbliżył się do efendiego i szepnął mu na ucho:

– Pański rozkaz został wykonany. Wytropiliśmy tego człowieka.

– Aresztować go i pilnie strzec! Jutro postanowię, co z nim zrobimy.

Była już późna noc. Domek Petrosa stopniowo się wyludniał. Muzykanci odeszli. Pijanego do nieprzytomności sąsiada Oho z trudem odprowadzono do domu. W chacie zostali tylko efendi i posłaniec, który był tak otępiały, że już nic do niego nie docierało.

Zuzanna przygotowała pościel dla efendiego i zgasiła światło. Wszyscy się położyli.

Co się jeszcze wydarzyło tej nocy, jednemu tylko Bogu wiadomo. Rano w każdym razie Barbara była cała roztrzęsiona i chodziła z opuchniętymi od płaczu oczami.

Przed świtem w tejże wsi miało miejsce jeszcze jedno smutne wydarzenie: zakutego w kajdany młodzieńca odprawiono pod konwojem do wojskowego prokuratora, który niedawno przybył w te strony ze szczególnymi uprawnieniami. Świadkiem owej sceny był jedynie Tomas-efendi; patrząc ukradkiem za więźniem, uśmiechał się zadowolony i mruczał pod nosem:

– Teraz dmuchaj w swoją dudkę[164] ile chcesz!

Owym aresztowanym młodzieńcem był Dudukczian, znany nam już pod imieniem Salmana.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Rodzina staruszka Chacza nic nie wiedziała o losie Salmana, lecz gdy nie przyszedł nocować, wszyscy się zaniepokoili.

Szczególnie przejęci byli Wartan, Hajrapet i Apo, obawiali się bowiem, czy ich druha nie spotkało coś niedobrego.

Rano wszyscy trzej wyszli z domu w nadziei, że we wsi uda im się może czegoś dowiedzieć.

[164] Por. przypis 107 (AP).

W południe staruszka Chacza całkiem nieoczekiwanie nawiedził Tomas-efendi. Starostę zdumiało to, że tym razem pojawił się sam, bez strażników. Tomas-efendi wziął staruszka pod rękę i odprowadził na stronę, dając do zrozumienia, że chce rozmawiać z nim na osobności.

– Posłuchaj – oznajmił – ten, co „grał na dudku”[165], został aresztowany i odprawiony na łono Abrahama – w kpiącym głosie efendiego dźwięczała nieskrywana ironia.

Staruszka tak oszołomiła ta wiadomość, że ledwie utrzymał się na nogach.

– Weź się w garść – kontynuował efendi – bo jeszcze nie takie rzeczy zaraz usłyszysz!

I opowiedział, że – jak mu doniesiono – ubiegłej nocy Salman w domu pewnego chłopa z sąsiedniej wsi zebrał grupę młodzieńców i głędził im coś o jakichś „prawach człowieka”, o „uciśnionym ludu roboczym”, atakował „despotyzm”, wyjaśniał, że „tylko od nich samych zależy, czy będą żyć wolni i szczęśliwi” i tym podobne bzdury. Rano policjanci aresztowali Dudukcziana.

– Rząd już od dawna poszukiwał tego szaleńca – dodał efendi – wielu jego towarzyszy również zatrzymano. A teraz sam gagatek wpadł.

Mówiąc to, Tomas-efendi, ma się rozumieć, nie wspomniał o tym, że to on sam doniósł na Salmana.

– Słuchaj dalej – ciągnął ze złośliwym uśmieszkiem, wiedząc, że jego słowa jeszcze bardziej zranią staruszka. – Wkrótce przyjdą do ciebie żołnierze zrobić rewizję. Jako twój przyjaciel przychodzę, żeby cię o tym zawczasu uprzedzić.

Jakkolwiek efendi z naciskiem podkreślił słowo „przyjaciel”, to przekazana przezeń wiadomość o żołnierzach i rewizji wprawiła staruszka w przerażenie.

– Ale nie wszystko jeszcze stracone – kontynuował oziębłym tonem efendi. – Powiedz mi, czy nie zostały może u ciebie jakieś rzeczy tego aresztowanego „zucha”?

Staruszek nieco się uspokoił, wierząc, że efendi gotów jest po przyjacielsku okazać mu pomoc w owym trudnym momencie.

– Został churdżyn – lękliwie obejrzawszy się, wyszeptał starosta.

[165] Chodzi o Dudukcziana (Salmana), por. przypis 107 (AP).

– No i próbuj tu wywlec osła z błota! – burknął pod nosem efendi. – Został churdżyn! A czyż to mało? – I obrzuciwszy staruszka diabelskim spojrzeniem, powiedział: – Teraz każda minuta jest nam droga. Chodź, schowajmy gdzieś ten churdżyn, szybciej! Póki jeszcze nie przyszli żołnierze…

Staruszek, nawet na moment nie wątpiąc w szczerość efendiego, poprowadził go do ody i pokazał schowany tam podróżny churdżyn Salmana.

– Zamknij drzwi – przykazał efendi i rozwiązawszy torbę, zaczął przeglądać jej zawartość.

Znalazł listy polecające adresowane do różnych ludzi, czeki na odbiór pieniędzy, gdyby okazały się pilnie Salmanowi potrzebne, instrukcje, programy, a także kilka broszur, które młody propagandzista rozdawał chłopom. Krócej mówiąc, oprócz papierów nic tam nie było. Uważnie je przeglądając, efendi znacząco kiwał głową.

– Jeśli chociażby jeden z tych papierów trafi w ręce władz, nie uniknie cie szubienicy – ani ty, ani twoi synowie, a cały wasz majątek zostanie skonfiskowany i przejdzie na własność państwa.

Staruszek zmartwiał, ze strachu nawet język stanął mu kołkiem w gardle.

– Trzeba spalić te papierzyska – ciągnął efendi, wpychając je z powrotem do churdżynu.

– Ja nic nie pojmuję, rozum mi się wprost miesza – ledwie wybełkotał staruszek i jego przygasłe oczy napełniły się łzami.

Ale efendi raptem zmienił wcześniejsze postanowienie. „Po co je palić? – pomyślał. – Te papiery należy dokładnie przestudiować. One jeszcze mogą się przydać. Lepiej je zachować". I zapytał staruszka:

– A czy w twoim domu znajdzie się takie sekretne miejsce, w którym można by na jakiś czas schować ten nieszczęsny churdżyn?

– Znajdzie się – zapewnił staruszek.

W domu Chacza było oczywiście kilka tajemnych skrytek, w razie zagrożenia bowiem ukrywano w nich najcenniejsze rzeczy. A ponieważ w tych stronach niebezpieczeństwo zawsze wisiało ludziom nad głową, to aktualnie zaledwie jeden głęboki schowek był pusty. Wzięli więc obaj ów fatalny churdżyn i zeszli do wykopanej w ziemi piwnicy, w której przechowywano masło, wino i inne produkty spożywcze. Podłogę

piwnicy stanowiły drewniane płyty. Staruszek się pochylił i uniósł dwie z nich. Pod płytami widniały żelazne drzwiczki zakrywające wejście do głębokiej jamy. Chaczo wyjął z kieszeni klucz, wetknął go w dziurkę do otworu drzwiczek i kilka razy obrócił. Drzwiczki same odskoczyły. Ukazała się jama. Po wąskiej drabinie mężczyźni zeszli na dół. W ciemności nic nie było widać, czuło się zatęchłe i duszne powietrze. Rzuciwszy churdżyn na dno jamy, pospiesznie wyszli obaj na zewnątrz. Staruszek zamknął żelazne drzwiczki i położył drewniane płyty maskujące z powrotem na miejsce. Nikomu nie mogłoby przyjść do głowy, że pod nimi znajduje się jakaś skrytka.

– Daj mi klucz – zażądał efendi – ja go schowam. Na mnie śmiało możesz polegać.

Staruszek bez wahania oddał mu klucz. Strach do takiego stopnia go sparaliżował, że bez sprzeciwu podporządkowywał się we wszystkim efendiemu.

– Jeszcze o wielu innych sprawach muszę z tobą porozmawiać, starosto Chaczo, ale czas nagli – w każdej chwili mogą tu wpaść policjanci, żeby robić rewizję. Chcę ci na koniec dać kilka dobrych rad. Zapamiętaj: nikomu ani słowa o tym, że tutaj byłem i że ukryliśmy churdżyn. Żadnemu z domowników też o tym nie wspominaj! Kiedy przyjdą na przeszukanie, staraj się zachowywać spokojnie, udawaj prostaka i niczego się nie bój. Niech sobie szukają, gdzie tylko zechcą: churdżyn schowaliśmy tak dobrze, że i sam diabeł go nie odnajdzie. Nie wypieraj się, że ten „gracz na dudku" zatrzymał się u ciebie, ale mów, że ty go w ogóle nie znasz; a jeśli cię spytają, w jakim celu on się w tych stronach pojawił, odpowiedz, że o tym ani ty, ani twoi synowie nic nie wiecie.

Dając Chaczowi podobne rady, efendi wyszedł razem z nim na podwórze. Tu, niespokojnie rozejrzawszy się na wszystkie strony, polecił: – Wyprowadź mnie przez tylną bramę, nikt nie może wiedzieć, że tutaj byłem.

Staruszek posłusznie zaprowadził go do tylnej bramy za gumnem.

– Bywaj zdrów, przyjdę później, jak już będzie po rewizji. Nie przejmuj się, potrafię nauczyć moresu tych „przeszukiwaczy".

Efendi odszedł.

W drodze, zadowolony, powtarzał: „No, teraz, starosto Chaczo, jesteś w moich rękach!…".

Było popołudnie. Wartan, Hajrapet i Apo jeszcze nie wrócili. Pozostali synowie byli w polu. Synowe szykowały podwieczorek, żeby go posłać swoim mężom: chłopi wracają do domu zazwyczaj dopiero na kolację, dlatego żaden z nich nie wiedział o tym, co się w ciągu dnia działo w ich domu.

Staruszek Chaczo czekał na żołnierzy, czując mniej więcej to samo, co musi czuć więzień skazany na śmierć i czekający nadejścia jego ostatniej chwili. Swoim synowym nic nie powiedział o możliwej rewizji, nie chciał ich przedwcześnie straszyć.

W końcu pojawił się turecki oficer z oddziałem żołnierzy i policjantów.

Kobiet nie zdziwiło bynajmniej ich przybycie, przywykły oglądać w swoim domu tego rodzaju nieproszonych gości, którzy zjawiali się, zatrzymywali na kilka dni, pili i jedli ile wlezie, a potem cichaczem wynosili się i znikali. Postój tureckich żołnierzy w ormiańskiej wiosce był czymś zwyczajnym, a tym bardziej w domu starosty.

– Mam rozkaz przeprowadzić u was rewizję – powiedział oficer, zwracając się do staruszka Chacza.

– Mój dom jest do waszych usług, możecie dokonywać przeszukania – odparł staruszek, starając się zachować zimną krew.

Oficer rozkazał zamknąć wszystkie drzwi, wszędzie rozstawił straże i przystąpiono do rewizji. Najpierw przeszukano odę, potem również inne pokoje, oglądano każdą rzecz, szperano wszędzie, zaglądano do każdej szczeliny – i niczego podejrzanego nie znaleziono. Wyczuwając coś niedobrego, kobiety zaniosły się płaczem, ale staruszek ofuknął je – i wszystkie zamilkły.

Zakończywszy rewizję, oficer zaczął przesłuchanie.

– Czy mieszkał tu młody człowiek o nazwisku Dudukczian?

– Chyba ze dwa razy u mnie nocował – przyznał staruszek.

– A wcześniej pan go znał? Może to dobry znajomy?

– Nie.

– To dlaczego znalazł tu przytulisko?

– Jestem starostą tej wioski, dlatego mój dom, jak wiadomo, bywa też swego rodzaju zajazdem – każdy cudzoziemiec, wędrowiec czy pielgrzym znajduje w nim schronienie. Czyż ja mogę ich wszystkich znać?

– A nie zostawił on tu czasem swoich rzeczy?
– Nie, niczego nie zostawił.
– A czy panu wiadomo, w jakim celu on przybył w nasze strony?
– Nic mi o tym nie mówił, wiem tylko, że był nauczycielem.
– A może wie pan, z kim się spotykał we wsi albo kogo odwiedzał?
– Wiem, że chodził od domu do domu i szukał uczniów.
– A wie pan, co się z nim stało?
– Nie, nie wiem.
– Został aresztowany.
– W takim razie dobrze mu tak, jeśli na to zasłużył.
W tym momencie zastukano do drzwi.
– Nikogo nie wpuszczać! – zarządził oficer.
Strażnik zameldował, że to przyszedł Tomas-efendi.
– Niech wejdzie!

Wszedłszy do pokoju, Tomas-efendi udał wielkie zdziwienie na widok znajdujących się w nim żołnierzy i oficera.

– Czołem, panowie! Coś się stało? – zapytał z doskonale odegranym zdumieniem.

Oficer wyjaśnił. Efendi z fałszywym uśmiechem podszedł do oficera i – klepnąwszy go po ramieniu – powiedział:

– Ręczę głową, że w domu starosty nie znajdziecie niczego podejrzanego. To bardzo dobry i porządny człowiek. – Efendi i oficer przeszli do ody. Oddział żołnierzy i policjantów został na straży przed domem.

– Starosto – zwrócił się efendi do staruszka – ci ludzie już chyba zgłodnieli; rozkaż, aby podano im coś do jedzenia, i żeby też wódki czasem nie zabrakło, słyszysz? – dodał po ormiańsku.

Starosta ucieszył się. Uznał, że zagrożenie minęło i pospiesznie opuścił odę.

Jednak zagrożenie bynajmniej nie minęło. Turcy ani myśleli wypuścić staruszka ze swoich łap, chyba że udręczonego i półżywego po więziennych torturach; i jakkolwiek w domu starosty nie znaleźli niczego, co mogłoby posłużyć za dowód jego winy, wystarczało aż nadto, że staruszek Chaczo był Ormianinem – i w dodatku bogatym! Już samo to stanowiło łakomy kąsek dla tureckich urzędników.

Tomas-efendi sam nawarzył owego piwa; on sam bowiem doniósł na Salmana wojskowemu pełnomocnemu urzędnikowi, przysłanemu

do Bagrewandzkiego powiatu; on też podsunął mu myśl o dokonaniu rewizji w domu starosty. Bez najmniejszego trudu mógłby pomóc staruszkowi wybrnąć z pułapki, którą sam na niego zastawił, lecz nie wchodziło to w jego plany. Aby jak najłatwiej urzeczywistnić swój diabelski pomysł, potrzebował maksymalnie zagmatwać i zaciemnić sprawę.

Kiedy staruszek Chaczo wyszedł z ody, oficer spytał efendiego:

– Jak wasza wysokość myśli? Bo mnie się zdaje, że ten staruszek niczemu nie jest winien.

– Przecież wiadomo ci, beju – rzucił w odpowiedzi przebiegły niegodziwiec – że Tomas-efendi nie należy do takich, którzy wyciągają pochopne wnioski. Dla mnie ta sprawa wciąż jeszcze pozostaje niewyjaśniona. Byłem przekonany, że rewizja pozwoli stwierdzić, że ci ludzie byli zwolennikami i wspólnikami aresztowanego. Dziwi mnie, że nie znaleziono żadnych dowodów czy poszlak na poparcie oskarżenia. Ale jest jeszcze jeden sposób – „przyznanie się do winy". Zmuszę tych ludzi, żeby przyznali się do wszystkiego… Mam podejrzenia co do dwóch synów starego i do cudzoziemca, który u nich gości.

– Kim on jest? – zapytał oficer.

– To przyjezdny z Rosji, niebezpieczny osobnik i zaciekły wróg naszego rządu. Myszkuje tu wszędzie niby przekupień, ale to niewątpliwie rosyjski szpieg.

– Aresztowanie go będzie kłopotliwe, jeżeli to rosyjski poddany…

– Jesteśmy w przededniu wojny, dlatego nie można zostawić szpiega na wolności. Pan zapewne wie, że wkrótce wybuchnie wojna?

– Tak, wiem.

– O tym podejrzanym typie rozmawiałem już z jego ekscelencją paszą-efendim. Czyżby on nie dał panu żadnych wytycznych?

– Pasza-efendi kazał mi działać według pańskich wskazówek.

– To świetnie – uradował się efendi. – Wskazówki otrzymacie. Ale istnieje pewna delikatna okoliczność, o której powiem nieco później.

– Jestem z natury bardzo niecierpliwy, proszę mnie nie dręczyć i powiedzieć od razu – poprosił oficer.

– No dobrze, powiem panu na ucho.

I chociaż w odzie nikogo oprócz nich nie było, oficer pochylił się ku efendiemu, który mu szepnął:

– Stary jest bardzo bogaty, nie zaszkodziłoby go porządnie wydoić…

Tomas-efendi wystarczająco dobrze znał pazerność tureckich urzędników i rozumiał, że nie tyle interesuje ich śledztwo w jakiejkolwiek sprawie, ile możliwość wyciągnięcia od oskarżanego jak najwięcej pieniędzy. Grając na słabościach owych zachłannych osób urzędowych, efendi starał się przede wszystkim wyciągać dla siebie jak najwięcej korzyści. Toteż ucieszył się, widząc, że jego słowa zrobiły na oficerze odpowiednie wrażenie. Ten ochoczo zapytał:

– Jakie będą polecenia?

– Macie tu cały oddział żołnierzy; polećcie, żeby ustanowili nadzór nad starostą i jego synami, Hajrapetem i Apo; i rozkażcie aresztować tego rosyjskiego szpiega – Wartana.

– Rewizji już dokonaliście – kontynuował efendi – ale śledztwo nadal będzie trwało, dlatego trzymajcie ich pod nadzorem, dopóki jego ekscelencja pasza-efendi sam nie zajmie się tą sprawą.

– Rozkaz! – rzucił oficer w odpowiedzi.

– A ja będę odgrywał rolę pośrednika. Udam, że trzymam stronę oskarżonych i postaram się wyciągnąć z nich wszystkie ich sekrety. Rozumiecie?

– Rozumiem – odparł z przekonaniem oficer.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W czasie, kiedy przebywający w odzie Tomas-efendi i oficer knuli swoje złodziejskie plany, żołnierze na podwórzu prowadzili całkiem inną rozmowę.

– Mahmudzie – zapytał jeden z nich – jeżeli przyjdzie nam tu zanocować, to którą z synowych tego Ormianina sobie wybierzesz?

– Spodobała mi się ta malutka, co ma różowe policzki – cmoknął lubieżnie Mahmud.

– A mnie nie chce wyjść z głowy tamta piękna czarnulka! – zwierzył się jego towarzysz.

Żołnierze, jak widać, zajmowali się nie tyle przeszukiwaniem domu, ile wodzeniem wzrokiem za synowymi Chacza. Na widok ładnej kobiety

muzułmanie łatwo tracą głowę. Ale wśród nich znaleźli się i tacy, których najbardziej interesował inwentarz domu Chacza.

– Moja żona wciąż gdera i zatruwa mi życie – wtrącił starszy żołnierz. – „Kup mi wreszcie – biadoli – duży kocioł do gotowania mleka". Akurat taki kocioł tu widziałem, nada się jej. Jak będziemy stąd odchodzić, na pewno go z sobą zabiorę.

Krępy, karłowaty żołnierz z rozbrajającą szczerością powiedział:

– A ja tu sobie upatrzyłem piękny dywanik. Ech, jak dobrze będzie się na nim odpoczywać po sutym obiedzie i palić nargile przygotowane rękami pięknej kobiety.

Inny starszy żołnierz, najwyraźniej bardziej nabożny niż jego towarzysz, zaprotestował:

– Na takim dywaniku najlepiej by było odmawiać namaz.

Jeszcze inny żołnierz z nieukrywaną zawiścią rzucił:

– Nie pojmuję, skąd u giaurów takie piękne żony – i na dodatek jeszcze domy… takie bogate! W moim domu nawet wystrzępionego chodnika nie ma, dzieci nie mają na czym spać. Giaur powinien chodzić przepasany starym, wąskim paskiem, żeby mu się cały rozłaził albo – jeszcze lepiej – żeby mu pękał przy każdym oddechu.

Te słowa każdy muzułmanin przechowywał w pamięci jako uświęconą tradycją kulturową oczywistość. W świadomości muzułmanina bowiem każdy Ormianin – „giaur" – winien być nędzarzem i nosić wąski, wystrzępiony, a najlepiej całkiem dziurawy pas. Giaur nie miał też prawa posiadać ładnej żony, gdyż wszystko, co piękne i dobre, powinno należeć do muzułmanina.

Kilku żołnierzy wpadło do sadu Chacza i objadało się owocami, bezlitośnie łamali gałęzie drzew i rzucali na ziemię niedojrzałe płody, słowem – zachowywali się jak przysłowiowe świnie w ogrodzie.

Serce Chacza krwawiło na ten widok, ponieważ każde drzewo w sadzie on sam, własnymi rękami zasadził i troskliwie się nim opiekował, hodował je i doglądał.

Teraz z ponuro opuszczoną głową szedł przez podwórko. Przypomniało mu się stare perskie przysłowie: „Gdy oficer[166] zabierze sadow-

[166] W oryginale ormiańskim i w przekładzie rosyjskim występuje tu ormiański wyraz (irańskiego pochodzenia) *zorapet* „dowódca" (AP).

nikowi choćby jedno jabłko, to jego oddział w mig zniszczy cały sad". Turek jest zdolny do takiego barbarzyństwa. Kto nie dba o przyrodę, nie zadba też o człowieka. Turek zeżre owoce, a samo drzewo unicestwi. Turek wydrze człowiekowi pieniądze, na które ten harował z poświęceniem w pocie czoła. A potem tego człowieka zabije… Tak jak bezlitośnie zniszczył przepiękne lasy na swojej ziemi, tak samo zniszczy też inne narody.

Przybity Chaczo udał się do kobiecej połowy domu, gdzie jego synowe były zajęte gotowaniem i przyrządzaniem jedzenia. We własnym domu, biedak, znalazł się raptem w sytuacji aresztanta i był zmuszony okazywać gościnność pilnującym go strażnikom więziennym.

– Co to za ludzie? Czego oni chcą? Dlaczego rujnują nasz dom? – ze łzami w oczach zwróciła się do niego Sara.

– Jeden Bóg wie… – odparł zasmucony staruszek i polecił kobietom jak najszybciej podawać obiad. A te były niemal zdrętwiałe ze strachu. Nie wychodziły z domu, żeby nie rzucać się żołnierzom w oczy. Rozumiały, że musiało się wydarzyć coś wyjątkowego, skoro tureccy żołnierze tak bezczelnie panoszyli się w ich domu. Wcześniej przecież niejednokrotnie przyjmowano tu podobnych gości, lecz oni zawsze zachowywali się godnie, z szacunkiem…

Kiedy do synów Chacza pracujących w polu dotarła wiadomość, że w ich domu przebywają i awanturują się tureccy żołnierze, pomknęli rozwścieczeni do domu, ale zamiast rozprawić się z żołnierzami, cały swój gniew wyładowali na starym ojcu, który niczemu przecież nie był winien.

Niewolnicy pokornie podporządkowujący się władzy tyrana cały swój gniew kierują przeciwko temu z nich, który ośmielił się rozgniewać ich władcę, dlatego i synowie Chacza rzucili się na ojca z wyrzutami, obwiniając go za to, że udzielił gościny tak niebezpiecznym ludziom jak Wartan i Salman. Rwali się, żeby pójść do oficera i opowiedzieć mu wszystko, co widzieli, i tym samym złagodzić grożącą im karę.

– To tyś zniszczył nasz dom! – napastliwie oskarżali Chacza.

– A niechby on przepadł z kretesem – wypalił zdenerwowany staruszek – jeśli w nim żyją tacy podli i pozbawieni godności ludzie jak wy. Wyrzekam się was, skoro nie macie honoru, poczucia własnej wartości ani odwagi. Bądźcie przeklęci! Za swoich prawdziwych synów uważam

jedynie tych, przeciwko którym wy występujecie. I wcale nie będę rozpaczał, jeżeli z ich powodu utracę nawet cały majątek…

Słowa staruszka odnosiły się do Wartana i Salmana. To jeszcze bardziej rozwścieczyło jego synów. Obawiając się, by tak rozgorączkowani nie popełnili jakiegoś nieprzemyślanego czynu bądź nie wypowiedzieli nieopatrznie zbędnego słowa, staruszek starał się przekonać ich, że niepotrzebnie wpadli w popłoch, gdyż oficerowi w razie czego będzie można „zatkać gębę pieniędzmi", i dodał, że sam Tomas-efendi obiecał przyjść im z pomocą w razie potrzeby. Synowie nieco się opamiętali i przycichli. Na ludziach tego rodzaju zawsze robią wrażenie imiona możnych tego świata.

W tym samym momencie na progu ody pojawił się Tomas-efendi i krzyknął:

– Starosto Chaczo, każ już podawać obiad, trzeba jak najszybciej nakarmić te tureckie psy.

– Obiad gotowy, efendi – odrzekł starosta – za chwilę podadzą.

Jeden stół nakryto w odzie dla oficera i efendiego, drugi – na podwórzu, w cieniu rozłożystych drzew, dla żołnierzy. Ci ostatni z każdą minutą stawali się coraz bardziej rozzuchwaleni i bezczelni.

Trafiając do domu Ormianina, turecki żołnierz robi się zdumiewająco wybredny nie tylko w jedzeniu. Rośnie mu apetyt i żąda takich potraw i napojów, jakich nigdy nie próbował, gdyż wie o nich jedynie ze słyszenia. A gdy gospodarz domu odmawia, żołnierz przeklina i obsypuje go wyzwiskami. I chociaż kobiety w domu Chacza przygotowały mnóstwo jedzenia, to synowie staruszka padali wręcz z nóg, spełniając najróżniejsze dodatkowe kaprysy nienasyconych gości.

Oficer i Tomas-efendi spożywali obiad w odzie tylko we dwóch; staruszek Chaczo nie dzielił z nimi stołu – na znak szczególnego szacunku usługiwał im, stojąc.

Synowie staruszka obsługiwali żołnierzy siedzących na podwórzu. Wódka i obfitość wiejskiego jedzenia na pewien czas ich uspokoiły.

Korzystając z dogodnej chwili, staruszek przeszedł do kobiecej połowy domu i zawoławszy Sarę na stronę, cicho do niej powiedział:

– Córeczko, weź klucz i schowaj wszystkie cenne rzeczy; sama dobrze wiesz gdzie.

– Wiem – odpowiedziała kobieta i łzy napłynęły jej do oczu.

Zrozumiała, że ostrożność świekra spowodowana jest grożącym domowi nieszczęściem.

– Łzami gardła nie napełnisz, weź się w garść – ciągnął staruszek. – Już nie jeden raz groziło nam niebezpieczeństwo. Z bożą pomocą może i tym razem jakoś wytrzymamy, tylko musimy uzbroić się w cierpliwość. Ukryj cenne rzeczy, a potem odeślij wszystkie synowe z dziećmi do ich krewnych. Sama zaś pójdź z Lalą do kumotra[167] Zaka. Zostań tam jakiś czas, a potem… zobaczymy.

Niektóre z synowych Chacza pochodziły z wioski O…, pozostałe – z sąsiednich wsi, toteż nietrudno im było znaleźć schronienie u krewnych. Jedynie Sara pochodziła z odległego Bajazetu, dlatego staruszek postanowił odesłać ją do kumotra Zaka.

– Jeszcze jedno, Saro – kontynuował staruszek. – Hajrapet, Apo i Wartan jeszcze z samego rana wyruszyli na poszukiwanie Dudukcziana. Oni na pewno nie wiedzą o tym, co się tu dzieje, i – powróciwszy do domu – mogliby wpaść w pułapkę. Poślij za nimi jakiegoś człowieka, żeby ich ostrzegł. Niech się na razie gdzieś ukryją, póki nie dam im znać, że zagrożenie minęło.

Ostatnie słowa całkiem już dobiły biedną Sarę. Okazuje się, że jej drogiemu Hajrapetowi grozi niebezpieczeństwo! W czym on zawinił, co tak złego zrobił?…

Sara wszelako była na tyle mądra, żeby zachowywać tylko dla siebie niektóre uwagi czy wypowiedzi męża, ale ostatnio ciągle dręczyły ją złe przeczucia.

– A kogo posłać? – zapytała, ocierając napływające łzy.

Pytanie Sary wcale nie było bezpodstawne. Komu bowiem mogła zaufać, skoro pomiędzy braćmi zrodziła się wrogość i jeden mógł zdradzić drugiego? Kilka minut temu na własne uszy słyszała, jak jej szwagrowie przeklinali Hajrapeta i ile złości było w ich słowach.

Rozumiejąc, że wątpliwości synowej były uzasadnione, staruszek z głębokim smutkiem powiedział:

– Ja wiem, że nikt nie pójdzie… Gdy człowiek jest w potrzebie, wszyscy się od niego odwracają… Ale słudzy Wartana, Sako i Jegho, to dobrzy, mężni ludzie. Im każ odszukać Hajrapeta i Apo, niechaj

[167] Kumotr – w oryginale występuje tu ormiański wyraz *kawor* (AP).

poinformują braci, że Dudukczian został aresztowany, a w naszym domu żołnierze robią rewizję; wszystko inne sami zrozumieją.

Wydawszy Sarze polecenia, staruszek odszedł przekonany, że ona – z właściwą sobie mądrością i sprytem – wykona wszystko jak należy.

Przechodząc przez podwórze, obserwował ukradkiem, jak „stróżowie porządku i praworządności", nażarłszy się do syta, wciąż namiętnie oddawali się pijaństwu. Zamknął więc oczy i przeszedł obok, aby nie oglądać tego obrzydliwego widoku; od tej chwili nie czuł się już gospodarzem we własnym domu.

Tureccy urzędnicy bez trudu łamią zakazy swojej religii, dlatego picie wódki stało się dla nich codziennością – wszak zakazany owoc zawsze jest najsłodszy. Pijany muzułmanin łatwo traci nad sobą kontrolę i często wpada w szał. Mahometa można uznawać za wielkiego proroka choćby tylko dlatego, że zakazał muzułmanom picia alkoholu.

A tymczasem w odzie toczyła się wielce interesująca rozmowa. Oficer zdrowo sobie podpił i jego rozmowa z Tomasem-efendim przybrała szczery i niewymuszony charakter.

– Ile ty masz żon? – chciał się dowiedzieć oficer.

Efendi z obłudnym uśmieszkiem odrzekł:

– Pewnego razu osła również spytano, ile ma żon… i ten wskazał na wszystkie oślice w stadzie.

Kiedy efendi zaczynał mówić przysłowiami bądź porzekadłami, to znaczyło, że jest w dobrym nastroju.

– Ale zdaje się, że chrześcijańska religia zabrania mieć więcej niż jedną żonę – zauważył oficer.

– Muzułmanom też niby nie wolno pić wina czy wódki, a tyś wypił już więcej niż ja – odpalił efendi, ciesząc się swoją błyskotliwą repliką.

W tym momencie wszedł staruszek Chaczo, niosąc na tacy rachatłukum[168] z rodzynkami ze Smyrny[169]. Postawiwszy owe łakocie na stole, powiedział:

– Po obiedzie zawsze przyjemnie jest osłodzić sobie usta. – I pospiesznie opuścił odę.

---

[168] Rachatłukum – orientalna słodka galaretka, której nazwa pochodzi od arabskiego wyrażenia znaczącego dosłownie „rozkosz gardła" (*rāhatu-l-hulqūm*) (AP).

[169] Smyrna – miasto w zachodniej Turcji (Izmir) (AP).

– Ten nieborak wydaje się całkiem w porządku – powiedział oficer. – Dziwię się, jak on mógł przygarnąć pod swój dach rosyjskiego szpiega i stambulskiego buntownika?

– Osioł ma długie uszy, ale rozum krótki – jak zwykle porzekadłem odpowiedział efendi. – Porządnymi bywają zazwyczaj głupcy – ciągnął – nasz staruch jest właśnie tego pokroju człowiekiem.

Turecki oficer okazał się znacznie przyzwoitszym reprezentantem rodzaju ludzkiego aniżeli Ormianin efendi. Toteż współczująco powiedział:

– Boję się, że pasza-efendi wyciśnie ze staruszka wszystkie soki, aż do ostatniej kropli.

– I słusznie!… Tylko ostatni głupiec mógłby nie skorzystać z takiej okazji.

– A ty znasz paszę? Co to za człowiek? Ja tylko jeden raz go widziałem.

– O, ja go dobrze znam – zarozumiale rzucił efendi. – Poznałem się z nim, kiedy był kajmakamem prowincji[170] Tigranakertu[171]. Ponad dziesięć lat grabił tamtą prowincję, obłowił się niesamowicie, potem wyjechał do Konstantynopola i został tam paszą.

– Ale co to za człowiek?

– Z rodzaju tych, co to nawet ze zdechłego osła ściągają podkowy.

Póki oficer i efendi byli zajęci rozmową, a pijani żołnierze pochłonięci śpiewaniem i tańcami, kobiety – trzymając za ręce dzieci – wymknęły się niezauważone przez nikogo tylną bramą. Opuszczając dom, wszystkie gorzko płakały. Wydawało im się, że zostają na zawsze wygnane, że nigdy nie wrócą już do tego domu, gdzie były takie szczęśliwe i gdzie panowały ogólna zgoda i miłość.

W ślad za nimi tą samą bramą wyszli uzbrojeni Jegho i Sako. Obaj – również przez nikogo niezauważeni – dosiedli koni i odjechali galopem.

Mimo całej swej szatańskiej przebiegłości Tomas-efendi nie wpadł na pomysł, żeby aresztować tych dwóch zuchów, którzy byli prawą ręką Wartana i mogli przeszkodzić poborcy w realizacji jego perfidnych zamierzeń.

---

[170] Prowincja – w oryginale ormiańskim: *gawarr* (AP).

[171] Tigranakert – stolica starożytnej Armenii leżąca na zachód od jeziora Wan (AP).

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Tomas-efendi zdawał sobie sprawę z tego, że – mimo iż jego plany zostały już w znacznym stopniu zrealizowane – jego główny cel wciąż jeszcze pozostawał nieosiągnięty. Od dawna wiedział, że Stepanik jest dziewczyną. Zdradził mu to ksiądz Ter-Maruk, który ją chrzcił. Pewnego razu, zaproszony do efendiego na obiad, upił się i wyjawił mu ową tajemnicę, której przysiągł był nie rozpowiadać i którą miał zachować jedynie dla siebie.

Od tamtego dnia w sercu poborcy rozkwitła miłość do Stepanika. Ale czymże jest miłość dla człowieka wyzutego z elementarnej przyzwoitości? To takie samo przelotne uczucie jak głód czy pragnienie: najadł się, napił – i potrzeba zaspokojona, koniec! Wzniosła, idealna miłość była niedostępna dla Tomasa-efendiego. W jego rozumieniu miłość stanowiła jedynie zaspokojenie chwilowego popędu.

Kobieta dla Tomasa-efendiego była tylko zabawką, rzeczą, którą się zdobywało dla rozrywki i chwilowego zadowolenia.

Na widok innej, jeszcze ładniejszej dziewczyny efendi starał się puścić w niepamięć tę pierwszą, aby zaspokoić przemożną chęć przeżycia nowej podniecającej przygody. Ostatnią upatrzoną przezeń ofiarą była Lala. Dlaczego wybór poborcy padł właśnie na nią, dlaczego chciał ją zdobyć w tak niegodziwy sposób? Czyż nie mógł poprosić ojca dziewczyny o jej rękę?

Tomas-efendi jednak i w tym przypadku pozostawał wierny samemu sobie: pragnąc osiągnąć upatrzony cel, wykorzystywał własne, szczególnie podłe sposoby działania. Ów poborca podatków był niesłychanie szczwanym lisem, a taki człowiek nigdy nie zmierza prosto do celu. Preferuje okrężne drogi, nawet jeśli kierują nim pozornie dobre intencje. Taki człowiek zastawia na ofiarę najróżniejsze pułapki, oplątuje ją swymi zdradzieckimi sieciami. Żeby zawładnąć Lalą, Tomas-efendi uciekł się do sprawdzonych, wielokrotnie już stosowanych przez siebie perfidnych wybiegów.

Starał się mianowicie postawić ojca Lali w takiej sytuacji, w której – nawet wbrew swojej woli – staruszek byłby zmuszony oddać mu swoją córkę za żonę.

W jego oczach Chaczo był jedynie właścicielem Lali: jako poborca podatków stale miał do czynienia z chłopami, toteż dobrze wiedział, jak trudno zmusić wieśniaka do rozstania się ze swoją własnością; wiedział, że dopóki nie wyciągnie się z niego wszystkiego, dopóki się go nie zmęczy, nie zmaltretuje – nie wypuści on z rąk swojej własności. Dlatego Tomas-efendi tak mocno osaczył staruszka, żeby Chaczo mógł wydobyć się z owej sieci wyłącznie przy jego pomocy.

Doniósłszy na starego i jego synów jako na politycznych przestępców i zwolenników buntownika, którzy ukrywali w swoim domu rosyjskiego szpiega, Tomas-efendi pragnął upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: okazać swoją lojalność tureckiemu rządowi, udowodnić, że jest mu absolutnie oddany i gotowy wykonywać wszelkie jego rozkazy, i jednocześnie śmiertelnie zastraszyć staruszka: „Jeśli nie oddasz mi Lali, to wraz z synami zawiśniesz na szubienicy, twój dom zostanie spalony, a majątek skonfiskowany… Uratować was mogę tylko ja! A moją nagrodą za to musi być piękna Lala…”.

Oto jaki szatański plan hołubił w swojej duszy Tomas-efendi! Dowód potwierdzający, że to właśnie on złożył donos na Salmana, pieczołowicie przechowywał w kieszeni: był to klucz od skrytki, w której razem ze staruszkiem ukryli churdżyn przybysza z Konstantynopola.

Początkowo efendi nie zamierzał uciekać się do aż tak radykalnych sposobów. Miał nadzieję, że bez trudu zdoła uzyskać zgodę staruszka Chacza. Jednak od pewnego czasu jego poważne zaniepokojenie budził Wartan, w którym upatrywał groźnego konkurenta. Od dnia, w którym młodzieniec wyrwał z rąk Stepanika fajkę przygotowaną dla efendiego i rozwścieczony wyrzucił ją za okno, jak też od chwili, gdy – z powodu tegoż Stepanika – tak ostro zaatakował poborcę podatków, Tomas-efendi nabrał przekonania, że Wartan i Stepanik kochają się wzajemnie, i owe podejrzenia nie dawały mu spokoju. Wiedział bowiem, że rodzina staruszka Chacza z sympatią odnosi się do Wartana i z radością odda mu Lalę za żonę. Ale gdyby nawet odmówiono młodzieńcowi, nie zmieniłoby to sytuacji: dziewczyna kochała Wartana i nieustraszony przemytnik w każdej chwili mógłby ją porwać! A na to starczyłoby mu zarówno odwagi, jak i sprytu. Ta myśl wielce niepokoiła efendiego i popychała do stanowczego działania. Najlepiej – z jego punktu widzenia – byłoby usunąć konkurenta z domu staruszka Chacza, i to usunąć na podstawie

rozkazu wojskowych władz, żeby nie mógł uciec i zabrać ze sobą Lali. To właśnie pobudziło Tomasa-efendiego do doniesienia władzom, że Wartan jest rosyjskim szpiegiem.

Ale dlaczego spośród wszystkich synów Chacza poborca podatków nakazał aresztować tylko Hajrapeta i Apo? Czyżby mu było wiadomo, że podzielają oni poglądy Salmana? Nie, to nawet nie mieściło mu się w głowie: jak bezwolny ormiański chłop mógłby rozmyślać o wolności? Efendi miał świadomość, że pozostali synowie Chacza to jedynie prymitywne, pokorne „osły". W pomyślnej realizacji jego planów dotyczących Lali mogli przeszkodzić jedynie Hajrapet i Apo. Efendi dawno już zauważył, że w stosunku do niego obaj ci synowie starosty odnoszą się nieprzyjaźnie, dlatego kazał ich wsadzić za kratki.

Jaki zatem los czekał Lalę? Kochali ją trzej mężczyźni i każdy chciał nią zawładnąć. Osławiony rozbójnik, nieustraszony Fattah-bej, zamierzał ją porwać niby spadający z nieba górski orzeł, który wypadając raptem zza chmur, unosi w szponach swoją zdobycz. Tomas-efendi zaś wił się jak wąż, mając nadzieję zdobyć Lalę dzięki podłym intrygom. A zdeterminowany i arogancki przemytnik Wartan chciał ją potajemnie wywieźć, gdyby ojciec nie zgodził się dobrowolnie oddać mu córki. Ale przecież wiadomo, którego z nich Lala kochała.

Kurdyjski bej jednak był aktualnie zajęty przygotowaniami do wojny i na jakiś czas przestał myśleć o dziewczynie. Wartan z kolei był całkowicie pochłonięty losem Salmana. Tomas-efendi natomiast tak poprowadził sprawę, że mógł mieć nadzieję na odniesienie sukcesu.

Po obiedzie pijany w sztok oficer od razu zasnął. Żołnierze pełnili straż przy wszystkich wejściach do domu. Hajrapet i Apo jeszcze gdzieś krążyli. Tomas-efendi uznał, że akurat nadszedł dogodny moment, aby rozmówić się ze staruszkiem Chaczem.

Zostawił więc w odzie śpiącego oficera i wyszedł. „Skoro się już zaczęło, to trzeba rzecz doprowadzić do końca – pomyślał. – Dosiąść osła to wstyd, ale spaść z niego – to już hańba".

Znalazł staruszka na podwórzu; ten siedział smutny przy ogrodzeniu, grzejąc na słońcu zesztywniałe kończyny. Tutaj też, głośno rechocząc, rubaszni pijani żołnierze uganiali się za służkami, łapali je za spódnice albo chwytali służących i okładali ich ile wlezie, żądając, aby ci spełniali wszelkie ich zachcianki.

Na oczach „patriarchalnego" starca bezczelnie hańbiony był jego dom, w którym zawsze święcie czczono skromność i rodzinne tradycje i gdzie nawet nieskromny uśmieszek postronnego człowieka nie pozostawał bezkarny. Obecnie zaś w tymże domu panoszyła się grupka rozwydrzonych i pijanych tureckich żołdaków…

„Cóż to za los?… I na co komu takie życie?… Lepiej, żeby się ziemia rozwarła i nas pochłonęła… Czy to jest życie? Widzieć, jak cię hańbią, i milczeć! Dla kogo w takim razie jest przygotowane piekło?… Czemu ogień niebieski nie porazi owych niegodziwców?!"

Ciężko wzdychając raz po raz, staruszek wznosił ku niebu pełne łez oczy, ale niebo nie dawało mu odpowiedzi.

Raptem dostrzegł żołnierzy wynoszących z domu rozmaite rzeczy.

Sara, która po odprowadzeniu synowych wróciła do domu, wybiegła na podwórze i próbowała wyrwać z rąk żołnierza duży miedziany kocioł. Żołnierz jednak uderzył ją pięścią w brzuch – upadła. „Na moich oczach grabią mój dobytek, nie pytając bynajmniej nikogo o pozwolenie. Dlaczego? Za co?! Za to, że ośmieliłem się okazać gościnność człowiekowi nauczającemu, że trud i dobytek gospodarza winny być nienaruszalne. Karzą mnie za to, że śmiałem przygarnąć człowieka, który obnażał kłamstwo, zło, bezprawie, ujawniał bogactwa zdobyte w nieuczciwy sposób; który przekonywał, że to my, chłopi, powinniśmy władać ziemią, którą odziedziczyliśmy po naszych przodkach, że sami też powinniśmy rządzić swoim krajem i uwolnić się od tureckiego ucisku… A co budzi w nas takie myśli, jak nie ich przemoc? Gdyby nas Turcy zostawili w spokoju, gdyby nie hańbili naszych rodzin, nie rujnowali gospodarstw i obchodzili się z nami jak z ludźmi, a nie jak z bydłem – wtedy nie mielibyśmy na co się skarżyć… «Umiłowanie wolności to dziecię despotyzmu i bezprawia» – mówił Dudukczian. Teraz zrozumiałem, co znaczą te jego słowa. Tyran sam powołuje do życia swoich wrogów. Gdyby Turcy obchodzili się z nami inaczej, żylibyśmy z nimi w zgodzie i pokoju, mimo że są innej krwi i innej wiary".

Tak rozmyślał staruszek, a w jego duszy szalała burza. Cóż mógł jednak począć bezsilny lew przeciwko sforze wilków? Jego dusza kipiała gniewem, ale brakło mu sił do walki. „Jedną ręką nie da się klaskać" – przypomniało mu się znane ludowe porzekadło. „Jeśli nasi chłopi byliby wszyscy jednej myśli, to wyjście by się znalazło".

W takim opłakanym stanie Tomas-efendi zastał przybitego staruszka. Pragnąc jeszcze bardziej go udręczyć, obłudnik już z daleka wykrzyknął do niego:

– Źle sprawy stoją, starosto Chaczo, bardzo źle! Osioł tak głęboko uwiązł w błocie, że już się nie da go wyciągnąć…

Staruszek nie słyszał słów efendiego, ale się podniósł i wyszedł mu naprzeciw.

– Usiądź, usiądź… – powiedział efendi, „po przyjacielsku" kładąc mu rękę na ramieniu – ja też z tobą posiedzę. Tutaj nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Usadowili się obaj na rozesłanym na ziemi samodziałowym chodniku.

– Kiedyż ci ludzie wreszcie stąd odejdą? – zapytał staruszek, wskazując na rozzuchwalonych żołdaków.

– „Szaleńca zaproszono na wesele – i bardziej mu się tam spodobało niż w domu". Po co im stąd odchodzić, skoro tu mają pod dostatkiem jedzenia i picia? – odpowiedział efendi, beztrosko się roześmiawszy.

Ten śmiech boleśnie dotknął staruszka. Poborca to zauważył i zmienił ton:

– Nic się nie martw, starosto Chaczo! Dopóki żyje Tomas-efendi, nawet jeden włos ci z głowy nie spadnie.

– A co gorszego jeszcze mogłoby mnie czekać? – z oburzeniem rzucił staruszek, wskazując na grasujących bezkarnie żołnierzy. – Na moich oczach rujnują mój dom, rozkradają dobytek, a ja w milczeniu muszę to wszystko znosić!

– Oni już mają taki zwyczaj: kiedy pies wpadnie do kramu rzeźnika, to chociaż jedną kość musi stamtąd ukraść i wynieść. Przecież dobrze wiesz, starosto Chaczo, że z domu Ormianina żaden Turek nie wyjdzie z pustymi rękami. Dziękuj Bogu, że kradną tylko twój dobytek, a nie odbierają ci jeszcze życia…

Dreszcz wstrząsnął całym ciałem staruszka. Był tak oszołomiony wszystkim, co się wokół działo, że każde słowo efendiego raniło go okrutnie.

– No to powiedz wreszcie, o co tu chodzi! – wykrzyknął starosta, tracąc cierpliwość. – Jeśli coś wiesz, to mów – i nie dręcz mnie, nie trzymaj w niepewności! Skoro grozi mi śmierć, to niechaj przyjdzie jak najprędzej.

– Powiem, powiem… Wszystko ci powiem, starosto Chaczo, tylko się uzbrój w cierpliwość – poważnym i uroczystym tonem zapewnił efendi.

Swoją przemowę poprzedził, jak zwykle, porzekadłem o osłach:

– Osioł nie powinien wierzgać, kiedy go okładają batogiem, bo to się dla niego źle skończy… Mówię to, starosto Chaczo, aby ci uzmysłowić, że nie należy zadzierać z Turkami, zwłaszcza teraz…

Odwołał się do przykładu wańskiego pożaru i jął przekonywać, że najczystszej wody „szaleństwem" byłoby w aktualnej sytuacji nie dochować wierności Turkom. Według jego słów, Turcy spalili i rozgrabili w Wanie kilka tysięcy ormiańskich domów tylko dlatego, że Ormianie szpiegowali dla Rosjan. Stąd wniosek – kontynuował – że w obecnej sytuacji Ormianie nie powinni sympatyzować z Rosjanami. Bo przecież Turcy nie są tacy źli, jak się wydaje, a los Ormian jest nierozerwalnie związany z Turcją, toteż wszelkie nawoływania do buntu są „szaleństwem". Zachowanie Salmana efendi uważa za nierozsądne i wcale nie będzie zmartwiony, jeśli zostanie on surowo ukarany, a przykrość sprawia mu jedynie to, że z winy owego wichrzyciela mogą też ucierpieć inni…

– Kto? – przerwał efendiemu pobladły z trwogi staruszek.

– Twoi synowie, Hajrapet i Apo, oraz twój gość, Wartan – spokojnie odparł poborca podatków.

Cios był tak potężny, że mógłby się okazać fatalny dla biednego staruszka, gdyby pełne męczarni i przeciwności życie odpowiednio go nie zahartowało. Starosta wziął się w garść i spokojnie zapytał efendiego:

– O co się nas obwinia?

– O, święta naiwności!… Zadałeś takie pytanie, jakiego nawet dziecku nie powinno się wybaczyć! – ze zjadliwą ironią wykrzyknął Tomas-efendi. – A czym zawinił zupełnie zdrowy człowiek, którego uznaje się za chorego jedynie przez to, że się obracał wśród zadżumionych? Wszak jeśli spróbuje uciec, żeby uniknąć zarazy, zostanie pojmany i osadzony w więzieniu, a tam dostanie mu się tak, że będzie ledwo zipał i nawet tchu nie będzie mógł złapać.

– Znaczy się, wsadzą nas do więzienia? – spytał staruszek z gniewnym obliczem.

– Owszem, wsadzą – chłodno oznajmił efendi.

Tylko że przyszedł on do domu Chacza, aby prosić o rękę jego córki, powiedzieć mu, że ją kocha i chce pojąć za żonę. Czyżby o tym zapomniał? Dlaczego zatem aż tak zadręczał jej nieszczęsnego ojca?

Jak już powiedziano, Tomas-efendi dążył do tego, żeby starosta znalazł się w sytuacji bez wyjścia, żeby wbrew swojej woli musiał przyznać, iż efendi jest jedynym człowiekiem, który może oclić jego rodzinę i że dlatego właśnie Lala powinna być złożona w ofierze. Łajdak wiedział, że niełatwo mu będzie uzyskać zgodę staruszka, zwłaszcza po tym, jak Wartan przy wszystkich oskarżył poborcę o to, że miał on już kilka żon, a zaprzeczyć temu nie mógł.

Efendi dostrzegł, że przesadził, więc nie chcąc doprowadzać staruszka do skrajnej rozpaczy, pospieszył go uspokoić i rzekł:

– Możliwe, że i potrzymają cię kilka dni w areszcie, ale to tylko tak… dla pozoru, żeby wszystkim wieśniakom napędzić stracha. Jednak was Tomas-efendi nie pozwoli skrzywdzić!

Staruszek zmilczał. Pamiętał bowiem, że jeszcze rano efendi mówił coś zupełnie innego – i do jego duszy wkradło się zwątpienie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Wartan, Hajrapet i Apo, którzy wyszli z domu jeszcze wczesnym rankiem, nic nie wiedzieli o tym, co się zdarzyło w czasie ich nieobecności: ani o podstępnych knowaniach intryganta Tomasa-efendiego, ani o rewizji, ani o skandalicznych wyczynach tureckich żołnierzy.

Obeszli kilka wiosek w poszukiwaniu Salmana, rozpytywali o niego ludzi, aż w końcu po długim błądzeniu odszukali dom, w którym ich przyjaciel spędził ostatnią noc.

Gospodarz okazał się rozmownym człowiekiem. Powiedział im, że nie ma pojęcia, gdzie się podziewa jego gość, ale że minionej nocy długo o czymś rozprawiał z wiejskimi chłopakami i coś im tłumaczył, a kiedy wszyscy się rozeszli, zjadł kolację i udał się do ody, gdzie przygotowano dla niego posłanie. Spał sam jeden, tyle że rano już go tam nie było. Ale gdzie zniknął – nie wiadomo.

Wartan, Hajrapet i Apo weszli do pokoju, w którym Salman nocował. Tam na podłodze znaleźli strzępek papieru, na którym – najwyraźniej w wielkim pośpiechu – było napisane: „Zostałem aresztowany", a obok widniał podpis „L.S.".

Przeczytawszy notatkę, Wartan przekazał ją Hajrapetowi ze słowami:

– Tego się obawiałem.

Wszyscy trzej stali jakby rażeni gromem. Cios był podwójny: utracili towarzysza, szlachetnego młodzieńca, ofiarę braku doświadczenia w działalności konspiracyjnej, poza tym jego aresztowanie zagrażało sukcesowi całej ich sprawy, dla której przysięgli nie szczędzić swoich sił.

Gospodarz domu ze zdumieniem patrzył na swoich gości: nie rozumiał, dlaczego skrawek papieru sprawił im tak wielką przykrość.

Nic mu nie powiedziawszy, przybysze wyszli. Był wieczór. Z pastwisk, wzbijając tumany kurzu, powracały stada.

Ze śmiechem i z żartami wracali również chłopi po skończonej pracy w polu. Nikt z nich oczywiście nie wiedział, że ubiegłej nocy we wsi miały miejsce dwa wydarzenia: aresztowano młodzieńca i została zhańbiona dziewczyna. I że oba te wykroczenia były dziełem jednego człowieka, który w dodatku cieszył się ogólnym poważaniem.

– Chłop jest tak prostoduszny i łatwowierny jak dziecko – powiedział Wartan. – Gdy dziecko się stłucze, to płacze z bólu, ale kiedy ból minie, zapomina o nim i nadal beztrosko się bawi i śmieje… Nasi chłopi tak samo. Bardzo trudno mieć do czynienia z takimi przerośniętymi dziećmi. Przez całe wieki byli uciskani, cierpieli niedostatek, tonęli w błocie, ale jakby w ogóle tego nie czuli, nie zauważali – i zawsze łatwo zapominali o swojej krzywdzie… Harowali ile sił, nie zastanawiając się nad tym, dla kogo i po co tak naprawdę się trudzą. Tomas-efendi – ciągnął Wartan – nie bez racji nazywał ich osłami, ich obrońców zaś – szaleńcami. Spróbuj wbić chłopom do głowy, że młodzieniec, który ubiegłej nocy tak żarliwie im mówił o prawach człowieka, o ich pracy i o tym, jak się mają bronić przed wyzyskiwaniem i niesprawiedliwością, został aresztowany i może już jutro zawiśnie na szubienicy. Wszyscy zgodnie powiedzą: „To głupiec, chent". Ale teraz mnie gnębi jeszcze co innego: podejrzewam, że do aresztu Salmana mógł się nawet przyczynić sam Tomas-efendi.

– Chyba masz rację – zgodził się Hajrapet.

– Musimy się co do tego upewnić, sprawdzić… – zdecydował Wartan.

Zmierzchało. Staruszkowie wracali z kościoła po wieczornym nabożeństwie. Wartan uznał, że powinien wraz z przyjaciółmi jak najszybciej opuścić wioskę.

– Igiełki, nici, korale… – rozległ się znajomy głos domokrążcy. Utykając, szedł on im na spotkanie, dźwigając na plecach swoje pudło i podpierając się grubym kosturem, którego nie powstydziłby się sam Herkules.

Ujrzawszy Wartana i jego towarzyszy, zwrócił się do nich z apelem:

– Dobrzy ludzie, kupcie ode mnie cokolwiek. Jest już późno, więc taniej wam sprzedam…

– A co masz? – zapytał Wartan, podchodząc do przekupnia.

– Wszystko, czego tylko dusza zapragnie – zapewnił ten w odpowiedzi i opuścił pudło na ziemię.

Wartan, udając, że ogląda towary, podał dyskretnie przekupniowi zapiskę Salmana. Tamten pospiesznie ją przeczytał i szepnął:

– Wiem o tym.

– Co mamy robić?

– Spotkajmy się, porozmawiamy…

– Gdzie?

– Czekajcie na mnie za wsią, przy opłotkach.

Ta krótka rozmowa toczyła się tak cicho, że ani Hajrapet, ani Apo niczego nie słyszeli. Przekupień zarzucił na plecy swoje pudło i odchodząc, burknął:

– Mnie już wystarczy, nałaziłem się dosyć – pora w końcu odsapnąć…

Wartan i jego towarzysze poszli dalej. W wiejskich domach już zapalono światła. Zrównali się z chałupą cieśli Petrosa. Obok, na progu swojej chaty, stał sąsiad Oho.

Ormiańscy chłopi, widząc o zmroku wędrowca przechodzącego obok ich domu, niezmiennie zwracają się do niego z uprzejmą propozycją: „Bądź naszym gościem”. Wartan i jego towarzysze, idąc przez wieś, również słyszeli podobne zaproszenia, ale grzecznie odpowiadali: „Dziękujemy” – i szli dalej. Przy domu cieśli Petrosa jednak się

zatrzymali – nie dlatego, że zamierzali skorzystać z gościnności sąsiada Oho, ale dlatego, że dochodziły stamtąd rozpaczliwe nawoływania, jakby ktoś wzywał pomocy. Weszli do domu Petrosa, ale nikogo w nim nie zastali. Krzyki donosiły się z ciemnej pobliskiej obory. Apo schwycił świecznik, który palił się w izbie, i wszyscy trzej pobiegli do obory. Tu ich oczom ukazał się przerażający widok: młoda dziewczyna z pętlą na szyi wisiała na belce stropowej; starsza kobieta, podtrzymując kolana dziewczyny, usiłowała ją unieść, żeby biedaczka się nie udusiła – i to właśnie ta kobieta rozdzierająco wzywała pomocy. Gdyby przyjaciele przybyli chwilę później, wszystko byłoby już skończone, ręce kobiety bowiem słabły i nie zdołałyby dłużej podtrzymywać samobójczyni.

Mężczyźni przynieśli Barbarę na rękach do domu i położyli na łóżku. Była nieprzytomna. Jej zsiniałą twarzą wstrząsały dreszcze. Zuzanna szlochała, przeklinając jakiegoś człowieka, ale nie wymieniała jego imienia. Przypadłszy do ocalonej dziewczyny, ze łzami w oczach żałośnie lamentowała: „Barbaro, kochana, dlaczego chciałaś odebrać sobie życie?… Tyś niczemu nie winna… to jego niech Bóg ukarze!…”.

Wartan i jego towarzysze zrozumieli, że to tragiczne wydarzenie jest związane z jakąś rodzinną tajemnicą, ale z jaką – nie mieli pojęcia. Zuzanna nic im nie powiedziała, a oprócz niej i dwójki małych dzieci w domu nikogo nie było. Hajrapet znał męża Zuzanny, cieślę Petrosa, który nie raz w ich domu naprawiał inwentarz, ale jego żony dotąd nie widział. A gdyby nawet ją znał, to w danej sytuacji nie miałoby to żadnego znaczenia: chłopka nie prowadzi rozmów z postronnymi mężczyznami. Zuzanna ograniczyła się do wyrażenia im wdzięczności za okazaną pomoc i poprosiła, żeby dali znać jej mężowi.

– A gdzie on jest? – spytał Hajrapet.

– Poszedł do sąsiedniej wioski – odrzekła Zuzanna.

Mężczyźni już chcieli wychodzić, kiedy Barbara nagle otworzyła oczy i poprosiła o picie. Zuzanna pospiesznie dała jej wody i dziewczyna łapczywie wszystko wypiła. Jej twarzyczka przestała być sina, lecz nadal była bardzo blada. Na widok postronnych osób dziewczyna wstydliwie naciągnęła koc na głowę i gorzko się rozpłakała. Od jej zawodzenia serce krwawiło, ale ten szloch zarazem uradował wszystkich obecnych: jeśli dziewczyna zanosi się płaczem, to znaczy, że jest uratowana.

Po wyjściu na ulicę mężczyźni napotkali jakiegoś wyrostka, wsunęli mu do ręki parę miedziaków i poprosili, by pobiegł po Petrosa do sąsiedniej wioski.

Sąsiad Oho wciąż jeszcze stał na swoim progu. Ujrzawszy Wartana i jego towarzyszy, zwrócił się do nich:

– Ej, wy, dziwaki, gdzie was niesie po nocy? Ach, gdybyście wiedzieli, jaka huczna libacja była tu wczoraj! Czemu i dzisiaj nie można by się tak wesoło zabawić?

– Jaka libacja? – zainteresował się Hajrapet.

Oho z entuzjazmem jął opowiadać, że Tomas-efendi gościł wczoraj w domu cieśli Petrosa. On, Oho, także był zaproszony. Przez cały wieczór grali muzykanci, dziewczyny tańcowały; wszyscy jedli, pili i weselili się, że hej! Tu Oho uznał, że powinien dodać:

– Jak mi Bóg miły! Wspaniały człowiek z tego Tomasa-efendiego! Tyle wódki kazał przynieść, że można się było w niej wykąpać!

– I pewnie wszystkich spoił? – rzucił Hajrapet.

– A jakże, nie inaczej! – zaśmiał się Oho. – Czy mogliśmy pozostać trzeźwi, jeśli wypiliśmy aż tyle gorzały? Zresztą po to i libacja, żeby się schlać na umór.

– A gospodarz był w domu?

– Nie, ja zastępowałem gospodarza.

– A jak się spiłeś, to ciebie zastąpił efendi, tak?

– Nie wiem, niczego nie pamiętam, na rękach ktoś mnie odniósł nieprzytomnego do domu.

Towarzysze pożegnali się z Oho i odeszli. W drodze Wartan powiedział do Hajrapeta:

– Teraz rozumiem, dlaczego ta biedulka targnęła się na swoje życie.

– A dla mnie stało się jasne, kto doniósł na Salmana – dodał Hajrapet.

– To oczywiste, że doniósł Tomas-efendi – stwierdził Wartan. – Taki cwany, wyjątkowy łajdak mógł jakoś przejrzeć zamiary Salmana i – chcąc się przypodobać tureckim władzom – doniósł na niego. Spędził noc w tej wiosce i zarządził, żeby aresztowano Salmana. Znając czarną duszę efendiego, nie można wątpić, że maczał w tym palce, czyli to jego sprawka.

Przyjaciele w milczeniu szli dalej ulicą. Każdy z nich rozmyślał o tym, jak ocalić życie aresztowanego kolegi.

– Wszystko, co powiedziałeś, Wartanie, jest prawdą. – Wspólne milczenie przyjaciół przerwał w końcu Hajrapet. – Ale co mamy teraz robić?

– Przychodziło mi już mieć do czynienia z tureckimi urzędnikami i wiem, jacy bywają beztroscy i niedbali – powiedział Wartan. – Jestem przekonany, że z pomocą moich służących łatwo zdołam uwolnić Salmana. Wiecie przecież, jacy są dzielni i odważni. Jeszcze dzisiejszej nocy ruszymy w drogę. Dokądkolwiek wywieziono Salmana, zdołamy go odszukać, a gdybyśmy nawet nie mogli od razu go uwolnić, to odbijemy siłą. Tchórzliwość tureckich strażników jest mi dobrze znana.

– Idziemy z tobą – jednym głosem orzekli Hajrapet i Apo – nie puścimy cię samego.

– To by było nie tylko niepotrzebne, ale wręcz niebezpieczne – odparł Wartan.

Pamiętając o słowach domokrążcy, postanowił czekać na niego za opłotkami wioski i zaproponował towarzyszom:

– Usiądźmy tutaj i naradźmy się. W marszu trudno podjąć rozsądną decyzję.

Wartan był zmęczony i wyczerpany. Dręczyła go trwoga, która narastała z każdą minutą…

Skręcili z drogi i poszli dalej ścieżką wiodącą do szałasu ogrodnika; szałas był pusty, gdyż do zbioru plonów pozostawało jeszcze sporo czasu i chłopi nie musieli obawiać się złodziei. Szałas ogrodnika to dogodne schronienie dla zmęczonego wędrowca: może w nim odetchnąć, przeczekać zarówno najgorętszy skwar, jak też ulewny deszcz, który często pada w tych stronach.

Noc była dość jasna, chociaż bezksiężycowa. W oddali jarzyły się światła wioski O… i raz po raz dobiegało stamtąd niespokojne ujadanie psów.

Wartan wrócił do przerwanej rozmowy. Stwierdził, że trzeba za wszelką cenę wydostać Salmana z więzienia, bo inaczej czeka go śmierć. Ale współudział Hajrapeta i Apo w tym przedsięwzięciu związany jest z dużym ryzykiem, gdyż – niezależnie od tego, czy uda im się uwolnić więźnia czy nie – oni dwaj nie unikną zemsty Turków. A ta sprawa nie obejdzie się raczej bez walki i przelewu krwi, możliwe, że będą też zabici. Jeśli Hajrapet i Apo wezmą w niej udział, to jako miejscowym Ormianom nie ujdzie im to bezkarnie.

Przy czym ucierpią nie tylko oni, ale i wszyscy ich krewni. Wartan natomiast jako obcokrajowiec niczym nie ryzykuje: wykona, co zaplanował – i skryje się, i nikt go nie znajdzie, tym bardziej teraz, w czasie wojennym.

Wysłuchawszy zastrzeżeń swego bardziej doświadczonego w walce z zagrożeniami towarzysza, bracia zaproponowali:

– A my się przebierzemy – i nikt nas nie rozpozna!

– To was nie uratuje, wcześniej czy później zostaniecie rozpoznani. Wśród miejscowych Ormian znajdą się ludzie w rodzaju Tomasa-efendiego, którzy chcąc się przypodobać Turkom, doniosą na was. Wszak najczęściej Ormianin Ormianinowi jest największym wrogiem…

Ostatnie słowa Wartan wypowiedział z głębokim żalem. Wydarzenia tego dnia zbulwersowały go. Aresztowanie Salmana: człowieka, którego ogromnie szanował, obojętność chłopów, tragedia Barbary, intrygi Tomasa-efendiego – wszystko to strasznie wzburzyło Wartana. Ale młodzieniec nic jeszcze nie wiedział o ostatniej podłości, jaką ów niecny, odrażający poborca podatków wyrządził staruszkowi Chaczowi.

Z powodu skrajnie denerwujących wydarzeń tego dnia Wartan niemal zapomniał o Lali, owej pięknej dziewczynie, która tak wiele miejsca zajmowała w jego sercu. Nagle w wyobraźni ujrzał jej smutne, błagające oczy, usłyszał też jakby jej żałosny głos: „Dokąd odchodzisz, czemu mnie porzucasz? Idziesz ratować życie swojego kochanego przyjaciela. A czyż ja nie jestem twoją ukochaną? Przecież dałeś słowo, że mnie stąd wywieziesz! Tu jest bardzo strasznie. Ja się boję, bardzo się boję Kurdów”.

Serce Wartana rozdzierały przeciwstawne uczucia: dwie istoty go bowiem wzywały – i kochany przyjaciel, i ukochana dziewczyna; przy czym obie potrzebowały jego pomocy, gdyż życie obydwojga było w niebezpieczeństwie.

Wartan nie wiedział jeszcze, jakie niebezpieczeństwo zagraża Lali ze strony kurdyjskiego beja, nie wątpił jednak, że efendi na pewno nie pogardzi żadnymi środkami i zastawi na nią pułapkę.

Towarzysze milczeli. Hajrapet, podobnie jak i Wartan, rozmyślał o Lali. Wiedząc, że młodzi się kochają, uważał już swoją siostrę za narzeczoną Wartana. A teraz jego przyszły szwagier spieszy ratować towarzysza i albo go zabiją, albo będzie zmuszony do ucieczki przed

zemstą Turków; a to znaczy, że i w jednym, i w drugim przypadku Lala będzie dla niego stracona, gdyż nim zdoła powrócić, bej zdąży porwać dziewczynę. Wartanowi oczywiście taka myśl nawet nie przychodziła do głowy, jakże zresztą mogłaby przyjść, skoro nic jeszcze nie wiedział o podłych zamiarach beja? Może należy powiedzieć mu o tym? Ale jak powiedzieć? Wszak on nikomu dotąd nie mówił, że kocha Lalę i chce się z nią ożenić.

Sara tylko przypadkowo się o tym dowiedziała. Burzliwe wydarzenia ostatnich dni, jak widać, przeszkodziły Wartanowi wyjawić tajemnicę swego serca. A ta nowa niebezpieczna operacja, na którą się zdecydował, może na zawsze rozłączyć go z Lalą. W tej chwili upadły wszelkie nadzieje Hajrapeta na to, że Wartan ocali jego siostrę, że wywiezie ją do innego kraju, gdzie już nie dosięgnie jej ręka wszechmocnego beja.

Z drugiej strony nie mniej męczyła go myśl o losie Salmana. Hajrapet bowiem polubił tego pełnego poświęcenia młodzieńca nawet bardziej niż Wartana. Okrucieństwem byłoby zostawić go w więzieniu, skazać na męki, tortury, a może i na śmierć. Gdyby teraz Hajrapet powiedział Wartanowi, jakie niebezpieczeństwo zagraża Lali, to możliwe, że zrezygnowałby on ze swego szlachetnego zamiaru ocalenia Salmana. Tyle że wtedy on, Hajrapet, stałby się przeszkodą w dziele ratowania przyjaciela.

Próbując znaleźć wyjście z owej trudnej i zagmatwanej sytuacji, obaj towarzysze pogrążyli się w głębokich rozmyślaniach. Zarówno Lali, jak i Salmanowi należało niezwłocznie okazać pomoc. Ale komu najpierw – trudno było zdecydować.

A o czym myślał w tej chwili Apo, ów prostoduszny wiejski młodzieniec o śmiałej i otwartej duszy? Prawdę mówiąc, o niczym nie myślał. Należał on do tego rodzaju ludzi, którzy zawsze chętnie pójdą tam, dokąd się ich wezwie, byle nie w złej sprawie. Apo okazywał się niezastąpiony w momentach zagrożenia, kiedy były niezbędne odwaga i zręczność.

Sytuacja nieco się wyklarowała z chwilą, kiedy Wartan zdobył się w końcu na wyznanie. Niczego już nie skrywając, opowiedział braciom o swej miłości do Lali i o tym, że uzyskawszy na to zgodę ich siostry, postanowił ją porwać. Wyjaśnił, że musi zakładać tak drastyczny

postępek, gdyż nie ma nadziei na otrzymanie zgody staruszka Chacza, zaobserwował bowiem, że staruszek upatrzył sobie na zięcia Tomasa-efendiego; Wartan był przekonany, że to efendi będzie miał pierwszeństwo.

– Dłużej rozwodzić się o tym człowieku nie trzeba – kontynuował – dobrze go przecież znacie, a dzisiaj poznaliście jeszcze lepiej. Powierzyć Tomasowi-efendiemu waszą siostrę to jakby rzucić ją wilkowi na pożarcie. Kłopot jednak w tym, że – jak już mówiłem – muszę spieszyć na pomoc Salmanowi; nie mogę inaczej, przyjaźń mnie do tego zobowiązuje. Ponadto uważam, że w jakimś stopniu wpadł on w tarapaty także z mojej winy: przyznawałem mu rację, popierałem go, zachęcałem i przez to jeszcze bardziej rozpalałem ogień buzujący w jego sercu. To przyspieszyło jego upadek. Dlatego jestem zobowiązany go ratować. Z drugiej strony – ciągnął – nie mogę zostawić Lali na pastwę losu. Efendi tak pokieruje sprawą, że jak nie dziś, to jutro dziewczyna zostanie jego żoną. I co wtedy czeka biedaczkę?

Odpowiadając Wartanowi, Hajrapet powiedział, że Lala już wszystko powiedziała Sarze, a ta z kolei przekazała wiadomość mężowi, stąd też on wcześniej już wiedział o wzajemnej miłości dwojga młodych. Gdyby Wartan jeszcze poprzedniego dnia porwał Lalę, on, Hajrapet, i wszyscy pozostali bracia byliby z tego nawet wielce zadowoleni.

– Chodzi nie tylko o efendiego – dodał Hajrapet – jest jeszcze inna, znacznie ważniejsza przyczyna, dla której Lalę należy jak najszybciej wywieźć z kraju.

– Jaka przyczyna? – nerwowo spytał Wartan i jego oczy zapłonęły gniewem.

Hajrapet powiedział mu o zamiarze kurdyjskiego beja i o tym, że jego żona, Churszid, będzie mu przeciwna, oraz że to dzięki niej Sara dowiedziała się o niecnych knowaniach beja, a także o tym, że Churszid radziła szybko wywieźć Lalę jak najdalej, do innego kraju. Słowem – Hajrapet niczego przed Wartanem nie zataił.

Wartan z goryczą w sercu słuchał opowieści Hajrapeta. Jego słowa raniły niby zatrute strzały.

– I wyście to przede mną skrywali! – wykrzyknął. – Czekaliście, aż pojawi się bej i w biały dzień porwie waszą siostrę z rodzinnego

domu! I bez mrugnięcia okiem byście patrzyli, jak ten dom bezczeszczą i wszystkich was okrywają hańbą?!

Dopiero teraz Wartan zrozumiał sens zagadkowych słów Lali pełnych smutku i rozpaczy; zrozumiał, dlaczego owej ciemnej nocy, podczas ich pierwszego tajemnego spotkania w sadzie, zamiast się upajać słodyczą pocałunków, mówić o miłości i bezgranicznym szczęściu, dziewczyna przelewała łzy płynące z jej przepięknych oczu i w śmiertelnej trwodze wciąż powtarzała to samo:

„Nie chcę iść do Sony… boję się umrzeć… boję się Kurdów… ratuj mnie… wywieź mnie stąd!" Lala wiedziała więc, jaki okrutny los ją czeka. Z głębokim żalem opowiedziała mu wtedy o strasznej niedoli swej przyjaciółki Nargis, o tym, jak tamta dziewczyna jest nieszczęśliwa i jak ciężko jej żyć.

Bywają takie chwile, kiedy człowiek w obliczu klęski i nieszczęścia, doznając srogich razów losu, staje się bardziej wytrzymały, bardziej mężny i opanowany. Zbiera wszystkie duchowe siły i nie poddaje się wyrokom przeznaczenia.

W takim też stanie był obecnie Wartan. Już się nie wahał i odrzucił wszelkie wątpliwości. Zdecydowanie wiedział już, jak winien postąpić. Uczucie przyjaźni wzięło górę nad miłością do Lali. Zguba towarzysza pociągnęłaby za sobą również zgubę idei – idei wyzwolenia ciemiężonego i bezradnego chłopstwa, której urzeczywistnienie przyniosłoby wolność nie tylko Lali, ale zarazem tysiącom innych kobiet. „Czyż godzi się poświęcać dobro ogółu w imię dobra jednostki?" – myślał.

– I mimo wszystko – rzekł Wartan – jeszcze raz powtórzę to, co powiedziałem wam kilka minut temu: pojadę szukać Salmana, muszę za wszelką cenę uratować mu życie. O Lalę też się oczywiście zatroszczę. Dyspozycje co do niej mam takie, posłuchajcie…

– Nie potrzeba żadnych dyspozycji… – rozległ się nagle zdecydowany głos i przed nimi jakby spod ziemi wyrosła raptem bohaterska postać chromego domokrążcy.

Na jego widok Wartan bardzo się ucieszył, ale Hajrapet i Apo byli niemile zaskoczeni, obawiali się bowiem, że ów nieznajomy mógł podsłuchiwać ich rozmowę. Oni przecież nic nie wiedzieli o tym cudzoziemcu, jednak widząc, że Wartan przyjaźnie klepnął go po ramieniu

i posadził obok siebie, nieco się uspokoili. Przedstawiwszy go, Wartan zapewnił obu braci:

– To nasz człowiek, możecie się nie obawiać.

Melik-Mansur przeobraził się nie do poznania: zamiast łachmanów miał na sobie narodowy strój Lazów[172] i był uzbrojony od stóp do głów.

– Mam bardzo mało czasu – spiesznie podkreślił niedawny domokrążca. – Chyba wiecie, że nasz „Duduk" znalazł się w pułapce? Trzeba jechać i go ratować.

– Właśnie dopiero co o tym mówiliśmy.

– Możecie być spokojni, jutro albo pojutrze będzie już wolny – oświadczył Mansur, wstając z miejsca – ale wy dla naszej wspólnej sprawy nadal róbcie swoje, nie siedźcie przypadkiem z założonymi rękami.

– Sam pan pojedzie?

– Czekają już tutaj na mnie moi towarzysze – powiedział Melik-Mansur, wskazując ledwie widoczne na drodze postacie jeźdźców.

– Co to za jedni? – zapytał Wartan.

– To młodzi górale. No, już mnie nie ma… lecę!

Wartan miał do Melika-Mansura jeszcze wiele pytań, ale ten już zniknął. Hajrapet i Apo byli zupełnie oszołomieni spotkaniem z owym zagadkowym nieznajomym. Wartan powiedział im wszystko, co o nim wiedział, i bracia nabrali przekonania, że ów przedsiębiorczy, rzutki obcy człowiek uratuje Salmana.

Podnieśli się i udali w drogę do domu.

Sako i Jegho, wysłani przez staruszka Chacza słudzy Wartana, którzy mieli go uprzedzić, że powrót do domu jest niebezpieczny, cały dzień spędzili na bezowocnych poszukiwaniach – nie znaleźli swojego pana.

– Oj, to niedobrze – powiedział Chaczo – musimy być czujni, żeby nas nie dopadli, bo jeśli wasz pan znajdzie się w tarapatach, to oprócz nas nikt mu nie będzie mógł pomóc.

– Ja też tak myślę – odparł Jegho. Obaj słudzy Wartana postanowili trzymać się jak najdalej od domu staruszka Chacza.

---

[172] Lazowie – kaukaska grupa etniczna spokrewniona z Gruzinami. Mieszkają na terenie Turcji (AP).

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Była już późna noc, kiedy Hajrapet, Wartan i Apo wrócili do domu. Niczego nie podejrzewając, weszli na podwórze – i natychmiast zatrzasnęła się za nimi brama! Dwaj tureccy żołnierze stali przy niej na czatach. Oficer wraz z pozostałymi żołnierzami znajdował się w odzie. Po obejściu snuło się kilkunastu innych strażników, którzy niczym myśliwskie psy węszyli wszędzie, szukając, co jeszcze dałoby się ukraść.

Synowe Chacza schroniły się u sąsiadów i krewnych. Gdy na ormiańskiego chłopa spada nieszczęście i w jego domu zjawiają się żołnierze, kobiety z dziećmi zawsze się dokądś wyprawia.

Wartan i jego towarzysze w pierwszej chwili nie rozumieli, co ma znaczyć ów tłum strażników na podwórzu, widok żołnierzy kwaterujących w domu starosty, jak również w domach innych Ormian, był bowiem w tych stronach całkiem normalnym zjawiskiem. Za każdym razem, kiedy gospodarz przyjmował podobnych „gości" – pragnąc ratować swoją żonę, synowe i córki przed napastowaniem żołdaków – musiał wyprowadzać je na noc do sąsiadów, jeżeli oczywiście goście nie przystawili mu noża do gardła, żądając, aby to właśnie jego kobiety im usługiwały.

Ujrzawszy Hajrapeta, jeden z braci rzucił się nań ze złością:

– Widzisz, jakie nieszczęście ściągnął na nas ten pajac?! Teraz nam przyjdzie za niego odpowiadać przed urzędnikami w kancelarii… Ja już pierwszego dnia chciałem wyrzucić tego szczeniaka na zbity pysk, lecz ty mi przeszkodziłeś, diable przeklęty! To idź i odpowiadaj teraz za niego!

Hajrapet zmilczał; rozumiał, że brat przeklina Salmana. I uzmysłowił sobie, jak wielkie wydarzyło się nieszczęście…

– Ech, kolego, znaleźliśmy się w potrzasku – rzucił z uśmiechem Wartan – widać tylko tego jeszcze nam brakowało!

W tejże chwili otoczyli ich strażnicy i zaprowadzili do ody.

Tomasa-efendiego tam nie było. Wydawszy niezbędne zarządzenia, udał się on w gościnę do wiejskiego proboszcza. W odzie znajdowali się tylko Chaczo i oficer. Przy drzwiach trzymali wartę żołnierze.

Po wejściu do pokoju Wartan, nie czekając na zaproszenie oficera, usiadł obok staruszka Chacza. Hajrapet i Apo nadal stali. Uznając zachowanie Wartana za niestosowne, oficer rzucił pogardliwie:

– Skąd się tu wzięliście, Ormianinie?

Słowo „Ormianin" zabrzmiało w ustach Turka niczym obelga.

– Z Rosji – odparł Wartan, z trudem powstrzymując gniew.

– W jakiej sprawie?

– Handluję w tych stronach.

– A zezwolenie macie?

– Miałem, ale zgubiłem.

– To łatwo sprawdzić: przez który urząd celny przechodziliście? Tam na pewno zostało to odnotowane?

– Jestem przemytnikiem, a tacy ludzie raczej starają się omijać urzędy celne. Zresztą, szczerze mówiąc – nie miałem żadnego zezwolenia.

– Przemyt to jeszcze nic wielkiego, jesteście oskarżeni o coś znacznie gorszego.

– O co?

– O szpiegostwo.

– Ach, tak! To niewątpliwie sprawka Tomasa-efendiego, prawda?… Bo to przecież taki uczciwy i praworządny człowiek! – z kpiącym uśmieszkiem zauważył Wartan.

– Nieważne, kto doniósł – odparł oficer z profesjonalnym spokojem. – Teraz jest czas wojenny i deportujemy z Turcji wszystkich podejrzanych osobników. Rano zostaniecie odesłani do powiatu i pasza osobiście zajmie się waszą sprawą.

– To czemu mnie przesłuchujecie, skoro nie macie do tego uprawnień? Kazano wam tylko mnie aresztować, a nie prowadzić śledztwo. Tyle że u was tak już jest przyjęte: nawet najniższy rangą strażnik wymierza sprawiedliwość i skazuje człowieka na karę pozbawienia wolności.

Oficer wzdrygnął się, ale zmilczał i rozkazał żołnierzom zatrzymać Wartana. Ten nie stawiał najmniejszego oporu. Kiedy go wyprowadzono, oficer, wskazując na Hajrapeta i Apo, zwrócił się do żołnierzy:

– Z tymi nie trzeba nawet rozmawiać, obaj są winni, aresztować ich!

Obserwujący to wszystko staruszek Chaczo tkwił jakby w odrętwieniu, wydawało mu się, że chyba śni. To znaczy, efendi go oszukał! Czyżby wszystko, o czym go zapewniał, to były jedynie pozory?

Trzech aresztowanych – Wartana, Hajrapeta i Apo – wyprowadzono i zamknięto na noc w spichlerzu, gdzie zwykle przechowywano ziarno. Kamienne ściany i posadzkę spichlerza grubo obmazano gliną, żeby ani

jedna mysz nie mogła się przedostać do środka. Wąskie okienka były zabezpieczone żelazną siatką niedopuszczającą ptaków do ziaren. Przez jedną noc ów spichlerz mógł służyć jako wystarczająco pewne więzienie. W kącie słabo paliła się łojowa świeca.

Hajrapet i Apo milczeli. Ich twarze wyrażały głęboką rozpacz i smutek. Bracia dobrze znali bowiem okrucieństwo przedstawicieli tureckich władz, którzy z byle powodu więzili ludzi albo fałszywie oskarżali, po czym – rzuciwszy potwarz na niewinnego człowieka – usiłowali wszelkimi sposobami go zniszczyć, szczególnie kiedy był to Ormianin, a zwłaszcza bogaty. Tym razem wszakże było aż nadto powodów, by ich oskarżyć. Ale kto na nich doniósł? Gubili się w domysłach.

Wartan wydawał się spokojny. Był to jednak ten rodzaj spokoju, który zapowiada rychłą nawałnicę.

– Zacytuję teraz jedną przypowieść i wszystko stanie się dla was jaśniejsze – powiedział do towarzyszy. – Drzewa doniosły leśnemu królowi, że w lesie pojawił się okrutny wróg, który je bezlitośnie tępi. „A jak się zwie ten wasz wróg?" – zapytał król. – „Topór" – odrzekły drzewa. – „Z czego on jest zrobiony?" – „Obuch ma z żelaza, a stylisko z drewna" – odpowiedziały drzewa. – „W takim razie to bardzo groźny wróg – stwierdził król – skoro w połowie przynależy do naszego gatunku".

– Do naszego gatunku… – powtórzył Wartan, kładąc szczególny nacisk na słowo „naszego". – Tak samo postępują nasi wrogowie, dręcząc nas, prześladując, robiąc z nas niewolników i niszcząc nasze domy. Są pośród Ormian tacy ludzie – poczynając od marnego, nic nieznaczącego poborcy podatków w rodzaju naszego Tomasa-efendiego i kończąc na ormiańskim emirze Wysokiej Porty – ludzie, którzy stali się posłusznym, bezwolnym narzędziem w rękach naszych wrogów. Historia Armenii zna wiele takich przykładów.

Zawsze kiedy nasz kraj i naród dostawał się pod panowanie cudzoziemców, było to sprawką Ormianina. Kiedy wypędzano z kraju armeńskiego króla i oddawano berło obcokrajowcowi – to także było sprawką Ormianina. Gdziekolwiek byście ujrzeli ziemię zalaną ormiańską krwią, spalone domy, dzieci uprowadzone w niewolę – wszędzie przyczyniła się do tego ręka Ormianina. Gdziekolwiek zetknęlibyście się z odstępstwem od wiary, ze zdradą interesów narodu i świętego Kościoła – wszędzie był w to zamieszany Ormianin. Słowem – jakiegokolwiek zła

nie wyrządzaliby nam wrogowie, Ormianin zawsze był styliskiem topora w ich ręku. Ormianin sam, własnymi rękami, rozbijał fundamenty narodu, deptał święte zasady. Po cóż zwalać winę na innych?…

Obaj bracia z głębokim smutkiem słuchali Wartana.

Hajrapet zapytał:

– To znaczy, że nasza sprawa już w samym zarodku jest przegrana?

– Przewidywałem to. Naiwnością byłoby oczekiwać czegoś innego – odpowiedział Wartan. – Salmana również dręczyły wątpliwości, on też nie był pewny pomyślnego wyniku swojej misji. Dobrze pamiętam, z jakim przekonaniem ostrzegał mnie pewnego razu: „Dopóki idea wyzwolenia nie stanie się własnością ludu, nie zakorzeni się na dobre w świadomości narodu, jedno uderzenie w jej krzewicieli może zaprzepaścić wszystko. Inna sprawa – naród; aspiracji narodu nie da się zabić. My – przekonywał Salman – powinniśmy być jedynie siewcami, a nie żniwiarzami zbierającymi plon; żniwo trzeba zostawić przyszłym pokoleniom". Właśnie to pobudziło go w ostatnim czasie do budowania szkół, jako najbardziej niezbędnych i pożytecznych instytucji. Celem Salmana nie było wywołanie zbrojnego powstania, jego działalność miała bardziej pokojowy charakter – zajmował się jedynie przygotowaniem gruntu. Kiedyś powiedział mi z radosnym uśmiechem, który tak rzadko pojawiał się na jego niewzruszonej twarzy: „Wartanie, porywamy się na sprawę oświaty narodu, pozostając sami nie dość oświeconymi. Wciąż jeszcze bardzo wiele musimy się nauczyć od ludu. Naród to wielki nauczyciel. Ileż mądrości jest w jego przysłowiach! Posłuchaj dla przykładu – ciągnął – jak naród wyraża swój stosunek do Turków: «Żyj z psem spokojnie, ale kija z rąk nie wypuszczaj!»". I rzeczywiście, bardzo mądrą radę daje nam to przysłowie: żeby uchronić się przed ukąszeniami wroga, trzeba zawsze trzymać kij w pogotowiu. Oto dlaczego Salman uważał, że należy uzbroić chłopów i przygotować ich do samoobrony.

Hajrapet i Apo z napiętą uwagą słuchali Wartana. Pochłonięci myślami o doli swojego narodu zapomnieli chwilowo o własnym zmartwieniu i o tym, co zapewne nieuchronnie ich czeka. Obaj nieraz słyszeli, jak Salman o tym mówił, ale dopiero teraz wiele stało się dla nich jasne.

Wartan ożywił się i wciąż mówił… Mówił o tym, że wcześniej również zdarzało mu się siedzieć w więzieniu, które zawsze wywierało nań przygnębiające wrażenie, ale że tym razem odczuwa jakby coś na kształt

zadowolenia. Przypominał owego skazańca, który na moment przed wykonaniem wyroku śmierci, przepełniony pogardą dla niesprawiedliwego świata, śmieje się nad krótkowzrocznością swoich wrogów i w myślach powtarza: „To wszystko, do czego jesteście zdolni, wszystko, na co was stać? Zabijacie moje ciało, ale nie możecie unicestwić ziaren zasianych przeze mnie w duszy narodu…".

– „Żyj z psem spokojnie, ale kija z rąk nie wypuszczaj!" – powtórzył Wartan. – To całkiem słuszne, tyle że od takiego życia człowiek staje się diabłem – takim jak ja… Wy, przyjaciele, tak naprawdę jeszcze mnie nie znacie, a ponieważ rozmawiamy ze sobą może już ostatni raz, chciałbym na koniec do czegoś wam się przyznać. Otóż należę do grona takich ludzi, którzy bardzo wcześnie nauczyli się odpłacać złem za zło. Moje ręce nieraz bywały splamione krwią, ale nigdy nie była to krew niewinnego człowieka. Dawniej byłem pobożny, ale z całego Starego Testamentu utkwiło mi w głowie tylko to jedno: „Oko za oko". Kiedy przeczytałem, że Mojżesz, prorok Jahwe, z miłości do swojego narodu zabił Egipcjanina, który okrutnie pastwił się nad Żydem, i że zakopał jego ciało w piaskach Nilu, moje serce wypełniło się nienawiścią do naszych ciemięzców. A kiedy dalej przeczytałem, że tenże Mojżesz[173], prorok Jehowy, wytępił całe plemiona, żeby oczyścić Ziemię Obiecaną z „cudzoziemców" i zasiedlić ją dziećmi Izraela, pomyślałem, że i my powinniśmy tak samo postąpić z Turkami, Kurdami i Czerkiesami, którzy okupują ziemie odziedziczone przez nas po przodkach. To właśnie jest owo prawo przyrody, o którym mówił Salman, przytaczając przykłady z życia roślin: jedne gatunki roślin wypierają, unicestwiają inne gatunki i zajmują ich miejsce.

Jeżeli nie chcemy zginąć, musimy nauczyć się bronić. Ta umiejętność walki o swoje istnienie nazywa się samoobroną. Salman za główny cel swojej działalności uważał przede wszystkim wykształcenie w ludziach zdolności do samoobrony.

Ja nauczyłem się tego już dawno. Moralista uzna mnie za osobnika pozbawionego moralności, powie, że jestem dzikusem; możliwe, że i ksiądz mnie potępi, ale niezależnie od wszystkiego będę zachowywał

[173] Tu się Wartan pomylił, Mojżesz bowiem nie doprowadził Izraelitów do Ziemi Obiecanej. Po jego śmierci uczynił to Jozue (AP).

się tak, jak wymaga tego życie. A kiedy nie będzie już złych ludzi, kiedy chrześcijańskie braterstwo zapanuje i utwierdzi się na ziemi, ja znowu stanę się dobrym i uściskam się ze swoimi wrogami…

Tak rozmawiali, dopóki w spichlerzu nie zaskwierczała i nie zgasła dopalająca się świeca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Gdy uwięzieni w spichlerzu Hajrapet, Wartan i Apo filozofowali, użalając się nad losem swego uciemiężonego narodu, Tomas-efendi jadł kolację u wiejskiego proboszcza, ojca Maruka. Poborca podatków był w błogim nastroju, paplał z ożywieniem i dowcipkował z gospodarzem. A był to ten sam ksiądz, który sprawił Salmanowi mnóstwo kłopotów, tyle że teraz – dowiedziawszy się o jego aresztowaniu – zrobiło mu się biedaka żal. Nie żałował jednak tego, że społeczeństwo utraciło znakomitego działacza, ale bardziej tego, że ucierpiał jeszcze jeden Ormianin. Ksiądz nie był złym człowiekiem i jeśli sprzeciwiał się Salmanowi czy mieszał mu szyki, to jedynie dlatego, że świeckie nauczanie uważał za grzech. Pochodził z chłopskiej rodziny, w dzieciństwie – w klasztorze św. Jana – nauczył się jako tako czytać i pisać. Później uprawiał ziemię, ale źle mu to wychodziło: zubożał, rzucił wszystko i poszedł szukać szczęścia w obcych krajach, jednak i tam mu się nie wiodło. Przez pewien czas prowadził miejską kawiarnię w Wanie; niestety tam również nic mu się nie udawało, stale ponosił straty i po pewnym czasie bez grosza przy duszy powrócił do rodzinnej wioski, gdzie – nie znalazłszy innych źródeł utrzymania – został księdzem.

Oprócz Tomasa-efendiego gościł u księdza również diakon[174] Simon – wiejski nauczyciel, dobrze skądinąd wszystkim tutaj znany zięć Maruka uważający się za bardzo wykształconego człowieka (taką też opinią cieszył się u chłopstwa), który najbardziej szczycił się tym, że był zięciem księdza.

[174] Diakon – w oryginale ormiańskim: *tiracu* (AP).

Rozmawiano o dzisiejszych wydarzeniach w domu staruszka Chacza, które wprawiły w przerażenie całą wieś i wielce zatrwożyły księdza.

– „Osioł wodę wozi, a kobyłka ogonem wymachuje" – ględził efendi – tak się już utarło na świecie i zawsze tak będzie: tego, co zostało ustanowione przez Boga, człowiek nie może, nie ma prawa zmieniać. Jednego Bóg stworzył panem, drugiego robotnikiem; jeden pracuje, drugi je. Jeżeli zabraknie rolnika, nie zdoła przeżyć i ten, którego on żywi. Turcy nas bronią swoim mieczem, toteż musimy ich żywić. Turkowi Bóg dał do ręki miecz, a Ormianinowi – radło, jeden nie może zastąpić drugiego.

– Święta prawda – przytaknął ksiądz, żegnając się. – To samo mówi nasz Jezus Chrystus w świętej Ewangelii: bez woli bożej nawet listek nie spadnie z drzewa i ani jeden włos nie zbieleje na głowie człowieka. Wszystko w ręku Boga.

– Prawda, święta prawda – potwierdził diakon Simon, czyniąc na sobie znak krzyża.

Później mówili o tym, że wojna jeszcze bardziej pogorszyła i tak ciężką sytuację chłopów. Ksiądz widział w ubożeniu wsi wielkie nieszczęście mogące szkodzić również jego własnym interesom. Zauważył, że gdy podatki wzrosły ponad możliwości chłopów, a rentowność ich gospodarstw katastrofalnie spadła, to nawet i tę odrobinę, która im pozostaje, zagarniają Kurdowie – dlatego i ksiądz jest słabo wynagradzany za swój trud: chrzciny, śluby i pogrzeby musi przeprowadzać niemal za darmo. Ma też wielu dłużników, którzy albo go oszukują, albo w ogóle nie płacą, bo nie mają czym. Toteż na przyszłość dał sobie słowo: dopóki nie otrzyma wynagrodzenia, nie będzie więcej ani chrzcił, ani udzielał ślubów, ani grzebał. Wszak jest takim samym człowiekiem jak wszyscy i też musi jeść.

– Ojczulku – rzeczowym tonem zwrócił się doń efendi – ja lepiej od ciebie znam chłopów. Bóg ofiarował wieśniakowi tylko duszę, ale nawet tę trudno z niego wyciągnąć i odebrać. Dopiero kiedy posłaniec Boga, anioł śmierci, stanie z mieczem w ręku u wezgłowia chłopskiego łóżka, wtedy rozstanie się on ze swoją duszą. To powinno być dla nas nauczką i normą postępowania z chłopami. Jeżeli ich nie postraszysz „świętym biczem bożym", nie dadzą ci pieniędzy. Przygotujcie, ojcze, wykaz waszych dłużników, dajcie mi go, a ja każę załatwić

sprawę jednemu z moich strażników – i otrzymacie wszystko, co się wam należy.

– Niech was Bóg błogosławi i przedłuży wam okres doczesnego żywota – powiedział uradowany ksiądz – wykaz od dawna jest już gotowy, mam go ze sobą.

– No to go odczytajcie, posłuchamy.

Ksiądz wydostał zza pazuchy pożółkłe, brudne kartki papieru, które stale przy sobie nosił. Był to swoisty weksel duchownego ojczulka. Na czterech stronicach, dużymi niezdarnymi, krzywymi literami[175] były wypisane nazwiska dłużników. Zbliżywszy papiery do oczu, ksiądz usiłował je odczytać, ale nie zdołał, przekazał więc zapisane kartki „wielce uczonemu" mądrali Simonowi.

– Niech raczej diakon Simon przeczyta, bo moje oczy ostatnio jakoś źle widzą – powiedział.

Diakon Simon wziął kartki, odkaszlnął, podrapał się po głowie, wyprostował i – przysunąwszy papiery do twarzy – jął czytać monotonnym głosem, zupełnie jakby odmawiał psalmy:

– „Chrzciłem córkę chromego Myka, został mi dłużny pięć kuruszy[176]; dziewczynka po tygodniu umarła – pochowałem; teraz jego dług to siedem kuruszy. Dawałem ślub synowi Chlo – jest winien dziesięć kuruszy. Dał mi trzynaście wiązek siana wartych trzy kurusze. Zaniemogła żona Pana; chodziłem do nich, czytałem trzy rozdziały Ewangelii w intencji wyzdrowienia chorej – winni mi są trzy kurusze. Syn Saka wyciągnął z wody krzyż[177]. Za to, żebym dał mu go nieść, Barso obiecał trzydzieści kuruszy. Dałem pierwszeństwo Sakowi, dostałem dwadzieścia, resztę obiecał oddać ziarnem, po młocce. Chodziłem, dopominałem się, prosiłem – nie dał; świadek – wiejski posłaniec…"[178].

---

[175] W przeciwieństwie do Kościoła katolickiego, w którym kapłani są zobowiązani do ukończenia wyższych studiów teologicznych, niskiej rangi kapłani Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego często mieli tylko elementarne wykształcenie polegające na umiejętności czytania i pisania (AP).

[176] Kurusz – turecka jednostka monetarna, etymologiczny odpowiednik polskiego grosza (termin zaczerpnięty ze średniowiecznej łaciny) (AP).

[177] Krzyż wyciągano z wody podczas obrzędów religijnych (AP).

[178] Wiejski posłaniec – po ormiańsku *gyzir* (zapożyczenie z języka perskiego) (AP).

Te szczegółowe zapiski niezbyt przypominały formalny weksel – bardziej były podobne do kroniki życia i działalności księdza za okres kilku lat. Notatki były zagmatwane, mylące, ale na ich podstawie można było sobie wyrobić pogląd o zajęciach wiejskiego kapłana.

– Całkiem solidny rachunek – orzekł efendi, przerywając diakonowi czytanie. Nie starczyło mu bowiem cierpliwości, żeby wysłuchiwać do końca całego wykazu. – Dajcie mi te papiery, ojczulku, i ja zmuszę waszych dłużników do uregulowania zaległości. Miałem podobny przypadek z chłopami w N…-ej wsi. Zwlekali z opłaceniem klasztornego podatku; przewielebny opat[179] przyszedł na skargę i powiedział mi o tym, więc jeszcze tego samego dnia rozkazałem ściągnąć od nich i zwrócić opatowi wszystkie zaległe podatki, za co jego świątobliwość udzielił mi swego pasterskiego błogosławieństwa.

Ale dlaczego poborca podatków chciał wyświadczyć marnemu duchownemu taką przysługę? Wszak bezinteresowność była mu całkiem obca. Co go skłoniło do tego, żeby udać miłego, dobrotliwego człowieka – i nawet obiecać księdzu, że nie będzie od niego pobierał dziesięciny, która zazwyczaj była przekazywana na skarb państwa?

– Niechaj was błogosławi praojciec Abraham i niechaj Pan Bóg darzy dobrym zdrowiem – odrzekł ksiądz w odpowiedzi na wspaniałomyślnie złożoną przez efendiego obietnicę.

Dokładnie taki sam spis trzymał za pazuchą również diakon Simon, tyle że jego dłużnikami byli uczniowie; on także pragnął przekazać swój wykaz w ręce efendiego. Ale ksiądz, odgadując jego zamiar, szepnął mu pojednawczo na ucho:

– Najpierw niech ściągnie moje pieniądze, a potem twoje.

Ojciec Maruk[180] miał niewielką rodzinę. Po śmierci jedynego syna miał pod swoją opieką synową i dwoje wnucząt, które mieszkały razem z nim. Sam bowiem dawno już pochował swoją małżonkę i żył jak wdowiec.

Podawszy gościom kolację, synowa Maruka zaniepokojona chorobą młodszego syna podeszła do jego łóżka i usiadła przy nim. Patrząc

[179] Opat – w oryginale występuje tu ormiański wyraz *wardapet* oznaczający wyższego duchownego Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego, por. przypis 141 (AP).

[180] Ojciec Maruk – w oryginale *ter* Maruk, por. przypis 8 (AP).

ze smutkiem na rozpaloną buzię dziecka, gładziła jego gorące rączki i z trwogą wsłuchiwała się w jego ciężki oddech. Chłopiec był bardzo podobny do ojca – i tylko to było dla niej pocieszeniem po śmierci ukochanego męża.

Kobieta była tak udręczona i przybita chorobą dziecka, że nie słyszała, o czym rozmawiano przy stole.

Uradowany obietnicą efendiego ksiądz postanowił zabawić się na całego i rozkazał synowej podać więcej wódki, jak też przyrządzić mazę[181]. I jakkolwiek kolację już właściwie zjedzono, to – zgodnie z miejscowym obyczajem – na cześć dostojnego gościa należało jeszcze dodatkowo podać alkohol. Ksiądz dwukrotnie musiał powtórzyć swoją prośbę, zanim synowa zrozumiała, że zwraca się do niej. W domu Maruka wódki[182] zawsze było pod dostatkiem, toteż synowa znowu napełniła butelkę. Ale jak mogła przyrządzić mazę, skoro w domu nie było cukru? Przyznać się do tego w obecności gości było niezręcznie. Postanowiła zatem pójść do sąsiadów i pożyczyć cukru.

Na zewnątrz było bardzo ciemno. Lał deszcz. Brnąc w błocie przez podwórze, weszła na dach swojego domu, aby po chwili zejść z niego na podwórko sąsiada[183]. W tej samej chwili usłyszała jednak, że ktoś hałaśliwie dobija się do jego drzwi. Jej uszu dobiegały wykrzykiwane po turecku groźby, przekleństwa i żądanie natychmiastowego otwarcia drzwi.

Było słychać, jak zza drzwi zaklinano się, że w domu nikt się nie ukrywa.

Kim byli ci ludzie, którzy tak późno w nocy dobijali się do domu Ormianina i kogo oni szukali?

Zula – takie imię nosiła synowa *ter* Maruka – śmiertelnie wystraszona, nie była w stanie ani zejść do sąsiada, ani wrócić do domu, gdyż zdrętwiała i w bezruchu zastygła na miejscu. Nagle do jej uszu dobiegł

[181] Maza – słodka potrawa sporządzana z suchych owoców [przypis autora]. Wyraz pochodzi od perskiego rzeczownika *maze* (dawna wymowa: *maza*), który oznacza „smak" (AP).

[182] „Wódka" to po ormiańsku *aragh*. Podobnie jak polski *arak* wyraz ten pochodzi od arabskiego *araq* „pot" w połączeniu z rzeczownikiem *inab* „winogrona". Przenośnie „pot winogron" oznacza „alkohol" (AP).

[183] Dawniej w Armenii była taka architektura, że najłatwiej do sąsiadów szło się przez dach swojego domu (AP).

jakiś szept. Wydawało jej się, że ktoś ukradkiem próbuje wejść na dach jej domu.

– Ciszej, Stepanik!…

– Dokąd idziemy, Saro?

Zula poznała te głosy i jej strach się rozwiał. Zrozumiała, że nieszczęsne kobiety ratują się przed czymś ucieczką i potrzebują pomocy. Wiedziała, co się wydarzyło w domu staruszka Chacza. Słyszała, że jego synowe schroniły się u krewnych i u sąsiadów. Teraz ich pewnie szukają i Zula rozumiała, w jakim celu. Najwyraźniej ci sami żołnierze, którzy aresztowali synów staruszka Chacza, wyłamywali teraz drzwi sąsiada Zaka.

Sara i Stepanik stały na dachu domu księdza i – niby sarenki okrążone ze wszystkich stron przez myśliwych – nie wiedziały, dokąd uciekać, żeby się ratować. Ulewny deszcz nie przestawał padać. Wioska spała pogrążona w głębokim śnie. Północ dawno już minęła.

Raptem zajaśniała błyskawica i rozległ się grzmot. Piorun oświetlił tkwiącą na dachu Zulę. Biednej Stepanik wydawało się, że to któryś z jej prześladowców, i w strachu przylgnęła do Sary. Zula podeszła do nich.

– To ja, nie bójcie się – powiedziała.

– Ach, Zulo, to ty! – drżąc na całym ciele, wykrzyknęła Sara. – Na miłość boską, ratuj nas, ukryj gdziekolwiek, bo inaczej dopadną nas, porwą!…

Zula była zakłopotana, nie wiedziała, jak ma postąpić. W ich domu akurat znajdował się podejrzany gość, zresztą ksiądz też by się pewnie nie zgodził przyjąć pod swój dach ściganych uciekinierek. Ale koniecznie trzeba było pomóc tym nieszczęsnym kobietom. Zula dobrze wiedziała, jaka hańba je czeka, jeśli znajdą się w rękach tureckich żołnierzy. Przy tym jednocześnie bała się wziąć na siebie odpowiedzialność za ukrywanie „przestępczyń", jakkolwiek całe ich przestępstwo polegało jedynie na tym, że były kobietami. Rozumiejąc to, Zula była w rozterce, wahała się; i mimo to współczucie wzięło górę nad wątpliwościami, a groźba niebezpieczeństwa wskazała jej drogę ku ocaleniu kobiet.

– Chodźcie – powiedziała stanowczo, biorąc Stepanik za rękę.

I podtrzymując wraz z Sarą na wpół omdlałą dziewczynę, zaczęły schodzić z dachu. W tej samej chwili usłyszały głośny trzask i łomot – to tureccy żołnierze wyłamali akurat drzwi do domu sąsiada.

Po zejściu na podwórze Zula wprowadziła uciekinierki do szopy na siano i kazała kobietom zagrzebać się w nim.

– Siedźcie tu cicho, później do was przyjdę – powiedziała Zula, po czym zamknęła wrota na zasuwę i odeszła.

Z powodu szumu deszczu ani ksiądz, ani jego goście nie słyszeli, co się działo w sąsiednim obejściu. Zula po powrocie nic im nie powiedziała. Podszedłszy do księdza, szepnęła mu, że wychodziła do sąsiadów, żeby pożyczyć cukru, ale oni już spali i cukru nie ma.

– Spróbuję jeszcze poszukać u nas – rzekł ksiądz i, podszedłszy do szafy, jął grzebać w jej wnętrzu.

Tomas-efendi, korzystając z dogodnego momentu, podszedł do Zuli i lubieżnie szepnął:

– Na co mi maza, skoro tyś smaczniejsza od wszelkich łakoci!…

Diakon Simon był już tak pijany, że niczego nie słyszał. A Zula, urażona aluzją efendiego, rzuciła mu w twarz:

– Bezwstydnik!

Ormianka, cierpliwa zazwyczaj i pokorna, nigdy w milczeniu nie zniesie obrazy raniącej jej honor.

Oburzona Zula odeszła od efendiego i usiadła przy łóżeczku dziecka, które dopiero co się obudziło i leżało spokojnie.

Ujrzawszy matkę, chłopiec poskarżył się:

– Mamo, ukarz Torosa, on zabrał moje kostki.

Toros był najstarszym synem Zuli. Malcowi najwyraźniej się przyśniło, że brat odbiera mu kostki do gry. Matka uspokoiła synka:

– Popatrz, moje słonko, Toros oddał twoje kostki, tutaj leżą, widzisz?

Zula wydostała kostki spod poduszki i dała je synkowi. Ten schwycił je swoimi słabymi rączkami i zaczął się nimi bawić. Widząc, że dziecku jest już lepiej, uradowana matka zapomniała nie tylko o nieprzyzwoitym wybryku efendiego, ale i o wszystkim innym. Wkrótce czekała ją jednak nowa przykrość. Ksiądz po długich bezowocnych poszukiwaniach w szafie oznajmił synowej, że nijak nie może znaleźć schowanego tam cukru. Zula przyznała się, że wzięła go, gdyż był jej potrzebny do przygotowania sorbetu dla chorego dziecka.

– Lepiej, żebyś mu dała wypić truciznę! – wybuchnął duchowny. – Nie wiesz, że chowam cukier dla gości? I co teraz począć?

Zula nie odezwała się, ale jej oczy napełniły się łzami.

Ter Maruk w gruncie rzeczy nie był złym człowiekiem, raczej nawet był dobrym, tyle że – jak to bywa niekiedy z ludźmi prymitywnymi – mógł czasem zupełnie nieświadomie wyrządzić komuś zło. Poza tym piastowana przezeń godność proboszcza sprawiła, że stał się do pewnego stopnia oschły. Bowiem ludzie, którzy – jak na przykład księża lub lekarze – nieraz stykają się ze śmiercią, z czasem do pewnego stopnia stają się na nią zobojętniali. Dlatego choroba wnuczka obchodziła *ter* Maruka mniej aniżeli brak cukru dla ugoszczenia tak dostojnego gościa jak efendi; tym bardziej że poborca obiecał wycisnąć od dłużników należne mu pieniądze.

– Mamusiu, czemu płaczesz? – zapytało dziecko, patrząc na matkę. – Nie płacz, ja się już dobrze czuję.

Matka zapomniała o swoim zmartwieniu i otarła łzy: nic tak nie cieszy matki jak łaskawość dziecka, jego niewinne, rozczulające paplanie. Wtem Zula przypomniała sobie o Sarze i Stepaniku. A co się stanie, jeśli żołnierze wpadną do jej domu i znajdą uciekinierki? – pomyślała ze strachem. – Zwłaszcza że nieznośni goście ani myśleli wstawać od stołu. Zula z niecierpliwością czekała, kiedy nareszcie sobie pójdą – chciała bowiem zajrzeć do ukrytych przez siebie kobiet, zobaczyć, w jakim są stanie, zapytać o samopoczucie… „Jakby się dowiedzieć, czym się skończyło u sąsiada to najście żołnierzy?" – zastanawiała się z niepokojem.

Pod byle pretekstem wstała i przeszła do sąsiedniego pokoju służącego za podręczną komórkę. Była w niej dość szeroka szczelina, przez którą komunikowano się z domem sąsiada. Takie słuchowe szczeliny znajdują się we wszystkich wiejskich domach: przekazywane są nimi sygnały alarmujące o nadchodzącym niebezpieczeństwie. W domach ciasno przylegających do siebie można było przez takie szczeliny podać nawet jakiś niewielki przedmiot albo żarzący się węgielek, jeśli w domu sąsiada zabrakło akurat zapałek.

Patrząc przez szczelinę, Zula widziała część pomieszczenia sąsiada i słyszała głosy:

– Wyrżniemy was, jeśli nie powiecie!… Gdzie oni są? My wiemy, że uciekli tutaj… Gdzie żeście ich schowali?… Gadajcie – no już!… bo uprowadzimy wasze kobiety…

Tak groźnie wykrzykiwali tureccy żołnierze. Sąsiad Zako tarzał się u ich nóg, zaklinał na wszystkie świętości i błagał:

– Niebo i ziemię biorę na świadków, że ich tu nie ma… Nie zabijajcie mnie… Mój dom stoi przed wami otworem, cały do waszej dyspozycji, szukajcie wszędzie…

Ten widok przypominał w czymś wydarzenia w sławetnym mieście Sodomie, kiedy jego bezbożni mieszkańcy obstąpili dom Lota, żądając wydania im jego urodziwych anielskich gości. Dobrotliwy gospodarz błagał sodomitów, żeby nie tykali jego gości, i proponował im w zamian swoje córki… Wtedy Jahwe, bezwzględny i mściwy Bóg, ukarał ludzi za ich grzechy: ognistym deszczem spalił owo nieszczęsne miasto. Ale ormiański bóg, świadek o wiele cięższych przestępstw, pozostawił straszliwe zło bez jakiejkolwiek kary.

Patrząc w szczelinę, Zula drżała na całym ciele. Nagle rozległy się głuche uderzenia i zobaczyła, jak sąsiad Zako zwalił się na podłogę. Ogień zgasł. Zula słyszała gniewne krzyki i błagania: „Zlituj się! Przestań… zostaw mnie… ojej… puść! Nie zabijaj… gdzie ty mnie wleczesz?…”.

Były to krzyki kobiet.

– Milcz! Zamknij się, suko!… – dobiegło przez szczelinę w odpowiedzi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Wszedłszy do pokoju, Zula spojrzała na ucztujących gości, którzy nadal pili i wesoło się zabawiali; ksiądz ciągnął jakąś pieśń, diakon mu wtórował, efendi również coś pomrukiwał. Zula postanowiła powiedzieć im o wydarzeniu w domu Zaka – być może ruszą na pomoc nieszczęsnemu sąsiadowi. Podeszła do księdza i szeptem opowiedziała mu o wszystkim, co widziała przez szczelinę w ścianie. Przy tym, zachowując przezornie ostrożność, ani słowem nie wspomniała, że ukryła w sianie Sarę i Stepanika. Obyczaj nie pozwalał jej rozmawiać z postronnymi mężczyznami, toteż świadomie mówiła tak cicho, żeby goście niczego nie usłyszeli. Spostrzegłszy jednak, że wiadomość przekazana na ucho przez synową tak zatrwożyła księdza, że aż pobladł i zmienił się na twarzy, spytali go:

– Co się stało?

– Bestie, prawdziwe bestie!… – wykrzyknął ksiądz, wznosząc ręce ku niebu. – Niechaj porazi ich gniew dwunastu apostołów i trzystu sześćdziesięciu sześciu patriarchów. Niech będzie przeklęty cały ich ród!

– A co takiego się stało? – ponownie spytał efendi.

Ksiądz przekazał mu słowa Zuli i poprosił, żeby poborca wstawił się za sąsiadem Zakiem.

Są tacy ludzie, którzy zamiast pomóc człowiekowi w potrzebie, wolą rozwodzić się nad tym, dlaczego przydarzyło mu się nieszczęście, i dla spokoju sumienia starają się zwalić całą winę na poszkodowanego. Efendi nie tylko nie widział w postępowaniu tureckich żołnierzy niczego niewłaściwego i godnego potępienia, lecz wręcz odwrotnie – jął ich usprawiedliwiać, winiąc jedynie tego, który – w jego mniemaniu – był wszystkiemu winien.

– Jak uważacie, ojczulku, czy jakiś rozumny człowiek przygarnie do swojego domu podejrzanych ludzi siejących wielki zamęt?

– To byłoby nierozsądne, bardzo nierozsądne – odparł ksiądz – ale w czym tu zawinili chłopi, dlaczego z powodu jakichś kilku szaleńców Turcy tak okrutnie ich karzą, tak krwawo się z nimi rozprawiają? Nasz sąsiad Zako to żałosny, tchórzliwy człowiek, on nawet własnego cienia się boi. Za co aż tak go dręczą, biedaczynę? Dlaczego się mszczą i wyżywają na jego rodzinie? To podłość. Oni nie mają serca!

– Mokre polano spala się razem z suchymi, to się rozumie samo przez się, ojczulku. Kto by, wrzucając polana do ognia, oddzielał mokre od suchych? – powiedział efendi i – zachwycony filozoficzną głębią wypowiadanych przez siebie myśli – kontynuował: – Kiedy Bóg karze ludzi za grzechy, niewinne dzieciątka giną na równi ze starszymi. W takich przypadkach zło i dobro są nierozłączne, nie różnią się od siebie… Tak samo państwo wymierza swoją sprawiedliwość. Chłopi zostaną pociągnięci do odpowiedzialności, uwierzcie mi, ojczulku, wszyscy – co do jednego!…

Ksiądz nie był w stanie temu zaprzeczyć: argumenty efendiego wydały mu się nie do obalenia. „Bo czyż w czasie dżumy i cholery, kiedy ludzie bywają masowo karani za grzechy, oddziela się winnych od niewinnych? Czyż suche drewno nie pali się razem z mokrym?” – rozmyślał. Ostatnie słowa efendiego przypomniały mu o czymś ważniejszym niż los sąsiada Zaka i powiedział:

– Jeżeli wszystkich chłopów zaczną tak niszczyć, jak zrujnowali dzisiaj dom starosty Chacza, to żegnajcie, moje pieniążki…

– O to możesz być spokojny, ojczulku – zapewnił go efendi – jutro wszystko już będzie załatwione. Jednak, jak sądzicie: Chaczo jest winny czy niewinny?

Wydarzenia w domu starosty poruszyły całą wieś i chociaż nikt nie znał szczegółów owego zajścia, wszyscy nie wiedzieć czemu obwiniali staruszka Chacza: „Po co Ormianinowi broń? – nie pojmowali chłopi. – Spróbuj dać dziecku do rąk żarzący się węgielek, a od razu sparzy sobie palce". Ksiądz był tego samego zdania. Odpowiedział zatem efendiemu:

– Mój synu, ja wiem jedno: kiedy zbrojni Izraelici przybyli pojmać pana naszego, Jezusa Chrystusa, to apostoł Piotr uderzeniem miecza odciął ucho służącemu arcykapłana. Wówczas nasz pan Jezus Chrystus rozgniewał się na Piotra i kazał mu włożyć miecz do pochwy, mówiąc: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie"[184]. O tym przesłaniu powinniśmy pamiętać, jeśli nie chcemy zbezcześcić naszej wiary chrześcijańskiej.

– Chwała ci, ojczulku, dobrze powiedziałeś – wyraził się z uznaniem efendi i zapytał: – A tyś czytał te ich książeczki?[185]

– A jakże, czytałem, oczywiście; jedną z nich przyniósł mi nawet diakon Simon… razem ją czytaliśmy. Ale muszę przyznać, że nic nie zrozumieliśmy. „Dziwaki – powiedziałem – jeśli już coś piszecie, to róbcie to tak, żeby był z tego pożytek dla duszy i dla ciała, żeby po przeczytaniu człowiek pokajał się, wyraził szczery żal za grzechy. Ale w tych wszystkich książkach to nic, ino same bzdury". A co ty powiesz, diakonie Simonie? Bo też przecież czytałeś?

– Ja tego nie aprobuję – odparł diakon-nauczyciel, starając się pokazać swoją uczoność. – Wszystko to dzieło rąk szatana. Gdyby ci mądrale czerpali przykłady z Pisma Świętego, naród by czytał i się uczył. Ja w każdym razie będę bardzo rad, jeśli ten zarozumiały Wartan zostanie ukarany, zasłużył sobie na to. Pojawił się kiedyś w mojej szkole i powiada: „To nie wy powinniście nauczać dzieci. Wy tylko je psujecie, idźcie lepiej paść osły". Że też język pozwolił mu wymówić coś takiego! Jak gdyby on był lepszy ode mnie.

---

[184] Mt 26,52.

[185] Chodzi tu o ormiańskie publikacje niepodległościowe (AP).

– Osioł kopie dotkliwiej niż koń – stwierdził efendi. – Ten bezczelny pyszałek Wartan nie raz i mnie nawet obrażał.

Tak rozprawiali i utyskiwali ksiądz, diakon-nauczyciel i urzędnik państwowy, przy czym żaden z nich nie ujął się za Zakiem ani nie przejął się jego losem. Żaden też nie myślał o tym, w jakim położeniu znajduje się teraz rodzina staruszka Chacza. Ten dobrotliwy człowiek, któremu chłopi tak wiele zawdzięczali, stał się obecnie obiektem powszechnego oburzenia. Każdy z obawy przed możliwymi konsekwencjami bał się tylko o siebie. Jedynie Tomas-efendi triumfował, widząc, że posiane przezeń ziarna jęły pięknie wschodzić.

– Powtarzam, chłopi zostaną pociągnięci do odpowiedzialności – oznajmił tonem wtajemniczonego, znającego się na rzeczy człowieka – czas teraz niespokojny, trudny, trwają przygotowania do wojny, toteż władze będą surowo karać buntowników.

Słowo „wojna" przeraziło księdza, ale obawiał się on nie tyle jej okropności, których ta nie szczędziła bynajmniej narodowi, ile o niepewny los swoich dłużników.

– Jeśli wybuchnie wojna – powiedział – Turcy wielokrotnie zwiększą podatki i nie zdołam odzyskać wszystkich moich długów.

– Bądźcie spokojni, ojczulku – powiedział efendi – nie dopuszczę do tego, żeby ktokolwiek pozostał wam dłużny.

W tym momencie diakon Simon podszedł do księdza i szeptem przypomniał mu o swoich dłużnikach – i znowu usłyszał w odpowiedzi, że musi poczekać, uzbroić się w cierpliwość.

„Każdy mówi o tym, co go boli, bo kogo nie boli, temu powoli". Obecnie zarówno księdza, jak i diakona najbardziej zajmowała sprawa ich dłużników.

– „Chociaż osioł sam w sobie jest niczym, to jednak szczotką z jego szczeciny czyści się aksamit" – ciągnął efendi. – Z pewnością i ty, ojczulku, znasz to porzekadło? Chłop jest właśnie taki. Sam wprawdzie goły i bosy, ale aksamit, który nosi bogacz, jest zroszony potem wieśniaka. I chociaż chłop najczęściej głoduje bez kawałka chleba, to obfitość jedzenia na stole bogacza jest przecież owocem jego ciężkiej pracy na roli. A wy, ojczulku, jak widać, nie potraficie wydębić od chłopów pieniędzy. Gdybyście to umieli, nie mielibyście aż takiej liczby dłużników – i dziś nie tylko byśmy tu pili wódkę, ale też raczyli się mazą.

Ostatnie słowa efendiego dotknęły księdza do żywego, toteż z goryczą powiedział:

– O czym tu mówić, efendi… my, księża, pod tym względem mamy związane ręce. To w waszych rękach jest kij, którym możecie straszyć i trzymać w ryzach ludzi, my go nie mamy. Nasza broń jest znacznie słabsza… Niestety!

– Prawdę mówiąc, zdarza się, że czasami tracę cierpliwość i ich przeklinam… Ale teraz chłopi stali się tacy hardzi, że wcale się tego nie boją, a ja żadnej innej broni nie mam. Zresztą trudno ich nawet winić. Kurdowie całkiem zrujnowali chłopów, już nic więcej od biedaków nie da się wyciągnąć. Niechaj ci Kurdowie będą przeklęci! Gdyby nie oni, nie miałbym tylu dłużników, a jeśli w dodatku zacznie się wojna, to te dzikusy całkiem się już rozbestwią.

– „Osioł jest brzydki, a muł jeszcze brzydszy" – jak zwykle porzekadłem odpowiedział efendi. – Kurdowie są tacy źli, bo to metysi. – Efendi podzielał pogląd Ormian, utrzymujących, że dzikość i okrucieństwo Kurdów to skutek zmieszania różnych krwi. Tak czy inaczej jedno było wiadomo na pewno: Kurdowie, mieszając się z Ormianami, utracili wprawdzie niektóre charakterystyczne dla nich cechy, ale jednocześnie stali się bardziej szlachetnym plemieniem. Porywając najpiękniejsze ormiańskie dziewczęta i chłopców, w ciągu stuleci udoskonalili swoje plemię; i na odwrót, Ormianie, tracąc najlepszą i najzdrowszą część swojej nacji, stopniowo coraz bardziej marnieli, karłowacieli i tracili swoje fizyczne piękno. Kto dogłębnie przestudiuje fizyczne typy Kurdów i Ormian tureckiej Armenii, ten dostrzeże ich duże podobieństwo, jako że Kurdowie to nic innego jak nowe plemię, powstałe z przemieszania ich własnej i ormiańskiej krwi[186].

Była już głęboka noc. Zula wciąż jeszcze siedziała przy łóżeczku chorego dziecka, z irytacją przysłuchując się rozwlekłej paplaninie gości i niecierpliwie czekając, kiedy się wreszcie rozejdą, by mogła w końcu zajrzeć do Sary i Stepanika.

[186] Por. przypis 13 (AP).

Ale efendi bynajmniej się nie spieszył, czekał, póki nie wyjdzie diakon Simon, gdyż chciał sam na sam porozmawiać z księdzem. Chcąc się pozbyć diakona, efendi udał, że jest zmęczony i oświadczył, że chce iść spać. I dopiął swego: diakon Simon wyszedł, życząc im dobrej nocy. Po jego wyjściu ksiądz zauważył:

– On zgrywa wielce uczonego, myśli, że jest mądrzejszy od wszystkich siedmiu biskupów, ale ostatnio uzależnił się od wina i zbyt często zagląda do kieliszka. Mimo to, jak pan słyszał, dobrze i wyraźnie odczytał rejestr moich dłużników?

– Mówicie o diakonie Simonie? – chciał się upewnić efendi. – Tak, czyta całkiem nieźle!

Tyle że poborcy podatków nie interesował bynajmniej ani diakon, ani jego uczoność: on szukał jedynie pretekstu, aby odbyć z księdzem rozmowę w sprawie, dla której specjalnie przybył do niego tego wieczora. Pijany, rozgrzany winem *ter* Maruk chciał ściągnąć z siebie znoszoną sutannę, ale szarpnął zbyt mocno i rozdarł rękaw. Efendi to zauważył i rzekł:

– Ojczulku, wasza sutanna już się mocno zużyła, należałoby uszyć nową.

– Ależ, wasza miłość, za co ja mogę sprawić sobie nową sutannę?! Przecież widziałeś, ilu mam dłużników. Ten łachman dostał mi się po śmierci świętej pamięci Karapeta-efendiego. Już siódmy rok ją noszę. A przez ten czas nikt z bogatych ludzi nie umarł i mnie, grzesznemu, nie było dane sprawić sobie nowej sutanny…

– Każę uszyć dla ciebie sutannę. Wszak jesteś naszym pasterzem – powiedział efendi – noś ją i pamiętaj o mnie w modlitwach.

– Niechaj spłynie na ciebie błogosławieństwo trzystu sześćdziesięciu sześciu najwyższych kapłanów[187], mój synu – powiedział wzruszony ksiądz i odmówił modlitwę. – Ale mam do was, czcigodny efendi, jeszcze jedną prośbę – ośmielił się dodać ojczulek. – Jesteście naszą chwałą i dumą, codziennie składamy Bogu dzięki za to, że wśród Ormian są tacy ludzie, którzy mogą zasiadać przy jednym stole z naczelnikami powiatowymi, a nawet paszami, i rozmawiać z nimi jak równy z równym. W imię miłości do naszego narodu i naszej wiary proszę was – ocalcie rodzinę staruszka Chacza, nie zostawiajcie jej w rękach niewiernych. Jeśli tylko

[187] W oryginale autor użył ormiańskiego terminu *hajrapet* (AP).

zechcecie, możecie ich uratować. Jakkolwiek byliby winni ci ludzie, naszym obowiązkiem jest im pomóc, gdyż oni są z nami jednej krwi i jednej wiary. Ja też ich potępiam, ale któż z nas nie grzeszy, któż jest bez winy?

Mimo że wypowiedziane przez księdza słowa nawet w najmniejszym stopniu nie zmiękczyły serca efendiego, to dały mu jednak pretekst do wszczęcia interesującej go rozmowy. Odparł więc, że gotów jest ocalić rodzinę starosty i że nie pozwoli, aby choć jeden włos spadł im z głowy, pod warunkiem, że starosta i ze swej strony spełni jego życzenie. Przypomniawszy księdzu o tym, że rok temu zdradził mu on tajemnicę narodzin Stepanika, efendi przyznał, że od tamtego czasu kocha tę dziewczynę i pragnie się z nią ożenić. Jeśli zatem starosta przyjmie jego propozycję, efendi będzie gotów wybawić go z kłopotów, w przeciwnym razie on umywa ręce i starosta będzie osądzony z całą surowością prawa, przy tym cała jego rodzina zostanie zgładzona, a majątek przejdzie na skarb państwa. Uznając, że księdzu nakazuje to obowiązek duchowego pasterza, efendi poprosił go, aby wziął na siebie rolę pośrednika i pomówił ze starostą, dopóki czas jeszcze nie minął i można zapobiec nieszczęściu.

– Niechaj poręką będzie moja duchowna godność – odparł wielce uradowany ksiądz – jutro z samego rana udam się do Chacza i wszystko załatwię. Chaczo winien dziękować Bogu i złożyć ofiarę świętym orędownikom za to, że taki człowiek jak wy okazuje mu honor, chcąc się spowinowacić z jego rodziną.

Efendi przewrotnie się uśmiechnął i rzucił:

– Jeśli spełnicie moją prośbę, ojczulku, to otrzymacie nową sutannę.

– A co z moimi dłużnikami?

– O to się nie martwcie…

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Przerażająca noc minęła. Rano dom staruszka Chacza miał taki smutny wygląd, jakby spoczywał w nim nieboszczyk.

Jako pierwszego wyprowadzono z aresztu Wartana. Jego twarz zachowywała wyraz niewzruszonego spokoju. Lekceważący uśmieszek na ustach zdawał się mówić: „Na darmo się staracie, głupcy”…

Pięciu strażnikom rozkazano doprowadzić aresztanta do paszy-efendiego. Wartan nie stawiał najmniejszego oporu, gdy go sadzano na konia, a na nogi zakładano kajdany, mimo iż zmuszony był przez to siedzieć w najbardziej niewygodnej pozycji.

– To niepotrzebne – zauważył – jeżeli zechcę uciec, to żadne wasze łańcuchy mnie nie powstrzymają.

Żołnierze, puściwszy mimo uszu owo stwierdzenie, długim sznurem skrępowali Wartanowi ręce za plecami, a końce sznura przekazali dwóm strażnikom, którzy jechali z tyłu.

Taki widok przyciąga zazwyczaj tłumek ciekawskich, jednak tym razem żaden chłop nie wyszedł popatrzeć, jak strażnicy zabierają Wartana – człowieka, który tak bardzo się o nich troszczył (i któremu tak bardzo na nich zależało). Wszyscy omijali dom Chacza, jak gdyby był on zadżumiony.

W domu nie było ani jednej kobiety: wszystkie schroniły się u sąsiadów i krewnych. Hajrapet i Apo wciąż jeszcze siedzieli zamknięci w spichlerzu, ale wkrótce i oni mieli być odprawieni w ślad za Wartanem. Pozostali synowie Chacza w ogóle się nie pokazywali. Jedynie staruszek Chaczo wyszedł pożegnać Wartana. Silne emocjonalne wzburzenie nie pozwalało mu wydobyć głosu, jednak łzy spływające po jego twarzy mówiły więcej niż słowa.

– Weź się w garść, staruszku – czule zwrócił się do niego Wartan. – Kto wchodzi do wody, nie powinien się bać, że będzie mokry. Bywaj zdrów!

Pogoniono konie – i oddział ruszył.

Chaczo długo za nim patrzył, dopóki Wartan nie zniknął mu z oczu.

Głęboko zamyślony staruszek wrócił do domu.

Dlaczego zabrali samego Wartana, a Hajrapeta i Apo zostawili? I czemu jego samego trzymają na wolności, ale nie wypuszczają z domu? Co się za tym kryje? Staruszek gubił się w domysłach. Nie znał wszak przebiegłego planu efendiego, który tak poprowadził sprawę, że gdyby staruszek nie zgodził się wydać za niego Lali, to cały swój trujący jad poborca wylałby na jego rodzinę. Efendi nie tylko wydał Salmana, ale rozkazał też aresztować Wartana, ponieważ ich obu uznawał za wrogów tureckiego rządu. Samego staruszka zaś, podobnie jak i jego pozostałych synów, daleki był o to podejrzewać. Poborca podatków wplątał rodzinę

starosty w tę obrzydliwą historię wyłącznie w takim celu, by znalazła się w sytuacji bez wyjścia; a wszystko po to, żeby efendi mógł potem odgrywać rolę jej obrońcy i dobroczyńcy. To dawało mu prawo – w charakterze nagrody za swoją rzekomą wspaniałomyślność mógł żądać ręki Lali. Oto jakim cynicznym wyrachowaniem kierował się efendi, przygotowując swój zbrodniczy plan, którego tragicznych skutków nie był w stanie przewidzieć.

Następnego dnia rano efendi w ogóle się nie pojawił, chociaż staruszek bardzo chciał go zobaczyć i ostatecznie wyjaśnić najważniejszą dlań kwestię: czym się to wszystko skończy? Staruszek wciąż nie przestawał wierzyć w obietnice i zapewnienia efendiego, rozpamiętując jego słowa: „Nie dopuszczę do tego, żeby choć jeden włos spadł z twojej głowy".

Zamiast efendiego zjawił się *ter* Maruk – jego posłaniec, który w przeddzień obiecał poborcy, że uda się w roli swata na rozmowy ze starostą. Jakkolwiek w chwili nieszczęścia obecność księdza winna być dla człowieka pociechą, to na staruszku jednak przybycie duchownego wywarło przykre wrażenie. Chaczo był bardzo przesądny, toteż każde nieoczekiwane napotkanie księdza na ulicy zawsze uznawał za zły omen.

Ter Maruk odwiódł starostę na stronę i oznajmił, że przychodzi w ważnej sprawie. To nieco uspokoiło staruszka. Odeszli w głąb ogrodu, znaleźli ustronne miejsce i usiedli w cieniu drzew.

Ksiądz rozpoczął swoją przemowę z daleka; najpierw wygłosił pouczające kazanie, wzbogacając je budującymi przykładami z Pisma Świętego. Wspomniawszy bogobojnego Hioba, powiedział, że Bóg często zsyła na ludzi najróżniejsze cierpienia, aby poddać próbie siłę ich wiary, i że cierpliwie trzeba nieść swój krzyż, bez reszty ufając Bogu, gdyż jeśli wiara jest mocna, to Bóg stokrotnie wynagrodzi człowiekowi wszelkie przykrości – i tak dalej, i temu podobnie…

Skończywszy z umoralniającymi pouczeniami, ksiądz, zamiast przejść do sedna sprawy, dla której właśnie pojawił się u Chacza, uznał za stosowne przytoczyć jeszcze jedną przypowieść. I ceremonialnym tonem właściwym dla swata rozpoczął:

– Syn pewnego króla wyruszył do lasu na polowanie i spędził tam cały dzień. Nastała noc. Na powrót do pałacu było już za późno i królewicz postanowił zanocować w chałupie pastucha. Gościnny gospodarz

przypadł królewiczowi do gustu, ale jeszcze bardziej spodobała mu się przepiękna córka gospodarza. Powróciwszy następnego dnia do pałacu, oświadczył ojcu, że pragnie ją pojąć za żonę. Ojciec nazwał go głupcem i bardzo się rozgniewał – mimo to jednak, widząc, że nie zdoła odwieść syna od powziętego zamiaru, wysłał do pastucha jednego ze swoich dworzan w charakterze swata. Gdy ten nacharar[188] powrócił, oznajmił, że pastuch nie zgadza się wydać swojej córki za królewskiego syna. Król wielce się zdumiał i w tejże roli posłał do pastucha innego, bardziej rozgarniętego nacharara. Ale i ten przyniósł wkrótce do pałacu identyczną odpowiedź. Wówczas król w charakterze swata wysłał swojego głównego wezyra[189], tyle że on również otrzymał od pastucha odmowną odpowiedź. Wreszcie król zmuszony był sam załatwić sprawę. Ale tak jak i pozostali posłańcy wrócił z niczym. Pastuch odmówił nawet jemu. Zdziwiony król zwołał dworzan na naradę. Jeden z jej uczestników, nieco mądrzejszy od innych, zaproponował, aby jako swata wysłać zwykłego pastucha; powiedział, że pastuch z pastuchem szybciej dojdzie do porozumienia i jeden zdoła przekonać drugiego. Wezwano zatem królewskiego pastucha i polecono mu, aby udał się na rozmowę z ojcem dziewczyny. Pastuch bez żadnych wielkich ceregieli wziął kostur i na piechotę udał się w drogę. Gospodarz przyjął go bardzo uprzejmie. Pojedli, wypili, słowem – miło spędzili czas. W końcu posłaniec wyjawił cel wizyty i spytał ojca dziewczyny: „Dlaczego nie zgodziłeś się wydać córki za królewskiego syna?". – „Szanowny gościu! – odparł gospodarz. – Ja też jestem człowiekiem i jak każdy ja również mam swój honor oraz poczucie własnej wartości. Pomyśl sam: swatając moją córkę ze swoim synem, król nie przysłał do mnie żadnego przyzwoitego swata oprócz ciebie".

Zakończywszy ową przypowieść, ksiądz dodał:

– Obaj jesteśmy jak te pastuchy, Chaczo, każdy z nas ma własną trzódkę. Ja, wiejski ksiądz, swoją, ty zaś, wiejski starosta – swoją; dlatego przyszedłem do ciebie jak pastuch do pastucha z pewną propozycją.

---

[188] Nacharar – dawny ormiański arystokrata. We współczesnym języku ormiańskim wyraz ten jest używany w znaczeniu: „minister" (AP).

[189] Wezyr – z arabskiego *wazir* (*uazir*), wysoki dostojnik państwowy w niektórych krajach muzułmańskich (AP).

– Z jaką propozycją? – nieprzychylnym tonem zapytał staruszek, który do takiego stopnia był już przybity zgryzotą, że z trudem zmuszał się do słuchania księdza.

Ten wyjaśnił, że sam Bóg nakazał mu pocieszyć staruszka w nieszczęściu i wskazać biedakowi drogę ratunku. Tomas-efendi mianowicie prosi o rękę córki starosty i obiecuje wybawić z opresji całą jego rodzinę.

– Trzeba dziękować Bogu za to, że taki człowiek jak efendi chce wam okazać pomoc – nie omieszkał dodać ksiądz.

Niemniej jednak, mimo całego swego krasomówstwa, również on nie zdołał odnieść sukcesu.

Możliwe, że w innym czasie i w innych okolicznościach do jego propozycji odniesiono by się z przychylnością, jako że staruszek już dawno zaplanował wydać swoją córkę za efendiego. Obecnie jednak okoliczności radykalnie się zmieniły. Teraz, kiedy dwaj jego synowie zostali aresztowani, a względem niego samego również toczyło się śledztwo, kiedy jego synowe i wnuki musiały ukrywać się w obcych domach, kiedy dwaj bliscy mu ludzie – Wartan i Salman – zostali wydani władzom, kiedy wreszcie na jego oczach rujnowano jego dom – akurat wtedy posłaniec zwraca się doń z propozycją od człowieka, który był przyczyną tych wszystkich nieszczęść.

I oto nagle jakby zasłona spadła z oczu starca – ujrzał w wyobraźni jamę, do której schodził onegdaj razem z efendim. Przypomniał sobie słowa Wartana o tym, że efendi był już kilka razy żonaty i porzucał swoje małżonki. Czyżby podobną niegodziwość planował w stosunku do Lali? Staruszek analizował w myślach całe zachowanie efendiego w ostatnim czasie i zrozumiał, że celem wszystkich sprytnych sztuczek poborcy było jedynie zdobycie Lali. Efendi pierwszy zawiadomił go o aresztowaniu Salmana. Skąd o tym wiedział? Wszak Salmana aresztowano głęboką nocą i nikt, ani jedna osoba w całym powiecie, o tym nie wiedział. Efendi jako pierwszy przyniósł mu również wiadomość o planowanej rewizji, a także, udając przyjaciela, zawładnął papierami Salmana, później zaś ukrył churdżyn w zamaskowanej podziemnej skrytce Chacza i zabrał do niej klucz. Po co, w jakim celu? Dlaczego nie zabrał tych papierów ze sobą i nie zniszczył, tylko zostawił w jego domu? Widać dlatego, żeby w odpowiednim momencie przekazać je w ręce policji ze słowami:

„Oto dowód winy tych ludzi!”. Przypomniawszy sobie i rozważywszy to wszystko, przerażony staruszek zrozumiał, że został podle oszukany. I z wielką goryczą w głosie powiedział księdzu:

– Ojczulku, wasza przypowieść wydaje mi się bardzo niestosowna, a temu psu efendiemu, choćby był nawet samym królem, nigdy swojej córki nie oddam. Niech się dzieje, co chce, niech runie mój dom, niechaj zginie cała moja rodzina – a ja nie przyjmę pomocy od tego niegodziwca, który sam do tego wszystkiego doprowadził. Nareszcie zrozumiałem, wszystko zrozumiałem… Ten podlec mnie oszukał, ale odtąd już nigdy więcej mu się to nie uda…

Ksiądz nie rozumiał ani gniewu staruszka, ani jego zagadkowych słów. Nie znał przecież okoliczności sprawy. Starosta nie chciał zagłębiać się w ich objaśnianie; *ter* Marukowi wspomniał jedynie, że oprócz księdza, który chrzcił Stepanika, nikt inny nie mógł zdradzić efendiemu tajemnicy narodzin jego córki.

Nic zatem dziwnego, że *ter* Maruk skrajnie niezadowolony opuścił dom starosty Chacza, powtarzając w myśli: „Bóg w pierwszej kolejności pozbawia człowieka rozumu, a potem bogactwa”.

Efendi w domu księdza niecierpliwie oczekiwał jego powrotu. Kiedy tylko Maruk się pojawił, natychmiast go zapytał:

– Z jakimi wieściami przychodzisz, ojczulku?

– Sam nie wiem, co powinienem powiedzieć – odparł skonfundowany ksiądz. – Tamten człowiek chyba postradał rozum!

– Odmówił?

– Tak!

– Tego się obawiałem. – Można było pomyśleć, że oto niebo runęło efendiemu na głowę i przygniotło go swoim ciężarem. Pociemniało mu w oczach i jak ścięty runął na podłogę. Długo tak leżał, nie wydając żadnego dźwięku, potem – ocknąwszy się – jął się bić po głowie, wyrywał sobie włosy i rozpaczliwie wykrzykiwał: „Co ja mam począć! Ach, co mam teraz zrobić!…”.

Nic na świecie nie ma większej władzy nad człowiekiem niż miłość. Nawet najokrutniejszy i najbardziej krwawy tyran, przed którym drżą całe narody, klęka w pokorze przed ukochaną kobietą – jedynie miłość jest w stanie uczynić go słabym i wzbudzić w jego sercu ludzkie uczucia.

W tym momencie Tomas-efendi kochał Lalę, kochał gorąco i szczerze. Pod wpływem tej miłości zmiękczyło się jego okrutne, kamienne serce. Zakochany demon zmienia się w anioła. Ogarnięty miłosnym uczuciem efendi jął się kajać.

Dotąd jeszcze nigdy prawdziwie nie kochał; być może dlatego, że jego dusza była tak mroczna, że nie istniało dlań nic świętego. O ile w swoich ciemnych sprawach przejawiał diabelski wręcz spryt, wyrachowanie i przebiegłość, o tyle w głębi serca pozostawał nieczuły. Miłość do Lali nie tylko opromieniła jego sczerstwiałą duszę – w jej blasku ujrzał zarazem ogrom swej dotychczasowej niegodziwej podłości i strwożony zadrżał:

– Co ja narobiłem?! – bełkotał i rwał sobie włosy z głowy.

Do tej chwili nie rozumiał przerażającej podłości swoich postępków i uważał, że dla osiągnięcia celu dopuszczalne są wszelkie środki. Dopiero teraz pojął, jak wielkie, jak koszmarne czynił zło. Początkowo – niby dziecko bawiące się ogniem – myślał, że podejmuje niewinną grę, chcąc jedynie nastraszyć staruszka, aby ten musiał spełnić jego życzenie. Raptem jednak z owej maleńkiej iskry rozszalał się wielki pożar, którego efendi nie był już w stanie ugasić.

– Ach, co ja narobiłem?! – ponownie wykrzyknął poborca.

Ksiądz z przerażeniem patrzył na niego – myślał, że efendi znajduje się w przedśmiertnej agonii. Bo też w rzeczy samej, całkiem wyczerpany efendi leżał na podłodze, a jego ciałem raz po raz wstrząsały gorączkowe dreszcze, usta konwulsyjnie się wykrzywiały. Długo pozostawał w takim stanie, później nieco otworzył oczy i wychrypiał:

– Wszystko, co wam, ojcze, powiedział o mnie staruszek Chaczo, to szczera prawda, nie jestem godzien jego córki. Co może łączyć mnie, przestępcę, z takim niewinnym aniołem? Przeklnij mnie, ojczulku, proszę… zasłużyłem, tego jedynie jestem godzien – przekleństwa!…

Po tych słowach efendi znowu stracił przytomność.

– Ech, przepadły niestety moje pieniądze! – żałośnie wykrzyknął ksiądz, myśląc, że efendi umarł. – Przepadły, przepadły moje utęsknione pieniądze!…

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Wróćmy jednak obecnie do początku naszej opowieści.

Wiadomo już, kim był ów młody Ormianin z oddziału specjalnego, który podczas oblężenia bajazeckiej warowni otrzymał list z rąk komendanta Sztokwicza i – przebrany za błazna – wtargnął do obozu Kurdów. Wydostawszy się stamtąd szczęśliwie, po kilku dniach doręczył list Ter-Ghukasowowi. Pamiętamy również, że ów młodzieniec, odrzuciwszy kuszącą ofertę generała, opuścił rosyjską armię i pospieszył tam, gdzie nakazywało mu serce. Tym młodzieńcem był Wartan. Podążmy zatem jego śladem.

Dosiadłszy konia, którego przejął od zabitego Kurda, skierował się prosto do powiatu alaszkerckiego. Miał nadzieję odnaleźć tam drogich mu ludzi. Przebywała tam rodzina staruszka Chacza, w której otoczeniu spędził tyle szczęśliwych dni, była tam również przepiękna Lala, którą ubóstwiał, byli też jego drodzy przyjaciele, wraz z którymi przysiągł nie szczędzić życia dla dobra wielkiej i słusznej sprawy, słowem – byli tam ludzie, których Wartan kochał i szanował.

Ale w jakiej sytuacji pozostawiał ich wszystkich, kiedy – zakutego w kajdany – prowadzono go do wojskowego prokuratora? Staruszek Chaczo i jego synowie zostali zatrzymani. Synowe z dziećmi znalazły schronienie w różnych miejscach. Rodzina się rozpadła. Los Lali zależał od Tomasa-efendiego i Fattah-beja – dwóch łowców, którzy polowali na nią jak na dziką zwierzynę. Salmana również aresztowano. Melik-Mansur wraz ze swoim oddziałem pojechał go ratować. Czy mu się udało? – tego Wartan nie wiedział. Rozstał się przecież z nimi wszystkimi w przełomowym momencie. Od owego dnia minęło dwa i pół miesiąca. Nie miał o nich żadnych wiadomości.

W tym czasie Rosjanie wypowiedzieli Turkom wojnę. Zwycięskie wojska generała Ter-Ghukasowa opanowały powiaty bajazecki i alaszkercki oraz podeszły do Erzurumu. Znalazłszy się pod opieką Rosjan, uciśniony i wyczerpany naród ormiański mógł wreszcie odetchnąć z ulgą, jednak bieg wydarzeń wojennych nagle się zmienił. Generał Ter-Ghukasow był zmuszony opuścić zajęte prowincje i cofnąć swoje wojska ku rosyjskiej granicy. Bajazet, zdobyty przezeń osiemnastego

kwietnia, już dwudziestego siódmego czerwca znalazł się na powrót w rękach Turków.

O tych ostatnich wydarzeniach Wartan nie miał wiadomości. Nie wiedział, co się zdarzyło po tym, jak wojska generała Ter-Ghukasowa odeszły, nie miał pojęcia o ucieczce nieszczęsnych mieszkańców Alaszkertu ani też o przyczynach, które doprowadziły do tej panicznej ucieczki.

W krótkim czasie jednak sytuacja radykalnie się zmieniła. Dwa i pół miesiąca temu Wartana pod strażą tureckich żołnierzy wyprowadzano w kajdanach z domu staruszka Chacza. Konwój nie przebył jeszcze nawet połowy drogi, kiedy zaatakowali go dwaj uzbrojeni jeźdźcy – Sako oraz Jegho – i po zaciętej walce odbili i uwolnili swego pana. Podczas strzelaniny Wartan został ranny. Wierni, bez reszty oddani mu słudzy niemal na rękach donieśli go do rosyjskiej granicy i ukryli w jednej ze wsi powiatu surmalińskiego. Gdy Wartan doszedł już jako tako do siebie, od razu wstąpił do specjalnego ormiańskiego oddziału ochotniczego (walczącego w oblężonym Bajazecie). Jegho i Sako poszli oczywiście za jego przykładem. W zażartych bojach o tę twierdzę obaj polegli. A w jaki sposób jemu samemu udało się wydostać z twierdzy, to już wiemy.

Smutny i samotny jechał teraz Wartan przez dolinę, w której leżała wioska O… Zupełnie inaczej wyglądała ona teraz aniżeli kilka tygodni temu. Tak niedawno jeszcze cieszyły tu wzrok pola uprawne, wąwozy i zielone górskie zbocza. Niby złote morze falowały łany dojrzewającej pszenicy. Na stokach gór pasły się stada przypominające z daleka ogromne mrowisko. Daleko niosła się w powietrzu przyjemna melodia pastuszej fujarki. Bogata przyroda i pracowity człowiek tworzyli tu ręka w rękę najprawdziwsze cuda. A teraz… teraz wszystko się zmieniło. Dolina była obecnie suchą, bezpłodną pustynią. Ogień pożarł niwy, zostawiwszy po sobie kupy popiołu. Kto dokonał owego barbarzyństwa, kto zniszczył wszystko to, co zostało stworzone przez pracowitego człowieka i zroszone jego potem?

Wartanowi trudno było to pojąć. Niegdyś jego wzrok cieszyły malownicze i bogato zaludnione wsie, teraz na ich miejscu widział tylko ślady bezlitosnego, niszczącego ognia. Znikąd nie donosił się żaden dźwięk. Na polach nie rozbrzmiewała już radosna pieśń oracza, na łąkach nie pasło się już bydło. Głuche, grobowe milczenie panowało wokół. Wydawało się, że jakiś zły duch przemknął nad tym krajem i unicestwił wszystko, co mu stanęło na drodze.

Cóż się zatem stało? Lipcowe słońce paliło niemiłosiernie. Dawno już minęło południe, kiedy Wartan podjechał do wioski O… Przypominała ona siedzibę złego ducha zamienioną nagle – siłą magicznego zaklęcia – w ruiny. Domy, w których niegdyś kipiało życie, w których mieszkali wspaniali ludzie – stały się raptem ich mogiłami. Wszystko, co żyło, zostało pogrzebane pod gruzami. W stanie bliskim szaleństwa Wartan mijał znajome ulice. To tu, to tam natrafiał na okaleczone trupy. Najwyraźniej dokonała się tu straszliwa tragedia. Minął resztki zburzonego kościoła, z bożej świątyni zostały tylko gruzy.

Podszedł do byłego dworu staruszka Chacza: pozostało z niego jedynie ogrodzenie, ale i ono w wielu miejscach było zrujnowane. Wszedł na podwórko. Jego oczom ukazał się żałosny widok. Sad cały spłonął, znikły rozłożyste drzewa, w których cieniu spędził z Lalą tyle szczęśliwych godzin. Gdzie ona teraz jest? To głównie z jej powodu tutaj przyjechał… To jej szukał pośród tych ruin… Czyżby ją porwał kurdyjski bej? Albo może trafiła w łapy tureckiego żołdaka? Wartanowi ścisnęło się serce, wstrząsnął nim dreszcz, gdy wyobraził sobie ten straszny widok. Mogłoby się wydawać, że ów żelazny człowiek nie wytrzymał potęgi uderzenia losu, krew odpłynęła mu z serca, w oczach pociemniało. Niczego więcej nie widział, nie czuł – i bezsilnie opadł na wzgórek. Objąwszy rękami głowę, długo siedział bez ruchu w gorączkowym rozpamiętywaniu tak niedawnej przeszłości. Widział oczami wyobraźni delikatny wizerunek dziewczyny: jej smutną twarz, oczy pełne łez; widział ją taką, jaka była w tamtą, ostatnią, noc, kiedy w ciszy nocnego sadu przylgnęła do piersi ukochanego, mówiąc: „Zabierz mnie stąd, wywieź jak najdalej… Boję się Kurdów…”. Ach, czemu jej wtedy nie wywiózł? Dlaczego ją zostawił? Jednak w tej chwili Wartan nie był już w stanie o tym myśleć – smutek zaćmił mu umysł.

Przyjemne i mroczne wspomnienia z jednakową siłą raniły jego duszę. Wszak jeszcze tak niedawno ów dom mocno tu stał, zgodnie i spokojnie mieszkała w nim duża rodzina… Co się z nią stało? Gdzie ona teraz jest? Spojrzał w stronę kobiecej połowy domu, gdzie obecnie sterczały jedynie cztery osmalone kikuty ścian. Niegdyś całymi dniami krzątały się tu pracowite, zapobiegliwe synowe Chacza, nieznające niedostatku ani większych zmartwień; tu też beztrosko dokazywały jego wnuki. Umilkły ich wesołe głosy, nie rozlegały się już okrzyki troskliwych matek.

Skierował wzrok tam, gdzie kiedyś była oda – z niej również została tylko sterta gruzu. Przypomniał sobie hałaśliwe wieczory, które spędzał tu w towarzystwie Salmana, starosty i jego synów, wspominał gorące spory, gdy wielce podekscytowani omawiali plany ocalenia nieszczęsnego narodu, namiętnie pragnąc wybawić go od ucisku i stworzyć nowe, szczęśliwe życie.

Z tego wszystkiego zostało jedynie pogorzelisko…

Nagle w oddali pojawili się jacyś ludzie. Były to pierwsze żywe istoty, jakie napotkał, przejeżdżając przez powiat alaszkercki. Wartan bardzo się ucieszył. Podszedł do nich. Na rumowisku kilku obdartych Kurdów razem z żonami i dziećmi rozgrzebywało łopatami gruz. Wartan ich poznał. Byli to wyrobnicy staruszka Chacza, którzy tak niedawno jeszcze paśli jego stada. Mężczyźni kopali, a kobiety wydobywały spod gruzów różne ocalałe z pożogi przedmioty.

– Szczęść wam Boże! – powitał ich Wartan.

– Witamy, ago, witamy…

– Czego szukacie?

– Sam widzisz, dobry ago – odpowiedzieli Kurdowie, nie przestając kopać.

Wartan zwrócił się do jednego z nich i zapytał:

– Poznajesz mnie, Chlo?

– A jakże, pewnie, że poznaję, był pan przyjacielem naszego gospodarza, starosty Chacza, i przywoził tutaj towary… i zawsze pan dawał gościńca dzieciakom Chlo. A to też pański podarek – powiedział Kurd, wskazując na sukienkę żony z czerwonego pasiastego kretonu.

Wartan jął rozpytywać pastucha: dlaczego spłonął ten dom? Dlaczego cała wieś zmieniła się w ruiny? Gdzie się podziali wszyscy mieszkańcy? Pastuch odłożył łopatę, otarł pot z czoła i usiadł. Najwyraźniej przymierzał się do obszernego opowiadania.

– Najgorszemu wrogowi nie życzyłbym tego, co się tutaj stało. Prawdę mówiąc, my nie wszystko wiemy – w tym czasie akurat nas tu nie było, paśliśmy stada w górach i dopiero pod wieczór popędziliśmy je do domu. A poprzedniej nocy moja żona miała zły sen – i pomyślałem, że to nie wróży nic dobrego. Niedaleko od wsi napadli na nas Kurdowie[190] i zaczęli

[190] Kurdowie – chodzi tu o kurdyjskich koczowników zwanych esziratami, patrz niżej przypis 191 (AP).

uprowadzać owce. Wraz z kolegami pobiegłem do wsi, żeby wezwać pomoc, patrzymy – a ona cała się pali! Na ulicach pełno Kurdów… Popędziliśmy do domu Chacza – a on też w ogniu! Nawet podejść już się nie dało. Taki żar bił od niego!

– A gdzie się podziała rodzina Chacza?

– Niech Pan Bóg ma ich w swojej opiece! Starostę Chacza, Hajrapeta i Apo jeszcze wiele dni wcześniej żołnierze odprowadzili do sędziego; ludzie gadali, że są już w więzieniu. Synowych też nie było. W domu przez jakiś czas zostawało tylko czterech synów staruszka. Ale co się potem z nimi stało – tego nie wiemy. Kiedy przybiegliśmy, dom już stał w ogniu – tylko tyle widzieliśmy.

– Nasz gospodarz, staruszek Chaczo, był dobrym człowiekiem – kontynuował pastuch – on był taki pobożny, że nawet mrówki by nie skrzywdził. Zresztą oni wszyscy byli dobrzy, troszczyli się o nas jak o własne dzieci. Oby byli przeklęci ci podli eziraci[191]. Oni tu wszystko do góry nogami wywrócili, kamienia na kamieniu nie zostawili…

– A chłopi gdzie się podziali?

– Wielu wycięli, część wzięli do niewoli; trochę uciekło…

„Jak człowiek tonie, to nawet słomki się chwyta".

Jakkolwiek opowieść pastucha sprawiła Wartanowi ogromny ból, to obudziła zarazem promyczek nadziei. „Jeszcze nie wszystko stracone…" – pomyślał.

Wartan już wiedział, że staruszek Chaczo i jego dwaj synowie, Hajrapet i Apo, zostali aresztowani. Możliwe, że więzienie posłużyło im jako schronienie i uratowało od śmierci z ręki Kurdów, jeżeli strażnicy od razu ich tam nie zabili. Było mu również wiadomo, że podczas rewizji staruszek odesłał z domu wszystkie synowe; na pewno zaopiekowali się nimi krewni i sąsiedzi. Najpewniej kobiety wzięły ze sobą również Lalę. Być może udało im się ocaleć – jeżeli domów, w których się schroniły, nie spotkał taki sam los jak domu staruszka Chacza.

Wartana ucieszyło stwierdzenie pastucha, że niektórzy mieszkańcy zdołali jednak uciec. „Kto wie, może wśród tych uciekinierów znalazła

[191] Eziratami nazywano plemiona dzikich Kurdów, którzy wrogo odnosili się do Kurdów osiadłych i traktowali ich w sposób barbarzyński, tak jak innowierców [przypis autora]. Arabski wyraz *aszira(t)* oznacza „plemię" albo „ród", szeroko rozumianą „rodzinę" (AP).

się także rodzina Chacza – zastanawiał się Wartan – i Lala z nimi? Ale dokąd oni uciekli, gdzie znaleźli jakieś przytulisko?" Wszystkie te dręczące pytania nie dawały mu spokoju.

Rodzina pastuchów niczego nie mogła mu dokładniej wyjaśnić. Katastrofa wydarzyła się w nocy, raptownie, toteż nikt nic konkretnego nie widział ani nie wiedział. Przejeżdżając przez powiat alaszkercki, Wartan nie napotkał żadnego Ormianina. Ale Kurdowie nie mogli przecież wszystkich wyciąć czy popędzić w niewolę – część ludności na pewno ocalała, rzucając się do ucieczki. Ale dokąd oni uciekli?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Odjechawszy od ruin domu Chacza, Wartan nie wiedział, w którą stronę powinien się skierować. Wiadomości uzyskane od Kurdów były tak niedokładne, że na ich podstawie trudno mu było podjąć konkretną decyzję.

Zmierzchało. Wartan nadal jechał po równinie i na każdym kroku rzucały mu się w oczy takie same smutne obrazy: ruiny, opuszczone bezludne wsie, wypalone pola. „Czyżby w tym kraju nie ocalał ani jeden Ormianin?" – zachodził w głowę Wartan. Nagle na tle owej opustoszałej równiny dostrzegł postać żywego człowieka. Powoli i niepewnie wspinał się on po stromym zboczu góry, chwytając raz po raz za sterczące kamienie, żeby nie zlecieć. Od czasu do czasu przystawał i – wyprostowany – ogarniał spojrzeniem dolinę. Wreszcie dotarł do wierzchołka góry i podszedł do samego skraju urwistej skały wiszącej nad przepaścią. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca wyraźnie rysowała się jego znieruchomiała postać.

Człowiek patrzył na rozpościerającą się pod jego stopami równinę, która zaledwie kilka dni temu była areną krwawych wydarzeń. Długo tak stał nad przepaścią, najwyraźniej pogrążony w ponurych rozmyślaniach.

Owa dziwna postać mimowolnie przykuła uwagę Wartana, wyczuwał w niej bowiem coś złowieszczego. Ściągnął wodze, zatrzymał konia i jął obserwować. Widział, jak ów człowiek, patrząc w dół na opustoszałą równinę, kilkakrotnie – jak gdyby w rozpaczy – rozłożył i złożył ręce, po czym – zakrywszy twarz – rzucił się w przepaść! Maleńka ludzka figura

spadała jak piłka, uderzając w locie o kamienie i skalne występy. Wartan zaciął konia i galopem pomknął na ratunek samobójcy. Po chwili dotarł do podnóża góry. Zaczepiając się przy spadaniu o gęste krzaki wyrastające ze skalnych szczelin, ów dziwny człowiek szczęśliwie zawisnął w plątaninie gałęzi nad otchłanią. Ucieszyło to Wartana, miał nadzieję, że może uda mu się ocalić życie nieszczęśnika. Spojrzał w górę i stwierdził, że ciało samobójcy znajduje się mniej więcej pięćdziesiąt stóp wyżej. „Jak go stamtąd ściągnąć?" – zastanawiał się zatroskany. Zsiadłszy z konia, zaczął badać wzrokiem powierzchnię wznoszącej się nad nim stromej skały. W jaki sposób wspiąć się do tamtych krzaków?… Samobójca wciąż na nich wisiał, nie dając żadnych oznak życia. Co popchnęło owego nieszczęśnika do tego, żeby się targnąć na swoje życie? Przyroda otaczająca Wartana emanowała tak wielkim smutkiem, że wszystko, co widział wokół, nabierało jakiegoś tajemniczego sensu.

Młodzieniec rozumiał, że próbując ocalić wiszącego na gałęziach nieszczęśnika, który być może jeszcze żyje, natknie się na wielkie ryzyko. Współczucie kazało mu jednak zapomnieć o zagrożeniu i powziął śmiałą decyzję. Widząc, że w skalnych szczelinach rosną gdzieniegdzie krzaki, uznał, że – czepiając się ich oraz skał – zdoła się jakoś dostać do ofiary. Wartan posiadł bowiem nie tylko giętkość węża, ale i zwinność kota. Wyciągnąwszy rękę, chwycił za najbliższy skalny występ i jął się wspinać. Nim zdołał się wdrapać na kilka arszynów[192] od ziemi, kamień, którego się trzymał, odpadł – i Wartan zleciał w dół. „Tędy mi się nie uda" – pomyślał, nie zwracając uwagi na otarte do krwi ręce.

Z natury był uparty i wytrwały, trudności jedynie dopingowały go do coraz większego wysiłku. Narastała w nim samolubna chęć pokonania przeszkody. Spieszył się, ponieważ słońce już prawie zachodziło: za kilka minut zrobi się ciemno i trudno mu będzie zrealizować swój pomysł. Wtem nowa myśl wpadła mu do głowy. Zdjął z siodła arkan[193],

[192] W oryginale ormiańskim autor użył tu dawnej rosyjskiej miary długości *arszyn* (około 70-80 cm) pochodzenia orientalnego. Jej punktem wyjścia była perska nazwa „łokcia" (i „przedramienia") – *ar(a)sz* (AP).

[193] Arkan – orientalny sznur analogiczny do zachodniego lassa; wyraz pochodzenia tatarskiego (język tatarski należy do rodziny języków turkijskich, obok osmańsko-tureckiego) (AP).

którym w potrzebie posługiwał się jak groźną bronią; na jego końcu była przywiązana ołowiana kulka. Zamachnąwszy się, zarzucił koniec arkanu na skałę. Linka mocno owinęła się o pień rosochatego drzewa rosnącego niedaleko miejsca, w którym zawisł samobójca. Chwyciwszy za drugi koniec linki, młodzieniec jak pająk wspiął się w górę i po kilku minutach znalazł się obok nieruchomego ciała. Uniósł je, odwrócił… I jakież było jego zdziwienie, kiedy na swoich rękach ujrzał… Tomasa-efendiego!

Uczucie gniewu, nienawiści i obrzydzenia z taką siłą ogarnęło Wartana, że gotów był odruchowo cisnąć w przepaść owo wstrętne cielsko, żeby rozbiło się tam na kamieniach i stało się łakomym kąskiem dla dzikich drapieżników. Jednakże Wartan miał dobre serce: nie potrafił być okrutny w stosunku do pokonanego wroga. Obwiązawszy linką nieruchome ciało efendiego, ostrożnie opuścił je do podnóża góry, po czym także opuścił się sam.

Teraz przede wszystkim sprawdził, czy efendi jeszcze żyje. Wprawdzie jego ciało było mocno pogruchotane, głowa i twarz rozbite o kamienie i zalane krwią, ale nadal oddychał, chociaż stracił przytomność. Ów niegodziwiec, z którego winy zostały zrujnowane tysiące chłopskich domów i spustoszony cały powiat; ów łajdak, który Wartanowi wyrządził tyle zła i przykrości, znajdował się teraz w tak żałosnym, bezradnym położeniu, że mimowolnie wzbudzał współczucie. Gdyby efendi w innych okolicznościach znalazł się w rękach młodzieńca, ten pewnie by go nie oszczędził, ale obecnie rozpostarte u nóg Wartana półżywe i okaleczone ciało poborcy jakby wręcz błagało o litość.

Wartan niejednokrotnie miał do czynienia z rannymi, sam również często bywał ranny, dlatego zawsze woził ze sobą podstawowe środki opatrunkowe. Najpierw zatamował ofierze krew i zabandażował rany na głowie.

Tymczasem mgła otuliła równinę, niebo pokryło się groźnymi chmurami; powiał silny wiatr zapowiadający burzę, zalśniła błyskawica.

Należało szybko szukać schronienia. Wartan ułożył rannego na siodle, przywiązał i – prowadząc konia za uzdę – ruszył w drogę. Ale w którą stronę powinien się udać? W okolicznych ormiańskich wioskach nie było żywej duszy. Przypomniał sobie, że niedaleko powinna być kurdyjska osada, i poszedł w tamtym kierunku.

Po drodze zastanawiał się nad tym, co mogło skłonić efendiego do próby popełnienia samobójstwa. Czyżby miał wyrzuty sumienia, odczuwał skruchę, żal za swoje grzechy?

Pamięć nie myliła Wartana: wkrótce pojawiły się światła, ale było do nich jeszcze daleko. Deszcz się nasilał. Wartan zdjął płaszcz i troskliwie okrył nim efendiego. Minęło sporo czasu, zanim dotarli do osady.

W kurdyjskich osadach domostwa bardziej przypominają ziemianki. Podszedłszy do najbliższej z nich, Wartan chciał zapukać, ale spostrzegł, że drzwi nie były zamknięte. „Ależ szczęśliwi ludzie, nie muszą obawiać się złodziei" – pomyślał. W ziemiance było ciemno, pewnie jej mieszkańcy już spali. Mimo to Wartan jednak zastukał. Wkrótce usłyszał zaspany kobiecy głos:

– Kto tam?

– Gość Boży.

Słowo „gość" odniosło pożądany skutek: Wartan został wpuszczony. Gospodyni rozpaliła ogień. Wyrwana ze snu nie zdążyła w pośpiechu włożyć ubrania i pozostawała w samej czerwonej koszuli nocnej ledwo zakrywającej kolana.

Kobieta pomogła Wartanowi: oboje wnieśli efendiego do środka i ułożyli na ławie.

– On jest chory?

– Nie, ranny.

Młoda kobieta przyniosła pudełko z prymitywnymi narzędziami chirurgicznymi.

– Jestem domową lekarką – powiedziała, wyjmując z pudełka plaster. – Kiedy mąż w krwawych potyczkach zostaje ranny, sama go leczę. Przedtem zajmowała się tym moja świekra, ale już jest na to za stara. A ja wszystkiego nauczyłam się od niej.

Wartan wiedział, że Kurdowie są znakomitymi medykami. Podziękował uczynnej kobiecie i powiedział, że udzielił już rannemu pierwszej pomocy.

Gospodyni bardzo chciała zademonstrować swoje lekarskie umiejętności, jednak widząc, że rany leżącego zostały dobrze zabandażowane, uspokoiła się.

– Teraz trzeba się jeszcze zatroszczyć o waszego konia – oświadczyła.

– Nie ma obawy – zapewnił Wartan – proszę mi tylko pokazać, gdzie mogę go uwiązać.

Młoda kobieta wzięła świecę i poprowadziła młodzieńca na podwórze. Tam wskazała mu miejsce do uwiązania konia. Widząc, że podwórko było otoczone niziutkim ogrodzeniem, Wartan zapytał:

– Czy tu jest bezpiecznie?

– A co tu może komuś grozić? – roześmiała się kobieta. – „Złodziej złodziejowi niczego nie ukradnie".

„Zaprawdę szczęśliwi ludzie" – pomyślał Wartan.

Wróciwszy do ziemianki, dopiero teraz zauważył, że na podłodze spały również dzieci, a w kącie leżała staruszka. Obudziła się, słysząc jego kroki, i nadal leżąc, spytała:

– Saro, czy to ty, synku?

– Nie, to nie Saro – podszedłszy do niej, rzekła młoda gospodyni – to gość.

Staruszka się uspokoiła i wkrótce znowu zasnęła.

– To moja świekra. Wciąż się nie może doczekać powrotu syna. Jej oczy już nie widzą.

– A gdzie jest twój mąż? – spytał zaciekawiony Wartan.

– W Bajazecie. Poszedł na wojnę. We wsi nie został ani jeden mężczyzna, wszyscy są teraz tam. Sama też ledwie dwa dni temu wróciłam z Bajazetu. Wybrałam się tam po łupy.

– I dużo przywiozłaś?

– Dużo czy mało… to wszystko Boży dar.

„Oto i wolna córa wolnego narodu – pomyślał Wartan. – Ileż w tobie prostoty i radości życia! A czy to twoja wina, że nauczono cię patrzeć na łupy jako na dar Boży? Gdyby wpojono ci inne przekonania, to z takimi swoimi wrodzonymi zdolnościami mogłabyś dokonywać cudów".

Wartan podszedł do rannego. Ten oddychał równo i tylko z rzadka wyrywał się z jego piersi głuchy jęk. Kurdyjka ponownie zaproponowała swoje usługi. Wartan ustąpił.

– Niebezpieczeństwo minęło – powiedziała kobieta, obejrzawszy rannego – rany nie są głębokie, ale kości – pogruchotane. Musiał mocno się potłuc.

Wartan nic nie odpowiedział.

Dopiero teraz poczuł, że jest bardzo głodny – cały dzień przecież nic nie jadł; bywają wszelako takie chwile, kiedy człowiek czujący głód nie jest w stanie przełknąć nawet kęsa. W takim właśnie stanie przebywał obecnie Wartan: był syty własnym smutkiem, zmartwieniem i zgryzotą.

– Nie trzeba nic gotować – powiedział – wystarczy kromka chleba i kawałek sera.

Odmowa wyraźnie dotknęła gościnną gospodynię.

– Proszę nie odmawiać, nie jesteśmy znów aż tacy biedni…

– No pewnie, Bajazet was wzbogacił!

– Nie tylko Bajazet, tutaj też nieźle się obłowiliśmy. W zeszłym roku padło nam całe bydło, cierpieliśmy głód, za to w tym roku Bóg nam to stokrotnie wynagrodził: jak miejscowi Ormianie stąd uciekli, cały ich dobytek stał się nasz.

– A dokąd oni uciekli?

– Nie wiem, wynosili się w takim pośpiechu, że prawie niczego nie zdążyli ze sobą zabrać. Bali się, że Turcy ich wyrżną.

– I zdołali się uratować?

– Niektórzy, bo tych, co w porę nie uciekli, Turcy wymordowali.

Przerażające sceny stanęły Wartanowi przed oczyma. Nie wątpił, że doszło do panicznej masowej ucieczki; ale dokąd uciekli mieszkańcy, Kurdyjka nie wiedziała, nie umiała tego powiedzieć.

Wartan pogrążył się w ciężkiej zadumie. Zapomniał o swoim głodzie i wcale nie zauważał ładnej Kurdyjki, która rozpaliła ogień i smażyła dla niego jajecznicę.

W innych okolicznościach młody mężczyzna nie pozostałby obojętny na wdzięki młodej kobiety, która nawet w zwykłej czerwonej koszuli była zadziwiająco piękna; Kurdyjka nie zdążyła narzucić chustki na głowę, toteż mógł również podziwiać jej cudownie gęste warkocze, które niby korona okalały wysokie czoło kobiety. Błyszczące oczy upodabniały ją do górskiej rusałki, która podziwia swoje odbicie w przezroczystej źródlanej wodzie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Była północ. W ziemiance wciąż jeszcze palił się ogień. W kącie na podłodze pochrapywała staruszka świekra; obok niej, mamrocząc i uśmiechając się przez sen, leżały pokotem dzieci; po drugiej stronie spała ich młoda matka. W ziemiance było tak duszno, że kobieta odrzuciła kołdrę i jej wysoką, jędrną pierś okrywały jedynie gęste włosy, a spała tak spokojnie jak niewinne dzieciątko.

„Teraz rozumiem, dlaczego nasi prarodzice nie przykrywali swojej nagości – rozmyślał Wartan. – Poczucie wstydu zrodziło się w nich dopiero po pierwszym grzesznym upadku. Naród kurdyjski nie zna pojęcia cielesnego grzechu, stąd też nieznane jest mu poczucie winy i wstydu. Gdyby ten wspaniały pierwotny naród wprowadzić w krąg cywilizacji, to stworzyłby on zapewne niezwykle pozytywną społeczność. Wszak kiedy gałązkę dziczki wszczepi się w pień uszlachetnionego drzewa owocowego, to wyda ona z czasem dobre jadalne owoce. Co by się stało, gdyby to zdrowe, żywotne, pełne radości życia plemię zlało się kiedyś z Ormianami?…”

Wartan długo siedział, oddając się smutnym rozmyślaniom. W wyobraźni widział mroczny obraz tragicznej, panicznej ucieczki mieszkańców Alaszkertu. „Drzewo, które nie zdołało ukorzenić się głęboko w ziemi, niechybnie zmarnieje, uschnie i zginie. Ormiański naród przez wiele wieków podupadał, wątlał i ubożał dlatego, że lekkomyślnie porzucał zagrzane już, zagospodarowane przez siebie siedliska. Naturalnie – drzewo, które nie zapuściło głęboko korzeni, nie może się oprzeć naporowi burzy. Uderzył huragan, rozszalała się nawałnica – i wyrwane z korzeniami drzewo runęło”.

Jak żywe rysowało się w pamięci Wartana energiczne oblicze Salmana, wydawało mu się, że słyszy płomienną przemowę rozentuzjazmowanego młodzieńca i – jakkolwiek naiwnie by ona czasem brzmiała – każde jej tchnące ognistym żarem słowo trafiało ludziom do przekonania, gdyż wypływało prosto z czystego serca. Wspomniał też Melika-Mansura, owego niestrudzonego poszukiwacza przygód, który kochał burzliwe życie i zawsze śmiało wychodził naprzeciw grożącym mu niebezpieczeństwom. Przypomniał sobie starostę Chacza – poczciwego staruszka, zawsze gotowego osuszyć łzy cierpiących współbraci. Przywołał również w pamięci obrazy jego synów: jedni z nich na tyle przywykli do roli

niewolników, że całkiem utracili swoją godność i właściwe pojmowanie wolności, podczas gdy w sercach pozostałych narastał protest i dojrzewała gotowość do walki.

Gdy błądził po labiryncie wspomnień, jego myśl wciąż powracała jednak do Lali.

Efendi jęknął i Wartan podszedł ku niemu; poborca ciężko dyszał, rzucał się w gorączce i coś mamrotał. Wartan przysłuchiwał się, ale słów nie rozumiał. Po kilku minutach chory się ocknął i uspokoił: uniósł głowę, powiódł półprzytomnym spojrzeniem po pomieszczeniu i zamknąwszy oczy, znów opadł na posłanie.

– Ach, gdyby choć jeden Ormianin był teraz przy mnie… – wykrztusił z trudem.

– Jestem, jestem tutaj – oznajmił Wartan.

– Daj mi swoją rękę…

Wartan się żachnął, jego twarz wyrażała obrzydzenie.

– Gdzie ja jestem?… Kto mnie tu przyprowadził? Kto mnie ocalił przed piekłem? Płynąłem w ognistym oceanie… było mi dobrze… bardzo dobrze. Smoki dusiły mnie w swoich objęciach… I znów je widzę, są… są tutaj! O tam, daleko, latają w ogniu… Jest ich chmara, całe zastępy…

Cierpiący, majaczący efendi skierował na Wartana mętne spojrzenie, ale go nie poznał – i ciągnął:

– Zasłużyłem na najstraszliwszą karę niebios, na ognistą Gehennę… i jestem za to wdzięczny mojemu losowi… Na ziemi nie dostąpiłem zaszczytu być uhonorowanym wielką chwałą, za to w piekle przewyższyłem największych nawet grzeszników. Spotkałem tam Wasaka, Merużana[194], West-Sarkisa[195], Kaina, tudzież mnóstwo innych łotrów – i wszyscy mi zazdrościli! Ach, jakaż to rozkosz pławić się w morzu ognia, doświadczać żaru płomieni i płonąć, nie spalając się… Jak to dobrze, że męki piekielne nie mają końca i trwają wiecznie…

Ranny bredził, jednak Wartan zrozumiał, że targają nim wyrzuty sumienia, ogarnęło go współczucie, toteż wziąwszy efendiego za rękę, powiedział:

---

[194] Wasak i Merużan – arystokraci Armenii, którzy zdradzili swój kraj w czasie wojny z Persami w V w. (przypis redakcji rosyjskiej, dalej: RR).

[195] West-Sarkis – arystokrata armeński, którego zdradzieckie działania ułatwiły Grekom podbój armeńskiego królestwa ze stolicą Ani w 1045 r. (RR).

– Uspokój się, poborco, rany nie są zbyt groźne, wkrótce staniesz na nogi.

– Słyszę znajomy głos…

– To ja, Wartan.

Efendi zadrżał, odepchnął rękę Wartana i krzyknął:

– Nie dotykaj mnie, nie kalaj się… Ja wiem, że jesteś dobrym człowiekiem, Wartanie, choć serce masz surowe. Zbierz całą swoją odwagę i zabij mnie – okażesz mi tym wielką przysługę. Porzuć moje ciało w alaszkerckiej dolinie, którą zbrodniczo zniszczyłem, doprowadziłem do ruiny, spustoszyłem… Niech mnie rozszarpią dzikie drapieżniki. Ale jeżeli zdołasz okazać mi potem nieco miłosierdzia, to zakop moje zwłoki i przysyp ziemią. Stamtąd moja dusza odnajdzie drogę do piekła, krainy wiecznych mąk… Ale nie, nie… jam przecież niegodzien leżeć w armeńskiej ziemi, mój trup by ją zbezcześcił…

– Uspokój się, efendi – powtórzył Wartan – zrobię wszystko, abyś został przy życiu.

– Myślałem… łudziłem się nadzieją, że zamknę oczy na wieki, byle nie widzieć ogromu wyrządzonego przez siebie zła. Niestety, Opatrzność mnie oszczędziła, darowała mi życie, abym patrząc na zrujnowane wsie i spustoszony kraj, zadręczał się wiecznymi wyrzutami sumienia… Opatrzność skazała mnie na straszne męczarnie. Pomagałem doprowadzić do zguby cały kraj, a samego siebie zabić nie zdołałem…

Ostatnie słowa wypowiedział z głęboką goryczą. Życie do takiego stopnia było dlań ciężarem, że jedynie śmierć wydawała mu się wybawieniem.

W tym momencie przebudziła się gospodyni.

– Widzę, że chory gorzej się czuje. Może czegoś potrzeba? – spytała zaniepokojona.

– Nie, niczego nie trzeba, on bredzi, ma wysoką gorączkę…

Kurdyjka podeszła do chorego i – pochyliwszy się nad nim – po raz pierwszy uważnie mu się przypatrzyła.

– Ja go znam, to jest Tomas-efendi! – wykrzyknęła strwożona.

– Tak, to on.

– Biedaczysko! Kilka dni temu napotkałam go w górach. Wlókł się bosy, z gołą głową, w podartym ubraniu… A jak zbliżali się do niego ludzie, on coś krzyczał i uciekał. Powiadali, że dostał pomieszania zmysłów, że pewno oszalał…

Wartan pomyślał, że on też wziął efendiego za szaleńca, kiedy zobaczył go stojącego na skale.

„Ale dlaczego efendi zwariował? Czyżby ten zepsuty do gruntu rozpustnik mógł dostać pomieszania zmysłów z powodu moralnej udręki?" – zachodził w głowę Wartan.

– Powiadają, że efendi zakochał się w jednej dziewczynie, która przepadła bez śladu w czasie ucieczki mieszkańców Alaszkertu; krążyły słuchy, że ją porwali jacyś nieznani ludzie.

– Jacy ludzie?… Jak tamta dziewczyna miała na imię?! – gorączkował się przerażony Wartan.

– Nie wiem, podobno…

Mimowolny, rozpaczliwy krzyk wyrwał się z ust Wartana. On dobrze wiedział, kto był przedmiotem pożądania efendiego… A więc dla niego dziewczyna jest już stracona… porwano ją… – ostatnia tląca się jeszcze w duszy Wartana iskierka nadziei zgasła, pozostawiwszy w jego sercu jedynie popiół wspomnień.

Nadszedł świt. Wesoło zaćwierkały ptaki. Burzliwa deszczowa noc minęła, wstawał pogodny słoneczny ranek.

Nagle drzwi się rozwarły i do ziemianki wbiegła rozradowana dziewczyna. Najwyraźniej przybyła z daleka: jej przemoczona na wskroś suknia była na dole uwalana błotem.

– Dżawo?!… – zdumiała się gospodyni i uściskała dziewczynę.

– Siostrzyczko!… – wykrzyknęła dziewczyna, nadstawiając tamtej do pocałunku swoje zaczerwienione policzki.

Wydawało się, że Wartan chwilowo zapomniał o swoim smutku i z mimowolną ciekawością patrzył na spotkanie dwu sióstr.

Gościni była wysoką, szczupłą dziewczyną o dość ładnej twarzy i pięknych czarnych oczach, które lśniły podobnie jak oczy siostry.

Zarówno twarz dziewczyny, jak i jej imię wydały się Wartanowi znajome, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy je wcześniej widział i słyszał.

– Wiesz co? – zaczęła dziewczyna – teraz Dżawo[196] na długo u ciebie zostanie, na bardzo długo… – Gospodyni wypuściła siostrę z objęć.

[196] Jak już o tym była mowa wyżej (przypis 76), Kurdyjki mówiły o sobie w trzeciej osobie (a nie w pierwszej) (AP).

Chociaż starsza siostra bardzo się ucieszyła z odwiedzin młodszej, to zasmuciły ją jednak ostatnie słowa Dżawo. Dawniej, kiedy młodsza siostra miała życzenie u niej pobyć, gospodyni bardzo niechętnie zgadzała się ją od siebie wypuścić.

– Co się stało? – spytała.

– E, nic strasznego, nie bój się…

I Dżawo jęła opowiadać, że jej pani zwolniła ją tylko na jakiś czas; będzie więc mieszkać u siostry, zanim pani nie wezwie jej z powrotem. Pani obdarowała Dżawo pieniędzmi, sukniami i czymś jeszcze. Wszystko to Dżawo przyniosła z sobą.

– O, tylko popatrz…

I poczęła rozsupływać tobołek, aby pokazać siostrze ofiarowane podarki, ta jednak nadal nie wyzbywała się wątpliwości i zapytała:

– Dlaczego pani cię zwolniła?

– Dżawo potem ci powie. To trzeba długo, długo opowiadać, całkiem jak historię o Lejli i Madżnunie[197].

Dżawo oświadczyła, że jest strasznie zmęczona, bo szła całą noc i przemokła do suchej nitki. Przyznała też, że bardzo zgłodniała, i poprosiła siostrę o trochę mleka. Ta schwyciła cebrzyk i pobiegła udoić świeżego mleka. A Dżawo dopiero teraz zauważyła obecność gościa i jej błyszczące oczy spotkały się z bacznym spojrzeniem Wartana.

– Miła Dżawo, ty jesteś służącą Churszid, prawda?

– Tak, to prawda.

– Żony Fattah-beja?

– Właśnie tak.

Wartan ucieszył się, jak gdyby odnalazł wreszcie koniec splątanej nici, i z udawaną obojętnością rzucił:

– Ale przecież bej ma też inną żonę, młodziutką Ormiankę.

– Nie ma! Dżawo ją zabrała i wywiozła.

– Tę Ormiankę?

– No pewnie, Lalę-Stepanika, bo ona ma dwa imiona.

Serce Wartana radośnie drgnęło.

– A gdzie Dżawo wywiozła dziewczynę?

– Dżawo zawiozła ją do swojej pani, a moja pani wysłała ją do ruskich krajów.

[197] Lejla i Madżnun – arabskie imiona pary orientalnych legendarnych kochanków (AP).

Ogarnięty płomienną radością Wartan rzucił się uściskać Dżawo.

– Całuj, całuj Dżawo… – powtarzała. – Dżawo ją ocaliła.

– Dżawo! Bądź mi siostrą – powiedział Wartan i po bratersku ucałował dziewczynę.

Weszła starsza siostra, niosąc cebrzyk ze świeżym mlekiem, prosto od krowy. Ciepłe mleko wzmocniło dziewczynę i uśmierzyło głód.

– No to teraz opowiadaj – zażądała starsza siostra.

Dżawo z właściwym sobie dziwnym sposobem mówienia powiedziała, że mąż jej pani, Fattah-bej, już dawno temu pokochał młodą Ormiankę, która była córką starosty Chacza (starostę Chacza znali wszyscy w okolicznych wioskach). Pani nie chciała, żeby Lala została żoną beja, bo bała się, że ta śliczna młoda dziewczyna oczaruje małżonka i – nie daj Boże – odbierze go jej. Cierpiąc męki zazdrości, pani ze wszystkich sił starała się nie dopuścić do tego małżeństwa, ale bej nie ustępował, i gdy tylko wrócił z Bajazetu, zamierzał pojechać i porwać Lalę. Churszid jednak go wyprzedziła i z dwoma sługami posłała Dżawo do wioski O…, żeby wykraść Lalę i wywieźć ją do obcych krajów. Dżawo znalazła dziewczynę. Lala razem z Sarą, żoną swojego brata, znalazła schronienie w domu księdza. Sara dawno już wiedziała o zamiarach beja i kiedy dziewczyna jej powiedziała, po co przysłała ją pani Churszid, Dżawo z radością zgodziła się jeszcze tej samej nocy uciec wraz z Lalą ze wsi.

Słudzy gospodyni odwieźli Sarę i Lalę do rosyjskiej granicy – i bej został z niczym. Jego żona śmiała się w duchu uradowana, że tak sprytnie wystrychnęła męża na dudka.

Po kilku dniach słudzy powrócili i oświadczyli, że dowieźli szczęśliwie dziewczynę na miejsce przeznaczenia. Wówczas pani kazała Dżawo wynieść się do siostry i pozostać u niej, dopóki bejowi gniew nie minie.

Opowieść Dżawo tak pochłonęła słuchaczy, że całkiem zapomnieli o chorym. Gdy dziewczyna skończyła, nieoczekiwanie rozległ się jego głos:

– Teraz mogę spokojnie umrzeć… słyszę, że Lala… ocalona!

Wartan podszedł i na powrót ułożył na ławie efendiego, który usiłował się podnieść.

– „Poczuwszy zapach owsa, zgłodniały osioł zdechł, nie zdążywszy nawet go skosztować…” – takie były ostatnie słowa efendiego.

Kurdyjka i jej siostra podeszły do leżącego nieruchomo poborcy.

– On umarł – powiedział Wartan.

– Biedaczysko! – westchnęły obie siostry.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Panował nieznośny lipcowy upał. Ciężkie, duszne, rozpalone powietrze lśniło i kłuło milionami ognistych igieł. Omdlewające z gorąca ptaki chowały się przed słońcem w gęstwinie drzew, na których nie drgnął nawet jeden listek. Tylko muchy, komary i meszki z dokuczliwym brzęczeniem krążyły niestrudzenie w powietrzu, wpadając człowiekowi do ust, do nosa, do uszu i żądliły boleśniej niż palące promienie słońca.

Starożytny Wagharszapat[198] przybrał niezwykły wygląd. Całe miasteczko było przepełnione uchodźcami.

Gdziekolwiek się spojrzało, wszędzie tłoczyły się kobiety i dziewczyny, staruszkowie i dzieci – wszyscy skrajnie wyczerpani, w postrzępionych łachmanach, z błędnymi, żałosnymi twarzami…

Wokół murów eczmiadzyńskiego[199] klasztoru i w jego wnętrzu; tam, gdzie drzewa otaczały sadzawkę Nersesa[200], aż po samą świątynię św. Gajane[201] i do skraju lasu posadzonego przez tegoż katolikosa – w każdym miejscu, gdzie był choćby skrawek cienia, wszędzie kłębiło się ludzkie mrowisko.

---

[198] Wagharszapat – współczesna wschodnioormiańska wymowa nazwy założonego w starożytności miasta, które leżało w odległości około 15 km na zachód od współczesnej stolicy Armenii, Erywania. Dosłownie nazwa ta oznaczała „miasto" (*apat*, por. współczesny perski element *abad* w nazwach typu *Chorram-abad*) „Wologazesa" (imię arystokraty perskiego) (AP).

[199] Eczmiadzyński – przymiotnik utworzony od nazwy miasta Eczmiadzyn związanej z Wagharszapatem (por. przypis 198). Historia tej nazwy jest następująca. Na początku IV w. chrystianizator Armenii, św. Grzegorz Oświeciciel (po ormiańsku: surb Grigor Lusaworicz), miał mistyczne widzenie: zobaczył Chrystusa zstępującego na ziemię. Po przebudzeniu postanowił wraz z królem Armenii Tyrdatem (Tiridatesem) III (którego ochrzcił) zbudować katedrę w miejscu zstąpienia Chrystusa. Po staroormiańsku *Edż Miacin* znaczy „Zstąpił Jednorodzony". Tak nazwano katedrę (we współczesnej wymowie: Eczmiadzin), która do dziś stanowi centrum duchowe Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego. W XIX w. miasteczko Wagharszapat, określane także nazwą Eczmiadzyn, wraz ze znajdującą się na jego terenie katedrą należało do Rosji (AP).

[200] Chodzi tu o katolikosa (patrz przypis 94) Nersesa V z Asztaraku, który rządził Ormiańskim Kościołem Apostolskim w latach 1843-1857, por. Malachiasz Ormanian, *op. cit.*, s. 162, punkt 121 (AP).

[201] Święta Gajane – opatka zakonnic armeńskich z początków IV w., por. Malachiasz Ormanian, *op. cit.*, s. 26-27 (AP).

Trzy tysiące mieszkańców Alaszkertu z rodzinami, którzy porzucili swoje zasiedziałe miejsca, domy i dobytek, znalazło tu schronienie, ratując się przed ostrzem tureckiego jataganu[202]. W Wagharszapacie nie było takiego domu, w którym nie tłoczyłoby się do dziesięciu rodzin nieszczęsnych uciekinierów. W stajniach, oborach, na podwórkach – wszędzie ich było pełno. Należało nie tylko zapewnić im dach nad głową, wyżywić owe tysiące ludzi, ale okazać im też opiekę medyczną. Przesiedlenie się z górskiego alaszkerckiego kraju do ararackiej doliny – i to w najgorętszej letniej porze – oznaczało nieuchronne podczas takiej podróży uciążliwości i wyrzeczenia, które okazały się zgubne dla mnóstwa uchodźców.

Było południe – czas, w którym przerywana jest praca na polach, a ludzie i zwierzęta spieszą ukryć się w cieniu, żeby choć trochę odetchnąć. Ludzie bardziej zamożni odpoczywają natomiast w chłodnych pokojach swoich domów, popijając herbatę po obfitym obiedzie.

Wśród mieszkańców Alaszkertu – słaniających się wówczas po podwórkach i wypraszających jałmużnę – zwracała uwagę zwłaszcza jedna uciekinierka. Chuda, wycieńczona twarz i blada, pożółkła cera sprawiały, że szesnastoletnia dziewczyna przypominała przedwcześnie uwiędły kwiat.

W jej czarnych oczach taił się głęboki smutek, a bezkrwawe wargi zdawały się mówić, że jeszcze nie całkiem wydobrzała po ciężkiej chorobie. Nie bacząc wszakże na ową chorobliwą szczupłość, twarz dziewczyny nadal zachowywała ślady jej zdumiewającej urody.

Wydawało się, że los zgotował tej subtelnej, delikatnej istocie okrutną niespodziankę, że ją poniżył, odziewając w łachmany, że zbezcześcił jej piękno, by móc się z niego naigrawać. Ujmujący czar osobisty dziewczyny był jednak tak wielki, że mimowolnie wywoływał głębokie współczucie.

Łachmany ledwo przykrywały jej ciało.

Dziewczyna powoli szła jedną z ulic Wagharszapatu, z trudem poruszając nogami. Nagrzana ziemia parzyła jej bose stopy niby rozpalone żelazo. Za dziewczyną, jak dwa aniołeczki, dreptali mali chłopcy. Ich opiekunka długo chodziła od domu do domu, zatrzymując się od

[202] Jatagan – dawny turecki sztylet (AP).

czasu do czasu przed jakąś furtką, i z opuszczoną głową niekiedy całymi godzinami cierpliwie czekała w nadziei, że ktoś się nad nią zlituje i wyniesie kawałek chleba. Wyczuwało się bowiem, że duma nie pozwalała jej prosić o jałmużnę, że miewała w życiu lepsze dni i jedynie pechowe koleje losu sprawiły, że stała się nędzarką. Dziewczyna była wyczerpana moralnym cierpieniem: urażona godność osobista i zraniona duma dręczyły ją bardziej niż choroba podkopująca jej siły fizyczne.

Przechodziła od drzwi do drzwi, ale nikt jej nie dawał jałmużny. W końcu, pokonawszy wewnętrzny opór i skrępowanie, weszła do pobliskiego domu i – ujrzawszy gospodynię – nieśmiało poprosiła:

– Może da mi pani kawałek chleba…?

– A bodajście wszyscy przepadli!… Nie nastarczy człowiek z dawaniem im jedzenia! To jednemu daj, to drugiemu…

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy, cofnęła się i już chciała odejść, ale myśl o głodnych dzieciach i ich głodującej matce jednak ją powstrzymała. Otarłszy łzy, ponownie zamierzała prosić o chleb, lecz w tym momencie z sąsiedniego pokoju wybiegł mały piesek i chwycił za wystrzępiony dół jej sukni. Wystraszona dziewczyna rzuciła się do ucieczki, zostawiając w psich zębach oderwany kawałek swojego łachmana. Dwaj malcy jęli rozdzierająco krzyczeć.

Jako tako przysłoniwszy dziurę, dziewczyna skierowała się do klasztoru. Na ulicy walała się skórka arbuza. Dzieci błyskawicznie zapomniały o swojej niedoli i rzuciły się ku niej. Jeden z chłopców schwycił skórkę, wytarł o rąbek swojej koszuliny i zaczął gryźć. Drugi z płaczem próbował mu ją wyrwać. „Daj mi, ja też jestem głodny!" – krzyczał żałośnie. Między chłopcami doszło do bójki. Dziewczyna podzieliła skórkę na pół i pogodziła dzieci. W tym czasie akurat ulicę szybkim krokiem przemierzał młody człowiek.

Poznawszy dziewczynę, podszedł do niej.

– Przecież jeszcze nie wydobrzałaś. Zabroniłem ci wychodzić – powiedział. – Dlaczego mnie nie posłuchałaś?

Dziewczyna stropiła się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Bo też w samej rzeczy czuła silne osłabienie i z trudem utrzymywała się na nogach. Młodzieniec spojrzał na dwóch malców, którzy wciąż łapczywie wgryzali się w kawałki łupiny arbuza, wyrwał im je, wyrzucił i zapytał:

– Jak można coś takiego jeść?

Dzieci okazały się śmielsze niż matkująca im dziewczyna i ze łzami w oczach wypaliły:

– Bo jesteśmy głodni!

– A czy w klasztorze nie dają wam jeść? – zwrócił się do dziewczyny ów nieznajomy młodzieniec.

Ta, zamierając, opuściła swe śliczne oczy i z trudem powiedziała:

– Jeśli to możliwe, proszę nam znaleźć inne miejsce – i wyniesiemy się z klasztoru.

– Jak widać, ten niegodziwy archimandryta[203] kiepsko się o was troszczy.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała i wciąż stała skulona, jakby się bała, że po wyrazie jej twarzy młody człowiek domyśli się tego, co chciała przed nim ukryć.

– Rozumiem! – wykrzyknął z oburzeniem. – Idź teraz do domu, w taki upał nie powinnaś wychodzić na ulicę, jeszcze nie jesteś zdrowa i możesz się znowu ciężko rozchorować. Za godzinę wrócę i wydam polecenie, żeby się o was lepiej zatroszczyli. A jak tam twoja bratowa?

– Wciąż tak samo. Dzisiejszej nocy znowu bredziła – smutno odparła dziewczyna i nieśmiało spoglądając na swojego rozmówcę, z nadzieją zapytała:

– Pan nie zostawi nas w klasztorze, prawda?

– Nie zostawię. Przeniosę was w inne miejsce – obiecał młodzieniec i spiesznie odszedł, pomyślawszy w duchu: „Biedna istota, jak też szybko obrzydł jej klasztor".

Ów młodzieniec – lekarz – był synem bogatego wagharszapackiego ziemianina. Niedawno ukończył Petersburski Uniwersytet i jako „świeżo upieczony medyk" szukał okazji do praktycznego zademonstrowania swoich umiejętności.

Możliwość leczenia alaszkerckich uciekinierów dawała mu w tym względzie szerokie pole do popisu. Ruchliwy, energiczny, pełen szlachetnych intencji, odczuwał zadowolenie, mogąc okazywać fachową pomoc nieszczęsnym uchodźcom. Jako lekarz odznaczał się niezwykłą

[203] Archimandryta – grecki termin kościelny oznaczający opata, przełożonego klasztoru (AP).

wielkodusznością. Nie tylko nie brał pieniędzy za leczenie, ale nawet bezpłatnie rozdawał chorym lekarstwa i troszczył się o to, żeby mieli zapewnione dach nad głową i wyżywienie. Dlatego dziewczyna z taką ufnością zwróciła się doń z prośbą, żeby przeniósł je gdzie indziej.

Pożegnawszy się z doktorem, dziewczyna powlokła się do klasztoru. Szła, ledwo powłócząc nogami, i co pewien czas przysiadała dla nabrania sił. Z karczmy położonej naprzeciwko klasztoru jacyś podchmieleni hulacy wołali na nią, proponując pieniądze. „Ci ludzie są gorsi od Kurdów" – pomyślała dziewczyna i walcząc ze słabością, posuwała się dalej.

Minęła główne wejście i – obszedłszy zachodni odcinek klasztornego muru – udała się do tej bramy, która prowadziła do lasu. To przez tę bramę trafiła do Ghazarapatu[204]. Ta część klasztoru w dni świąteczne stawała się zajazdem dla pielgrzymów; obecnie tłoczyli się tutaj chorzy uciekinierzy z Turcji.

Dziewczyna weszła do jednej z cel na parterze. W wilgotnym, zagrzybionym i pozbawionym światła wnętrzu, na ściółce ze słomy rzuconej prosto na ceglaną posadzkę, leżała kobieta okryta kawałkiem chodnika. Dzieci podbiegły i – obejmując chorą matkę – zaczęły całować jej chude ręce, ona jednak nie odwzajemniała ich pieszczot, gdyż ciągle ni to zasypiała, ni traciła świadomość.

Dziewczyna poprosiła dzieci, by zostawiły chorą matkę w spokoju, i przykazała, żeby pobawiły się na dworze. Dzieci posłusznie wyszły, usadowiły się w pobliżu drzwi i zaczęły budować domki z piachu i kamieni. A osłabiona dziewczyna położyła się na gołej posadzce, z braku poduszki podparła łokciem swoją piękną głowę i pełnymi łez oczami jęła przypatrywać się chorej. Była tak wyczerpana i udręczona, że pragnęła tylko jednego – usnąć, żeby choć na chwilę odpocząć i uspokoić się, ale łzy ją dławiły i w smutnych oczach wciąż nie było snu. Dziewczyna pragnęła, aby jej oczy zamknęły się na wieki i przestały widzieć ten słoneczny świat, który dla niej już cały tonął w mroku. Jak wiele nieszczęść musiała, biedaczka, przeżywać, jak wiele upokorzeń znosić! Straciła ojca, braci,

[204] Ghazarapat (dosłownie: „miasto Łazarza") – nazwa seminarium, w którym mieszkali diakoni Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego w Eczmiadzynie (Wagharszapacie) (AP).

rodzinny dom, swoich bliskich – wszystkich i wszystko, co kochała; toteż w obcym kraju[205], osierocona, zdana jedynie na łaskę losu, snuła się po ulicach, prosząc bądź żebrząc o jałmużnę. Jedyna jej obrończyni, w której pokładała wszystkie nadzieje, leżała teraz ciężko chora i w każdej chwili mogła umrzeć. Jaki los ich wtedy czeka? Kto się zatroszczy o osierocone dzieci? Gdyby choć ona była zdrowa, to podjęłaby się każdej, najgorszej nawet pracy, byle tylko wyżywić chłopców. Ale jej siły słabną z każdym dniem, życie wisi na włosku, widać bliski już, upragniony koniec… Jednak śmierć, nie wiedzieć czemu, stale się spóźnia, na co ona jeszcze czeka?…

Mroczne myśli pochłaniały nieszczęsną dziewczynę i gorące łzy płynęły po jej bladej twarzy, kiedy raptem z podwórza dobiegł czyjś grubiański, szorstki głos. Spasiony mnich[206] w czarnym kłobuku[207] i czarnym habicie, przechodząc obok, zobaczył dzieci bawiące się w pobliżu celi i wściekle je zaatakował:

– Wynocha stąd, szczeniaki! Całą ziemię rozkopały!…

Dzieci nie chciały odchodzić, ale mnich tak groźnie na nie zatupał, że przerażone z wielkim płaczem uciekły do celi. Głośne zawodzenie braci przywróciło na chwilę świadomość ich leżącej bez czucia matce. Objęła chłopców i jęła delikatnie obu uspokajać, nie znając przyczyny ich łez.

Raptem w drzwiach celi pojawił się tenże rozwścieczony mnich:

– Natychmiast wynoście się stąd! – wrzasnął. – Ile razy już wam mówiłem, żebyście znaleźli sobie inne miejsce!

Do kogo on się zwracał? Chora matka niczego nie słyszała – cała drżąca – tak mocno przyciskała swoje dzieci do piersi, jak gdyby ujrzała je po raz pierwszy. Dwa dni leżała w malignie, a teraz głosy ukochanych

---

[205] Dziwne to, że dla autora, Ormianina „perskiego" (pochodzącego z Iranu), tereny historycznej Armenii, na których leżały takie stare armeńskie (ormiańskie) miasta jak Wagharszapat (z Eczmiadzynem) i Erywań, były „obcym krajem" (chodzi o Rosję). Tym bardziej, że Rosjan tam było niewielu. Zdecydowanie dominowała w tych okolicach ludność armeńska (ormiańska), dla której przybywający z Turcji (dokładniej: z historycznej Armenii Zachodniej) uchodźcy byli przecież rodakami (AP).

[206] Mnich, w oryginale ormiańskim: *abegha* „ojciec zakonny" (AP).

[207] Kłobuk – stożkowate nakrycie głowy wschodniochrześcijańskich duchownych. Wyraz pochodzenia tureckiego (*kałpak* „czapka") obecny już w języku staro-cerkiewno-słowiańskim z IX w. (AP).

pociech przywróciły ją do świadomości. W celi nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć wrzeszczącego mnicha i przyjąć do wiadomości jego słowa. Młoda dziewczyna jednak tak się przejęła jego gromkimi krzykami, że aż zrobiło jej się niedobrze. A wystraszeni malcy zamarli w objęciach matki.

Wtem potok wyzwisk mnicha stanowczo przerwał czyjś głos:

– Na kogo tak rzucasz gromy, świątobliwy ojcze?

– A, witam, witam, szanownego doktora, jak się żyje? – z uśmiechem, natychmiast uspokoiwszy się, powiedział mnich.

– O mnie się nie obawiaj – odpalił doktor, świdrując go spojrzeniem. – Co ty wyprawiasz? Czemu tych biednych kobiet nie zostawisz w spokoju?

– A niby co złego robię? Kazałem im opuścić celę i przenieść się w inne miejsce. Jest zarządzenie, żeby uciekinierów trzymać w klasztorze nie dłużej niż dwa dni, każdego dnia bowiem przybywają coraz to nowe ich partie. Nie wiemy, gdzie ich pomieścić.

– Ale dokąd one pójdą? Czy nie widzisz, w jakim są stanie?

– Nic na to nie poradzę, taki dostałem rozkaz.

Ten gruboskórny mnich pełniący w klasztorze obowiązki ekonoma był dowcipnisiem i kłamcą – każdy mógł sobie z niego pożartować, a zwłaszcza doktor, który szczególnie lubił pokpiwać sobie z duchownych[208].

– Mnie nie oszukasz, świątobliwy ojczulku, lepiej się przyznaj, że wpadła ci w oko ta ładniutka dziewczyna, prawda?

– Zmiłuj się, łaskawco, co też ty wygadujesz?

– Biczować by was należało – powiedział doktor, wchodząc do celi.

Jego pojawienie się było wielką pociechą dla nieszczęsnych kobiet. Wręczył im lekarstwa i oznajmił, że wydał rozporządzenie, aby je przeniesiono. Zamieszkają w zwykłym domu, gdzie znajdą wszelkie wygody, niezbędną opiekę i wyżywienie.

– Oby jak najszybciej… – pełnym wdzięczności, modlitewnym głosem odrzekła chora.

[208] Na dalszych stronach wyraźnie widać, że sam Raffi również lubił kpić z duchownych, a nawet odnosić się do nich w sposób szyderczy (AP).

– Proszę się nie obawiać. Wkrótce moi ludzie po was przyjdą – zapewnił doktor i poszedł odwiedzić innych chorych przebywających w klasztorze.

– No widzisz, Lalu, widzisz, córeńko? – mówiła chora, usiłując pocieszyć szlochającą dziewczynę. – Bóg nie zapomniał o nas biednych i w ciężkiej chwili zesłał nam swego anioła stróża. Nie płacz, córeńko: zobaczysz, nastanie jasny ranek; przyjdzie taki dzień, kiedy znowu będziesz szczęśliwa…

– Po tym, droga Saro – gorzko płacząc, odparła Lala – po tym wszystkim, co się wydarzyło, zostaje mi tylko jedno – umrzeć.

Do celi weszli dwaj mężczyźni. Byli to słudzy doktora. Przynieśli z sobą jedzenie i tobołek z odzieżą dla Sary, Lali i dzieciaków.

Podekscytowane kobiety niczego nie tknęły, nie miały na nic ochoty, natomiast dzieci łapczywie rzuciły się na jedzenie. Słudzy na podwórku cierpliwie czekali, dopóki nie skończą.

Lala przebrała się, ściągnęła z Sary łachmany, ubrała półnagie dzieciaki, po czym – zmieniona już nie do poznania – rodzina opuściła klasztor i udała się do nowej, znalezionej przez doktora siedziby.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Pod wieczór zerwał się „wiaterek św. Grzegorza Oświeciciela”[209] i całodzienny skwar ustąpił miejsca wieczornemu chłodowi. Ów błogosławiony wiatr ożywia swoim zbawiennym tchnieniem nie tylko Wagharszapat, ale też całą araracką dolinę, i w letnim czasie wieje przez cały wieczór. Nie bez racji ludowe podanie głosi, że nasz ojciec Oświeciciel przykazał temu wiatrowi chronić naród ormiański przed chorobami.

Opuściwszy duszne klasztorne cele po rozkosznej poobiedniej drzemce, zadowoleni mnisi spacerowali zacienionymi alejami wokół stadzawki św. Nersesa. „Świątobliwi ojczulkowie” dostojnie chodzili

[209] Św. Grzegorz Oświeciciel – po ormiańsku: Surb Grigor Lusaworicz; chrystianizator Armenii (początek IV w.) (AP).

parami bądź pojedynczo, w miarę możliwości unikając bliższego, niepożądanego kontaktu z innymi braćmi. Podejrzliwość, odosobnienie, wzajemna nieufność względem siebie były znamienną cechą owej klasztornej społeczności.

Staw był położony na wzniesieniu, jego dno wyłożono kamieniami. Od podnóża wzniesienia aż do Kościoła św. Gajane rozciągał się stary cmentarz, na którym teraz nieustannie kopano groby i grzebano zmarłych. Łopaty i szpadle w rękach niezmordowanych grabarzy były w ciągłym ruchu.

Ksiądz pospiesznie odmawiał modlitwy i biegając od grobu do grobu, sprawował obrzędy pogrzebowe. Na cmentarzu panowało głębokie milczenie: ani płacz krewnych, ani łzy przyjaciół nie towarzyszyły zmarłym w drodze na tamten świat, jak gdyby żywi cieszyli się wręcz z tego, że owi nieszczęśnicy wyzwolili się już z doczesnej męczarni i nareszcie znajdą w mogile wieczny spokój. Grzebano martwych alaszkerckich uchodźców.

– Jak wielu ich umiera! – zauważył jeden z mnichów, zwracając się do swego towarzysza.

– Szczerze mówiąc, ja nie widzę żadnej różnicy – obojętnie stwierdził drugi mnich – tam by ich wyrżnęli Kurdowie i Turcy, a tu przynajmniej sami umierają… Ale odeszliśmy od tematu – kontynuował ów drugi mnich – powtarzam ci, że jemu nie można ufać. Wprawdzie zbliżył się do nas, udaje przyjaciela i niby nam współczuje, stosuje różne chytre sztuczki, ale to wszystko fałsz i jedno wielkie kłamstwo. On chce wydobyć nasze sekrety, ażeby później donieść, gdzie należy. To szpieg, najprawdziwszy szpieg. Dlatego jest przyjmowany w „Najwyższym Jeruzalem”[210]. I bardzo możliwe, że jego nadzieje się ziszczą – zostanie biskupem i otrzyma bogatą diecezję.

– Wszystko, co mówisz, to prawda, ale z wyjątkiem tego ostatniego: on nie będzie ani biskupem, ani zwierzchnikiem diecezji. Wprawdzie „czwarty”[211] szczodrze szafuje obietnicami, ale rzadko i bardzo niechęt-

[210] „Najwyższe Jeruzalem” – ironiczne określenie Eczmiadzynu jako stolicy duchowej Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego (AP).

[211] „Czwarty” – chodzi o katolikosa Geworga (Jerzego) IV Kerestedżiana, który rządził Ormiańskim Kościołem Apostolskim w latach 1866-1882, por. Malachiasz Ormanian, *op. cit.*, s. 162, punkt 123 (AP).

nie je spełnia. Do pewnego czasu „góra” będzie tego głupca popierać i hołubić, ale potem przytnie mu ogon i przepędzi na cztery wiatry, a jego stanowisko odda komuś bardziej odpowiedniemu. O, popatrz, jeszcze jakichś dwóch umarlaków niosą do piachu…

– Na miłość boską, daj spokój, co oni cię obchodzą!… Wracajmy do tematu! Chodzi mi o to, że tego chytrego lisa bardzo trudno oszukać.

– Czasem najcwańszy nawet lis wpada wszystkimi łapami w potrzask…

– Ciszej mów, niech tamci najpierw przejdą…

W ich stronę po tej samej alei szli dwaj inni mnisi. Kiedy podeszli bliżej, również przerwali rozmowę. Owi dwaj mnisi byli członkami Synodu[212]. Gdy obie pary mnichów się minęły, rozmowy zostały wznowione.

– Należałoby urządzić licytację, teraz jest na to najlepszy czas.

– Dlaczego?

– Dlatego, że panowie N., M., i Ch., którzy dzierżawią klasztorne ziemie, wyjechali w swoich sprawach – jeden do Aleksandropola[213], drugi do Igdiru, a trzeci też jeszcze dokądś… Trzeba wykorzystać ich nieobecność i ogłosić licytację. Jeżeli teraz ją przeprowadzimy, to dzierżawa na pewno przypadnie Satalianowi, on zawrze umowę na swoje nazwisko, a my zostaniemy jego cichymi wspólnikami.

– Ale, jeśli się nie mylę, pan Satalian nie ma tyle gotówki, żeby wnieść wadium.

– Wiem, ale to żadna przeszkoda: dostarczymy mu pieniądze i wniesie wadium.

– A ty masz jakieś pieniądze?

– Mam oprocentowane papiery.

– Wszystko jedno. A zatem jutro się zbierzemy i podejmiemy decyzję w sprawie licytacji. Obawiam się tylko, że „góra” może nam w tym przeszkodzić.

---

[212] Synod – wyraz pochodzenia greckiego o pierwotnym znaczeniu: „wspólna droga”. Chodzi tu o zespół duchownych zarządzających Ormiańskim Kościołem Apostolskim (AP).

[213] Aleksandropol (obecnie: Giumri, pierwotnie: Kumajri; w okresie ZSRS – Leninakan) – miasto nad rzeką Achurian (granica armeńsko-turecka). Miastu nadano tę nazwę w roku 1837 na cześć żony cara Mikołaja I, Aleksandry (!). (AP)

– To raczej wątpliwe, bo czyż ci hososi[214] nie postępują tak samo? Jeżeli ten najwyższy diabeł wetknie swój nos do naszej sprawy, to wystarczy, że szepnę mu tylko coś na ucho – i będzie milczał.

Oto jakie rozmowy prowadzili ze sobą ojcowie zakonni[215]. Pochłonięci intrygami i sekretnymi spekulacjami, nie interesowali się bynajmniej tym, co działo się wokół; żaden z mnichów nie myślał o tym, że pozbawieni dachu nad głową i głodni uchodźcy z Alaszkertu umierają jak muchy. Nikt nie zadawał sobie pytania, dlaczego ci ludzie stali się uchodźcami i co ich czeka tutaj, na obczyźnie[216].

Grupa mnichów zasiadała w lesie na pięknych perskich dywanach i – jak zawsze wieczorami – raczyła się herbatą.

Nieco dalej ich młodzi weseli służący, śmiejąc się i żartując, przygotowywali dla nich jedzenie. Na talerzach ułożyli biały chleb, masło; rozstawili też pojemniki ze śmietanką, butelki z rumem oraz inne frykasy. Wieczorny chłód i świeże leśne powietrze pobudzały apetyty świątobliwych ojczulków: pili, jedli, weselili się, nie myśląc o tym, że nieopodal, w tym samym lesie, na mokrej gołej ziemi, walały się pokotem setki głodnych uchodźców.

– Jaki aromatyczny rum, skąd on pochodzi, czcigodny ojcze? – zapytał jeden z mnichów, rozkoszując się herbatą z rumem.

– Skąd pochodzi? – powtórzył zapytany. – Czyżbyś nie wiedział, że moja cela jest dla pielgrzymów taką świętością, że sama z siebie wyciąga od nich ofiary?[217]

– Rozumiem… Dobrze jest posiadać tak wielką siłę przyciągania!

Słońce już zaszło, w lesie robiło się coraz ciemniej, chociaż złocisty odblask zachodu wciąż jeszcze płonął na niebie. „Wiaterek św. Grzego-

[214] Hososi – tak wschodni Ormianie nazywali ironicznie swych zachodnich rodaków mieszkających w Stambule. Nazwa ta była żartobliwym powtórzeniem (pierwotnie: *hos-hos*) zachodnioormiańskiego wyrazu *hos* (o znaczeniu: „tutaj, tu"). Wyraz ten nie występuje w języku wschodnioormiańskim (AP).

[215] Autor przedstawia zakonników Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego w satyrycznym świetle, jako ludzi chciwych i samolubnych, por. przypis 226 (AP).

[216] Por. przypis 223 (AP).

[217] Istnieje legenda o opuszczonych świątyniach i kaplicach, do których – podczas uroczystości odpustowych odprawianych w sąsiednich parafiach – zwierzęta same podchodziły, a pasterze łapali je dla złożenia w ofierze [przypis autora].

rza Oświeciciela" zupełnie osłabł, jedynie liście na drzewach lekko i tajemniczo szeleściły. Leśną ciszę zakłócały tylko ciężkie westchnienia uchodźców. Pogłębiała się ciemność, a nocny mrok zawsze budzi gorzkie wspomnienia.

Głodny i goły przybysz z Alaszkertu, leżący na ziemi pod gołym niebem, jakby dopiero teraz się ocknął i ze szczególną ostrością odczuwał cały tragizm swojego położenia.

Myślał o tym, że posiadał niegdyś majątek, a teraz musi żyć z jałmużny; wspominał, że dawniej miał dach nad głową, a obecnie stał się bezdomnym tułaczem; wspominał swoje dzieci, które utracił. Gdzie one przepadły, kto je porwał, co się z nimi stało? – tego nie wiedział. W owej strasznej godzinie, kiedy matka zapominała o swoich dzieciach, brat – o siostrze, mąż – o żonie; kiedy pędzeni wichrem przerażenia ludzie ratowali się przed tureckimi szablami, ich świat zginął w chaosie i runął w przepaść.

Utraciwszy wszystko, co mu było najdroższe, wszystko, czym dotąd żył, każdy z owych ludzi nosił w sercu nieuleczalną, ciągle krwawiącą ranę.

Oto dlaczego tej nocy w całym Wagharszapacie słychać było szlochania i jęki uchodźców… Dręczył ich wspólny nieutulony żal i znikąd nie zaznawali pocieszenia.

W tym samym czasie, uważnie wpatrując się w twarze uciekinierów, przechodził lasem pewien człowiek; niekiedy zbliżał się do koczujących tu ludzi i prowadził z nimi rozmowy. Jego smutne i zatroskane oblicze, jak też mężny, zdecydowany chód, mimowolnie przykuwały uwagę. Ów człowiek wyszedł z lasu, minął Klasztor św. Gajane i zatrzymał się obok cmentarza, na którym wciąż trwała praca…

Dobiegały też stamtąd dźwięki pieśni:

Słowik-elegancik w butach paraduje
I kochanej róży piosnkę wyśpiewuje…

– A bodaj cię!… – burknął pod nosem ten nieznajomy i poszedł dalej.

Dźwięki pieśni płynęły z głębi lasu, gdzie podochoceni rumem mnisi oddawali się nocnym uciechom.

Nieznajomy podszedł do stawu. Nad jego brzegiem spacerowało kilku mnichów przypominających nocne zjawy. Tutaj też, w samotności, siedział nieruchomo jakiś inny mnich. Surowa, ogorzała twarz i znoszone ubranie świadczyły, że ten człowiek zakosztował wszelkich „rozkoszy" tułaczego życia. Żaden ze spacerujących w pobliżu wydelikaconych i schludnie ubranych braciszków nawet nie zbliżył się do siedzącego współbrata, jak gdyby jego stary, pastuszy przyodziewek wywoływał w nich obrzydzenie, podczas gdy pod tymi brudnymi resztkami habitu biło szczere i szlachetne serce.

Dostrzegłszy w wieczornym mroku samotną figurę mnicha przy stawie, nieznajomy mężczyzna podszedł do niego.

– Ojcze Howannesie, czy to ty?!

– Wartan!… – wykrzyknął mnich i uściskał go.

Był to opat, przełożony Klasztoru św. Jana i jednocześnie zwierzchnik diecezji alaszkerckiej, który przywędrował tutaj, na rosyjskie ziemie, razem z uchodźcami, gdyż nie chciał porzucać na pastwę losu swoich owieczek.

Archimandryta i Wartan usiedli na kamiennej ławie.

– Kiedyś ty przyjechał? – spytał archimandryta.

– Dopiero co… – odparł Wartan i rozejrzał się wokół w obawie, czy ktoś ich nie podsłuchuje.

– Z nikim się jeszcze nie widziałeś?

– Nie, tu jest taki harmider, że trudno kogokolwiek znaleźć! Bardzo bym chciał spotkać się z Melikiem-Mansurem, powiedziano mi, że on jest tutaj…

– Widziałem go dwa dni temu – powiedział mnich – wybierał się do Erywania: chciał się tam zobaczyć z jakimiś ważnymi osobami, które zamierzają utworzyć komitet pomocy uchodźcom.

– W Tyflisie już istnieje taki komitet.

– Widocznie w Erywaniu powstanie jeden z jego oddziałów.

– No, a tutaj jak sprawy stoją?

– Bardzo źle – odparł ze smutkiem mnich. – Kręcę się tu wszędzie już cały tydzień. W Ghazarapacie przydzielono mi kąt, ale nikt na mnie nie zwraca uwagi, nikt się nie chce dowiedzieć, jakie okoliczności przywiodły nas tutaj. Obiecano, że katolikos mnie przyjmie i wysłucha, ale dni mijają i jakoś nikt mnie tam nie wzywa. Napisałem obszerny list,

przedstawiłem w nim całą historię ucieczki mieszkańców Alaszkertu, mając nadzieję, że po takim elaboracie zostanę wreszcie przyjęty i wysłuchany. Ale i to nic nie dało. Zetknąłem się z całkowitą obojętnością i apatią! Policzyłem, że z trzech tysięcy rodzin z powodu chorób i głodu umarła już połowa. Pozostałe czeka taki sam los, jeśli ich sytuacja się nie zmieni.

Te bardzo smutne fakty nie wywarły jednak na Wartanie szczególnego wrażenia. Uznał, że wszystko to jest obecnie na porządku dziennym, już znacznie wcześniej przewidział bowiem fatalne następstwa owej masowej ucieczki.

– Wszyscy uchodźcy znaleźli schronienie w Wagharszapacie? – zapytał.

– Nie, trafiają tutaj z Igdiru, a potem idą dalej. Teraz wszędzie ich spotkasz, od surmalińskiej prowincji do Nowego Bajazetu i Starego Nachiczewanu[218], w każdej wiosce przebywają uchodźcy.

– A jak się do nich odnosi miejscowa ludność?

– Z wielkim współczuciem: dostają od ludzi dach nad głową, jedzenie, ubrania, tutejsi mieszkańcy dzielą się z nimi wszystkim, co posiadają. A trzeba powiedzieć, że sami też są biedni. Z powodu wojny wszystko podrożało. Przede wszystkim jednak uchodźcom jest potrzebna pomoc lekarska – choroby ich wręcz dziesiątkują.

Nocna mgła spowiła Wagharszapat. Mnisi rozeszli się do swoich cel, ale z głębi lasu wciąż dochodziły dźwięki pieśni:

Słowik-elegancik w butach paraduje
I kochanej róży piosnkę wyśpiewuje…

– Dokąd zamierzasz się teraz udać? – wstając z miejsca, spytał archimandryta.

– Sam nie wiem.

– No to chodź do mnie.

– Nie chciałbym, żeby mnie widziano w klasztorze…

– Już późno, nikt nas nie zobaczy.

[218] Surmału, Nowy Bajazet, Stary Nachiczewan – miasta z pogranicza turecko-armeńskiego (AP).

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wielebny zajmował jedną z cel na górnym piętrze Ghazarapatu. Zimny dreszcz przebiegł po ciele Wartana, kiedy przestępował on próg klasztoru. Nie był tutaj od ponad dziesięciu lat i oto fatalne zrządzenie losu ponownie go do tego klasztoru przywiodło. Owo miejsce zamieszkiwane przez ludzi, którzy wyrzekli się doczesnych dóbr i poświęcili siebie Bogu, wywarło na młodzieńcu przykre wrażenie, przywracając w jego pamięci bolesne wspomnienia z dzieciństwa, które tutaj spędził. O tym nieszczęśliwym okresie swego życia nie potrafił myśleć bez obrzydzenia.

Widząc, jak Wartan spochmurniał, wielebny ze współczuciem zapytał:

– Co z tobą, dlaczego tak nagle posmutniałeś i zamilkłeś?

– Niekiedy zdarza mi się wpadać w taki nastrój…

Ojciec Howannes i Wartan usiedli przy maleńkim stole, na którym płonęła świeca łojowa i stał bulgoczący samowar. Wielebny nalał sobie i Wartanowi herbaty. Pili w milczeniu. Gorąca herbata nieco uspokoiła Wartana, ale rozmowa i tak się nie kleiła. Po chwili wszakże obaj zaczęli mówić o tym, co jednakowo ich frapowało:

– Jak się tu w ogóle odnoszą do naszej sprawy? – chciał wiedzieć Wartan.

– Wyjaśnię ci pokrótce – odrzekł wielebny. – Przybył tutaj z Turcji pewien archimandryta[219], który miał zostać wyświęcony na biskupa. I nadal tu jest, może się nawet z nim spotkasz. Na początku w czarnych barwach rysował sytuację tureckich Ormian, rozprawiał o potwornościach, jakich się na nich dopuszczają Kurdowie, mówił o samowoli tureckich władz, o tamtejszym barbarzyństwie i przedstawiał na dowód takie niezbite fakty, że nie sposób było mu nie wierzyć. Potem jednak, gdy już się skumał z hososami, archimandryta zmienił front i jął się wypowiadać całkiem inaczej: zaczął wychwalać humanitaryzm Turków, sławił ich wielkoduszność, uczciwość, sprawiedliwość. Widocznie nic innego mu nie pozostawało, biedakowi. Gdyby nie kłamał i nie

[219] Archimandryta (por. przypis 203) – tu w oryginale ormiańskim: *wardapet* (AP).

wychwalał pod niebiosa tego, co było dlań znienawidzone, to możliwe, że nie wyniesiono by go do godności biskupa.

– Podam jeszcze jeden przykład. Inny archimandryta, którego klasztor ograbili Kurdowie, również przyjechał tutaj prosić o pomoc. Ten z jeszcze większym żarem opisywał, jak kurdyjscy bejowie i tureckie władze uciskają Ormian. Z chwilą gdy jego skargi dotarły do hososów, ci nie tylko pozostali głusi na jego błagania o pomoc, ale kazali wręcz wygnać go z klasztoru. I również ten biedaczyna był zmuszony odwołać swoje słowa. Dopiero wówczas został dopuszczony na pokoje katolikosa i nawet nie próbował zająknąć się ani o klasztorze, ani o narodzie, ani o zbrodniach Kurdów. I jakby tego było mało, tenże archimandryta, pragnąc za wszelką cenę przypodobać się hososom, na jednej z uroczystości wzniósł nawet toast za zdrowie i pomyślność sułtana! I to akurat w tym czasie, kiedy w Bajazecie i Alaszkercie Turcy bezlitośnie wyrzynali Ormian! Teraz, jak mniemam, chyba rozumiesz, jak się tutaj odnoszą do naszej sprawy.

Wartan nie wierzył swoim uszom. Wydawało mu się, że słyszy to wszystko w strasznym śnie. Nie mógł pojąć, jak można było popaść w taką bezduszność graniczącą ze zdradą. W owym tragicznym momencie, kiedy naród znajdował się na skraju przepaści, a jego fizyczne istnienie i cała przyszłość wisiały na włosku – w tym żałosnym momencie, kiedy spojrzenia całego ludu były z nadzieją kierowane ku swemu zbawczemu szczytowi, Araratowi[220] – on, Wartan, spotyka się z całkowitą obojętnością swoich duchowych pasterzy i widzi ich na kolanach przed swoim wrogiem, przed swoim zabójcą…

– Czyżby całe duchowieństwo było tak do naszej sprawy nastawione? – z przejęciem zapytał Wartan.

– Nie, tylko hososi; oni uważają, że turecki rząd postępuje sprawiedliwie i zgodnie z prawem, a ci, którzy są innego zdania, szemrają i wyrażają niezadowolenie – to oszczercy.

– A-a, rozumiem! Hososi należą do tego samego rodzaju ludzi, co i Tomas-efendi, a jemu przecież podobały się tureckie porządki. Ale dla-

[220] Ararat (po ormiańsku: Masis) – najwyższa góra terenów historycznej Armenii (5122 m n.p.m.), obecnie znajduje się w Turcji. Jest widoczna z bardzo daleka, bo otaczają ją równiny. Ormianie darzą Ararat szczególnym respektem, widząc w tej górze swego duchowego opiekuna (AP).

czego duchowni nie biorą przykładu z patriarchy Nersesa, z Chrimiana czy Nar-beja[221], których imiona na zawsze zapiszą się w historii Armenii?

– Bardzo jesteś naiwny, mój przyjacielu – rzekł mnich. – Zapewniam cię, że gdyby to tylko było w ich mocy, zniszczyliby najchętniej wszelkie ślady działalności Nersesa. Zresztą już próbują to robić. Twierdzą, że Nerses i jego zwolennicy to banda szarlatanów, że oni tylko oszukiwali naród, nie troszczyli się o interesy Ormian – bo też niby nie ma się o co troszczyć – że byli jedynie narzędziem w rękach pewnych europejskich dyplomatów, którzy czerpali polityczną korzyść, starając się obarczyć winą biedaczkę Turcję i jak najmocniej zacisnąć pętlę na jej szyi. Wyśmiewają się tutaj z owych Ormian, którzy ufnie oczekiwali czegoś dobrego od „wymysłów" Nersesa. Hososi uważają, że wysuwanie jakichkolwiek żądań pod adresem Turków byłoby bezczelnością ze strony Ormian, gdyż otrzymali oni od Turków wszystko, co im było potrzebne, a na nic więcej nie zasługują. A jeśli nawet czegoś tam zapomnieli, nie dołożyli – powiadają hososi – to wielkoduszni Turcy niezwłocznie pospieszą wyrównać braki, nie powinno się więc bez potrzeby niepokoić miłościwego tureckiego rządu.

– Czyżby wszyscy mnisi byli tak nastawieni?! – z oburzeniem wykrzyknął Wartan.

– Ciii-sz-szej!… – syknął jego rozmówca, przybierając czujną postawę. Wyszedł z celi, wyjrzał na zewnątrz, po czym wrócił, przysiadł obok Wartana i zniżywszy głos, rzekł:

– Zachowujemy się nieostrożnie: tutaj nawet ściany mają uszy. Sąsiednią celę zajmuje mnich administrator, on ma diabelski słuch. I donosi zwierzchnikom o wszystkim, co tylko usłyszy…

– Chcę wiedzieć, jak są nastawieni pozostali mnisi – głośno powtórzył Wartan, nie zwracając uwagi na skierowane doń przed chwilą ostrzeżenie duchownego.

– Hososi stanowią szczególną grupkę. Są tu wśród nas i porządni ludzie, którzy byliby gotowi ponieść wszelkie ofiary w imię poprawy losu tureckich Ormian, pod warunkiem…

[221] Patriarcha (katolikos) Nerses V z Asztaraku – patrz przypis 94; Mykyrticz I Chrimian – katolikos Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego w latach 1892-1907; Nar-bej Lusinian (inaczej: Choren Kalfajan) – poeta i dramaturg zachodnioormiański (1831-1892) (AP).

– Pod warunkiem, że pozwolą na to hososi!

– Otóż to, ale cóż mogą począć ci biedacy: oni są trzymani w takich kleszczach, że nawet słowa pisnąć nie mogą, nie mówiąc już o czymś więcej. Jest tu niejaki Mankuni[222] – istny diabeł; wykorzystując swoje położenie, gnębi i uciska wszystkich.

– Nie rozumiem szatańskiej polityki owych ludzi: naród jęczy pod tureckim jarzmem, grozi mu całkowite wytępienie, a oni bronią tureckich katów.

– Dla mnie to również jest zagadką i też niczego nie pojmuję – machinalnie odparł rozkojarzony mnich.

– Ale czym oni tłumaczą ucieczkę mieszkańców Alaszkertu, rzeź Ormian w Bajazecie, pożar w Wanie?

– Żeby usprawiedliwiać Turków, mają stale na podorędziu oszukańcze dyżurne frazesy. Całą winę zwalają na Ormian, bo to – powiadają – niespokojny, nieużyty i niewdzięczny naród, i odwołują się do przysłowia: „To owca jest temu winna, że wilk ją pożarł". Przyczynę panicznej ucieczki mieszkańców Alaszkertu upatrują nie w rzezi, która zmusiła nieszczęsnych ludzi do porzucenia swojej ojczyzny, ale sugerują, że doprowadziły do tego czyjeś tajemnicze machinacje. Na ile to tłumaczenie jest pokrętne i fałszywe, powinno być dla ciebie jasne. Byłeś przecież naocznym świadkiem owych wydarzeń…

– Po tym, co usłyszałem od ciebie, nie rozumiem, jak pozostając tutaj, możesz się łudzić nadzieją na jakąkolwiek poprawę sytuacji? Powiedz, na miłość boską, jaką to niby pomoc oni mogą ci okazać?

– Żadnej, zdaję sobie z tego sprawę. Ale co mam zrobić, do kogo się zwrócić?

– Należy się zwrócić do ormiańskiej społeczności.

Wielebny nic nie odpowiedział, jednak po chwilowym namyśle – jakby rozważając na głos różne możliwości – rzekł:

– Teraz trudno wszystko wyjaśnić… Z czasem jednak haniebna prawda wyjdzie na jaw.

Słowa te nieszczęsny mnich wymówił smutnym, pełnym najgłębszego żalu głosem. Jego rozpacz była tak wielka, że nie panował już nad

[222] Wahram Mankuni (1846-1920) – zachodnioormiański duchowny, działacz kulturalny (AP).

sobą. Zresztą dlaczego miałby przed Wartanem udawać, że jest inaczej, skoro był z nim ściśle związany w imię wielkiej sprawy.

Rozmowa ponownie zeszła na uchodźców. Duchowny, opisując udręki swego narodu, proponował zarazem środki, które mogłyby go ocalić przed ostateczną zgubą.

– Zdumiewa mnie ogromna liczba chorych uciekinierów – przerwał Wartan – ponad połowa z nich bardzo ciężko choruje. Dlaczego, z jakiej przyczyny?

– Gdybyś znał szczegółowe okoliczności ich gwałtownej ucieczki, niczemu byś się nie dziwił. To, że w ogóle dotąd żyją – to cud; najprawdziwszy cud, że ocaleli! Wiele już zatarło się w mej pamięci, poza tym nie ma słów mogących opisać to, co ci nieszczęśnicy musieli przechodzić. Przytoczę jedynie niektóre fakty.

– Po oblężeniu Bajazetu, którego dokładny przebieg jest ci wiadomy, generał Ter-Ghukasow zmuszony był odstąpić, ale dokonał przy tym dwóch bohaterskich czynów. Wycofując się, zajął pozycję obronną, toczył ciężkie boje ze znacznie liczniejszą turecką armią, a zarazem starał się ocalić przed rzezią ormiańską ludność alaszkerckiej i bajazeckiej prowincji. W trakcie tej strategicznej operacji przejawił się geniusz generała: tak długo powstrzymywał wściekły napór tureckich hord, że zanim potrafiły się przebić, Ormianie zdążyli uciec. Ale czasu było za mało i nie zdołano przygotować ludności na taką ewentualność; jakkolwiek wiadomość o tym, że rosyjskie wojska się wycofują – i trzeba się ratować ucieczką, bo inaczej Turcy wszystkich wyrżną – lotem błyskawicy obiegła obie prowincje. Ludzie wpadli w panikę. Wróg stał już u bram, nie wolno było zwlekać ani chwili. Trzeba było w pośpiechu opuścić ojczysty kraj. Trudno mi, synu, opisać ową straszną noc, kiedy lud porzucał swoje siedliska. Zaledwie nieliczni mieli arby, bo większość z nich zarekwirowano wcześniej na potrzeby armii.

– Ludzie rzucali się do ucieczki, opuszczając bądź podpalając swoje domy z całym wyposażeniem; matki niosły na rękach maleńkie dzieci, ojcowie taszczyli na plecach toboły z żałosnymi resztkami dobytku. Prawie całe bydło zostało na polach, nie było czasu, żeby je przygnać. Ojciec uciekał, nie mogąc doczekać się na syna, brat zapominał o bracie. Każda minuta była droga, wróg już deptał po piętach. Wszystkich spóźnialskich, którzy się zagapili, Turcy wycięli w pień, ocaleli jedynie ci,

którzy zdążyli uciec; tyle że w drodze nękały oraz dziesiątkowały nas głód i choroby. Aby uniknąć spotkania z wrogiem, prowadzono nas po takich diabelnych górskich ścieżkach, że dzieci i kobiety z największym trudem je pokonywały.

– Choroby to rezultat owych nieustannych wysiłków i przypadłości, z jakimi uchodźcy zmagali się w drodze. Bez odpoczynku i bez zatrzymywania się musieli przebyć w ciągu kilku dni taką odległość, na której przejście trzeba tygodnia. Kobiety, dzieci, staruszkowie i dziewczyny szli piechotą, tylko bardzo nieliczni posiadali juczne zwierzęta. Wielu nie wytrzymywało trudów morderczej wędrówki i umierało w drodze. Nikt się tym nie przejmował. Ludzie szli otępiali, nie uświadamiając sobie niczego poza doznawanym koszmarem; stali się nieczuli, ich serca stwardniały. Dodaj jeszcze do tego głód, pragnienie, tudzież niesprzyjający klimat – i znajdziesz przyczynę masowych zachorowań. Czwarta część uchodźców zginęła w drodze. Krócej mówiąc, historia ormiańskich jeńców wziętych do niewoli przez szacha Abbasa i pognanych do Isfahanu[223], którą w tak czarnych barwach opisują autorzy naszych latopisów, wydaje się dziecięcą igraszką w porównaniu z tym, co myśmy przeżyli.

Wartan niezbyt uważnie słuchał swego rozmówcy: był pochłonięty rozmyślaniem o Lali. Bo przecież i ona, niestety, znajdowała się w tłumie uchodźców i podobnie jak oni również doznawała tych wszystkich okropności.

Wprawdzie Dżawo mu powiedziała, że z polecenia Churszid dziewczynę wywieziono do „ruskich krajów", ale towarzyszyli jej przecież Kurdowie i wątpliwe, czy zostali przepuszczeni przez rosyjską granicę. Najprawdopodobniej Lala i jej bratowa Sara dołączyły do którejś z grup uciekinierów. Ale jak je odnaleźć? Gdzie są, czy jeszcze żyją? Wszystkie te pytania zadręczały Wartana.

– Ojcze, a nie wiesz przypadkiem czegoś o losach rodziny starosty Chacza? Chciałbym ją odszukać.

– To może być dość trudne. Uchodźcy są rozproszeni, przebywają w różnych miejscach. Ale poleciłem księżom i starostom sporządzić ich

[223] Szach perski Abbas I Wielki na początku XVI w. siłą przesiedlił Ormian z ich historycznych siedzib na terenie północno-zachodniego Iranu do Isfahanu, nowej stolicy swego kraju (AP).

imienne spisy z adnotacją, gdzie i w jakiej sytuacji znajduje się każda z tych rodzin. Kiedy te spisy zostaną mi dostarczone, łatwiej będzie odszukać rodzinę Chacza.

– A kiedy ojciec je dostanie?

– Prawdopodobnie jutro albo pojutrze, trudno mi dokładnie powiedzieć.

Taka zwłoka wydawała się Wartanowi nie mieć końca. Spędził kolejną bezsenną noc.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Miarowe bicie klasztornych dzwonów oznajmiało nadejście poranka. Wielu wysoko postawionych mnichów słodko wylegiwało się jeszcze w miękkiej pościeli, podczas gdy inni, nie tak uprzywilejowani, spieszyli już na modlitwę do pobliskiej świątyni.

Ojciec Howannes przebudził się tego dnia bardzo wcześnie i – starając się nie obudzić Wartana – wyszedł ze swojej celi. Ale nie udał się bynajmniej na jutrznię – jakiś czas temu nabrał zwyczaju odwiedzać każdego rana uchodźców przebywających w Wagharszapacie. Dzisiaj jednak przerażające obrazy ich nieludzkiego cierpienia tak nim wstrząsnęły, że nie starczyło mu siły, żeby podejść do wszystkich, których zamierzał nawiedzić. Wszędzie widział to samo: tu i tam, wprost na ziemi, pośród nieczystości tłoczyły się całe rodziny nieszczęsnych, chorych uciekinierów. Nie było wśród nich ani jednego zdrowego człowieka, który mógłby okazać pomoc innym.

Wielebny ojciec wracał do klasztoru kompletnie przybity i zrozpaczony. Gorączkowo poszukiwał w myślach sposobu, który pozwoliłby mu dzisiaj dostać się na pokoje katolikosa, żeby go błagać o niezwłoczną pomoc ludziom skazanym bez niej na wymarcie.

Obok niego przejeżdżała ulicą dorożka. Pasażer, ujrzawszy wielebnego, kazał woźnicy się zatrzymać.

– Są dobre nowiny – powiedział, wysiadając z dorożki i witając się z duchownym. – Erywański gubernator zatwierdził skład komitetu do spraw pomocy uchodźcom. Na członków komitetu mianowano dość

pewnych, godnych zaufania ludzi. Z Tyflisu również nadeszły pocieszające wiadomości: tamtejszy komitet działa energicznie i obiecuje wkrótce przysłać pieniądze i medykamenty.

– Przyjemnie to słyszeć – odparł duchowny. – Tutaj też czynione są przygotowania, żeby wysłać petycję do odpowiednich instancji duchownych.

– A czyje to zarządzenie?

Duchowny wskazał ręką na klasztor eczmiadzyński i roześmiał się w odpowiedzi.

– Daremny zamiar – powiedział – tak czy owak zebrane z dobrowolnych ofiar pieniądze nigdy nie trafią do nieszczęsnych mieszkańców Alaszkertu.

Rozmówcą wielebnego ojca był Melik-Mansur.

– Ucieszyłeś mnie tą wiadomością – powiedział duchowny. – Ja z kolei też chcę ci coś miłego powiedzieć.

– A co?

– Wartan jest tutaj, siedzi w mojej celi.

– Naprawdę?! A więc ten diabeł jeszcze żyje? Nie przypuszczałem, że ludzie jednak wracają z zaświatów. Chodźmy!

Skierowali się do klasztoru. Po drodze Melik-Mansur zagadnął duchownego:

– Ojcze, dobrze znasz Wartana?

– Znam go już ponad pięć lat. W naszych stronach słynie on jako nieustraszony przemytnik, ale przez długi czas nikt nie wiedział ani się nie domyślał, jakie były prawdziwe przyczyny tej jego działalności. W istocie bowiem Wartan przewoził nielegalnie broń i bezpłatnie rozdawał ją chłopom, a handlowaniem zajmował się jedynie dla pozoru. Jego zamiary były ze wszech miar szlachetne, ale niestety przepadły z kretesem…

– Ja się z nim spotkałem zaledwie kilka razy – powiedział Melik-Mansur – ale nikt nie wydał mi się tak sympatyczny od pierwszego wejrzenia jak ów młodzieniec. Przekonałem się, że jest energicznym, mężnym i odważnym człowiekiem, bez reszty oddanym swoim przyjaciołom.

– I na dodatek piekielnie mądrym. Potrafił już dokonać takich rzeczy, jakim nie byłby w stanie sprostać nawet wybitny działacz w ciągu całego swego życia. Przy tym jest niezwykle skromny i woli pozostawać w cieniu.

Po przebudzeniu Wartan stwierdził, że w pomieszczeniu nie ma ojca Howannesa. Promienie słońca, przenikając przez wąskie okienka celi, zalewały ją jaskrawym blaskiem, ale było bardzo duszno. Otworzył okno. Chłód poranka przyjemnie owionął mu twarz, ale na sercu wciąż tkwił ciężar, coś jakby go dusiło. Wielebny ojczulek się spóźniał.

Nie mając już sił na niego dłużej czekać, Wartan postanowił odetchnąć świeżym powietrzem i wyszedł z celi, a jako że nie miał ochoty nikogo spotkać, wymknął się przez tylną bramę klasztoru i skierował prosto nad staw. Tu ujrzał na brzegu znajomą figurę klasztornego staruszka – „dziadka".

– Witaj, dziadku! – powiedział Wartan.

Wszyscy w klasztorze nazywali staruszka „dziadkiem". Właśnie grzał się na słońcu. Przypominał teraz hinduskiego ascetę derwisza, który ani się nie myje, ani nie czesze, ani nie obcina paznokci, i paraduje w łachmanach. Usłyszawszy głos Wartana, staruszek uniósł głowę, osłonił się ręką przed słońcem i rzekł:

– Głos poznaję, ale ciebie, synku, jakoś nie – oczy zaczęły kiepsko widzieć. Kto ty jesteś?

– Jestem Wartan.

– Obyś długo żył, synku! Daj, niech cię ucałuję. Jakeś ty zmężniał! – Staruszek objął Wartana. – Siadaj tu obok mnie, synku. O tak, dobrze… Ależ piękny chłopak się z ciebie zrobił! Pamiętasz tamten czas, kiedy jak kot zakradałeś się do mojej celi i porywałeś owoce? Wtedy jeszcze byłeś chłopaczkiem.

– Pamiętam, dziadku – odparł z westchnieniem Wartan – kraść to ja tutaj właśnie się nauczyłem…

– A kto teraz nie kradnie, synku? Wszyscy wokół kradną. Uczciwości za grosz nigdzie nie uświadczysz – podobnie jak i ptasiego mleka… Jeszcze dwa dni nie minęły, jak ktoś skradł z mojej celi kilkaset rubli. Bodaj został przeklęty na wieki! Odkładałem te pieniądze na swój pochówek i wieczny spokój mojej duszy. Jak złodziejowi udało się je znaleźć? Nie mam pojęcia, wydawało mi się, że i sam diabeł tego nie potrafi. Ukryłem pieniądze za belką stropową, ale znalazł… Ach, przeklęty, przeklęty!

Okradanie staruszka było w klasztorze czymś tak normalnym, że Wartana bynajmniej to nie zdziwiło. Ów prawie stuletni starzec przez całe swoje życie nie wydał ani jednej kopiejki, a wszystkie pieniądze,

jakie trafiały do jego rąk, miał zwyczaj chować. Z chwilą, kiedy zebrała się ich pokaźna suma – setka albo tysiąc – czyjaś niewidzialna ręka zwykle je wykradała. W ostatnim czasie coraz częściej zdarzały się przypadki kradzieży w jego celi, toteż staruszek nauczył się sprytnie chować pieniądze: w pomieszczeniu było mnóstwo szczelin, w które niewielkimi partiami wpychał swoje oszczędności, dlatego nigdy się nie zdarzyło, żeby przepadły mu naraz wszystkie ukryte pieniądze – chociaż starzec zaklinał się i wzywał Boga na świadka, że okradziono go do czysta.

Był on wyjątkowym sknerą. Wartan wiedział o tym od dziecka – o niesłychanym skąpstwie owego mnicha krążyły bowiem w klasztorze legendy. I przy tym uchodził za jednego z najbogatszych braci. Inni do swego bogactwa dochodzili różnymi nieuczciwymi sposobami czy machinacjami, starzec zaś – dzięki chorobliwemu sknerstwu.

– Ty, ojcze, zanadto kochasz pieniądze – i po co ci one?

– Ech, synku, „Ludzie przeklinają wilka, podczas gdy niepozorny lis potrafi czasem i wielbłąda połknąć”! A kto obecnie nie kocha pieniędzy? Pieniądze – to wszystko; ludzie żyją i pracują dla pieniędzy.

Starzec drżącymi rękami wyjął zza pazuchy tabakierkę, otworzył… i zdziwił się, że jest pusta. Pewnie już po raz setny otwierał dzisiaj ową feralną tabakierkę – i za każdym razem, przekonawszy się, że wciąż jest pusta, miał nadzieję, że sama jakoś cudownie się napełni.

– Niechaj będzie przeklęty ten niegodziwy nauczyciel Simon; też go przecież znasz; dałem mu dwadzieścia kopiejek i tabakierkę; prosiłem, żeby mi przywiózł z miasta tytoniu, a on i moje pieniądze przehulał, i tabakierki nie zwrócił. Nie masz czasem tytoniu, Wartanie?

– Ja go nie używam, dziadku.

Szczęśliwie obok nich walał się niedopałek papierosa; dziadek go podniósł, oddarł resztkę bibułki, wysypał na dłoń poczerniały tytoń, roztarł go drżącymi palcami i wciągnął szczyptę do nosa.

– Czyżbyś tu cierpiał aż taką biedę, że nie masz nawet na tytoń?

– Ech, synku, świat się zmienił, minęły czasy bogobojnego Nersesa[224]. Wtedy panowała miłość i jedność, starców szanowano, a teraz… Wszystko się wywróciło do góry nogami. Szanuje się jedynie takich, którzy umieją sprytnie kłamać i kręcić. Komu obecnie są potrzebne takie

[224] Chodzi tu o katolikosa Nersesa V z Asztaraku, por. przypis 94 (AP).

stare grzyby jak ja? Teraz pojawił się nowy gatunek kur, które znoszą żelazne jaja.

Dziadek był jednym z grona żarliwych wielbicieli Nersesa; imię owego niezapomnianego katolikosa wymawiał z najwyższą czcią. Widząc rozmaite nadużycia i oburzając się na nie, niezmiennie wspominał czasy Nersesa, które były dla niego złotym wiekiem Eczmiadzynu.

Oto i teraz starzec z zachwytem powracał do przeszłości. Wskazując na piękny staw, wyjaśniał, po co utworzył go ów wielki człowiek; o ruinach nad brzegiem stawu mówił, że planowano w tym miejscu budowę papierni, ażeby klasztor dysponował własnym papierem, a teraz chłopi wypasali i przywiązywali tu swoje osły. Wskazując na inne jeszcze ruiny po drugiej stronie stawu, powiedział, że miała tam być fabryka jedwabnicza, dlatego święty ojciec nasadził wokół tak wiele drzew morwowych. Mówiąc o tym wszystkim, starzec nie mógł powstrzymać łez, pamiętał bowiem, że Nerses tak bardzo kochał posadzone przez siebie drzewa, jak czuły ojciec kocha swoje dzieci.

– Idąc do lasu – ciągnął – katolikos zabierał z sobą sekator i własnoręcznie przycinał drzewa.

Zdając sobie sprawę, że wywodom „dziadka" długo jeszcze nie będzie końca, Wartan wstał, chcąc w końcu odejść.

– Nachyl się jeszcze ku mnie, to coś ci szepnę na ucho, Wartanie – poprosił starzec.

Wartan się schylił – i usłyszał:

– Uciekaj stąd jak najszybciej, synku, bo już tu krzywo na ciebie patrzą…

– Nikt mnie przecież jeszcze nie widział, dziadku.

– Wystarczy, że choć jeden cię zobaczy; podsłuchałem na twój temat różne niepokojące rozmowy, niedobre rozmowy…

– Przecież ty niby źle słyszysz, dziadku?

– Dziadek źle słyszy jedynie wtedy, kiedy jest to dla niego dobre, korzystne; wszystko inne natomiast słyszy całkiem dobrze.

Wartan roześmiał się i odszedł, a starzec jeszcze krzyknął za nim:

– Jeśli będziesz w mieście, Wartanie, to nie zapomnij przywieźć mi trochę tytoniu, widziałeś przecież, że moja tabakierka jest pusta!

W tym momencie przed Wartanem pojawili się Melik-Mansur i wielebny opat Howannes.

– O czym rozmawiałeś z dziadkiem? – zapytał wielebny.

– To jedyny uczciwy człowiek w całym klasztorze – rzekł w odpowiedzi Wartan, przywitał się z Melikiem-Mansurem i zwrócił się do niego: – Musimy pilnie ze sobą porozmawiać, ale nie tutaj, czy ma pan w mieście jakichś znajomych?

– Mam – odpowiedział Melik-Mansur.

Ostrożność Wartana wynikała nie tylko z ostrzeżenia, które dopiero co usłyszał od dziadka, sam też starał się trzymać jak najdalej od klasztoru. Poza tym nie dawał mu spokoju los Lali, miał nadzieję trafić na jej ślad i robił wszystko, żeby odnaleźć ukochaną. Poprosił opata, aby udostępnił mu wykazy uchodźców, gdy tylko je otrzyma.

– Dowiedziałem się, że wkrótce zostaną mi dostarczone – powiedział opat. – Natychmiast ci je pokażę.

– A czy wielebny wie, gdzie ja mieszkam? – spytał Melik-Mansur.

– Wiem.

– Chodźmy, Wartanie.

Akurat wtedy ukazała się na drodze procesja pogrzebowa. Kilku mieszkańców Alaszkertu dźwigało trumnę. Księdza w kondukcie nie było – nie nadążał on bowiem grzebać zmarłych i nie odchodził z cmentarza. Za trumną sunęła w milczeniu podtrzymywana pod ręce kobieta. Była do tego stopnia przybita nieszczęściem, że nie miała już siły płakać. Gorzko płakało natomiast dwoje dzieci, które trzymały się za dół jej sukienki. Oprócz mieszkańców Wagharszapatu za trumną kroczył jedynie wspominany już doktor, który ostro wyróżniał się na tle owej kupki żałosnych, półżywych oberwańców.

Wartan i Melik-Mansur w ogóle nie zwrócili uwagi na mijaną procesję pogrzebową – co chwilę bowiem oglądali podobny widok, toteż zdążyli już do niego przywyknąć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Widząc Melika-Mansura, Wartan – jak się wydawało – nieco poweselał. Dodawała mu otuchy nadzieja, jaką obudził w nim wielebny ojciec. Liczył na to, że przy pomocy księży i starostów przybyłych wraz

z uchodźcami uda mu się czegoś dowiedzieć o rodzinie Chacza. Wyobrażał sobie, że znajdzie Lalę i postara się swoją miłością odkupić wszystkie cierpienia, jakie zgotował jej okrutny los.

Dom, do którego prowadził go Melik-Mansur, mieścił się przy jednej ze starych ulic Wagharszapatu. Na tej ulicy wszystkie domy były niskie, przysadziste i obskurne, lecz – podobnie jak i w całym mieście – z przestronnymi podwórkami i cienistymi sadami.

– Chyba nie bardzo będziesz zadowolony – mówił po drodze Melik-Mansur – kiedy się dowiesz, dokąd cię prowadzę?

– Wszystko mi jedno – rzucił obojętnie Wartan – chcę się dowiedzieć czegoś o Salmanie. Czy tam na pewno nikt nam nie przeszkodzi?

– Na pewno.

Podeszli do domu i zastukali kołatką do drzwi. Otworzyła im jakaś stara kobieta.

– Przyjmuj gościa, *nani*! – wykrzyknął Melik-Mansur.

Kobieta omiotła Wartana chytrym spojrzeniem i mruknęła:

– Wejdźcie…

– *Nani*, daj nam wina, szybko! Bo w ustach mamy całkiem sucho – rzucił Melik-Mansur i – podchodząc do staruchy – groźnie powiedział: – Tylko uważaj, bo jeżeli tu puścisz kogoś obcego, to ci się zdrowo dostanie.

Starucha tajemniczo pokręciła głową i odeszła.

Wszedłszy do maleńkiego, ale dość czysto wysprzątanego pokoju, młodzi ludzie usiedli za stołem. Po kilku minutach w pokoju bezszelestnie pojawiła się młoda kobieta, w milczeniu postawiła na stole butelkę wina oraz dwie szklanki, po czym, także w milczeniu, wyszła. Ormiańskie nakrycie głowy osłaniało jej twarz, można było ujrzeć tylko jej czarne, lśniące oczy i piękne łukowate brwi. Ale już samo to wymownie świadczyło o urodzie tej młodej dziewczyny.

Melik-Mansur napełnił szklanki, upił nieco ze swojej i – podając drugą Wartanowi – powiedział:

– Jak to dobrze, że większość naszych klasztorów znajduje się pośród gór, daleko, w głuchych wąwozach czy na pustkowiach. Nic dziwnego, że w Wagharszapacie jest tylu oszustów i rozpustników. Nigdzie też nie ma tylu rozwiązłych kobiet jak tutaj, w Wagharszapacie. Na przykład ta ładna i skromniutka pozornie dziewczyna, która dopiero co stąd

wyszła, jest kochanką pewnego mnicha. Kiedyś myślałem, że klasztor to ostoja pobożności, ale po dłuższym przebywaniu w jego murach przekonałem się, że tak naprawdę wszystko jest inaczej. Swoim niegodnym prowadzeniem się mnisi deprawują ludzi, wywołują zgorszenie i niechęć do religii, toteż pojawiają się już gdzieniegdzie zaczątki ruchu oporu. Przechodząc ulicami, zauważyłeś chyba niemało całkiem nowych domów, ale gdyby prześledzić, do kogo one należą, okazałoby się, że są własnością ludzi blisko spokrewnionych z mnichami. Wcześniej ci ludzie byli biedakami, a wzbogacili się jedynie dzięki klasztorowi. Jeśli mam być szczery, głęboko oburza mnie to, że tutaj wyrzuca się w błoto setki tysięcy rubli, podczas gdy nam jest droga każda kopiejka. Brakuje nam pieniędzy na zaspokojenie najbardziej elementarnych potrzeb. W Stambule patriarcha nie ma czym pokryć swoich wydatków: kasa narodowa jest pusta, a na patriarchę spadły obecnie takie pilne zadania, że każda zwłoka może skutkować olbrzymią stratą dla naszej ormiańskiej społeczności. W dodatku nie widzę nawet cienia porozumienia między patriarchą konstantynopolskim a Eczmiadzynem. Mankuni stracił w Konstantynopolu na giełdowych operacjach dwadzieścia pięć tysięcy. Mimo to, jak słyszałem, posłał tam ostatnio jeszcze trzydzieści tysięcy rubli, ale po co, w jakim celu? – diabłu tylko wiadomo, a ormiański patriarcha Stambułu, jedyny rozsądny człowiek w tym towarzystwie[225], nie ma ani grosza przy duszy…

– To wino chyba trochę skwaśniało… – przerwał mu Wartan.

– Nie słuchasz mnie – z goryczą zauważył Melik-Mansur.

– Słucham, słucham – mówiłeś, że patriarcha nie ma nawet grosza…

– Dlaczego tak obojętnie o tym mówisz?

– A o czym tu gadać, skoro to oczywiste: naród, który wszystkie swoje nadzieje pokłada w duchowieństwie, jest skazany na zgubę[226].

[225] Widać tu wyraźnie prywatne sympatie autora, który wysoko ceni ormiańskiego patriarchę Stambułu (Konstantynopola), a wrogo odnosi się do jego zwierzchnika, katolikosa rezydującego w Eczmiadzynie (Wagharszapacie). Ta wrogość jest też widoczna w przedstawianiu eczmiadzyńskich mnichów (AP).

[226] To uogólnienie („naród, który wszystkie swoje nadzieje pokłada w duchowieństwie, jest skazany na zgubę") jednoznacznie ilustruje skrajny antyklerykalizm autora (AP).

W pokoju znowu bezszelestnie pojawiła się młoda kobieta i postawiła na stole tacę ze śniadaniem. Tym razem jednak rąbek jej chusty, która wcześniej odsłaniała tylko oczy i brwi, był opuszczony i widać było również delikatne, pąsowe wargi.

– Przynieś nam jeszcze butelkę wina, ale trochę lepszego… – rzucił Melik-Mansur.

Kobieta wyszła, milcząc.

– Nie pojmuję, jak ci się udało znaleźć taką spokojną przystań? – zauważył Wartan.

– Jeżeli chce się bliżej poznać mnichów, należy sobie zjednać sympatię ich kochanek – odparł z uśmiechem Melik-Mansur. – Poza tym każdej nocy zbiera się tutaj całe liczne towarzystwo. Słuchając wtedy mnichów, dowiaduję się mimochodem wielu bardzo ciekawych rzeczy.

– A przede wszystkim o klasztornym życiu i funkcjonowaniu klasztoru? – żartobliwie dodał Wartan. – Ale zostawmy na razie klasztor i pomówmy o naszej sprawie. Chcę się czegokolwiek dowiedzieć o losie Salmana i o wszystkim, co się wydarzyło podczas mojej nieobecności. W gruncie rzeczy nic o tym nie wiem, chociaż ojciec Howannes coś niecoś mi już opowiedział.

Jak gdyby czarna chmura oblekła wesołe dotąd oblicze Melika-Mansura i zsiniałe jego wargi zadrżały, kiedy w pamięci odżyły tragiczne obrazy przeszłości, które wypierał z pamięci, usiłując o nich zapomnieć. Jednym haustem opróżnił pełną szklankę.

– Dobrze – wykrztusił nerwowo – dowiesz się prawdy, chociaż ona bynajmniej cię nie ucieszy. Salmana aresztowano w nocy. Dowiedziałem się o tym na drugi dzień. Perfidny donosiciel tak sprytnie wszystko urządził, że nawet gospodarz domu, w którym Salman nocował, niczego się nie domyślał.

Mnie zawiadomił o tym pewien człowiek, który zobaczył przypadkowo, jak strażnicy prowadzili aresztowanego agitatora. Natychmiast zatem skrzyknąłem wiernych mi jeźdźców. Być może udałoby się nam odbić i ocalić Salmana, jednak nieszczęśliwie rozminęliśmy się z konwojem, który pojechał inną drogą. Niestety nie przewidzieliśmy takiej możliwości. Mój oddział liczył ponad dwudziestu ludzi, odważnych i gotowych na wszystko. Po długich poszukiwaniach i badaniu śladów trafiliśmy w końcu do owej wioski, w której akurat przebywał pasza – komendant

wojskowy. To do niego strażnicy doprowadzili nieszczęsnego młodzieńca. Od ludzi przepytywanych przeze mnie na tę okoliczność dowiedziałem się, że tam od razu udusili Salmana. Mnie się nie udało nawet odebrać ciała zmasakrowanego biedaka. Tak barbarzyńsko w stosunku do martwego mogą się zachowywać jedynie dzikie zwierzęta. Ta zbrodnia napełniła moje serce palącą żądzą zemsty i przysięgliśmy w imieniu niewinnej ofiary, że ją pomścimy.

W ślad za Salmanem aresztowano, jak ci wiadomo, staruszka Chacza i jego synów – Hajrapeta i Apo. W więzieniu ustanowiono nad nimi ścisły nadzór: widocznie chciano najpierw wyciągnąć ze staruszka całe złoto i dopiero potem go uśmiercić. Ale Chaczo i jego synowie nie mogli znieść tortur i wszyscy trzej zmarli w więzieniu.

Wtedy już wiedziałem, jaki los czeka wioskę O… Udałem się do Ismaila-paszy, który dowodził wojskami bajazeckiej prowincji. To dość rozumny człowiek, dlatego miałem nadzieję, że zdołam może jakoś wpłynąć na niego. Szczerze wyznałem w rozmowie, że prowadzimy przygotowania, zbroimy naród i że rozdaliśmy ludziom już dość dużo broni. „Ale waszą wielmożność – mówię – wprowadzono w błąd, my nie nawołujemy bynajmniej do zbrojnego powstania, ale do samoobrony. Religijny fanatyzm podsycany przez islamskie duchowieństwo przybrał już tak niebezpieczne formy – powiadam mu – że wszyscy chrześcijanie staną się jego ofiarami, jeżeli nie będą się bronić z orężem w ręku. O to – dodałem – sam rząd powinien był się zatroszczyć, aby uniknąć powtórki owych tragicznych wydarzeń, jakie miały miejsce w Bułgarii, a za które Turcja ponosi odpowiedzialność. Toteż – powiedziałem – rząd winien być nam wdzięczny za to, że wzięliśmy na siebie tę część obowiązków, których on nie wypełnił. Myśmy po to zbroili chłopów, żeby mogli się bronić – i żeby nie stali się ofiarami fanatyzmu muzułmanów”.

Chytry pasza udał, że wprawdzie bardzo mi współczuje i obiecuje dołożyć starań, by Ormianom nie stała się krzywda; ponadto zapewnił, że bezzwłocznie podejmie wszelkie kroki, aby chronić życie i mienie Ormian. W tym czasie akurat rozpoczął się odwrót rosyjskich wojsk i rozeszła się plotka, że Ormianie odchodzą razem z nimi. Pasza nakazał mi przekonać ludność ormiańską, by nie ruszała się z miejsca. Chętnie podjąłem się tego zadania, ale jak tylko pasza mnie odprawił, natychmiast wydał Fattah-bejowi rozkaz: spalić wioskę O…! Fattah-bej ze swymi

bandytami nie tylko spalił całą wioskę, ale wyrżnął też połowę jej mieszkańców. Ten fakt wywołał przerażenie w całej prowincji, liczba uchodźców rosła z każdym dniem.

Wszelkie starania moje i moich współtowarzyszy nie odnosiły żadnego skutku: ogarnięci paniką ludzie masowo porzucali zasiedziałe miejsca. Wszyscy mieli przed oczyma przykład wioski O… Śmiertelnie przerażonych ludzi nie powstrzymałby nawet głos z nieba – i tak by nie uwierzyli, że nie grozi im równie tragiczny los…

Oszustwo podstępnego paszy ostatecznie mnie przekonało, że tureckie władze są zainteresowane całkowitym wyniszczeniem Ormian i pragną, by w Armenii nie ocalał ani jeden Ormianin.

Mnie i podobnie myślącym moim towarzyszom udało się przekonać, czyli odwieść od zamiaru ucieczki, zaledwie niewielką liczbę Ormian. W tym samym czasie Ismail-pasza, mszcząc się za to, że część mieszkańców zdołała jednak uciec z rosyjskimi wojskami, postanowił krwawo rozprawić się z tymi, którzy pozostali. Rozkazał Kurdom dokonać bezlitosnej rzezi… Do tej pory jestem przekonany, że część z tych mieszkańców, którzy pozostali na miejscu, zdołałaby się obronić. Przecież to zrozumiałe, że regularne wojska tureckie nie zaatakowałyby spokojnych mieszkańców. Władze lokalne nie dopuściłyby do takiego jawnego barbarzyństwa; tym bardziej że wtedy zarówno w bajazeckiej, jak i w alaszkerckiej prowincji roiło się od angielskich szpiegów i zagranicznych korespondentów. Miejscowa władza robiła wtedy to, czego należało od niej oczekiwać – podjudzała Kurdów przeciwko Ormianom, sama zaś przez palce patrzyła na ich zbrodnie. Ale Kurdów można było pokonać. Tę moją opinię potwierdza jeden znamienny fakt. Omówię go pokrótce.

Kiedy rosyjskie wojska opuściły bajazecką i alaszkercką prowincję – czyli, inaczej mówiąc, kiedy ponownie znalazły się one w rękach Turków – Kurdowie, jak już wspomniałem, jęli grabić i mordować resztki mieszkańców. W odpowiedzi na to kilkaset ormiańskich rodzin opuściło swoje domy i zaszyło się w górach. I wyobraź sobie, że tysiące Kurdów w ciągu kilku tygodni walczyło przeciwko garstce Ormian, którzy nie tyko nie zamierzali się poddawać, ale dokonali nawet kilku udanych wypadów, podczas których zdobyli bogate łupy i sprzęt wojskowy wroga.

Z prawdziwą dumą wspominam owe niezapomniane dni. Walczyli nie tylko młodzi, ale też starcy i kobiety. Nabrałem wówczas przekonania,

że podbój nie może zabić bohaterskiego ducha narodu, jeżeli ten odziedziczył owego ducha po przodkach. Podbój może go jedynie przytłumić, ale zabić – nie może. Nadejdzie godzina, kiedy ten duch odrodzi się w narodzie – przy czym jeszcze potężniejszy! Przekonałem się o tym i jest to moje jedyne pocieszenie.

Chmurne oblicze Wartana pojaśniało, uniósł oczy ku niebu, jak gdyby w duchu odmawiał modlitwę do Najwyższego.

– I jak się to wszystko zakończyło? – zapytał.

– Długo nie mogli nas pokonać, wszak umocniliśmy się w niedostępnych skalnych wąwozach i żlebach. Na pomoc Kurdom wezwano regularne wojska, ale broniliśmy się nadal. Po naszej stronie była przecież niepokonana siła – góry Armenii, niezawodna ochrona powstańców. Wkrótce jednak skończyły nam się amunicja i prowiant.

W konfrontacji z tym nowym nieubłaganym wrogiem okazaliśmy się bezsilni. Wprawdzie po nocach powstańcy schodzili czasem w doliny i buszowali po najbliższych kurdyjskich wioskach, przynosząc niekiedy jakąś marną zdobycz, ale to rzadko się udawało, gdyż kurdyjskie wioski opustoszały – ich mieszkańcy wypasali bydło na dalekich pastwiskach. Długo w tej sytuacji nie mogliśmy się trzymać: wokół nie było ani jednej ormiańskiej wioski, znikąd nie można było oczekiwać pomocy. A wróg otaczał nas coraz ciaśniej. I właśnie wtedy powstańcy zademonstrowali niezwykłą odwagę. Którejś nocy wyrwali się z okrążenia i przedarli do głównego obozu przeciwnika. Było to tym dziwniejsze, że w owym szaleńczym wypadzie uczestniczyli nie tylko mężczyźni, ale również kobiety i dzieci.

– A dokąd oni uciekli? – niecierpliwie zapytał Wartan.

– Po minięciu tureckiej granicy poszli do Persji, ale w drodze czyhało na nich wiele niebezpieczeństw.

– Czyli, jak rozumiem, przybyłeś tutaj z Persji?

– Tak.

– I co zamierzasz?

– Tylko jedno i myślę, że się ze mną zgodzisz – poważnym tonem odparł Melik-Mansur. – Trzeba ulżyć doli uchodźców, nie dopuścić, żeby zginęli wszyscy z głodu i od chorób. Jestem przekonany, że Rosjanie podciągną siły i znowu odzyskają zagarnięte przez Turków ziemie. Kiedy ponownie nastanie pokój, ludność Alaszkertu i Bajazetu powinna

wrócić na swoje stare miejsca. To ma pryncypialne znaczenie dla przyszłości Armenii. Nie można dopuścić, żeby te sąsiadujące z sobą prowincje opustoszały.

– A czy ty uważasz, że one pozostaną w rękach Rosjan?

– Możliwe, że po zawarciu pokoju obie znowu przypadną Turcji, ale jestem przekonany, że warunki tak się zmienią, iż podobna samowola już się nie powtórzy. Pokonany Turek pójdzie po rozum do głowy. Mam jeszcze inną nadzieję…

Do pokoju zajrzała starucha i oznajmiła, że jakiś ksiądz pyta o Wartana. Ten od razu zrozumiał, że to posłaniec od wielebnego, i kazał go wpuścić. Do pokoju wszedł *ter* Maruk, duchowny ze wsi O…

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Było już po śniadaniu, na stole zostało tylko kilka pustych butelek, gdy do pokoju wkroczył *ter* Maruk. Wartan z nieskrywaną antypatią patrzył na człowieka, który we wsi O… wyrządził jemu i jego przyjacielowi Salmanowi tyle przykrości, jednak okoliczności zmuszały go do chwilowego pojednania się ze starym wrogiem.

Żałosny wygląd *ter* Maruka, wynędzniała, zszarzała twarz i wystrzępiony ubiór bardziej upodobniały go do żebraka niż do kapłana. Z tego powodu Wartan mimo woli nieco przyjaźniej na niego spoglądał. Miał przy tym nadzieję, że uzyska od gościa jakieś wiadomości o rodzinie starosty Chacza, której los tak bardzo leżał mu na sercu.

– Czy przysłał cię tu wielebny proboszcz? – spytał *ter* Maruka i poprosił, żeby usiadł.

– Tak, on – potwierdził Maruk, sadowiąc się za stołem, na którym stała jeszcze jedna nieotwarta butelka wina.

Wartan ją odkorkował, napełnił szklankę i podał ją *ter* Marukowi. Ten, przeżegnawszy się, wypił. Wino go ożywiło, podobnie jak upragniona rosa ożywia spieczoną ziemię.

Widząc, że zastygła twarz duchownego nieco się rozpogodziła, Melik-Mansur zapytał:

– A może ojciec chciałby coś zjeść?

– Od wczoraj nie miałem niczego w ustach – odparł żałośnie duchowny.

Melik-Mansur wezwał staruchę i kazał jej podać gościowi śniadanie.

Wartan był zdezorientowany. Ujrzał się bowiem w sytuacji człowieka, który stwierdziwszy, że jego dom ograbiono, łudzi się jeszcze ostatnią nadzieją: a nuż złodzieje nie odnaleźli jego skrytki, w której ukrywał swoje skarby. I oto z trwożnie bijącym sercem zbliża się do skrytki, stoi przed nią niezdecydowany, w obawie, że ta okaże się pusta.

W podobnej sytuacji był obecnie Wartan: w duszy tliła mu się jeszcze nadzieja, że Lala żyje. Teraz od jednego słowa tego duchownego zależał jego los. Czy wystarczy mu męstwa i siły, jeśli za chwilę usłyszy niedobrą wieść? Serce się Wartanowi ściskało z powodu strasznego przeczucia; pragnął zasypać księdza tysiącem pytań, ale słowa utknęły mu w gardle.

Melik-Mansur nic nie wiedział o miłości Wartana i Lali. Nie znał nawet rodziny staruszka Chacza, lecz widząc ogromny niepokój i strach Wartana, zaproponował:

– Może porozmawiasz z ojczulkiem na osobności?

– Nie, przed tobą nie mam tajemnic – odparł Wartan i zwrócił się do księdza: – Ojcze, miałeś przekazać wielebnemu spis waszych parafian. Chciałbym wiedzieć, czy zawierał on nazwiska uchodźców z wioski O… i informację, gdzie oni się obecnie znajdują?

– Ależ, mój bracie, jak mógłbym w ogóle sporządzić taki spis, skoro prawie nikt z moich parafian nie ocalał? – rzekł ksiądz tak obojętnym tonem, jak gdyby rozmawiali o kurach… – Na palcach mogę policzyć tych, którzy uszli z życiem.

Wartan pobladł.

– Czyżby wszystkich wyrżnęli? – wydusił z siebie.

– Może i nie wszystkich, ale w każdym razie we wsi O… nikt nie pozostał. A gdzie są teraz ci, którzy przeżyli – ja nie wiem. Żadnemu chrześcijaninowi nie życzyłbym takiego nieszczęścia, jakie dotknęło wioskę O…, Boże broń! Ponosimy karę za nasze grzechy. Zostaliśmy spaleni podobnie jak Sodoma i Gomora; kto się uratował przed ogniem, tego Kurdowie albo uprowadzili do niewoli, albo zarżnęli. W ciągu jednej nocy wioska zmieniła się w pogorzelisko. Spłonęły moje pieniądze, przepadły!… Nie ma już nadziei na odzyskanie choćby ich części…

Tomas-efendi – świeć Panie nad jego duszą! – obiecał ściągnąć je od moich dłużników i życzył mi długiego życia… No i żyję jak nędzarz, zostałem żebrakiem, bezdomnym; widzicie, jaki los mnie spotkał, jak wyglądam… – i wskazał na swoje łachmany.

Łzy popłynęły po twarzy biednego księdza. Wybuchnął płaczem. Być może przypomniały mu się synowa Zula i jej dzieci, których nie odnalazł wśród uchodźców? A może wspominał swego zięcia, diakona Simona, i jego żonę, swoją rodzoną córkę, którzy również przepadli bez wieści? Możliwe też, że dręczyły go ból i obawa o cierpiący naród, którego był pasterzem i którego zgubę opisywał teraz z taką obojętnością? Nie, nie dlatego tak szlochał: on żałował jedynie swoich pieniędzy, których nie potrafił wyciągnąć od dłużnych mu parafian. Ale skoro tych ludzi już nie było, to nie miał od kogo ściągać długów.

O owych długach sprawiających księdzu tyle duchowych męczarni Wartan nic nie wiedział, toteż nie zwrócił większej uwagi na jego rozpaczliwy lament i nawet był wdzięczny księdzu za to, że rozprawiając o swoich utraconych pieniądzach, zwlekał z odpowiedzą na dręczące Wartana pytanie. Pragnąc zagłuszyć swoje duchowe cierpienie i zdenerwowanie, Wartan wypił całą stojącą przed nim szklankę wina, tyle że wino jeszcze bardziej go pobudziło i wzmogło narastający niepokój.

Z pomocą pospieszył mu Melik-Mansur. On słyszał o smutnej śmierci Chacza i dwóch jego synów, ale o innych członkach rodziny nie miał niestety żadnych wiadomości. W związku z tym zapytał księdza:

– A czy z rodziny Chacza ktokolwiek ocalał?

– Nikt – z obojętnym spokojem odparł apatyczny starzec. – Starosta i jego dwaj synowie zmarli w więzieniu (o tym już pewnie słyszeliście), pozostałych synów napastnicy wyrżnęli, a synowe i dziewczyny wzięli do niewoli…

– Wszystkie?! – z trwogą wykrzyknął Wartan.

Widząc, jak piorunujące wrażenie wywarły na Wartanie jego słowa, Maruk zrozumiał, że powinien zważać na swoje słowa, toteż pospiesznie dorzucił:

– Tylko Lala i Sara z dwójką dzieci są tutaj.

Szalona radość ogarnęła Wartana po tych słowach. Przypominał w tym momencie rozbitka, który przeżywszy zatonięcie okrętu, walczy

rozpaczliwie z falami, czując, że siły go opuszczają, aż raptem żywy zostaje wyrzucony na brzeg.

– Lala jest tutaj… i Sara…To znaczy, że je zobaczę… Niech cię Bóg błogosławi! – wykrzyknął, zrywając się z miejsca. – Chodźmy, ojczulku, chodźmy!… Na pewno wiesz, gdzie one mieszkają! Ty też pójdziesz z nami! – gorączkowo mówił Wartan, chwytając Melika-Mansura za rękę.

Przyjaciele wraz z księdzem wyszli z domu. Radość Wartana była jednak przedwczesna, ksiądz bowiem jeszcze nie wiedział, jaki los spotkał Sarę.

Gdyby dzisiaj rano, opuszczając klasztor, Wartan zwrócił uwagę na sunącą na cmentarz procesję pogrzebową, to może dotarłaby do niego tragiczna wieść. Wszelako los okazał się dla młodzieńca bezlitosny: pozbawił go możliwości ujrzenia po raz ostatni ukochanej dziewczyny.

Ciężko chore kobiety, Sarę i Lalę, przeniesiono do tego domu, który wyszukał dla nich młody litościwy lekarz. Gospodyni, której trosce zostały powierzone, odniosła się do nich ze współczuciem, zwłaszcza kiedy się dowiedziała, że kobiety pochodzą z zamożnej, szanowanej rodziny.

Moralne i fizyczne cierpienia całkowicie zmogły i wyczerpały dziewczynę – już pierwszej nocy w nowym miejscu rozwinęła się u niej silna gorączka, toteż gospodyni niezwłocznie posłała po lekarza. Ten, zbadawszy chorą, orzekł, że stan jest bardzo poważny i życie dziewczyny wisi na włosku. „Nie ma nadziei" – powiedział do gospodyni i większą część nocy spędził przy łóżku chorej, starając się podtrzymywać jej gasnące siły. Po północy Lala poczuła się lepiej – i doktor odszedł. Ale kiedy rano wrócił, by odwiedzić i obejrzeć pacjentkę, Lala była już martwa…

Sara początkowo niczego się nie domyślała, mimo że spała w tym samym pokoju; obudziła się dopiero, słysząc uderzenia młotka, którym cieśla przybijał wieko trumny; gdy ją ujrzała – natychmiast wszystko stało się dla niej jasne. Biedna kobieta nie miała jednak siły, żeby chociaż zapłakać.

Mogło się wręcz wydawać, że ucieszył ją koniec męczarni Lali – biedaczka znalazła wieczny spokój i porzuciła na wieki ów okrutny doczesny świat, gdzie czekały ją tylko cierpienia…

Kiedy wynoszono trumnę, Sara poprosiła, by pozwolono jej towarzyszyć zmarłej w ostatniej drodze – i mimo protestów lekarza dopięła

swego. Wydawało się, że to stanowcze, nieprzeparte pragnienie przywróciło jej siły i pełną świadomość. Kiedy opuszczano trumnę do grobu, Sara powiedziała:

– Chciałabym, żeby i mnie pochowano razem z tobą, kochana Lalu…

W tym momencie jednak jej spojrzenie padło na dwójkę dzieci i wzruszenie odebrało jej głos…

Sarę przyniesiono z cmentarza nieprzytomną – i w tej samej chwili, kiedy lekarz ją cucił, rozległo się gromkie stukanie kołatki. Sługa otworzył drzwi i ujrzał na progu dwóch nieznajomych młodych ludzi oraz księdza.

– Czego chcecie? – zapytał.

– Powiedziano nam, że w tym domu przebywają dwie kobiety z Alaszkertu – powiedział Wartan.

– Tak, przebywają, ale ta młodsza niestety…

– Co?!

– Umarła…

Niczym trafione piorunem drzewo, nieprzytomny Wartan runął na ręce Melika-Mansura.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Nieprzenikniony mrok wisiał nad ziemią. Gorąca letnia noc wciąż jeszcze dyszała żarem dnia. Żaden dźwięk ani głos nie zakłócał panującej wokół ciszy. Mogłoby się wydawać, że wszystko tu wymarło. Jedynie z odległego zakątka cmentarza, przy Kościele św. Gajane, dochodziły jakieś głuche jęki. Tam, na jednej ze świeżych mogił, leżał krzyżem zrozpaczony młodzieniec i rozdzierająco szlochał. Łzy nieustannie płynące z jego oczu zraszały niewielki kopczyk grobowy. Obejmując go rękami i przypadając doń twarzą, młodzieniec żałośnie powtarzał: „Ach, Lala… nieszczęsna Lala…”.

Był to Wartan.

Po długich, gorączkowych poszukiwaniach odnalazł on jedynie grób ukochanej dziewczyny… Oprócz niej nie miał nikogo na świecie. W jego tułaczym życiu, pełnym burz, udręk i niebezpieczeństw, Lala

była jedyną gwiazdą przewodnią, ku której zawsze kierował spojrzenie. To ona wskazywała mu drogę do spokojnej przystani. A teraz zgasła! Co mu pozostało? Pozostało rozbite, krwawiące serce – i nie było na świecie takiego balsamu, który mógłby ową ranę wyleczyć. Utrata była nieodwracalna.

Ów opanowany, silny na duchu i ciele młodzieniec nigdy wcześniej nie kochał. Dopiero Lala obudziła w jego sercu gorące uczucie, roztopiła je jak wosk. Miłość do Lali rzuciła na niego przedziwny czar. Gdzież teraz był jego anioł pocieszyciel? Pod tym mogilnym wzgórkiem, który młodzieniec tak kurczowo obejmował i oblewał gorzkimi łzami; pod tym wzgórkiem zostało na zawsze pogrzebane również jego serce.

Wartan tak długo leżał na grobie, pogrążony w nieutulonym żalu, dopóki nie popadł w odrętwienie; jego głowa opadła na grób, oczy się zwęziły. W jego rozpalonym mózgu jedna za drugą przelatywały chaotyczne wizje. Co tylko nie jawiło mu się przed oczami! Niekiedy wzdrygał się na widok piekielnych scen czy obrazów, ale niekiedy zjawiskowo piękne wizje budziły jego zachwyt. Wydawało mu się, że został cudownie przeniesiony w przyszłość i że oto widzi po wiekach zmartwychwstałą, odmienioną Armenię. Cóż to za dziwo? Czyżby utracony niegdyś raj znowu powrócił na ziemię? Czyżby znowu nastały złote czasy, gdy zło i niesprawiedliwość nie będą więcej hańbić tej błogosławionej przez Boga krainy? Nie, Wartanowi jawił się w wyobraźni nie tamten raj, który w Armenii, u źródła czterech rzek[227], stworzył Jahwe, i w którym prarodzice żyli w pierworodnej czystości. To nie był ów biblijny Raj, gdzie człowiek nie pracował, niczego nie wytwarzał, a tylko istniał, żywiąc się jedynie obfitymi darami Bożego stołu, które w nadmiernych wręcz ilościach zapewniała mu przyroda. To był zupełnie inny raj – raj stworzony przez pracującego człowieka. W nim rozum triumfował nad naiwnością, cywilizacja zaś zmieniła patriarchalne, tradycyjne życie. Wydawało się, że właśnie teraz ziściły się słowa wypowiedziane przez Stwórcę do pierwszego człowieka: „W pocie oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie”[228].

[227] Nazwy tych rzek to: Piszon, Gichon, Tygrys i Eufrat (Rdz 2,11-13) (AP).
[228] Rdz 3,19.

Obecnie człowiek nie tylko pracował, ale też zdołał uczynić swój trud lżejszym, nie musiał już przelewać potu. Człowiek pracował dla swego dobra, tyran już nie przyswajał sobie owoców jego wysiłków.

Oto Wartanowi jawi się miraż niewielkiej wioski. Czyż to nie wioska O…? Wszystko tu jest mu znajome: góry, rzeka, zielone pola… Upływający przez wieki czas niczego nie zniszczył, nadał jedynie inny, odmienny wygląd. Nie było już żałosnych ziemianek bardziej przypominających barłogi aniżeli siedliska ludzi. Wszędzie wznosiły się jasne kamienne domy tonące w zieleni ogrodów.

Przy krawężnikach szerokich i prostych ulic ocienionych wiecznie zielonymi drzewami płynęły czyste, przezroczyste strumyki.

Poranek. Na ulicę wybiegła gromada wiejskich dzieci – zdrowych, wesołych i schludnie odzianych. Chłopcy i dziewczęta z plecakami na ramionach spieszyli do szkoły. Wartan patrzył na tych uczniów z zachwytem. Jakież wspaniałe były te dzieci, jakie radosne: najwyraźniej nie obawiały się szkoły ani nauczycieli. Czyżby to te same chorowite, wątłe, obdarte dzieciaki, które Wartan onegdaj widywał we wsi?

Stał pośrodku ulicy i rozglądał się zdumiony wokoło, nie wiedząc, dokąd się winien skierować. Dobiegło go melodyjne bicie kościelnego dzwonu wzywającego na poranne nabożeństwo. Pierwszy raz od dnia, w którym porzucił klasztor, dźwięk dzwonu płynący z Bożej świątyni zabrzmiał dla niego tak słodko. Jego stwardniałe serce drgnęło – i skierował się do kościoła, którego progu nie przekraczał od ponad dziesięciu lat.

Wszedłszy do wnętrza świątyni, doznał wstrząsu: nie było tam ani ołtarza, ani ikonostasu[229], ani malowideł, ani złoceń, ani srebrnych krzyży, ani drogich liturgicznych szat. Wszystko było skromne, żadnego kłującego w oczy zbytku, tak charakterystycznego dla ormiańskich kościołów. Nie było widać żadnych diakonów, zakrystian czy psalmistów. Na ścianach dojrzał zaledwie dwa obrazy: Jezusa Chrystusa oraz Grzegorza Oświeciciela – obydwa w prostych, czarnych ramach.

Na długich ławkach, trzymając w rękach modlitewniki, siedzieli mężczyźni i kobiety. Ksiądz – ubrany podobnie jak parafianie – stał

[229] Ikonostas (słowo greckiego pochodzenia) – w kościołach orientalnych „ozdobiona rzędami ikon przegroda oddzielająca ołtarz od reszty świątyni" (*Słownik wyrazów obcych*, red. E. Sobol, Warszawa 1999, s. 460) (AP).

na ambonie przed otwartą biblią i wygłaszał kazanie. Mówił tak jasno i przekonująco, że Wartan wszystko rozumiał. Boskie słowa płynęły z ust pasterza niby strumień wody z czystego źródła. Kapłan tłumaczył właśnie znaczenie biblijnych słów: „W pocie czoła będziesz zdobywał pożywienie". Wartan był zdumiony: do tej pory uważał, że tymi słowami Bóg na wieki skazywał i piętnował ludzką rasę. Teraz natomiast pojął, że było to raczej przykazanie zobowiązujące człowieka do szanowania pracy i jednocześnie zakazujące mu bezczynnego lenistwa.

Ksiądz skończył kazanie. Jeden z chłopów wstał i głośno odmówił modlitwę: dziękował w niej Bogu za dar życia i prosił o zdrowie, rozum i siłę do pracy na stworzonej przez Niego ziemi obfitującej we wszelkie dobra. „Cóż to za modlitwa? – zastanawiał się Wartan – dlaczego ci ludzie nie proszą o zbawienie duszy? Czyżby niczego nie oczekiwali od pozagrobowego życia, czyżby zajmowała ich jedynie troska o chleb powszedni, a prośby dotyczyły tylko pomyślności w doczesnym ziemskim życiu?"

Modlitwa dobiegła końca i wszyscy obecni w kościele wierni – mężczyźni i kobiety, staruszkowie i dzieci – odśpiewali psalm Salomona: „Powiada wielu: «Któż nam ukaże szczęście?» Panie, wznieś ponad nami światłość Twojego oblicza! Więcej radości wlałeś w serce moje niż z obfitości pszenicy i wina".

„Znów wszystko głównie o ziemskich sprawach – myślał Wartan – i ani słowa o zbawieniu duszy. Pracujący człowiek śpiewa o obfitości darowanej mu przez Boga ziemi, którą obrabia własnymi rękami. Zadziwiające, jak ci ludzie potrafią łączyć dogmaty religii z pilnymi potrzebami codziennego życia".

Ale jak cudownie brzmi ten chóralny śpiew, w którym harmonijnie zlewają się głosy setek ludzi z dźwiękami organów! Wartanowi wydawało się wręcz, że zlewają się z nimi także głosy niebiańskich cherubinów i wzlatują, złączone, ku boskiemu tronowi.

Nabożeństwo dobiegło końca. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Na ambonę, z której dopiero co ksiądz głosił kazanie, wszedł szkolny nauczyciel, a ławki, na których zasiadali dorośli, zajęły teraz dzieci.

Dziewczynki, siedząc razem z chłopcami, słuchały nauczyciela. „Czyżby tu odbywały się szkolne zajęcia? – zdziwił się Wartan. – Czyżby kościół stał się szkołą? Ach, cóż za praktyczni ludzie, nie wznieśli

nawet oddzielnego budynku dla szkoły". Twarz nauczyciela wydała się Wartanowi znajoma: „Czyżby to był *ter* Maruk? Rysy twarzy, wzrost i nawet głos – jego". Tak, to faktycznie był *ter* Maruk, tyle że bez sutanny.

Wartan nie wierzył własnym oczom. Czyżby widziały one tego samego człowieka, który był zaciekłym przeciwnikiem istnienia szkół i napsuł tyle krwi zarówno jemu, jak i Salmanowi? Tego samego, który za opłatą udzielał rozgrzeszenia i troszczył się jedynie o to, by wycisnąć jak najwięcej pieniędzy ze swoich parafian? Wątpliwości do tego stopnia zawładnęły Wartanem, że nie potrafił opanować ciekawości, toteż podszedł do księdza i zapytał:

– Ojczulku, czy udało ci się ściągnąć swoje należności od dłużników?

Ksiądz najwyraźniej uznał go za dziwaka. Surowo spojrzał na niego i wykonał niecierpliwy gest, dając intruzowi do zrozumienia, że przeszkadza mu w pracy. A prowadził on wówczas lekcję przyrody, co jeszcze bardziej zdumiało Wartana: teolog i przyrodnik – zaiste dziwne to było połączenie.

Nie czekając, aż lekcja się skończy, wyszedł z kościoła. Wygląd terenu wokół świątyni, który zazwyczaj był przykościelnym cmentarzem, również go zadziwił: nigdzie ani jednej mogiły, za to pełno kwiatów i innych rzadkich roślin. Wartan stał i długo rozkoszował się owym pięknym widokiem, dopóki przechodzący obok chłop, który wziął go widocznie za cudzoziemca, nie zaprosił go do swego domu na śniadanie.

A mieszkał on w jednym z tych niewielkich, przytulnych domów, które niemal tonęły w zieleni. Wewnątrz było kilka pokoi z prostymi wygodnymi meblami i w każdym pomieszczeniu panował wzorowy porządek.

Młoda, uśmiechnięta córka gospodarza, wesoło podśpiewując, wyszła naprzeciw ojcu. Można było odnieść wrażenie, że smutek, melancholia i jakiekolwiek trudności życiowe były jej nieznane. Nie speszyło jej bynajmniej pojawienie się nieznajomego gościa: nie schowała się przed nim, jak czyniły to zwykle ormiańskie kobiety. Przeciwnie – bardzo swobodnie z nim rozmawiała, jak ze starym znajomym. Przy tym łudząco przypominała Lalę. Owo niezwykłe podobieństwo wprawiło Wartana w taki zachwyt, że miał ochotę przycisnąć dziewczynę do serca i powiedzieć: „Nareszcie cię odnalazłem…".

Stół był już nakryty do śniadania. Gospodyni przyrządziła kawę z dodatkiem gęstej śmietanki i podała ją w dużych filiżankach.

Córka wręczyła ojcu poranną gazetę i z przekornym uśmiechem samozadowolenia wskazała mu zamieszczony tam artykuł.

– A, to tutaj jest twój artykuł, Lalu! – powiedział ojciec, zakładając okulary i podnosząc do oczu gazetę.

– Lalu! – wykrzyknął Wartan z wielkim podnieceniem.

– To imię często występuje w naszym rodzie – oznajmił gospodarz.

Wartan nieco się uspokoił, ale wciąż nie mógł pogodzić się z myślą, że to nie ta sama Lala, którą znał. W każdym razie, jeśli to nawet nie jego Lala, to jej piękny, niemal realny, wizerunek.

Duże wrażenie wywarła na Wartanie nie tylko sama dziewczyna, ale i cała jej rodzina. Początkowo sądził, że ci ludzie pracują od rana do wieczora, nie znając odpoczynku. Teraz się przekonał, że mają również czas na odpoczynek i rozrywkę oraz że wiodą skromne, ale pełne zadowolenia życie.

– Pomyślność i dobrobyt chłopa – stwierdził pan domu – zależą nie tyle od nieustannej ciężkiej harówki, ile od fachowości i wiedzy o tym, jak można ułatwić sobie pracę. W przyrodzie kryją się niewyczerpane, stworzone przez Boga siły, pozwalające ulżyć człowiekowi w pracy, trzeba tylko nauczyć się z nich korzystać.

– Słusznie – przyznał Wartan – gdyby Kurdowie nie odbierali chłopu owoców jego pracy, to byłby on szczęśliwy.

– Jacy Kurdowie? – zdziwił się pan domu.

– No ci, którzy codziennie nas grabią!

– Ach, ci straszni Kurdowie… – odrzekł gospodarz, jakby z trudem przypominając sobie dawno zapomniane słowo. – Tak, wiem z historii coś niecoś o owych Kurdach. To prawda, że grabili oni i zabijali naszych przodków, ale to było w zamierzchłej przeszłości. Z czasem tamto dzikie plemię stopniowo się ucywilizowało. Jeszcze na początku ubiegłego wieku Kurdowie przyjęli naszą wiarę, ich dzieci uczyły się i wychowywały w naszych szkołach, toteż obecnie wszyscy oni zlali się już całkowicie z Ormianami.

Wartan nie wierzył własnym uszom: wydawało mu się, że śni, ale w gruncie rzeczy wszystko, co tu widział i czego doświadczał, również najpewniej było snem.

Pan domu kontynuował:

– W naszej historii Kurdowie zapisali wiele krwawych stronic. Nasz daleki przodek, protoplasta rodu o imieniu Chaczo, był starostą tej wioski. Kurdowie wyrżnęli prawie całą jego rodzinę, a on i dwaj jego synowie umarli w więzieniu. Z całej rodziny ocalał jedynie wnuk Chacza, czyli syn Hajrapeta…

– Ten sam, który razem z Sarą uciekł do Wagharszapatu? – wpadł mu w słowo Wartan.

– Tak. Właśnie dzięki niemu przetrwał i wciąż istnieje nasz ród.

– On miał na imię Howakim, jego siostrą była zaś Nazlu, która umarła jednocześnie z matką, a osieroconego Howakima wychował doktor…

– A skąd pan to wie? – zapytał gospodarz, którego zdumiało tak dokładne rozeznanie gościa.

– Byłem świadkiem tamtych wydarzeń – odparł Wartan. – To się wydarzyło podczas najazdu Kurdów na prowincję Alaszkertu.

– Ale przecież to było dwieście lat temu, a pan jest jeszcze całkiem młody – zauważył gospodarz. – Czyżby więc teraz gościł u nas Matuzalem?[230]

Wartan nie wiedział, co odpowiedzieć. Jemu także się wydawało, że od tamtej napaści minęła już cała wieczność.

Z okien pokoju, w którym siedzieli, była widoczna zielona równina w pierścieniu wysokich gór porośniętych gęstymi lasami. Na tle lazurowego nieba ostro rysowały się ich potężne szczyty. W promieniach porannego słońca – zwinne niby ruchliwe żmijki – wiły się przecinające równinę strumyki. Wartan zachwycił się tym widokiem. Ręka robotnego człowieka przeobraziła i upiększyła tutejszą przyrodę, podobnie jak artysta malarz tworzy swoje płótna.

– Mówiąc o Turkach i Kurdach[231], ma pan na myśli zamierzchłą przeszłość – kontynuował gospodarz domu – od tamtego czasu wiele się

[230] Matuzalem – postać biblijna znana z bardzo podeszłego wieku (AP).

[231] W okresie, który nastąpił tuż po wojnie turecko-rosyjskiej lat 1877-1878 (wtedy toczyła się akcja *Chenta* Raffiego), głównymi wrogami Ormian byli Kurdowie, nie Turcy. Dopiero w czasie pierwszej wojny światowej (poczynając od 1915 r.) sytuacja się zmieniła: sprawcami ludobójstwa popełnionego na Ormianach stali się Turcy (AP).

zmieniło. Proszę spojrzeć na te piękne góry! Sto pięćdziesiąt lat temu nie rósł na nich nawet jeden krzaczek. Barbarzyńcy nie tylko bezlitośnie mordowali ludzi, ale równie nielitościwie niszczyli też lasy. Wszystkie okoliczne góry i doliny zostały przez nich ogołocone. Ludzie zamiast drewna wykorzystywali na opał kiziak[232], i domów też nie mieli z czego budować, mieszkali w ziemiankach.

Ale gdy zapanował pokój, opuszczone wsie ponownie się zaludniły, a nasze góry pokryły się lasami zasadzonymi przez pracowitych, zapobiegliwych chłopów. Proszę też spojrzeć na tę zieloną równinę. Kiedyś była ona suchą, bezwodną pustynią, przepływała przez nią niewielka rzeczka, która latem zupełnie wysychała. Ale od czasu, kiedy rozrosły się lasy, pojawiła się w niej obfitość wody. Obecnie nasza równina jest najbardziej żyzna, najbardziej urodzajna w całej prowincji. Tak, wiele się u nas zmieniło! Wcześniej mieliśmy tu bezdroża, a teraz równinę przecinają gładkie jak lustro drogi prowadzące do wszystkich miast naszego kraju. Po tych drogach pędzą już nie konne powozy, tylko pojazdy napędzane parą[233]. Wszystko, co u nas wytwarzamy, wywozimy na eksport tysiące mil stąd, a w zamian otrzymujemy niezbędne towary.

Wartan ze zdziwieniem słuchał gospodarza. Jego wzrok zatrzymał się na Lali, chciał bowiem wiedzieć, czy dziewczyna również chodzi do szkoły.

– Przed tygodniem skończyła wagharszapackie gimnazjum – powiedział ojciec – teraz przygotowuje się do egzaminów wstępnych na uniwersytet, zamierza studiować medycynę. Lala jest słabego zdrowia, więc radziłem jej spędzić przedtem kilka miesięcy na wsi, ale nie zgadza się na to.

– Ile macie dzieci?

– Nasz ród zawsze był bardzo liczny. Szeroko rozumiana rodzina naszego przodka, starosty Chacza, liczyła ponad pięćdziesiąt osób. Ja mam pięcioro dzieci. Lala jest jedyną córką, reszta to synowie.

---

[232] Kiziak – cegiełki produkowane z nawozu używane do spalania i ogrzewania. Słowo turecko-tatarskiego pochodzenia (AP).

[233] W latach 80. XIX w. nie przewidywano jeszcze pojazdów spalinowych (samochodów) napędzanych benzyną produkowaną z ropy naftowej (AP).

– Czym się zajmują synowie?

– Jeden jest leśniczym, pracuje w naszych lasach; drugi jest profesorem Uniwersytetu Karinskiego[234]; trzeci – pułkownikiem; czwarty jeszcze się uczy – chodzi do szkoły rolniczej w Nowo-Bagrewanie.

Wartan nigdy tej nazwy nie słyszał.

– Jakoś nie przypominam sobie takiego miasta – powiedział niepewnie.

– To dawny Bajazet, obecnie nosi inną nazwę. Wiele naszych miast, wsi i prowincji zostało przemianowanych i noszą teraz całkiem nowe nazwy.

Gospodarz domu sięgnął po gazetę i zaczął ją przeglądać.

– O czym tam piszą?

– Nic szczególnego… Jutro w mieście odbędzie się walne zebranie delegatów… Będą rozpatrywane niektóre sporne problemy… Nie wiem, do jakich wniosków dojdą delegaci i co postanowią. Wszystkie stronnictwa są bardzo poruszone…

– Pan też tam będzie?

– Nie mógłbym nie być.

W toku dalszej rozmowy Wartan zrozumiał, że gospodarz także będzie uczestniczył w owym zebraniu, gdyż był on delegatem reprezentującym stronnictwo chłopskie tej miejscowości.

Po śniadaniu Wartan podziękował za gościnę i już się zbierał do wyjścia, gdy usłyszał:

– Jeśli by pan zechciał obejrzeć nasze wiejskie instytucje, to z przyjemnością będę panu towarzyszył.

– Bardzo dziękuję – odparł Wartan.

– A jeśli pan jeszcze odwiedzi kiedyś naszą wieś – rzuciła gospodyni – to znowu zapraszamy do nas.

– Bardzo dziękuję, szanowna pani gospodyni – z pokłonem powiedział Wartan.

– U nas nie będzie się pan nudził – z przyjaznym uśmiechem dodała dziewczyna.

---

[234] Karin (wymowa zachodnioormiańska: Garin) – pierwotna nazwa jednego z miast historycznej Armenii Zachodniej. Obecnie leży ono we wschodniej Turcji i nosi turecką nazwę Erzurum (AP).

– Jestem państwu ogromnie wdzięczny – kłaniając się, z szacunkiem odparł Wartan.

Wyszedł na ulicę, czując się niezręcznie; w porównaniu z tymi cywilizowanymi ludźmi wydał się samemu sobie dzikusem. Dlaczego wciąż pozostawał taki nieokrzesany i niedouczony, dlaczego nie umiał prowadzić rozmowy ani zachowywać się tak swobodnie jak oni? Ale czyż to nie cudowne, że ród starosty Chacza, przeszedłszy przez bezlitosny tygiel wieków, jawi mu się obecnie taki odnowiony i uszlachetniony?!

Wartan i pan domu szli razem wiejską ulicą. Mijali schludnie ubrane kobiety i mężczyzn w roboczej odzieży. Wartan nie mógł się nadziwić, że wioska uległa aż takiej przemianie. Znikło prostackie chłopskie chamstwo, wszędzie się czuło ożywcze tchnienie oświaty i widziało rezultaty mądrego, aktywnego gospodarowania. Jedno tylko pozostało niezmiennie takie samo jak dawniej – język ormiański. Ale jakże inaczej, piękniej i szlachetniej brzmiał on w ustach nowego Ormianina.

Wartan i gospodarz wyszli na skraj wioski. Tu – dokądkolwiek się skierowało spojrzenie – widniały bogate farmy, bujne ogrody, dobrze uprawione pola i żyzne pastwiska. Mężczyźni przeszli obok tartaku parowego, który zaopatrywał w materiał budowlany wszystkie pobliskie wioski i miasta.

– Czyj jest ten tartak? – zapytał Wartan.

– U nas nie ma własności prywatnej[235] – odparł jego rozmówca. – Wszystkie zakłady należą do wiejskiej wspólnoty i każdy rolnik posiada w nich swój udział. Drewno dostarczane z pobliskich lasów także jest własnością wspólnoty.

Minęli tartak.

– A tamto duże przedsiębiorstwo – wskazał Wartanowi jego przewodnik – to wytwórnia serów. Tutaj wyrabia się najlepszy ser w całym powiecie. Również ta wytwórnia należy do wiejskiej wspólnoty. Każdy rolnik dostarcza tu swoje mleko, a kiedy następuje podział zysku, otrzymuje należną mu część – albo w gotówce, albo w serach.

[235] Jak widać, w roku 1880 (data publikacji pierwszego wydania *Chenta*) wśród ormiańskich warstw wykształconych były już rozpowszechnione marksistowskie poglądy rozwinięte później w Rosji przez bolszewików. Jak wiadomo, likwidacja własności prywatnej (kołchozy) wcale nie poprawiła sytuacji materialnej mieszkańców ZSRS (AP).

Weszli na pole. Była pora żniw, ale żniwiarze nie używali sierpów – na polu pracowała maszyna zastępująca trud setek ludzi. Teraz dla Wartana stało się jasne, w jaki sposób można ułatwić rolnikowi pracę. Przeszli obok młyna wprawianego w ruch przez parę. Mielono tu pszenicę zbieraną z pól we wszystkich okolicznych wioskach. Śnieżnobiałą mąkę wywożono na sprzedaż do innych krajów. Młyn również należał do wiejskiej wspólnoty.

Najbardziej jednak zdumiewało Wartana to, że wszyscy mieszkańcy, których napotykali po drodze, wyglądali na ludzi mężnych, zdecydowanych i śmiałych. Jak gdyby wyrośli i żyli, nie znając ani ucisku, ani niewoli, nie zaznali strachu przed Kurdami czy Turkami. Widział pracowitych ludzi, którzy w razie potrzeby zawsze byli gotowi zamienić pług na karabin i nieustraszenie walczyć z wrogiem.

– W czasie wojny przekształcają się w żołnierzy – wyjaśnił Wartanowi rozmówca. – Praca wówczas zostaje na pewien okres przerwana. Wojna przynosi naszemu krajowi wiele strat, chociaż niekiedy bywa konieczna i nieunikniona.

Obejrzawszy pola uprawne, obaj wrócili do wsi. Po drodze rzucił im się w oczy nowy budynek, przypominający z wyglądu wzorcową fermę.

– To nasza szkoła rolnicza – poinformował gospodarz. – A tamta, w której byliśmy rano, to szkoła podstawowa.

Jakkolwiek Wartan przez pewien czas też był nauczycielem, to podobnej szkoły nigdy jeszcze nie widział.

Była wyposażona we wszystko, co jest niezbędne do nauczania podstaw rolnictwa. Do szkoły przylegało rozległe pole podzielone na mniejsze poletka, na których pracowali uczniowie. Była to w gruncie rzeczy jedna wielka szkółka najróżniejszych hodowlanych roślin i kwiatów. Uczniowie zdobywali tu rolniczą wiedzę głównie poprzez ciągłe obcowanie z żywą przyrodą, ale w określonym czasie uprawiali również gimnastykę i uczyli się posługiwania bronią.

„Taka szkoła wykształci nie tylko dobrych rolników, ale i dobrych żołnierzy" – doszedł do wniosku Wartan.

Podziękowawszy gościnnemu gospodarzowi, pożegnał się z nim. Idąc w głębokiej zadumie po ulicy, ujrzał nagle niezwykły pojazd, w którym – po jego obu bokach – siedzieli ludzie. Dowiedziawszy się, że jedzie on na stację kolejową, Wartan wsiadł. Na stacji ujrzał tłum

pasażerów czekających na pociąg. Nagle za jego plecami zabrzmiał czyjś głos:

– Wartan?!

Odwrócił się – przed nim stał Salman. Przyjaciele padli sobie w objęcia.

– Tak, przyjacielu! – wykrzyknął Salman, ściskając rękę Wartana. – Po dwustu latach znów się spotykamy! Dość długi okres… W ciągu tych dwóch stuleci wiele się zmieniło w naszym kraju… Pamiętasz, Wartanie, jak mówiłem ci kiedyś, że u zarania dziejów Armenia była kolebką ludzkości? Przewidywałem też, że z czasem stanie ona mocno na nogach, zmężnieje, rozkwitnie – i nastanie rajski, kwitnący etap jej rozwoju. Moje przewidywania się ziściły. Obecnie życiu Ormianina nie zagraża już śmiertelne niebezpieczeństwo, radośnie i spokojnie pracuje on na ojczystej ziemi. Ale gdybyś wiedział, ile trudu nas to kosztowało!… Pracowaliśmy niestrudzenie. W ciągu tych dwóch stuleci pokonaliśmy tysiące przeszkód, trudności… Niemało też krwi zostało przelanej, zanim wywalczyliśmy sobie wolność…

– Dokąd teraz jedziesz, Salmanie? – zapytał Wartan.

– Do miasta, na zebranie delegatów, jestem przedstawicielem naszej prowincji… Jedźmy razem, Wartanie, będę tam przemawiał, może i ciebie zainteresują nasze spory?

Rozległ się gwizdek pociągu, przyjaciele weszli do wagonu. Przyjechali do celu o świcie. O tak wczesnej godzinie miasto jeszcze spało. Na ulicach widziało się jedynie robotników spieszących do pracy.

– Do hotelu Gołąb Noego – polecił Salman woźnicy.

Dorożka mknęła po gładkich i prostych ulicach. Po obu stronach ulic wznosiły się długie szeregi imponujących budowli. Wartanowi wydawało się, że przejeżdża obok mnóstwa pałaców. Salman objaśniał:

– Oto były carski pałac, teraz jest w nim muzeum. A to – nasz wspaniały teatr. A to – szpital. To zaś jest pomnik bohaterów ostatniej rewolucji. Dalej – redakcja gazety codziennej o nakładzie stu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy…

– A gdzie są koszary? – przerwał mu Wartan.

– W mieście nie ma koszar: u nas każdy obywatel jest jednocześnie żołnierzem.

– Jakie to piękne miasto! – wykrzyknął zachwycony Wartan.

Dorożka zatrzymała się przy hotelu Gołąb Noego. Przyjaciele weszli do pokoju przylegającego do dużej sali. Zastali tu Tomasa-efendiego i Melika-Mansura, którzy wiedli gorący spór.

– To jakby uczyć osła alfabetu – gorączkował się Tomas-efendi.

– A według mnie to najlepszy sposób i doprowadzi nas do upragnionego celu – upierał się rozgorączkowany Melik-Mansur.

– Tyle że ta droga jest zbyt długa i dojdziemy nią do celu na oślą wielkanoc[236] – kpiąco rzucił Tomas-efendi.

– Posłuchajmy, co Salman na to powie? – zgodzili się oponenci, przerywając spór.

Jakże się zdumieli na widok Wartana, który wyrósł nagle przed nimi jakby spod ziemi.

– To ty?! Z tamtego świata się zjawiłeś? – z uśmiechem zapytał Tomas-efendi.

– O to samo chciałbym i ciebie spytać – odparł Wartan, uścisnąwszy wyciągniętą doń rękę. – Przecież znalazłem twoje okaleczone ciało u podnóża alaszkerckich gór, a potem zostałeś pochowany na kurdyjskim cmentarzu…

– A teraz zmartwychwstałem – roześmiał się Tomas-efendi. – Ty najwyraźniej nie wierzysz w reinkarnację. Moja dusza wcielała się kolejno w najbardziej nieczyste stworzenia… Kilka dziesięcioleci byłem wilkiem, żyłem z tego, co zdołałem upolować… Również dziesiątki lat byłem psem, służyłem każdemu, kto mnie karmił… W ciągu wielu lat byłem żmiją – pełzałem, płaszczyłem się i kąsałem… Długi czas byłem osłem i tak mnie wtedy wszyscy ciągnęli za uszy, że straciłem resztki rozumu… W końcu moja nieszczęsna dusza przybrała postać lwa – i wreszcie doznała oczyszczenia. Pełny cykl owych zmian trwał dwieście lat. Mumie egipskie spoczywające w piramidach tysiące lat czekają powrotu swoich dusz, a moja dusza znacznie szybciej zakończyła ten cykl…

– Czyli mam teraz szczęście oglądać nowego Tomasa-efendiego?… – wtrącił domyślnie Wartan.

– Owszem, dawny Tomas-efendi – będący typowym dziecięciem swojego wieku – już nie istnieje, z upływem czasu przeobraził się całko-

[236] W oryginale „ośla wielkanoc” (odpowiednik polskiego wyrażenia: „na święty nigdy”) to *eszi zatik* (AP).

wicie; teraz jest on jednym z najlepszych przedstawicieli obecnego pokolenia, a to pokolenie, drogi Wartanie, poszło daleko do przodu. Przypominasz sobie niejakiego Melika-Mansura, który jako domokrążca chodził po alaszkerckich wioskach? Teraz jest generałem i dowodzi specjalną jednostką wojskową.

Wartan odwrócił się do Melika-Mansura i z szacunkiem uścisnął mu rękę.

– No, bo się spóźnimy, panowie, posiedzenie zaraz się zacznie – pospieszył ich Salman.

– On jest liderem naszej partii wolnościowej – szepnął Wartanowi na ucho Tomas-efendi, wskazując na Salmana. Na dzisiejszym zebraniu zamierza wygłosić przemówienie. A jakim on jest wspaniałym oratorem!…

– Weźcie mnie z sobą, panowie, ja też chcę pójść na zebranie! – wykrzyknął Wartan.

– Idziemy! – usłyszał raptem czyjś nieznajomy głos… Otworzył oczy i zrozumiał, że śnił.

Otaczała go nocna mgła i nadal leżał przy grobie nieszczęsnej Lali. Ale do kogo należał ów nieznajomy głos, który wyrwał go ze snu, mówiąc: „Idziemy!”?

Nagle czyjeś cztery silne ręce chwyciły i podniosły Wartana – i wszystko na powrót utonęło w mglistym mroku nocy…

SPIS TREŚCI

Wstęp 5
Chent 9
Rozdział pierwszy 11
Rozdział drugi 21
Rozdział trzeci 23
Rozdział czwarty 26
Rozdział piąty 31
Rozdział szósty 34
Rozdział siódmy 37
Rozdział ósmy 47
Rozdział dziewiąty 52
Rozdział dziesiąty 58
Rozdział jedenasty 63
Rozdział dwunasty 69
Rozdział trzynasty 74
Rozdział czternasty 81
Rozdział piętnasty 88
Rozdział szesnasty 94
Rozdział siedemnasty 99
Rozdział osiemnasty 104
Rozdział dziewiętnasty 108
Rozdział dwudziesty 112
Rozdział dwudziesty pierwszy 119
Rozdział dwudziesty drugi 129
Rozdział dwudziesty trzeci 132

Rozdział dwudziesty czwarty 139
Rozdział dwudziesty piąty 145
Rozdział dwudziesty szósty 152
Rozdział dwudziesty siódmy 159
Rozdział dwudziesty ósmy 166
Rozdział dwudziesty dziewiąty 172
Rozdział trzydziesty 183
Rozdział trzydziesty pierwszy 188
Rozdział trzydziesty drugi 196
Rozdział trzydziesty trzeci 202
Rozdział trzydziesty czwarty 209
Rozdział trzydziesty piąty 214
Rozdział trzydziesty szósty 220
Rozdział trzydziesty siódmy 226
Rozdział trzydziesty ósmy 233
Rozdział trzydziesty dziewiąty 240
Rozdział czterdziesty 246
Rozdział czterdziesty pierwszy 251
Rozdział czterdziesty drugi 258
Rozdział czterdziesty trzeci 262

Publikacje książkowe Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego

1. Anna Danilewicz, *Ormianie z prawego brzegu Czeremoszu*, 1994 (nakład wyczerpany)
2. Jacek Chrząszczewski, *Ormiańskie świątynie na Podolu*, 1998
3. Edward Tryjarski, *Ormianie w Warszawie. Materiały do dziejów*, 2001
4. ks. Tadeusz Zaleski, *Słownik biograficzny duchownych ormiańskich w Polsce*, 2001
5. *Pomniki minionej chwały. Ormiański Lwów w opisie Krzysztofa Stopki i w fotografii Andrzeja Płachetki*, 2002
6. Anna Danilewicz, *Z rumuńskiej Bukowiny na Dolny Śląsk. Krótka opowieść z długiego życia*, 2004
7. Malachiasz Ormanian, *Kościół ormiański. Historia, doktryna, zarząd, reguły kanoniczne, liturgia, literatura, stan współczesny*, z języka francuskiego przełożył i komentarzem opatrzył Krzysztof Stopka, 2004
8. Jacek Chrząszczewski, *Ormianie polscy i ich chaczkar w Krakowie*, 2007 (tekst w językach: polskim, angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim, ormiańskim)
9. Erna Kierkorowicz, *Polscy potomkowie rodzin ormiańskich*, 2009
10. Edward Tryjarski, *Zapisy sądu duchownego Ormian miasta Lwowa za lata 1625-1630 w języku ormiańsko-kipczackim*, 2010
11. Grzegorz Pełczyński, *Restauracja „Kresowa”*, 2011
12. Andrzej Bohosiewicz, *Ormiańska rodzina Bohosiewiczów*, 2011
13. Renata Król-Mazur, *Działalność polityczna arcybiskupa Józefa Teofila Teodorowicza w latach 1888-1923*, 2013
14. Chaczatur Abowian, *Rany Armenii*, 2018
15. Hagop Baronian, *Wielce szanowni wydrwigrosze oraz inne utwory*, 2022
16. Muracan (Grigor Ter-Howannisjan), *Geworg Marzpetuni*, 2023
17. Wahan Totowenc, *Życie przy starodawnym rzymskim trakcie i inne opowiadania*, 2024
18. Howannes Tumanian, *Utwory wybrane*, 2025



Raffi (właśc. Hakop Melik-Hakopian) (1835-1888) – ormiański pisarz, przedstawiciel literatury romantycznej. Urodził się na terenie północno-zachodniego Iranu (Persji) we wsi Pajadżuk leżącej w pobliżu miasta Salmast (południowo-wschodnie krańce historycznej Armenii). Podróżował po terenach historycznej Armenii, zapoznając się z codziennością swych rodaków żyjących pod panowaniem perskim, tureckim i rosyjskim. Od roku 1872 mieszkał na stałe w Tyflisie, gdzie rozpoczął działalność literacką.

Pierwsza powieść Raffiego pt. *Chent* ukazała się drukiem w 1880 roku w kolejnych numerach gazety „Mszak". W następnym roku została opublikowana w postaci jednotomowej książki.

Treść *Chenta* łączy się z wojną turecko-rosyjską lat 1877-1878 i poprzedzającym ją okresem wzrostu nastrojów niepodległościowych wśród zachodnich Ormian. Dumni ze swej starożytnej historii, marzyli o wyzwoleniu się spod tureckiego panowania.

Przekład rosyjski, z którego powieść przetłumaczył na język polski gdański rusycysta, dr Stanisław Ulaszek, zachował bez tłumaczenia ormiański tytuł *Chent*, który w oryginale oznacza „szaleńca". Wziął się stąd, że ambicje głównego bohatera, Wartana, który dążył do wzniecenia zbrojnego powstania Ormian przeciwko Turcji wzorowanego na zrywie Bułgarów z 1876 roku, wydawały się „zwykłym ludziom" szaleństwem.

ORMIAŃSKIE TOWARZYSTWO KULTURALNE

ISBN 978-83-8368-505-2